ICH MAŁŻEŃSTWO JEST NA NIBY,
ALE CHEMIA MIĘDZY NIMI JUŻ NIE.
KONTRAKT JACKSONA
SLOW BURN #1
J.T. GEISSINGER

J. T. GEISSINGER

KONTRAKT JACKSONA

ISKRY MIŁOŚCI #1

TŁUMACZENIE

MALWINA STOPYRA

OŚWIĘCIM 2021

Tytuł oryginału
Burn for You
Copyright © 2020 by J. T. Geissinger
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2021
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Magdalena Lisiecka
Korekta:
Anna Powązka
Edyta Giersz
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-538-9

SPIS TREŚCI

JEDEN
DWA
TRZY
CZTERY
PIĘĆ
SZEŚĆ
SIEDEM
OSIEM
DZIEWIĘĆ
DZIESIĘĆ
JEDENAŚCIE
DWANAŚCIE
TRZYNAŚCIE
CZTERNAŚCIE
PIĘTNAŚCIE
SZESNAŚCIE
SIEDEMNAŚCIE
OSIEMNAŚCIE
DZIEWIĘTNAŚCIE
DWADZIEŚCIA
DWADZIEŚCIA JEDEN
DWADZIEŚCIA DWA
DWADZIEŚCIA TRZY
DWADZIEŚCIA CZTERY

DWADZIEŚCIA PIĘĆ
DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
DWADZIEŚCIA SIEDEM
DWADZIEŚCIA OSIEM
DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
TRZYDZIEŚCI
TRZYDZIEŚCI JEDEN
TRZYDZIEŚCI DWA
TRZYDZIEŚCI TRZY
TRZYDZIEŚCI CZTERY
TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
TRZYDZIEŚCI SIEDEM
TRZYDZIEŚCI OSIEM
PODZIĘKOWANIA
O AUTORCE
Przypisy

Dla Jaya, za dwadzieścia lat szczęśliwego życia.

JEDEN

BIANCA

Pierwszy raz, kiedy mój wzrok spoczął na człowieku, którego w całym stanie Luizjana nazywano Bestią, pomyślałam, że nie mógł być tak zły, jak głosiła jego reputacja.

Okazało się, że byłam w błędzie.

Był jeszcze gorszy.

Ubrany cały na czarno, stał górując o głowę nad wszystkimi, a ramiona miał tak szerokie, że rzucały złowieszczy cień na drewnianą podłogę. Jackson Boudreaux lustrował gwarną salę jadalną mojej restauracji z wyrazem twarzy króla, który zaszczycił swoją obecnością wioskę biedoty skażonej jakąś plagą.

Usta miał wykrzywione. Oczy zwężone. Nos trzymał tak wysoko, że zastanawiałam się, czy gdyby zaczął lać deszcz, uniknąłby utonięcia.

– Łoo Panie, trafił nam się wilkołak! Dawaj czosnek!

Stojąca obok mnie przy kuchence moja sous chef Ambrosine uczyniła znak krzyża nad swoją pokaźną klatką piersiową, kiedy zerkała przez szklaną ścianę na mężczyznę w czerni. Eeny, jak pieszczotliwie nazywali ją ci, którzy ją znali, była emerytowaną kapłanką voodoo, z kolekcją przesądów prawie tak barwną jak jej afrykańskie kaftany z plemiennymi wzorami.

– Czosnek działa na wampiry, nie na wilkołaki, Eeny – powiedziałam, spoglądając ponad stolikami w stronę stanowiska hostessy na przedzie restauracji, gdzie stał mężczyzna otoczony chmurami burzowymi, wpatrujący się groźnie w hostessę, Pepper. Biedna dziewczyna z każdą chwilą wyraźnie kurczyła się w sobie pod ciężarem jego spojrzenia.

Przebłysk irytacji sprawił, że zmarszczyłam brwi.

To był pierwszy i najłagodniejszy taki przebłysk tego wieczora.

– To żaden wilkołak ani wampir – burknął głos po mojej prawej.

Zerknęłam na mojego cukiernika. Hoyt był ponad siedemdziesięcioletnim potomkiem francuskich osadników z akcentem cięższym niż błoto z zalewu, szpakowatą brodą i artretycznymi rękami, które wciąż potrafiły stworzyć najlepsze ciasta w Nowym Orleanie. Wskazał podbródkiem na nowoprzybyłego, po czym skierował uwagę na wielką kulę ciasta, leżącą na obsypanej mąką, drewnianej stolnicy na blacie przed nim.

– Rozpoznaję jego twarz z gazet – powiedział Hoyt. – Tam stoi *boodoo tête de cabri*, pan Burbon[1] Boudreaux Jr. we własnej osobie.

– Niech mnie drzwi ścisną – powiedziałam z paniką.

Moja panika nie wynikała z faktu, że Hoyt właśnie nazwał tajemniczego nowoprzybyłego zadufanym bucem. Hoyt miał swój sposób na opisywanie ludzi i był on równie barwny jak parada z okazji Mardi Gras. Chodziło o to, że ten *konkretny* zadufany buc był dziedzicem imperium najlepiej sprzedającego się burbona na świecie.

Burbona, na bazie którego stworzyłam całe swoje wiosenne menu.

To menu zostało niesłychanie dobrze odebrane przez moich gości i stało się przyczyną wzrostu liczby rezerwacji. Otrzymywało fantastyczne recenzje od lokalnych krytyków kulinarnych i nawet w tym miesiącu była o nim przychylna wzmianka w magazynie „Gourmet”.

Szczerze mówiąc, to było menu tak przepełnione miłością, duszą, nadzieją i potem, że czułam, jakby było moim dzieckiem. Poświęciłam całe miesiące na przygotowanie go, testowanie i dopracowanie do perfekcji.

Jednak przybycie na kolację *Jacksona Boudreaux we własnej osobie* było wydarzeniem, na które kompletnie się nie przygotowałam.

Wiedziałam, że mieszkał w Nowym Orleanie – przecież też czytałam gazety – ale tak wiele słyszałam o jego nietowarzyskości i pustelnictwie, że uznałam za nieprawdopodobne, by kiedykolwiek miał stanąć w moich progach, nawet jeśli jego rodzinny burbon zainspirował menu.

A jednak – oto on.

Całe sto dziewięćdziesiąt gniewnych centymetrów.

Przerażający na śmierć moją hostessę i powodujący upiorną ciszę na sali.

– Jak mogłam przegapić jego nazwisko na liście rezerwacji? – zawołałam. – Gdybym wiedziała, że przyjdzie, upewniłabym się, żeby dostał najlepszy stolik!

Eeny powiedziała:

– Pepper właśnie posadziła ośmioosobową rodzinę przy najlepszym stoliku. To jakieś przyjęcie rocznicowe. Prawdopodobnie spędzą tu kilka godzin.

Jęknęłam. Kusiło mnie, żeby wyjść i osobiście znaleźć dla niego stolik, ale byliśmy zawaleni robotą, więc musiałam wierzyć, że Pepper da z siebie wszystko i znajdzie dla niego jakieś miejsce.

– Bierzcie się do pracy! – poinstruowałam resztę załogi kuchennej, ponieważ przerwali to, co robili, żeby wpatrywać się w Jacksona Boudreaux, zupełnie jak wszyscy inni.

Kiedy nikt się nie ruszył, klasnęłam w dłonie. Załoga ruszyła do działania, wiedząc, że klaśnięcie oznacza branie się do roboty. Nigdy nie podnosiłam na nich głosu, nawet kiedy byłam wściekła, a to zdarzało się rzadko. Z natury byłam pogodnie usposobiona.

I właśnie miało to zostać wystawione na próbę.

– Henri, potrzebuję więcej galaretki pieprzowej! – zawołałam do jednego z kucharzy, kiedy skupiłam się ponownie na naczyniu z étouffée z kaczki, które wykładałam na talerz. Każde danie mogło opuścić kuchnię tylko po mojej drobiazgowej inspekcji. Gdy Henri podszedł do mnie z opakowaniem pikantnej galaretki domowej roboty, odepchnęłam od siebie myśli o Jacksonie Boudreaux, żeby skoncentrować się na zadaniu.

Kiedy skończyłam, szybko podałam talerze oczekującemu kelnerowi. Dwa kolejne dania, wymagające sprawdzenia, natychmiast zajęły ich miejsce za sprawą kelnera po mojej drugiej stronie. Restauracja pękała w szwach i choć była dopiero szósta, wiedziałam, że czeka mnie długa noc. Nie mogłam być szczęśliwsza.

To spełnienie moich marzeń. Dorastałam w kuchni restauracji mojej mamy i oszczędzałam przez lata, żeby otworzyć własną.

Gotowanie miałam we krwi, tak samo jak jazz i Saintsów[2].

Pierwszy cios w moje szczęście nastąpił, kiedy hostessa wpadła przez metalowe drzwi i wybuchnęła płaczem.

– Ten zafajdany sukinkot może pocałować mnie w dupę! – krzyknęła Pepper, wściekle pocierając wilgotne oczy, przez co tusz do rzęs rozmazał się jej na całe policzki.

Pepper klęła jak szewc, nakładała za dużo makijażu, włosy miała pofarbowane na dziwkarską czerwień i tak krótkie, jak wysokie były jej szpilki, ale była naprawdę słodką dziewczyną, która radziła sobie z ludźmi. Stali klienci ją uwielbiali.

Poza tym to była Dzielnica Francuska. Gdybym chciała mieć hostessę wyglądającą jak bezpłciowa zakonnica, musiałabym sama obsadzać stoliki.

Chwyciłam Pepper za ramię i poprowadziłam na tył kuchni, w pobliże chłodni. Ostatnim, czego chciałam, to żeby moi klienci dostali próbkę ostrych słów Pepper jako dodatek do gumbo.

Podałam Pepper chusteczkę.

– Co się dzieje?

Pepper otarła oczy i dramatycznie pociągnęła nosem.

– Ten mężczyzna, który właśnie wszedł…

Poczułam uścisk w żołądku.

– Pan Boudreaux?

Przytaknęła, po czym rozpoczęła wściekłą tyradę:

– Powiedział, że chce stolik, więc oznajmiłam mu, że mamy komplet, a on zapytał, co to, u diabła, ma znaczyć, no to próbowałam uprzejmie wytłumaczyć, że nie mamy żadnego wolnego stolika, a on zaczął jeszcze bardziej zadzierać nosa i powiedział: „Nie wiesz, kim jestem!” i zażądał, żebym znalazła dla niego stolik, a ja powiedziałam, że właśnie mówiłam panu, że nie mamy wolnych stolików, a lista oczekujących jest długa na kilometr, ale on mi przerwał i powiedział, bardzo złośliwie, szczekając jak wściekły kundel, że jego nazwisko znajduje się we wszystkich pozycjach naszego menu i jeśli nie zorganizuję mu stolika, to zadba o to, żeby nasza nazwa ukazała się we wszystkich gazetach i to nie w dobrym kontekście, bo on zna wszystkich z prasy! Czyli najzwyczajniej mi

groził, a kiedy zrobiłam zmartwioną minę, warknął, że mam przestać się mazgaić! Mazgaić się! Zrobił ze mnie beksę!

Pepper zakończyła wywód, tupiąc swoim wysokim obcasem.

Ścisnęłam nasadę nosa i westchnęłam. Czyli pan Boudreaux jednak nie miał rezerwacji. A zaufanie Pepper, że zrobi, co w jej mocy, nie zadziałało dokładnie tak, jak chciałam.

– W porządku, Pepper, pierwsza sprawa: uspokój się. Weź głęboki oddech.

Zrobiła to niechętnie.

– Dobrze. A teraz wróć tam i powiedz mu, tylko uprzejmie, proszę, że właścicielka przyjdzie porozmawiać z nim za kilka minut. Potem zaprowadź go do baru i powiedz Gilly'emu, żeby podał mu drinka. Na koszt firmy.

– Ale…

– Pepper – przerwałam jej stanowczym tonem. – To jest Jackson Boudreaux. Ten facet mógłby kupić całe to miasto sto razy i bez wątpienia ma powiązania ze wszystkimi szpanerami, a to oznacza, że jeśli poczuje się źle potraktowany, każdy z nich o tym usłyszy, a to nie będzie dobre dla restauracji. Przykro mi, że nie był dla ciebie miły, ale musisz nauczyć się, jak radzić sobie z takimi typkami, żebyś sama wyszła z twarzą.

Uśmiechnęłam się, żeby złagodzić swoje słowa i ścisnęłam ramię Pepper.

– I pamiętaj, że największy łobuz w środku jest tylko wielkim dzieciakiem. Więc wyobraź go sobie w pieluszce, ze smoczkiem w buzi, i nie daj się onieśmielić.

Pepper skinęła głową i znowu pociągnęła nosem.

– Wołałabym wyobrazić sobie, jak ktoś wpycha mu w tyłek wiadro raków, w miejsce tego kija, który już tam ma.

Głośny rechot z przodu kuchni należał do Eeny.

– Urocze, Pepper – powiedziałam oschle. – A teraz idź.

Ostatni raz pociągnęła nosem i wymaszerowała z kuchni.

***

Dopiero po dziesięciu minutach mogłam wygospodarować chwilę, żeby opuścić kuchnię. Kiedy przeszłam przez metalowe drzwi, zobaczyłam, że Pepper wykonała moje polecenie.

Jackson Boudreaux stał przy końcu baru i zerkał na swojego drinka, jakby ten chamsko ubliżył jego matce. Mimo że pozostała cześć baru była zatłoczona, wokół niego pozostawało przynajmniej półtora metra wolnej przestrzeni, jakby sama jego obecność działała odpychająco.

A może śmierdzi?

Zważywszy na jego wygląd, istniała taka możliwość. Czarna, skórzana kurtka, którą miał na sobie, była tak pognieciona i poszarpana, że mogła pochodzić z innego stulecia. Gęsty zarost na twarzy wskazywał na to, że nie golił się nawet w przybliżeniu regularnie, a jego włosy – tak ciemne, jak mroczny był wyraz jego twarzy – zawijały się nad kołnierzykiem i opadały na czoło, sugerując, że nie widziały nożyczek od lat.

Nic dziwnego, że Eeny nazwała go wilkołakiem. Facet miał wygląd dzikiego, niebezpiecznego stworzenia, na które można by się natknąć podczas przechadzki po lesie o północy.

Podniósł wzrok i przyłapał mnie na gapieniu. Odczułam wagę jego spojrzenia przez całą szerokość sali, jego nagłą, niespodziewaną siłę, zupełnie jakby wyciągnął rękę i chwycił mnie za szyję.

Oddech uwiązł mi w gardle. Musiałam się powstrzymać, żeby nie zrobić kroku w tył. Zmusiłam się do uśmiechu, a potem do ruszenia naprzód, chociaż wszystkie moje instynkty krzyczały, żebym się odwróciła i poszukała fiolki z wodą święconą oraz broni naładowanej srebrnymi pociskami.

Zatrzymywałam się często, żeby uścisnąć ręce stałym klientom i się przywitać, więc minęło kolejne kilka minut, zanim dotarłam do baru. Kiedy wreszcie stanęłam przed moim celem, z przerażeniem stwierdziłam, że wyraz jego twarzy zmienił się z odrobinę nieprzystępnego w otwarcie morderczy.

Pierwszym, co Jackson Boudreaux do mnie powiedział, było:

– Nie lubię, kiedy ktoś każe mi czekać.

Oho, czyżby Bestia miał piękny głos?

Głęboki i bogaty, jedwabisty, ale z lekkim pomrukiem, stał w zupełnej sprzeczności z jego niechlujnym wyglądem. Emanował pewnością siebie, władczością i surową seksualnością. To głos mężczyzny, który jest pewny swojego miejsca na świecie – głos przyzwyczajony do wydawania rozkazów zarówno pracownikom, jak i kobietom, które znajdowały się pod nim w łóżku.

Poczułam, że fala gorąca rozlewa się po mojej szyi. Nie byłam pewna, czy to z powodu irytacji, tego głosu czy rozpraszających, stalowo błękitnych oczu, które właśnie wypalały w mojej głowie dwie dziury.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, warknął do mnie:

– Pani hostessa jest niekompetentna. Muzyka jest zbyt głośna. A pani menu jest pretensjonalne. Romeo i Julep? Ostatni Mojitanin? Okropne. Gdybym sugerował się pierwszym wrażeniem, uznałbym, że jedzenie też macie okropne.

Rumieniec z szyi przeniósł się na policzki. Moje usta zdecydowały się odpowiedzieć, zanim ja to zrobiłam.

– A gdybym ja sugerowała się pierwszym wrażeniem, uznałabym, że jesteś jednym z tych bezdomnych żebraków, którzy nękają turystów na bulwarze, i wyrzuciłabym cię z restauracji.

Nozdrza mu zadrgały i wbił we mnie spojrzenie.

To by było na tyle, jeśli chodzi o wyjście z twarzą.

Żeby ukryć zażenowanie, wyciągnęłam rękę i się przedstawiłam.

– Bianca Hardwick. Miło pana poznać, panie Boudreaux.

Nastąpił okropny, długi moment, kiedy sądziłam, że zacznie wrzeszczeć, ale po prostu ujął moją dłoń i potrząsnął.

– Panno Hardwick. Miło mi panią poznać.

Jak formalnie. Czyli jednak nie urodził się w stodole.

– Proszę mówić do mnie Bianca. Przepraszam za zwłokę.

Jackson puścił moją dłoń i w tym momencie zniknęła jego uprzejmość.

– Gdybym chciał nazywać panią po imieniu, zrobiłbym to. Gdzie mój stolik?

Spojrzał na mnie ze wściekłością, jego dłoń była tak ciasno owinięta wokół szklanki, że pobielały mu knykcie.

Pepper miała sporo racji. Jestem jej winna przeprosiny.

Zwalczyłam chęć kopnięcia Jacksona w goleń, zamiast tego obdarzyłam go moim najsłodszym uśmiechem ślicznotki z Południa. Nie zamierzałam dać się onieśmielić ani zastraszyć, a tym bardziej stracić opanowania przez tego aroganckiego gnojka.

– Och, na pewno gdzieś tutaj jest. – Specjalnie nonszalancko machnęłam ręką w powietrzu, bo wiedziałam, że to go zirytuje. – Kiedy tylko stolik się zwolni, wciśniemy pana na jakieś miejsce. Miło, że pan wpadł. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę wracać do…

– Panno Hardwick – syknął, podchodząc bliżej, żeby nade mną górować. – Gdzie. Jest. Mój. Stolik?

Czułam mnóstwo spojrzeń zwróconych w naszym kierunku. Kątem oka zobaczyłam barmana Gilly'ego – którego traktowałam prawie jak brata – z twarzą czerwoną ze wściekłości przez to, jak zostałam potraktowana. I czy to moja wyobraźnia, czy w restauracji znowu zrobiło się cicho?

Jedną rzecz zdecydowanie wyobraziłam sobie niewłaściwie. Jackson Boudreaux nie śmierdział. Ani trochę. Stojąc tak blisko, wyłapałam jego zapach, przepyszny powiew egzotycznego piżma i ciepłej, czystej skóry. Byłby niezwykle seksowny na każdym innym człowieku.

Ale to nie był nikt inny. To Książę Dupków, dziedzic międzynarodowej dynastii whiskey, pozbawiony potrzeby golenia się, strzyżenia, nakładania nowych ubrań oraz, jak się wydaje, poszanowania dla ludzkiej rasy.

Pieluszka! Wyobraź go sobie w pieluszce, ze smoczkiem w tych wielkich, tłustych ustach!

Uniosłam podbródek i spojrzałam mu w oczy. Powiedziałam spokojnie:

– Może i racja, że muzyka jest zbyt głośna. To musiało wpłynąć na pana słuch, bo właśnie powiedziałam, że dostanie pan stolik, kiedy tylko jakiś będzie wolny. A może mam kogoś wyrzucić? Może tę miłą, starszą parę przy pianinie? Wyglądają na takich, którzy mniej zasługują na posiłek niż pan, prawda?

Zacisnął wargi. Mięsień w jego szczęce drgnął. Powoli wciągnął powietrze przez nos.

Zastanawiałam się, czy powstrzymywał się przed roztrzaskaniem szklanki o ścianę. Serce waliło mi jak oszalałe, ale stałam w miejscu i nawet nie mrugnęłam.

W końcu przeczesał dłonią swoją rozwichrzoną czuprynę i wypuścił powietrze. Wyraźnie dało się słyszeć rozdrażnienie, które pokazywało, co myślał o wchodzeniu w interakcje z pospólstwem.

Zwłaszcza takim, które ośmielało się pyskować.

– Jak długo? – warknął.

W tym momencie mój uśmiech umarł bolesną śmiercią.

– Doprowadził pan moją hostessę do łez. Jak pan sądzi, na jak długie czekanie zasługuje pan po takim zachowaniu?

Odpowiedział mi przez zaciśnięte zęby:

– Nie jestem człowiekiem, z którym można sobie pogrywać, panno Hardwick. Jak już powiedziałem pani rozhisteryzowanej hostessie, znam wszystkich znaczących krytyków kulinarnych…

Prychnęłam.

– Ależ z nich szczęściarze!

– …i skoro moje nazwisko pojawia się przy większości dań w pani menu, spodziewałem się, że będzie pani bardziej uprzejma…

– Technicznie rzecz biorąc, Boudreaux to nazwisko pana rodziny, zgadza się?

– …ponieważ leży w moim interesie, żeby wszystko, na czym jest moje nazwisko…

– Przepraszam, w jaki sposób moje menu nagle stało się pana własnością?

– …i jeśli pani jedzenie jest tak złe jak wszystko inne, czego do tej pory doświadczyłem, w tym pani podejście, nie zawaham się porozmawiać z moimi kontaktami biznesowymi, a także z prawnikami, o tym naruszeniu znaku firmowego mojej rodziny.

Szczęka mi opadła. Wpatrywałam się w niego z przerażeniem.

– Grozi mi pan pozwem? Nie może pan mówić poważnie!

W odpowiedzi spojrzał na mnie ze zmrużonymi powiekami. Z jego piersi wydobył się niski, niebezpieczny warkot.

O nie. Nie, to niemożliwe, żeby on właśnie próbował mnie przerazić tym zwierzęcym odgłosem.

Pokonałam ostatni dzielący nas krok, spojrzałam prosto w te zimne, niebieskie oczy i powiedziałam:

– Nie obchodzi mnie, kim pan jest, panie Boudreaux, ani jak bardzo może pan zaszkodzić mojej opinii, ani tym bardziej jak wielu przepłacanych prawników pan posiada. Pana maniery są okropne. Jeśli warknie pan na mnie raz jeszcze, naprawdę pana wyrzucę.

Odsunęłam się i odpowiedziałam na jego palące spojrzenie moim własnym.

– Dostanie pan następny wolny stolik. W międzyczasie proszę wypić kolejnego drinka na mój koszt. Może alkohol zmieni pana z powrotem w istotę ludzką.

Kipiąc ze złości, odwróciłam się i odeszłam, przekonana, że Jackson Boudreaux to najbardziej arogancki, nadęty i wybuchowy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek miałam nieszczęście poznać. Jedyne, co mogłabym do niego poczuć, to odraza.

Jak miało się okazać, w tej kwestii również się myliłam.

DWA

BIANCA

Jackson siedział w restauracji cztery godziny i spróbował każdego cholernego dania z menu, w tym aż dwóch porcji placka z jeżynami i burbonem na deser.

Jadł w taki sam sposób, w jaki mówił. Mechanicznie, jakby nie czerpał z tego żadnej przyjemności, jakby to była irytująca niedogodność, jeszcze jedna rzecz, którą należy przetrwać w tym długim, nieprzyjemnym dniu. Nadal rozdrażniona naszą interakcją, obserwowałam z kuchni, jak siedział sam i patrzył wilkiem na każdy kolejny talerz. Wzrok miał spuszczony i ignorował wszystkie zaciekawione spojrzenia rzucane w jego kierunku.

Eeny zatrzymała się obok mnie, podążyła za moim spojrzeniem i stwierdziła:

– Ten chłopak chyba nie jadł przez rok!

Odchrząknęłam gorzko.

– Pochłaniał tylko dusze tych, którzy nie spełnili jego oczekiwań.

Zachichotała.

– Widzę, że LaDonna Quinn chciałaby dać mu coś innego do skosztowania zamiast twoich ostrych żeberek. O Panie, ta sukienka, którą założyła, jest tak ciasna, że prawie można dostrzec jej życie wewnętrzne.

Już trzeci raz świeżo rozwiedziona brunetka przeszła dumnie obok stolika Jacksona. Kołysała biodrami, bawiła się włosami i trzepotała rzęsami. Jednak gdyby patrzeć na uwagę, którą jej poświęcił, mogłaby równie dobrze być niewidzialna.

– Ooo… a oto zbliża się Marybeth Lee ze swoimi walorami! – oznajmiła radośnie Eeny, wskazując na seksbombę Marybeth, nadzwyczajną łamaczkę męskich serc, za której złotymi lokami

i figurą w kształcie klepsydry oglądają się wszyscy mężczyźni bez wyjątku. Wyszła z damskiej toalety i nadłożyła drogi do swojego stolika, by przejść obok Jacksona z uwodzicielskim uśmieszkiem skierowanym wprost na niego.

Posłał jej miażdżące spojrzenie i wrócił do jedzenia.

Zamyśliłam się.

– Może jest gejem. Nigdy nie widziałam faceta odpornego na podwójne D Marybeth.

Eeny zarechotała.

– Zważywszy na to, jak jego wzrok przykleił się do twojego tyłu, kiedy odmaszerowałaś od baru, powiedziałabym, że ten chłopak zdecydowanie nie jest gejem.

Sapnęłam przerażona.

– Patrzył na mój tyłek?

Eeny zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół, unosząc brwi.

– A co, musisz przedstawić faceta mamusi, zanim dane mu będzie rzucić okiem na twój zadek?

Warknęłam.

– Nie, to nie… on tylko… co za kretyn!

Kiedy ktoś mówił bez sensu, Eeny mrużyła jedno oko i patrzyła z ukosa. Teraz właśnie tak na mnie spoglądała, krzyżując ramiona na piersi.

– Nie mów, że nie uważasz go za przystojniaka.

Skrzywiłam się.

– Przystojniaka? A skąd mogę wiedzieć? Nie da się nic zobaczyć przez te rogi i rozwidlony język!

Eeny zacisnęła usta.

– Mm-hmm.

– Nie masz przypadkiem czegoś do roboty, Eeny? – powiedziałam rozdrażniona kierunkiem, w jakim zmierzała ta rozmowa.

Wzruszyła ramionami.

– Mówię tylko, że skoro LaDonna i ta plotkara Marybeth poświęcają tyle czasu, żeby zwrócić jego uwagę na swoje lafiryndziarskie tyłki, to nie dlatego, że jest brzydki.

– Nie, chodzi o to, że jest obrzydliwie bogaty. A poza tym, sama nazwałaś go wilkołakiem. Ty też nie uważasz go za przystojniaka!

Zagdakała jak kura.

– Och, skarbie, sądzę, że cały ten czas, który spędziłaś bez faceta, sprawił, że stałaś się ślepa.

Z drugiego końca kuchni usłyszałam śmiech Hoyta.

Spojrzałam w sufit i westchnęłam.

– Panie, dlaczego ja w ogóle zatrudniam tych ludzi?

Hoyt znowu zarechotał.

– Domyślam się, że to jedno z tych retorycznych pytań, bo wszyscy dobrze wiemy, że nie miałabyś w menu ani jednego jadalnego deseru, gdyby nie ja…

– Och, wypchaj się ciastem i wracaj do roboty, Hoyt! – zarządziła Eeny, opierając rękę na swoim okazałym biodrze. – Przysięgam, że jeśli będę musiała znowu słuchać o twoich ponadprzeciętnych umiejętnościach radzenia sobie z ciastem, padnę i umrę!

Hoyt, zakochany w Eeny od bez mała sześćdziesięciu lat i odrzucany równie długo, posłał jej leniwy uśmieszek i puścił oko.

– No, daj spokój, maleńka. Oboje dobrze wiemy, że to nie moje zdolności ugniatania sprawiają, że miękną ci kolana.

– Jasne – powiedziała Eeny, wywracając oczami. – Jesteś staruchem cierpiącym na urojenia.

Hoyt uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– A ty, pszczółeczko, jesteś pyskatą, małą jeżynką. Chodź tutaj i daj staremu Hoytowi buziaka.

– Pff. Lepiej nie czekaj z zapartym tchem – odparła Eeny, potrząsając głową.

Wtedy Pepper wparowała do kuchni bez tchu.

– Bianca! Prosi, żebyś do niego podeszła!

Żołądek mi się wywrócił. Nie musiałam pytać, o kogo chodziło.

Zerknęłam na stolik Jacksona Boudreaux, spodziewając się zobaczyć, jak dusi jednego z pomocników kelnera, ale on po prostu siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersi, sztyletując wzrokiem otoczenie.

Ten facet nadawał zupełnie nowe znaczenie wyrażeniu *wredny wyraz twarzy*. Wyglądał, jakby jego twarz stanęła w płomieniach, a ktoś próbował wydłubać ją widelcem.

– Czego on chce? Czy Marlene już przyniosła mu rachunek? – zapytałam.

– Tak! A wtedy mnie zawołał i dał to! – Pepper triumfalnie uniosła banknot studolarowy. – A kiedy zapytałam, za co to, powiedział niby mimochodem: „Nie lubię patrzeć, jak kobieta płacze". Wyobrażasz sobie? – Zachichotała radośnie. – Gdybym wiedziała, że dostanę stówę napiwku, jeśli się rozpłaczę, ryczałabym jak bóbr do każdego klienta od pierwszego dnia!

Zacisnęłam zęby. Ale ma tupet, próbując przekupić Pepper za to, że był nieznośnym gnojkiem!

Niestety działało.

Jednak *ja* nie zamierzałam pozwolić mu szastać pieniędzmi na prawo i lewo, żeby mógł zamaskować swoje okropne zachowanie. Może i nie byłam tak bogata jak on, ale miałam swoją dumę. Nikt mnie nie kupi. Jego majątek nie robił na mnie żadnego wrażenia.

W zasadzie, mógł wziąć te swoje pieniądze i wsadzić je sobie w tyłek, razem z wiadrem raków od Pepper!

– Eeny – powiedziałam stanowczo, wskazując na placek, który układałam na talerzu – upewnij się, że to trafi na stolik numer sześć. Wracam za chwilę.

– Oho – powiedziała, uważnie obserwując mój wyraz twarzy. – Niech ktoś przyniesie gaśnicę. Coś czuję, że biedny pan Boudreaux zaraz stanie w płomieniach.

– To moja pupa jest biedna – mruknęłam i wyszłam przez kuchenne drzwi.

Pokonałam najkrótszą drogę do jego stolika, zatrzymałam się obok i nawet się nie uśmiechnęłam, kiedy na mnie spojrzał. Chłodna jak góra lodowa, powiedziałam:

– Chciał mnie pan widzieć?

Zachowałabym się profesjonalnie, ale nie zamierzałam całować jego aroganckiego tyłka, nawet jeśli mógł mnie pozwać albo załatwić złe recenzje. Nie lubiłam, kiedy ktoś okazywał mi brak szacunku i patrzył na mnie z góry, a jeszcze mniej lubiłam, kiedy ktoś mi groził. Gdyby był uprzejmy, ten wieczór potoczyłby się zupełnie inaczej, ale jest, jak jest.

Wpatrywaliśmy się w siebie z otwartą wrogością.

Żadne się nie odezwało. Chwila przeciągała się tak, że w końcu stała się niezręczna, a potem nie do zniesienia. Patrzenie mu w oczy przypominało fizyczny atak.

W końcu to on przerwał tę okropną ciszę.

– Na moim rachunku jest błąd.

– Nie, wszystko z nim w porządku.

Jego brwi, gęste i czarne, pilnie potrzebujące depilacji, powędrowały w górę.

– Musi zawierać błąd. Nie mam nic do zapłacenia.

– Zgadza się.

Jego zimne, niebieskie oczy paliły mnie spojrzeniem.

– Siedziałem tu i jadłem przez kilka godzin…

– Proszę mi uwierzyć, jestem całkowicie świadoma tego, jak długo pan tu był i ile zjadł.

Rozparł się na skórzanym siedzeniu, ułożył dłonie na blacie stołu i przyjrzał mi się tak, jakby był naukowcem, który ogląda drobnoustroje pod mikroskopem. To było okropne, ale nie dałam po sobie poznać, jak bardzo mnie poruszyło.

Zastanawiałam się, czy ten podskakujący mięsień na jego szczęce to znak zbliżającej się morderczej furii.

A potem miał czelność powiedzieć głosem wręcz ociekającym protekcjonalizmem:

– Moja opinia o pani i tej restauracji nie może zostać poprawiona dzięki darmowemu posiłkowi, panno Hardwick.

Słodki Jezu, miałam ochotę podnieść nóż do steków, który leżał przy jego talerzu, i wbić mu go w oko.

Zamiast tego powiedziałam:

– Nie interesuje mnie pana opinia, panie Boudreaux. Pana posiłek jest na koszt firmy, ponieważ uwielbiam whiskey produkowaną przez pana rodzinę i zainspirowała mnie ona do stworzenia tego menu, z którego jestem wyjątkowo dumna i które uszczęśliwiło wielu ludzi. Zaoferowałabym panu darmowy posiłek, nawet gdyby nie zachowywał się pan tak, jakby słońce wstawało tylko po to, żeby ujrzeć pana twarz.

Po raz pierwszy zobaczyłam w jego oczach coś innego niż stal. Trwało to zaledwie chwilę – przebłysk emocji, który rozgrzał jego

spojrzenie, ale szybko zniknął.

– Nalegam, żeby zapłacić… – oznajmił sztywno.

– Nie przyjmę pana pieniędzy.

Jego policzki zaróżowiły się delikatnie. Przypuszczam, że nie nawykł do słowa *nie*. Dało mi to niesamowitą satysfakcję, mimo że właśnie straciłam czterysta dolarów w jedzeniu, a nie mogłam sobie na to pozwolić.

Wtedy wstał. Zrobił to gwałtownie i niezwykle gładko jak na tak wielkiego mężczyznę – jeden błyskawiczny wyprost kończyn i już był na nogach, górując nade mną.

Znowu.

Spojrzałam w górę na niego i przełknęłam. Nie odczuwałam strachu, ale zdecydowanie wytrącał mnie z równowagi. I, jasna *cholera*, czemu ten zrzędliwy, paskudny skurczybyk musiał pachnieć tak dobrze? Gdybym nie była pewna, że ślinka napływa mi do ust z powodu roznoszącej się w powietrzu woni zaprawionej burbonem zupy, mogłabym pomyśleć, że to przez niego.

– Panno Hardwick – powiedział. Jego głos stał się nieco ostrzejszy, a oczy zapłonęły niebieskim ogniem. – Zachowuje. Się. Pani. Niedorzecznie.

Ależ on lubił odznaczać każde słowo jak uderzeniem młotka! Zaśmiałam się niekontrolowanie.

– A pan, panie Boudreaux, jest dowodem na to, że pula genów powinna znaleźć się pod ścisłą kontrolą. Życzę miłego wieczoru.

Po raz drugi tego dnia odwróciłam się plecami do Jacksona Boudreaux i odeszłam. Jednak tym razem byłam boleśnie świadoma, że mógł gapić się na mój tyłek.

Serdeczne dzięki, Eeny.

TRZY

JACKSON

Rayford już czekał przy krawężniku z otwartymi drzwiami, kiedy wyszedłem z restauracji. Dobrze, że tak zrobił, bo w obecnym nastroju mógłbym wyrwać te pieprzone drzwi z zawiasów.

Kipiąc ze złości, wsiadłem na tylne siedzenie bentleya. Rayford bez słowa zamknął za mną drzwi. Kiedy odpalił samochód i odjechaliśmy, nie mogłem stwierdzić, czy bardziej czułem ulgę, czy zawód.

Nigdy w życiu nie spotkałem tak irytującej kobiety. Te usta! To podejście!

Ten niesamowity tyłek w kształcie serca.

Zacisnąłem zęby i zapatrzyłem się w deszczową noc. Od dawna już nie pragnąłem kobiety. Cricket o to zadbała. Od tamtej katastrofy jedyne, co widziałem, kiedy patrzyła na mnie kobieta, to znaczki dolara w jej oczach.

Ale ta petarda, Bianca Hardwick… *Chryste*. Nie byłem pewien, czy chciałem pocałować te cwane usta, czy wcisnąć w nie knebel.

– Jak panu smakowało jedzenie, sir? – zapytał Rayford, zerkając na mnie w lusterku wstecznym.

Nadal gotując się ze złości, warknąłem:

– Znośne.

Dobrze znał moje nastroje i wiedział, że to najwyższa ocena, jaką kiedykolwiek dałem, więc skinął głową.

– Jej mama też była świetną kucharką. Restauracja Daviny działała przez jakieś dwadzieścia lat, zanim huragan Katrina zmiótł ją z powierzchni ziemi. – Zaśmiał się. – Kiedyś często tam jadałem. Zaglądałem tam za każdym razem, kiedy odwiedzałem młodszego brata. Nigdy nie zapomniałem, jak smakowała jambalaya Daviny.

Jakbym skosztował raju. I nie tylko jedzenie sprawiało, że tam wracałem. Pani Davina Hardwick była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Nawet bez makijażu, z ciemnymi włosami zwiniętymi w sztywny kok, w ohydnych chodakach, poplamionym fartuchu i aseksualnym, białym ubraniu kucharza zakrywającym ją od stóp do głów, Bianca Hardwick była olśniewająca. Błyszczące, czarne oczy, lśniąca, brązowa skóra i zaciekła pewność siebie sprawiały, że wyglądała jak sobowtór młodej Halle Berry.

Młodej, irytującej Halle Berry.

Przeczesałem włosy palcami i westchnąłem.

To nie była wyłącznie jej wina, że byłem taki wściekły. Przyszedłem już rozzłoszczony. Mój osobisty szef kuchni – czwarty w ciągu ostatnich sześciu miesięcy – odszedł obrażony po tym, jak powiedziałem, że jajka na śniadanie były płynne. Za dwa tygodnie miałem być gospodarzem imprezy charytatywnej na trzysta osób i musiałem spróbować znaleźć catering, skoro nie miałem szefa kuchni, a bezużyteczna matka-ćpunka Cody'ego właśnie trafiła do więzienia za posiadanie.

Znowu.

Ale wisienką na torcie był telefon od mojego ojca. Dokładnie taki sam, którym raczył mnie co tydzień od czterech lat.

Kiedy wracasz do Kentucky? Kiedy skończysz z tymi głupotami i przyjmiesz na siebie swoje obowiązki? Burbon Boudreaux nie miało głównego gorzelnika spoza rodziny od ponad dwustu lat! Łamiesz matce serce!

I tak w kółko, aż mi więdły uszy. Jednak nie miało znaczenia, ile błagał. Nie zamierzałem nigdy wracać.

Powrót do Kentucky oznaczałby powrót do tego świata przywilejów i władzy, z którym nie chciałem mieć nic wspólnego. To gniazdo żmij pełne dystyngowanych, dobrze wychowanych ludzi, którzy uśmiechali się i ściskali ci ręce, ale zaczynali ostrzyć noże w chwili, gdy odwracałeś się plecami. W moim kręgu społecznym nie było ani jednej osoby, włącznie z moimi rodzicami, której mógłbym zaufać.

Pieniądze sprawiają, że ludzie stają się chciwi. Dużo pieniędzy sprawia, że stają się bezwzględni. Przekonałem się o tym w najgorszy sposób.

Kłamcy, intryganci i żmije, oni wszyscy. W Nowym Orleanie było bezpieczniej. Nie musiałem odpierać ataków tylu ściemniaczy, próbujących zaprzyjaźnić się ze mną tylko po to, żeby dobrać się do mojego konta bankowego.

Bianca Hardwick zdecydowanie nie zamierzała się ze mną zaprzyjaźniać. A patrząc na darmową kolację, na pewno nie interesowała się moim kontem w banku. Wydawało się, że jedyne, czym się przejmowała, to znieważenie mnie.

Jest pan dowodem na to, że pula genów powinna znaleźć się pod ścisłą kontrolą.

Pyskata, cholerna baba. Nikt *nigdy* nie mówił do mnie w ten sposób.

Moje usta robiły coś dziwnego. Chwilę zajęło mi zdanie sobie sprawy, że kąciki wyginają się w górę, a kolejną przypomnienie sobie, że to oznaczało uśmiech.

– Dobrze się pan czuje, sir? – zapytał Rayford, obserwując mnie z niepokojem we wstecznym lusterku.

– Oczywiście. A co?

– Wygląda pan trochę zabawnie. Może panu niedobrze?

Kiedy się skrzywiłem, Rayford wyglądał, jakby mu ulżyło.

Ależ to kurewsko przygnębiające. Lepiej, żebym nigdy więcej nie myślał o pyskatych ustach i idealnym tyłku Bianki Hardwick, bo Rayford mógłby pomyśleć, że umieram.

CZTERY

BIANCA

Ktokolwiek wymyślił powiedzenie *sen dla urody*, z pewnością nigdy nie widział mnie o poranku.

– Cholera, dziewczyno – powiedziałam do swojego wynędzniałego odbicia w łazienkowym lustrze. – To nie worki pod oczami, to komplet walizek.

Opryskałam twarz zimną wodą, przycisnęłam mokrą myjkę do powiek i przytrzymałam przez minutę – bez efektu. Kiedy otworzyłam oczy, wyglądałam równie źle jak wcześniej.

Tak się kończy siedzenie do wczesnych godzin porannych nad nowym menu.

Ale jeśli Jackson Boudreaux mówił poważnie i naprawdę groził mi pozwem, musiałam wszystko ulepszyć, i to szybko. Jednak przypuszczam, że i tak będę musiała zatrudnić prawnika.

Zadufany skurczygnat z kijem w tyłku.

Ten krótki sen, którego zaznałam, przepełniały koszmary o tym, że byłam przeganiana z restauracji przez watahę wilków, dowodzoną przez wyjątkowo wielkiego i okrutnego osobnika z ostrymi kłami. Warczał zaciekle, jego czarne futro było zjeżone, kiedy deptał mi po piętach. Obudziłam się z galopującym sercem i pościelą mokrą od potu. A teraz wyglądałam, jakbym została przeżuta i wypluta przez rozdrażnionego aligatora.

Spięłam włosy w kok, nałożyłam żel na wszystkie odstające kosmyki, które rozpoczęły strajk na całej mojej głowie. Potem wyszorowałam zęby i ubrałam się, nie zawracając sobie głowy makijażem. Nie istniał na świecie taki korektor, który zakryłby moje dzisiejsze worki pod oczami, a poza tym nigdy nie opanowałam sztuki poprawnego nakładania tuszu do rzęs. Ani pomadki, jeśli o to

chodzi. Ostatnio nałożyłam ją na Boże Narodzenie i zanim skończyła się msza w kościele, miałam ją rozsmarowaną na całych zębach. Wyglądałam, jakbym zjadła pudełko czerwonych kredek.

Dlatego też bez żadnego makijażu stanęłam na progu domu mojej matki, by sprawdzić, co u niej, zanim udam się do restauracji, jak każdego ranka. Rzuciła mi krótkie spojrzenie i uniosła brwi.

– Cóż – powiedziała. – Wiem, że nie wyglądasz na tak wymęczoną z powodu mężczyzny, *chère*, więc wejdź i opowiedz mi wszystko.

– W zasadzie tym razem to przez mężczyznę.

Uścisnęłam matkę i przeszłam obok niej do pięknego pokoju dziennego w jej domu. Pachniało tam kwiatami ustawionymi w wazonach i jej perfumami Shalimar, a w tle, z głośników ukrytych w ścianach, sączył się niski, gardłowy głos Elli Fitzgerald. Była to mała oaza elegancji i stylu pośród delikatnego rozkładu Tremé.

Najstarsza dzielnica afroamerykańska w Stanach Zjednoczonych, Tremé, była muzycznym sercem Nowego Orleanu już od osiemnastego wieku, kiedy niewolnikom pozwalano gromadzić się w niedziele na Congo Square, żeby tańczyć i grać muzykę. Tutaj wynaleziono jazz. Ruch obrony praw człowieka właśnie tutaj zaczął swoją działalność. Mamy orkiestry dęte, niesamowitą kuchnię, muzeum historii kultury, więcej festiwali niż dni tygodnia i bogactwo ważnych historycznie miejsc i zakątków.

Jednak nie było dobrym pomysłem, żeby turyści wałęsali się tutaj po zmroku. Narkotyki są problemem, a pracy nie starcza dla każdego. Wszystkie te pozabijane deskami domy, które zostały opuszczone po powodzi, wciąż stoją, kwitnąc toksyczną, czarną pleśnią i są codziennym przypomnieniem katastrofy spowodowanej przez huragan Katrina.

Życie w Tremé może być dobre, ale nigdy nie było łatwe.

Na wspomnienie o mężczyźnie, moją matkę ogarnęła ekscytacja.

– Niech no nałożę okulary, żebym cię lepiej słyszała!

Często mówiła takie bezsensowne rzeczy. Taki już jej urok. To i jej wyjątkowa gościnność.

Nasunęła okulary na nos i zerknęła przez nie prosto na mnie. Zawieszone na srebrnym łańcuszku, który nosiła na szyi, były jedynym świadectwem tego, że się starzała.

– To długa historia, mamo – powiedziałam z westchnieniem. – I nie warto jej opowiadać.

Skrzywiła się. Jej duże, brązowe oczy wydawały się jeszcze większe przez szkiełka okularów.

– Żadnych pikantnych kąsków?

– Ani jednego.

Od razu straciła zainteresowanie, zdjęła budzące grozę okulary i pozwoliła im ponownie zawisnąć na łańcuszku.

– Jadłaś śniadanie, *chère*?

Wzruszyłam ramionami.

– Wypiłam kawę i łyknęłam aspirynę.

– To nie jest śniadanie, głupiutkie dziecko! – zrugała mnie. – Przyciągnij tu swój chudy zadek i zjedz coś!

Odwróciła się i ruszyła do kuchni w chmurze perfum i matczynego rozczarowania, a kiedy szła, powłóczysta, fioletowa spódnica falowała wokół jej kostek. Nawet na boso, nadal miała gracje królowej piękności i posuwisty krok, mimo swoich sześćdziesięciu czterech lat.

Przepraszam. Trzydziestu dziewięciu. Przez sekundę zapomniałam, w którym roku przestała się starzeć.

– Zrobiłam kapustę pastewną, krewetki i kaszę kukurydzianą oraz jajka Cajun po benedyktyńsku – zawołała przez ramię. – A na gazie dusi się zupa z okry i moja słynna jambalaya, na później.

To sporo jedzenia jak na mieszkającą samotnie kobietę, ale przez dom mojej matki przewijał się codziennie tłum gości, od drugiego śniadania aż do popołudnia, a czasem i dłużej. Nic nie sprawiało jej większej przyjemności niż odwiedziny. Albo *brylowanie w towarzystwie*, jak lubiłam to nazywać.

A mówiąc o gościach…

– Dzień dobry, Pułkowniku! – zawołałam w stronę zamkniętych drzwi sypialni mojej matki.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem stłumiona odpowiedź.

– Dzień dobry, skarbie!

Istniał tylko jeden powód, dla którego drzwi sypialni matki były zamknięte rano, i był nim właśnie Pułkownik. Starając się nie wyobrażać sobie, co tam się działo, uśmiechnęłam się.

– Daj mu spokój, Bianco – powiedziała moja matka z kuchni. – Chodź już, przygotowuję ci talerz.

Wkroczyłam do kuchni, rzuciłam plecak na podłogę, obok kwadratowego, drewnianego stołu, przy którym jako dziecko jadłam każdy posiłek, usiadłam i przypatrywałam się, jak matka nakładała jedzenie na mój talerz: łyżka z jednego garnka, chochelka z drugiego. Czuła się bardziej na miejscu przy kuchence niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie.

– Znowu tu nocował? – zapytałam. – Czy między wami jest coś poważnego?

Moja matka spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się. Jej oczy zabłyszczały figlarnie.

– Żaden mężczyzna nie mógł nigdy równać się z twoim ojcem, *chère*, świeć Panie nad jego duszą, ale to nie znaczy, że nie pozwolę im próbować.

– Uch. To przygnębiające, że u ciebie dzieje się więcej niż u mnie. Już czuję, jak tworzą mi się emocjonalne blizny.

– Proszę cię, dziecko, wcale nie jesteś taka wrażliwa. Ile razy mam ci powtarzać, żebyś wróciła do gry? Nie pozwól, żeby ten głupi chłopak rzucił urok na twoje życie uczuciowe. Nie jest tego wart!

Wspomniany *głupi chłopak* to mój były, Trace. Byłam w nim zakochana po uszy i całkowicie pewna, że weźmiemy ślub, dopóki nie odkryłam, że jego definicja monogamii oznaczała, że będzie mnie zdradzał tylko z jedną dziewczyną na raz. Już od dwóch lat byłam szczęśliwą singielką, ku przerażeniu mamy. Jako jedynaczka byłam jej jedyną szansą na wnuki, których tak desperacko pragnęła.

Unikając tego pola minowego, szybko skierowałam rozmowę na bezpieczniejszy i ważniejszy temat.

– Więc co powiedział doktor Halloran?

Mama odwróciła się do kuchenki. Nastała krótka, prawie niezauważalna pauza, zanim odpowiedziała:

– To, co mówiłam ci, że powie. Jestem zdrowa jak koń.

Zmarszczyłam brwi.

– Ale masz ten kaszel od miesięcy, mamo.

Odwróciła się z uśmiechem i stanęła twarzą do mnie. Uderzyło mnie, jak piękna wciąż była, twarz bez zmarszczek w porannym

świetle, wpadającym przez kuchenne okno. Odziedziczyłam po niej cerę – *w kolorze pieczonych kasztanów*, zwykł mawiać mój mlecznobiały ojciec – i miałam nadzieję, że będę się starzeć tak samo jak ona.

Chociaż jeśli worki pod moimi oczami miały być jakąś wskazówką, to szczęście mi nie sprzyjało.

– Nie ma się czym martwić. – Ustawiła talerz z jedzeniem na stole przede mną. – To tylko efekt uboczny starości.

Roześmiałam się głośno.

– Przesłyszało mi się, czy może niesamowita Davina Hardwick właśnie wypowiedziała słowo starość? Nie sądziłam, że ono w ogóle funkcjonuje w twoim słowniku!

– Cicho siedź! – Matka dała mi kuksańca w ramię, lekko i z uczuciem. – Wszyscy sąsiedzi usłyszą!

– Co takiego? – usłyszałam za sobą dudniący baryton.

Odwróciłam się i w drzwiach zobaczyłam Pułkownika, który uśmiechał się i naciągał szelki na ramiona. Szczupły, ponadprzeciętnego wzrostu, mimo wszystko prezentował się okazale, częściowo ze względu na swój donośny głos, ale głównie dlatego, że przez dwadzieścia pięć lat dowodził żołnierzami w wojsku. Jak zawsze ubrany był w nienaganną biel, aż po skórzane buty. Jego oczy miały niezwykłą, stalowoszarą barwę i odznaczały się przy ciemnym kolorze jego skóry.

Moja matka zaśmiała się i pomachała ręką nad stołem.

– Niczym nie musisz się przejmować, to takie babskie gadanie. Siadaj i jedz.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej i oparł dłoń na biodrze.

– Już mam brzuch pełen słodyczy po nocy spędzonej z tobą, niewiasto.

Wywróciłam oczami tak widocznie, że prawdopodobnie dało się to dostrzec nawet z kosmosu.

Matka zawstydziła się jak młódka, ścisnęła usta i zatrzepotała rzęsami w jego stronę.

– Ty złotousty diable. Co ja mam z tobą zrobić?

Szybciej, niż można by się spodziewać po siedemdziesięciolatku, Pułkownik przeszedł przez pomieszczenie i objął moją matkę.

Okręcił ją wkoło, aż jej stopy zawisły nad podłogą, i zaśmiał się radośnie, kiedy pisnęła jak nastolatka.

– Wymyśliłbym jedną rzecz lub dwie! – zagrzmiał, aż szyby zadrżały. Potem postawił ją na nogi i pocałował tak namiętnie, że spłonęłam rumieńcem.

– Tylko jedną lub dwie? – zapytała bez tchu, kiedy pocałunek dobiegł końca. – Myślałam, że masz większą wyobraźnię, *tahyo*!

Tahyo w cajuńskim dialekcie francuskiego oznacza wielkiego, głodnego psa.

Schowałam twarz w dłoniach i jęknęłam.

– Niech mnie ktoś zabije. Proszę, po prostu mnie zabijcie.

– Mówiłam, żebyś nie rozmawiała sama z sobą, dziecko, brzmisz jak jeden z tych meneli na bulwarze! – jęknęła mama.

W mojej głowie pojawił się żywy obraz twarzy Jacksona Boudreaux, kiedy powiedziałam mu, że wygląda jak jeden z bezdomnych włóczęgów z bulwaru. Od razu poczułam się znacznie lepiej.

– Wyglądasz dziś na bardzo zmęczoną, skarbie. – Pułkownik skończył kleić się do mamy, usiadł obok mnie przy stole i przyjrzał mi się z niepokojem. – Wszystko w porządku?

– Mówi, że to przez jakiegoś faceta, ale nie chce powiedzieć, przez kogo – oznajmiła mama.

Puściła oczko, przygotowała kolejny talerz jedzenia i postawiła go przed Pułkownikiem. Podała nam widelce i zaczęliśmy jeść.

– Po prostu pracowałam do późna i tyle – powiedziałam z ustami pełnymi smakowitych jajek.

– Ale to nie ma nic wspólnego z wizytą pewnego pana Jacksona Boudreaux, prawda? – zapytał, przeciągając samogłoski.

– Jackson Boudreaux! – Matka odwróciła się z szeroko otwartymi oczami i wpatrzyła we mnie. – Dobry Panie w niebiosach, coś ty z nim robiła? Słyszałam, że ten chłopak jest wredniejszy niż rozwścieczona pantera!

Rzuciłam gorzkie spojrzenie Pułkownikowi, który wzruszył ramionami, kompletnie nie czując się winnym.

– Wieści rozchodzą się szybko w tym mieście, zwłaszcza jeśli najbardziej pożądanemu kawalerowi w stanie publicznie utrze nosa

właścicielka najgorętszej, nowo otwartej restauracji we Francuskiej Dzielnicy. – Zaśmiał się i potrząsnął głową. – Plotki głoszą, że prawie odgryzłaś głowę temu chłopcu.

Wzdrygnęłam się na samo wspomnienie.

– To zdecydowanie nie był mój najlepszy moment. Ale zasłużył na to. Nigdy wcześniej nie spotkałam bardziej głupkowatego, zarozumiałego skur…

– Powiedz to, a skasuję twój akt urodzenia! – ostrzegła mnie matka.

– …kowanego, wściekłego kraba – dokończyłam z uśmiechem.

Nawet w wieku trzydziestu jeden lat nie wolno mi było przeklinać w jej obecności. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

Pułkownik parsknął śmiechem.

– Chyba nie sądziłaś, że chłopiec zawdzięcza pseudonim „Bestia" temu, że lubi motylki i tęczę, prawda?

Bestią na pewno jest, ale chłopcem zdecydowanie nie. Pamiętałam szerokość ramion Jacksona, jego głęboki głos i twarde, palące spojrzenie. Ta myśl sprawiła, że zaczęłam wiercić się na siedzeniu.

Dlatego, że go nie znosiłam, a nie dlatego, że uważałam go za atrakcyjnego. To oczywiste.

Policzki znowu mi zapłonęły, więc wepchnęłam kolejną porcję jajek do ust.

– Odgryzłaś mu głowę? – Mama nasunęła okulary na nos, usiadła naprzeciwko mnie i pochyliła się w moją stronę, zwarta i gotowa do słuchania.

Opowiedziałam im skróconą wersję wczorajszych wydarzeń z restauracji. Kiedy skończyłam, zdjęła okulary, syknęła i poklepała mnie po dłoni.

– Po prostu pokazał, że pieniądze nie zawsze idą w parze z klasą, *chère*. Prawdziwą wartość człowieka poznajemy po tym, jak traktuje tych, którzy mieli w życiu mniej szczęścia.

To stwierdzenie odnosiło się do mojego świętej pamięci ojca, prawnika po Harvardzie, który sprawił zawód swoim zamożnym rodzicom, kiedy zdecydował się poświęcić życie pomagając mniejszościom z najbiedniejszych społeczności Luizjany, zamiast pójść w ślady ojca i zająć się prawem spółek, a potem zdobyć miejsce

w sali sądowej. Zawód jego rodziców przerodził się we wrogość, kiedy poślubił moją matkę. Ślub poniżej stanu po prostu nie był w stylu Hardwicków, zwłaszcza kiedy chodziło o ciemnoskórą kobietę.

Moja matka była pierwszą kolorową, która wżeniła się w rodzinę Hardwicków.

Krótko po moim urodzeniu ojciec został wykluczony z testamentu swoich rodziców. Nigdy nie poznałam dziadków z jego strony i niech ich Bóg broni, żeby kiedykolwiek to nastąpiło. To, co zrobiłam z Jacksonem Boudreaux, zabrzmiałoby jak pieśń miłosna w porównaniu z tym, co spotkałoby ich.

– Tak czy inaczej to bez znaczenia, bo więcej go nie spotkam – powiedziałam, kończąc jedzenie. – A teraz naprawdę muszę się zbierać albo spóźnię się na dostawę…

Mama zaczęła kaszleć. Był to gwałtowny, suchy i natarczywy kaszel, który wstrząsał całym jej ciałem i sprawił, że oczy zaczęły jej łzawić, a twarz poczerwieniała.

– Mamo! – Skoczyłam na równe nogi i podeszłam do niej. Złapałam ją za ramię i zdziwiłam się, jak kruche wydały mi się jej kości.

– Nic mi nie jest – sapnęła, odprawiając mnie. – Trochę zaschło mi w gardle, *chère*, potrzebuję szklanki…

Kolejny atak kaszlu sprawił, że nie mogła dokończyć zdania, bo zgięła się wpół.

Kiedy zaczęłam panikować, Pułkownik podszedł z drugiej strony i zaczął delikatnie masować ją po plecach.

– Już dobrze, Davino, tylko spokojnie, moja droga – powiedział łagodnie. Podniósł wzrok i spojrzał na mnie.

Z jego oczu wyczytałam, że ten atak kaszlu nie był pierwszym tego dnia. Poczułam, że robi mi się zimno. Co ona przede mną ukrywała?

Podbiegłam do zlewu i nalałam wody z kranu. Dłoń mi drżała, kiedy podawałam mamie szklankę.

– Dziękuję, skarbie – powiedziała słabo po tym, jak przełknęła. – Już mi lepiej.

Znowu usiadłam naprzeciwko niej. Jej skóra przybrała niezdrowy, szary kolor, a na linii włosów pojawiły się kropelki potu. Ręce jej drżały, zupełnie jak moje.

Może i nie jestem najbystrzejsza na świecie, ale coś mi w tym wszystkim śmierdziało, i to bardzo.

Popatrzyłam matce prosto w oczy i powiedziałam stanowczo:

– Mamo. Lepiej wyrzuć z siebie prawdę w tej chwili albo będzie niezły pasztet, jak zwykł mawiać tata. Co doktor Halloran naprawdę powiedział o tym kaszlu?

Coś przemknęło przez jej twarz. Był to wyraz, którego nigdy nie widziałam u mojej pełnej energii, beztroskiej i pewnej siebie matki – okropne połączenie rezygnacji, smutku i, najgorsze z tego wszystkiego, strachu.

Wszystkie włoski na moim karku stanęły dęba, kiedy powiedziała cicho:

– Owenie, czy mógłbyś dać nam chwilkę?

Pułkownik delikatnie ucałował moją matkę w głowę.

– Oczywiście, Davino.

Ścisnął jej ramiona, rzucił mi zmartwione spojrzenie i wyszedł, cicho jak kuchenna myszka.

Wtedy matka chwyciła moje dłonie i zaczęła mówić, ale usłyszałam tylko jedno słowo. Słowo, które sprawiło, że moje serce przestało bić, a dusza zaczęła krwawić.

Rak.

KREOLSKIE KREWETKI Z GRYSEM

Na 4 porcje

- 4 szklanki wody
- 1 szklanka mielonego grysu
- 3 łyżki stołowe masła
- 2 szklanki startego sera cheddar
- Pół kilograma surowych krewetek, obranych i oczyszczonych
- 6 plastrów boczku, posiekanego
- 4 łyżeczki soku z cytryny
- 2 łyżki stołowe świeżej pietruszki, posiekanej
- 1 szklanka szalotki, pokrojonej
- 1 ząbek czosnku, zmielony

- Sól koszerna
- Świeżo zmielony pieprz

Przygotowanie

- Zagotuj wodę w garnku. Zmniejsz ogień, dodaj grysu, soli i pieprzu, gotuj, aż woda się wchłonie, około 20 minut.
- Zdejmij z ognia i wymieszaj z masłem i serem.
- Smaż boczek na wielkiej patelni, na brązowo. Przełóż na papier kuchenny, odsącz i posiekaj.
- Opłucz krewetki i osusz. Wrzuć je na tłuszcz po boczku i gotuj, aż krewetki zrobią się różowe. Nie przegotuj.
- Dodaj sok z cytryny, posiekany boczek, pietruszkę, szalotkę i czosnek, przysmażaj przez 3 minuty.
- Przełóż ugotowany grys na miski. Na wierzch wyłóż potrawkę z krewetkami. Podawaj natychmiast.

PIĘĆ

JACKSON

Kiedy poczułem jej ciepłe, pełne usta na główce mojego kutasa, jęknąłem.

– Kurwa, tak – szepnąłem i spojrzałem na nią. – Nie przestawaj.

Piękne, ciemne oczy zapatrzyły się we mnie, kiedy rozchyliła usta i wzięła mnie do gardła. Moje biodra zakołysały się bez udziału woli, wpychając twardego fiuta jeszcze głębiej w wilgotne ciepło jej ust.

Tak kurewsko dobrze. Chryste. Tak dobrze.

Naga, na kolanach, pomiędzy moimi nogami na łóżku, jedną dłoń owinęła wokół trzonu, a drugą delikatnie masowała jądra.

Z rozkoszy traciłem rozum.

Jęknąłem ponownie, objąłem dłońmi jej głowę i zacząłem powoli pieprzyć w usta. Uważałem, żeby nie poruszać się zbyt szybko, dopasowując pchnięcia do ruchów jej dłoni i podskakiwania głowy. Kiedy ścisnęła tuż pod nabrzmiałą koroną i zatrzymała się tam, ssąc i liżąc, jak kociak śmietankę z miski, dreszcz wstrząsnął całym moim ciałem.

– Och, podoba ci się to – szepnęła zalotnie. – Przekonajmy się, co jeszcze lubisz.

Puściła mojego kutasa, podniosła się i usiadła mi okrakiem na biodrach, uśmiechając się do mnie. Dłońmi objąłem jej wąską talię. Wyciągnęła rękę i ponownie chwyciła mojego sztywnego fiuta, po czym zaczęła powoli wsuwać go pomiędzy swoje nogi. Przesuwała po mokrej cipce, kręciła biodrami, drażniła się ze mną. Pozwoliłem jej się bawić i przesunąłem dłonie na jej piersi.

Sapnęła, kiedy ścisnąłem jej sutki.

Miała idealne cycki, krągłe i pełne, ale nie za duże, czułem ich obfity, kobiecy ciężar w dłoniach. Usiadłem i zacząłem ssać różowy

koniuszek. Podobał mi się nieśmiały jęk, który się jej wyrwał, kiedy okrążyłem językiem twardy pączek. Wygięła się w łuk, wpychając go do moich ust, a jej palce nadal leniwie błądziły po mojej erekcji.

Delikatnie przygryzłem jej sutek, a ona znowu sapnęła.

Coś w tym dźwięku sprawiło, że poczułem się jak zwierzę. Jak potężne, wygłodniałe zwierzę. Nagle desperacko zapragnąłem znaleźć się w niej.

Z niskim warknięciem rzuciłem ją na plecy. Leżała tam i mrugała, patrząc na mnie szeroko otwartymi oczami. Rozchyliła usta, dysząc lekko. Na całej jej piersi zagościł piękny rumieniec. Ciemne włosy rozsypały się po poduszce, a naga skóra błyszczała w przyćmionym świetle bogatą, złocistą barwą przypominającą płynny miód.

Nigdy w całym życiu nie widziałem czegoś tak kurewsko idealnego.

– Jax – wydyszała.

Nogami oplatała moje biodra i lekko drżała. Przylgnąłem do niej, poruszając miednicą, i odkryłem, że jest na mnie gotowa. Wygięła plecy w łuk i objęła rękami moje ramiona. Przymknęła powieki, kiedy powoli wsunąłem się w jej niebiańsko ciasną, mokrą cipkę.

Naparłem na nią całym ciałem. Jedną dłonią złapałem jej niesamowity tyłek w kształcie serca, drugą chwyciłem garść jej włosów i zacząłem ją pieprzyć, całując szyję, instynktownie przygryzając skórę, kiedy krzyczała z rozkoszy przy kolejnych głębokich pchnięciach. Na każdy mój ruch odpowiadała wysunięciem bioder, jej cycki podskakiwały przy mojej klatce piersiowej, a jej delikatne jęki rozkoszy dźwięczały mi w uszach.

– O Boże – jęknęła. – Boże, tak. Proszę… Jax…

– Jesteś taka piękna – powiedziałem chrapliwie, wpatrując się w nią. Fala gorąca przepłynęła po moim kręgosłupie, zalewając miednicę i fiuta, sprawiając, że wbiłem się w nią jeszcze głębiej.

Jej jęki stały się urywane. Zesztywniała pode mną, zamierając na skraju orgazmu.

Kiedy jej cipka pierwszy raz zacisnęła się mocno na moim kutasie, zupełnie się zatraciłem. Nie byłem już człowiekiem. Pozostały ze mnie tylko krew, kości i ścięgna, bezmyślna istota pędząca w stronę spełnienia, które kotłowało się wewnątrz mnie. Stałem się tym, czym

ludzie nazywali mnie za moimi plecami, dopasowałem się do przezwiska, które szeptali na ulicach, kiedy ich mijałem.

Stałem się bestią, pieprzącą tę piękną kobietę z dzikością, która mnie przerażała.

– Bianca! – krzyknąłem, a całe moje ciało wygięło się, kiedy w niej doszedłem.

Wbiła paznokcie w moje plecy, a udami, dłońmi i szeptanymi wyznaniami miłości popędzała mnie do dalszego działania.

***

Moje jęki i spazmy obudziły mnie ze snu.

Zdyszany, spocony i z pulsującym kutasem w dłoni wpatrywałem się w sufit, a krew wrzała w moich żyłach. Przez długą chwilę leżałem zdezorientowany, próbując się pozbierać. W końcu zacząłem się cicho śmiać.

Nie miałem mokrego snu, odkąd byłem nastolatkiem.

Usiadłem. Lepka pościel przywarła do mojej talii.

– Jezu, Jackson – mruknąłem, patrząc na syf, który zostawiłem na dłoni, brzuchu i biednym, niczego się niespodziewającym prześcieradle. – Musisz częściej wychodzić.

Wstałem i poszedłem do łazienki. Marmurowa podłoga pod moimi stopami była zimna jak w mauzoleum. Dlaczego, u diabła, cały dom wyłożyłem marmurem? To pytanie, które zadawałem sobie wiele razy, odkąd cztery lata temu wprowadziłem się do posiadłości przypominającej labirynt. Wszędzie rozbrzmiewało echo tak donośne, że każdy krok był słyszalny. Upadająca szpilka przypominała wystrzał z broni. Nawet hektary tureckich dywanów nie zdołały wygłuszyć tego echa. Czułem się, jakbym mieszkał we wnętrzu najgłośniejszego grobowca na świecie.

Nadal rozproszony myślą o śnie, szybko wziąłem prysznic i się ubrałem.

To zupełnie do mnie niepodobne, by mieć tak obrazowe i intensywne sny. Czułem się niepewnie, bo nigdy nie pamiętałem snów. Sen był dla mnie zawsze jak skok z klifu w bezkresną, czarną dziurę.

Przez Biancę Hardwick ostatnia noc nie była czarną dziurą. Była drażliwa jak aligator, ale, cholera, ta kobieta to gorąca sztuka. W zasadzie te pyskate usta jeszcze dodawały jej pikanterii.

Patrząc na siebie w lustrze nad komodą, przesunąłem dłonią po twarzy. *Ciekawe, czy lubi zarost.*

Stukanie we framugę gwałtownie odciągnęło mnie od tych myśli.

– Dzień dobry, sir – powiedział Rayford, stając w drzwiach.

Jak zwykle ubrany był nienagannie, w czarny garnitur i krawat, świeżo ogolony, trzymał się prosto i elegancko jak na swój wiek.

Nie, żebym wiedział, ile rzeczywiście miał lat. To pilnie strzeżony sekret, coś, czego prawdopodobnie nie wiedzieli nawet moi rodzice. Pracował dla nich przez ponad czterdzieści lat, między innymi jako kamerdyner, zanim przeniósł się ze mną do Nowego Orleanu. Wtedy powiedział, że chciał znaleźć się bliżej rodziny, ponieważ tu dorastał, ale obaj znaliśmy prawdę.

Bał się, co może się stać, jeśli zostawi mnie samego.

– Rayford – powiedziałem i skinąłem głową. – Dzień dobry. Wstał już?

– Tak, sir. Charlie właśnie go myje. Powinni być na dole za kilka minut. Będzie pan jadł dzisiaj w domu?

Jego łagodny wyraz twarzy niczego nie zdradzał, ale wiedziałem, że zastanawiał się, jak poradzę sobie bez szefa kuchni. Przez dorastanie z armią kucharzy, pokojówek i innych pomocy domowych, nie potrafiłem ugotować nawet jajka, choćby zależało od tego moje życie.

– Jeszcze nie wiem. – Przerwałem. – Czy Charlie…?

– Tak, sir – powiedział, wiedząc, że pytałem o to, czy niania potrafi gotować. – Zapytałem ją wczoraj, czy da radę zająć się tym przez dzień lub dwa, zanim nie znajdziemy nowego szefa kuchni. Już podzwoniłem, do jutra powinniśmy mieć kilku kandydatów do przesłuchania. – Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. – Wątpię, żeby Charlie miała talent Bianki Hardwick, ale prawdopodobnie zdoła przygotować kanapkę dla pana i coś odpowiedniego dla Cody'ego.

Zniknął, mamrocząc pożegnanie, zostawiając mnie samego, a ja zacząłem zastanawiać się, co miał na myśli, kiedy wspomniał

o Biance Hardwick.

O kurwa. Czyżbym krzyczał jej imię przez sen?

Wyobraziłem sobie, że moje krzyki podczas orgazmu niosły się po całym domu, i spłonąłem rumieńcem.

Kiedy zadzwonił mój telefon, odebrałem bardziej gwałtownie niż zwykle.

– Co? – warknąłem, a moje policzki płonęły.

– Dzień dobry, panie Boudreaux – usłyszałem radosny, męski głos.

To Matthew Clark, koordynator imprezy z WWP[3]. Od miesięcy pracował ze mną nad zbliżającą się kolacją i na szczęście był jedną z tych osób, które niczego nie brały do siebie. Mógłbym mu powiedzieć, że na bagnach Luizjany był pień drzewa, który miał wyższy iloraz inteligencji niż on, a Clark zaśmiałby się radośnie i przytaknął.

– Dzwonię tylko, żeby omówić kilka szczegółów w związku z imprezą piętnastego – powiedział. – Przede wszystkim chciałbym porozmawiać z szefem kuchni, żebyśmy mogli dopracować menu i zacząć drukować karty dań. Teraz może być?

Cholera. Menu. *Szef.*

– Nie – warknąłem. – Nie może. Ja… – *Wymyśl coś, geniuszu!* – Prześlę ci menu faksem najpóźniej do jutrzejszego wieczora.

– Och, świetnie! – powiedział Matthew z entuzjazmem człowieka, który poza pracą nie ma żadnych zainteresowań. – Nie mogę się doczekać! Darczyńcy zawsze bardzo chcą wiedzieć, co będzie w menu. Nie uwierzyłby pan, jak poważnie ci ludzie traktują jedzenie. Im lepsze jedzenie, tym wyższe datki! – Westchnął z przejęciem. – Och… i karta win! Zupełnie zapomniałem!

Karta win? Powinna być jakaś cholerna karta win? Naprawdę zacząłem żałować tamtego komentarza o jajkach.

– Wszystko wyślę ci jutro! – burknąłem i się rozłączyłem.

Wymaszerowałem z sypialni, pojechałem windą na pierwsze piętro i znalazłem Rayforda w kuchni. Pił kawę i czytał gazetę przy wielkiej wyspie z białego marmuru.

– Jak sądzisz, gdzie Gregory mógł zostawić notatki dotyczące kolacji charytatywnej? – zapytałem.

Jak zawsze spokojny, Rayford popijał dalej kawę i spojrzał na mnie zza oprawek okularów do czytania.

– Nie zostawił żadnych notatek, sir – powiedział. – Spakował wszystko, co miał – książki kucharskie, notatniki, eleganckie japońskie noże – i wypadł stąd jak oparzony. Nie spodziewałbym się, że odbierze od pana telefon – dodał Rayford łagodnie – zważywszy na to, że nazwał pana zimniejszym niż jaja pingwina i powiedział, że gdyby stanął pan w płomieniach, nawet by na pana nie nasikał.

Cudownie.

Za dwa tygodnie trzysta osób miało przyjść na kolację charytatywną w moim domu, a ja nie miałem menu, karty win ani nikogo, kto skleiłby to wszystko do kupy.

– Kurwa – powiedziałem, a Rayford parsknął śmiechem.

Ale wtedy wpadłem na genialny pomysł.

SZEŚĆ

BIANCA

Przez resztę dnia moje zmysły były przytłumione, jakbym znajdowała się pod wodą. To zapewne szok. I wyparcie. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że sprawy miały się tak źle, jak na to wyglądało.

Trzecie stadium. To brzmiało bardziej jak film niż prawdziwa diagnoza.

– Wszystko w porządku, dziecinko? – zapytała Eeny z niepokojem, kiedy przyłapała mnie na gapieniu się w przestrzeń gdzieś ponad wielkim garnkiem gotującej się jambalayi. To przepis mojej matki, jedzenie na pocieszenie, po które zawsze sięgałam w stresujących sytuacjach. Kelnerzy już jedli, jak zawsze przed otwarciem restauracji, a pierwsza zmiana wkrótce się zacznie, ale nie miałam pojęcia, jak przetrwam ten wieczór.

– Ja…

Co? Co ja? Nie było na to słów. W końcu wzięłam się w garść.

– W porządku. Jestem tylko zmęczona. Nie mogłam spać zeszłej nocy.

Eeny zachichotała i poklepała mnie po ramieniu.

– To tłumaczy te worki pod oczami.

Z drugiego końca kuchni usłyszałam krzyk Hoyta:

– Wyglądasz, jakby pożarł cię wilk i wysrał nad klifem, skarbeńku.

Kiedy odwróciłam się, żeby spiorunować go spojrzeniem, Eeny dodała:

– Ktoś musiał to powiedzieć!

Wyrzuciłam ręce w górę.

– Naprawdę? Ktoś musiał powiedzieć, że wyglądam, jakbym została pożarta przez wilka i wysrana nad klifem? To jest coś, co ktoś naprawdę musiał mi powiedzieć?

Mój podniesiony ton sprawił, że Hoyt zagwizdał.

– Oj, daj spokój, panno Bianco, tylko sobie żartuję. – Przerwał, zerkając w moją stronę. – W zasadzie to wyglądasz, jakby ktoś umarł.

Gardło mi się ścisnęło. Odwróciłam się z powrotem do garnka i zapatrzyłam w jego zawartość, nerwowo mieszając drewnianą łyżką i starając się powstrzymać łzy.

– Jestem po prostu zmęczona – powtórzyłam z wysiłkiem, czując na twarzy spojrzenie Eeny. – A teraz czy wszyscy mogliby, proszę, wrócić do pracy?

Przez chwilę jej kolorowa sylwetka pozostawała w moim polu widzenia. Potem podeszła, a żółto-pomarańczowa spódnica powiewała za nią.

– Zrobię ci grigri[4] – powiedziała, odchodząc. – Ochroni cię przed wszystkim, co może na ciebie czyhać.

Eeny ciągle robiła innym jeden ze swoich amuletów na szczęście, na wszystko, co mogłoby im zagrażać. Zawsze miała przy sobie przynajmniej dziesięć takich, wszytych w ubrania, schowanych w kieszeniach albo wiszących na szyi. Zawsze było wiadomo, że się zbliża, bo brzęczała przy każdym kroku.

Ale to nie ja potrzebowałam ochrony. To moja mama, która miała trzecie stadium raka płuc, żadnego ubezpieczenia zdrowotnego, żadnych oszczędności, ponieważ tak jak ja wszystkie pieniądze włożyła w restaurację. Obie byłyśmy tak spłukane, że nie miałyśmy złamanego grosza przy duszy. Chociaż restauracja była pełna, otworzyliśmy zaledwie pół roku temu, a ja wciąż tonęłam po uszy w długach i kosztach otwarcia. Mama nie kwalifikowała się do programu darmowych ubezpieczeń, dopóki nie skończy sześćdziesięciu pięciu lat w przyszłym roku, a do tego czasu może już być…

Nie, pomyślałam, oddychając gwałtownie. *Nie zapuszczam się tam.*

– Jesteś wściekła na jambalayę, Bianco?

Oderwałam wzrok od garnka. Pepper stała obok, patrząc na mnie z uniesionymi brwiami i zmartwionym spojrzeniem, jakbym miała zaraz zacząć wszystkim rzucać.

Westchnęłam.

– Nie i proszę, nie mów nic o tym, jak źle dzisiaj wyglądam, już…

Przerwałam zdezorientowana wyglądem Pepper.

Jej neonowo różowa bluzka została wycięta tak nisko, że zderzaki były na widoku jak bułeczki na wyprzedaży w piekarni. Skórzana spódniczka w zebrę była tak krótka, że wyglądała praktycznie jak pasek. Pod spódniczką miała pończochy kabaretki, a na stopach niebotycznie wysokie, czerwono-czarne szpilki, które aż krzyczały *Przeleć mnie!* na całe gardło.

Zapytała radośnie:

– Hej, jak podobają ci się te kolczyki? – Odsunęła włosy z twarzy, ukazując parę gigantycznych, złotych kół, z których zwisały złote serduszka.

Hoyt zawołał:

– Nikt nie patrzy na twoje kolczyki, *couillon*[5]. I obciągnij tę kieckę, bom już dobrze widział tę ziemię obiecaną!

– Są śliczne, Pepper – powiedziałam, by odciągnąć jej uwagę od obelgi, którą z pewnością zamierzała rzucić w stronę Hoyta. Trzeba być twardym, żeby pracować w kuchni, ale we wszystkich tych uszczypliwościach kryła się spora doza miłości.

Pepper się uśmiechnęła.

– Kupiłam je za wczorajszy napiwek od pana Boudreaux. Szpilki też.

I zapewne resztę stroju również. Zważywszy na wygląd tych rzeczy, ze stu dolarów najpewniej starczy jej na drugi komplet i jeszcze zostanie.

– Cieszę się twoim szczęściem – powiedziałam. – A teraz powiedz mi, dlaczego jesteś w kuchni, a nie na swoim stanowisku?

– Och tak! Właśnie po to tu przyszłam. Chodzi o pana Boudreaux.

Spojrzałam na nią, a w moim brzuchu zrodziło się niepokojące uczucie.

– Co z nim?

Pepper się rozpromieniła.

– Jest tutaj. I chce z tobą rozmawiać.

Jęknęłam. *Dobry Boże, nie dzisiaj. Tylko nie on.*

– Powiedz mu, że jestem zajęta. Nie mogę teraz wyjść. – *Poza tym nie znoszę jego sztywniactwa.*

Pepper zamrugała. Zmarszczyła brwi.

– Yyy. On tak jakby… wiesz. Zażądał widzieć się z tobą. Jak to on.

Zmrużyłam oczy, patrząc na nią.

– Dzisiaj nie wydajesz się taka chętna, by wpakować wiadro raków tam, gdzie słońce mu nie dochodzi, jak zamierzałaś wczoraj, Pepper.

– Możliwe, że dał mi kolejny napiwek – przyznała z zakłopotaniem.

Zabawne, jak opinia niektórych ludzi potrafi zmienić się przez tak prostą rzecz jak pieniądze. Przynajmniej miała na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na zakłopotaną.

– Czego chce?

Pepper wzruszyła ramionami.

– Powiedział tylko, cytuję: „Przyprowadź mi właścicielkę. Teraz".

Właścicielkę. Założę się, że ten gnojek nawet nie zapamiętał mojego nazwiska, mimo że widniało tuż nad cholernymi drzwiami frontowymi! Do tego oczekiwał, że rzucę wszystko i przybiegnę do niego, jakbym była jakąś służącą? Jakbym była *psem*?

Para zaczęła uciekać mi uszami.

– Ten człowiek mógłby sprawić, że dzieciątko Jezus nabawi się hemoroidów! – wrzasnęłam.

Eeny zarechotała. Pepper cofnęła się o krok. Hoyt zagwizdał ponownie, potrząsając głową. Wszyscy w kuchni przerwali to, co robili, i odwrócili się, by na mnie spojrzeć.

Skołowana, przeciągnęłam dłonią po włosach, żeby trochę się ogarnąć. Przyciszonym głosem powiedziałam do Pepper:

– Idź i powiedz panu Boudreaux, że właścicielka jest zapracowana jak jednonogi kot w kuwecie i nie wyjdzie, żeby się z nim zobaczyć ani teraz, ani nigdy. Jeśli ma mi coś do powiedzenia, niech jego cholerny prawnik skontaktuje się ze mną korespondencyjnie.

Pepper nie wyglądała na przekonaną.

– Yyy… to chyba nie przejdzie, Bianco.

– Dobrze, może tym razem niech on będzie tym, który nie może spać w nocy – mruknęłam, mieszając jambalayę drewnianą łyżką. Jeśli tak dalej pójdzie, podam dobrze zmiksowaną zupę zamiast

gulaszu z owoców morza i kiełbasy, więc zmusiłam się, żeby wyrównać oddech i zwolnić.

– W porządku. – Pepper westchnęła i odwróciła się do wyjścia. – Ale nie sądzę, żeby mu się to spodobało.

Odchrząknęłam. *Boże broń, żeby Książę Dupków nie dostał tego, czego chce!*

Wróciła do pracy jak wszyscy pozostali. Przynajmniej na pełne sześćdziesiąt sekund, zanim Jackson Boudreaux wparował przez wahadłowe drzwi jak huragan.

Biegnąc tuż za nim, Pepper uniosła ręce w geście poddania.

– Próbowałam ci powiedzieć!

Ale ja nie zamierzałam znosić dzisiaj jego bzdur. Oparłam dłonie na biodrach i zmierzyłam go Specjalnym Spojrzeniem.

Takie Spojrzenia to talent kobiet z Południa, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Każda rodzina miała swoją własną wersję. Niektórzy mówili, że Spojrzenie mogło nawet pokonywać ściany i być słyszane przez telefon. Wśród kobiet zostało to wyniesione do rangi sztuki, a efekt był zawsze taki sam.

Jackson zrobił jeszcze jeden krok i zamarł, kiedy mnie zauważył.

– Ty – powiedziałam na dziesiątym poziomie w skali sukowatości – nie jesteś mile widziany w mojej kuchni. A teraz zabieraj swój arogancki tyłek i wyjdź.

A co ten uparty gnojek zrobił w odpowiedzi?

Uśmiechnął się.

Sądziłabym, że to niemożliwe, gdybym nie zobaczyła tego na własne oczy, ale oto on, szelmowski uśmieszek, który uniósł kąciki jego ust na tyle, by dać mi do zrozumienia, że Jackson uważał mnie za zabawną.

A potem – tylko po to, żeby rozwścieczyć mnie tak, że mogłabym zmieszać z błotem papieża – kazał wszystkim *moim* pracownikom opuścić *moją* kuchnię.

– Wszyscy wyjść! – rozkazał, nie odrywając ode mnie wzroku, a jego mroczny głos przetoczył się przez pomieszczenie jak burza.

Kiedy zobaczyłam, że ci zdrajcy mieli czelność zacząć wyciągać swoje tyłki z kuchni, prawie wpadłam w szał.

– Wszyscy zostają! – powiedziałam. – Następna osoba, która się ruszy, jest zwolniona.

Wyobraziłam sobie pisk hamulców. Miałam teraz dwunastu pracowników, patrzących to na Jacksona, to na mnie, i czekających z zapartym tchem, co się wydarzy.

Stająca obok Hoyta Eeny zaczęła zawzięcie pocierać jeden z naszyjników i szeptać coś pod nosem. Miałam nadzieję, że to jakaś klątwa voodoo, która sprawi, że Jacksonowi wypadną wszystkie włosy, a jajka skurczą się do wielkości orzeszków ziemnych.

– Panno Hardwick – zaczął Jackson, rozwścieczony jak niedźwiedź grizzly, ale przerwałam mu:

– Gdzie pana prawnik? Czy postanowił pan osobiście dostarczyć mi dokumenty?

Zamrugał, marszcząc gęste brwi.

– Prawnik? – Potem jego spojrzenie się rozjaśniło. – Och. Nie, nie zamierzam pani pozwać.

Nie ufałam swoim słowom, więc rozłożyłam szeroko ręce i stałam tam, jakbym pytała: *Więc co?*

– Mam dla pani pracę – oznajmił.

Matko Boska, ten człowiek naprawdę proponował mi *pracę*? Jakby ta restauracja, którą planowałam i na którą oszczędzałam przez lata, była jakimś zwykłym hobby, czymś, co robiłam w czasie wolnym, żeby dorobić sobie kilka dolarów? A sądząc po jego uśmieszku z kategorii ależ-masz-szczęście, był przekonany, że wpadnę w zachwyt na samą myśl o pracowaniu dla niego. Bo przecież to moje marzenie.

Musiałam ugryźć się w język i policzyć do dziesięciu, zanim uspokoiłam się na tyle, żeby sklecić sensowne zdanie. Cóż, nie było to nawet pełne zdanie. Tylko jedno słowo:

– Nie.

Musiałam mu to oddać, że miał wyjątkowo ekspresyjne brwi. Te grube, czarne gąsienice przyczepione nad stalowoniebieskimi patrzałkami miały swój własny język. W tej chwili zsunęły się w spojrzeniu, które pokazało mi, że jestem małym, zbuntowanym głuptasem, którego chciał poćwiartować i rzucić na pożarcie psom.

Moi pracownicy patrzyli w ciszy, zafascynowani.

Przez zaciśnięte zęby powiedział:

– To dla pani niesamowita szansa…

Mój ostry śmiech sprawił, że dwoje kucharzy podskoczyło.

– Cóż za uprzejmość z pana strony, że pomyślał pan, by dać biednej, małej mnie tak cenną szansę! Tak długo czekałam na tę kuszącą propozycję! Co ja bym zrobiła bez pana?

Usłyszeliśmy warknięcie, niskie i niebezpieczne. Nawet Eeny zaczęła wyglądać na zdenerwowaną.

– Wszyscy. Wyjść. Teraz. Jeśli was zwolni, każdemu wypłacę roczną pensję i pomogę znaleźć pracę.

Ta oferta okazała się zbyt hojna, by moi pracownicy mogli się jej oprzeć. Patrzyłam z piekielną furią, jak jeden po drugim, w ciszy, rzędem wychodzili z pomieszczenia, unikając mojego wzroku. Eeny, idąca na końcu kolejki, wzruszyła ramionami i wymamrotała:

– Przepraszam, dziecinko.

Hoyt puścił do mnie oczko.

Właśnie otrzymałam bolesną lekcję o potędze ludzi z pieniędzmi i nie podobało mi się to ani trochę.

Przełykając potok dzikich przekleństw, które miałam na końcu języka, skrzyżowałam ręce na piersi i wpatrzyłam się w Jacksona.

Odpowiadał mi takim samym spojrzeniem. Matko, i to jak. Bestia miał swoją własną wersję Spojrzenia. Szczerze mówiąc, mogłoby pogonić kota nawet mojemu.

– Otwieramy za dziesięć minut – powiedziałam. – Mam na dzisiaj dwieście rezerwacji.

– Wyglądasz na zmęczoną – odparł.

Musiałam zamknąć oczy i znowu policzyć do dziesięciu. Kiedy je otworzyłam, miałam nadzieję, że z mojej głowy wystrzeliwały śmiercionośne promienie. Gdybym miała pod ręką maczetę, nie jestem pewna, czy nie rzuciłabym się na niego.

– A ty wyglądasz, jakbyś został wychowany w lesie przez plemię kanibali. Brakuje ci tylko kości w brodzie.

Znowu na ułamek sekundy pojawił się uśmieszek, który zaraz zniknął. Boudreaux przesunął dłonią po twarzy, wpatrując się we mnie tak intensywnie, że spodziewałam się zaraz stanąć w płomieniach.

Niezrażona zapytałam:

– Czy będę musiała wezwać policję, żeby zmusić pana do wyjścia?

– Szef policji i ja razem zasiadamy w zarządzie Stowarzyszenia Stróżów Prawa[6]. Jestem pewny, że Gavin z przyjemnością odbierze telefon od pani.

Poczułam, jak dłonie zwijają mi się w pięści.

– Podoba ci się to, co?

– Co takiego?

– Rządzenie się.

Zrobił kilka powolnych kroków w moją stronę. Stałam w miejscu, gdy podchodził, nawet kiedy znalazł się już tak blisko, że wyczuwałam ten jego męski zapach, woń ciepłego piżma, którą mój zdradziecki nos uznał za tak intrygującą.

Spojrzał na mnie i powiedział ostro:

– Zapewne tak bardzo, jak tobie, kiedy ktoś mówi ci, co masz robić, jak sądzę.

– Nie przyjmuję rozkazów.

– Ani ja. I dla jasności, nie lubię się rządzić, ale raz na jakiś czas okazuje się, że to jedyny sposób, żebym dostał to, czego chcę. A chcę ciebie. – Chwila ciszy paliła żywym ogniem, zupełnie jak jego spojrzenie. – Żebyś dla mnie pracowała.

Przez chwilę nie mogłam wydusić z siebie ani słowa. Jego bliskość była dezorientująca i to jego spojrzenie…

– Nie chcę dla ciebie pracować. Nie muszę dla ciebie pracować. A nawet gdybym chciała, nie mogłabym. Rozejrzyj się – jestem zajęta.

Zignorował to i zaczął wyjaśniać protekcjonalnym, poirytowanym tonem, jakbym właśnie naruszyła zasady zwolnienia warunkowego, a on był sędzią.

– Chodzi o catering. Jednorazowa sprawa. Organizuję w moim domu kolację i aukcję na cele charytatywne, i potrzebuję kogoś, kto stworzy menu, będzie nadzorował jedzenie i wino na imprezę. I będzie gotował, oczywiście. Miałabyś kontrolę nad wszystkim. Możesz wziąć ze sobą taką załogę, jakiej potrzebujesz. Będzie prasa.

Dużo prasy. Oddam tobie i twojej restauracji pełne zasługi za przygotowanie tego wydarzenia.

Och. No cóż.

Catering to obszar, w który chciałam się zagłębić nie tylko dlatego, że wiązał się z dobrymi pieniędzmi, ale dlatego, że to świetna zabawa. W restauracji menu pozostawało dość stałe, zwykle zmieniało się sezonowo albo przy pojawieniu się nowego szefa kuchni, ale catering otwierał zupełnie nowe perspektywy kreatywnych możliwości. Każde wydarzenie było unikalne i pozwalało szefowi kuchni się wykazać. Zademonstrować swoje prawdzie umiejętności.

A wydarzenie w domu Jacksona Boudreaux prawdopodobnie wypełnione będzie całą śmietanką towarzyską Luizjany. Mogłabym sięgnąć po zupełnie nową klientelę. Taką, która nie jadała w turystycznej Francuskiej Dzielnicy. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie brzmiało to kusząco.

Mój mózg zaczął niecierpliwie tupać nogą.

Zapominałam, z kim miałam do czynienia. Jeśli tak bardzo wyprowadził mnie z równowagi w ciągu jednego dnia, nie mogłam sobie wyobrazić, jak koszmarnie znosiłabym go podczas planowania całego wydarzenia. Prawdopodobnie zeszłabym na zawał.

– Jestem zaszczycona, że pomyślał pan o mnie, ale odpowiedź brzmi nie – oznajmiłam.

Bez mrugnięcia okiem odpowiedział:

– Pani wynagrodzenie wyniesie dwadzieścia tysięcy dolarów.

Prawie upuściłam łyżkę, którą trzymałam w dłoni. Powoli zamrugałam więcej razy niż to potrzebne.

– Dw… dwadzieścia…

– Tysięcy dolarów – dokończył, uważnie obserwując moją twarz.

Chociaż stał tuż przede mną, już go nawet nie widziałam. Zobaczyłam moją matkę otrzymującą chemioterapię, której tak desperacko potrzebowała. Zobaczyłam ją w najlepszym szpitalu w stanie, z najwyższej jakości opieką, leczoną przez najznakomitszych lekarzy.

Wyobraziłam ją sobie żywą, chociaż jeszcze tego ranka byłam przekonana, że jest już jedną nogą w grobie.

Kiedy nic nie odpowiedziałam, Jackson dodał protekcjonalnie:

– Jestem pewien, że znalazłaby pani przeznaczenie dla takich pieniędzy. Prawda?

Myśl o mamie. Myśl o mamie, a nie o tym, jak wielką sprawiłoby ci przyjemność wbicie kołka w jego zimne, czarne serce.

Zamknęłam oczy, powoli nabrałam powietrza i przytaknęłam ponuro.

Jakby właśnie wygrał zakład z samym sobą, Bestia powiedział:

– Dobrze. Przyjęcie odbędzie się za dwa tygodnie. Spodziewam się trzystu gości. Potrzebuję pełnego menu oraz dopasowanych win do jutra, o tej porze.

Gwałtownie otworzyłam oczy.

– Trzysta osób? Dwa tygodnie? Żartuje pan? To niemożliwe!

Uśmieszek, którego już zaczęłam nienawidzić, znowu się pojawił.

– Nie, to dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Chwileczkę…

– Zapłacę z góry.

Pozbawiona argumentów, stałam, wpatrując się w niego z otwartymi ustami, jakbym próbowała łapać świetliki.

Wzrok Jacksona przesunął się na moje usta. Uśmieszek zniknął. Mięsień na jego szczęce drgnął. Z nagłą opryskliwością, jakbym zrobiła coś, czym go rozzłościłam, warknął:

– Jutro wyślę po panią samochód o dziesiątej rano, żeby mogła pani zapoznać się z kuchnią.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i wyszedł.

SIEDEM

BIANCA

Punktualnie o dziesiątej rano następnego ranka elegancki, czarny sedan podjechał przed moją restaurację i zaparkował przy krawężniku.

Nie miałam pojęcia, jaka to marka samochodu, ale z pewnością jakiś wypasiony. Tylko najdroższe samochody bogatych, snobistycznych pozerów miały te srebrne ozdoby na przedzie maski, zupełnie jakby pokazywały środkowy palec wszystkim, którzy patrzyli, kiedy jechały ulicą.

Stając obok mnie przy oknie, Eeny powiedziała:

– Twoja karoca podjechała, dziecinko. – A potem parsknęła histerycznym rechotem.

Westchnęłam. Na wyraźne życzenie mamy nikomu nie powiedziałam o jej chorobie. Duma nie pozwoliłaby jej publicznie przyznać, że jest chora. A może to próżność. Tak czy inaczej, poprzysięgłam milczeć. Nie powiedziała nawet Pułkownikowi. Więc nikt w restauracji nie wiedział o prawdziwej przyczynie przyjęcia pracy u Bestii, ale wszyscy byli tym podekscytowani. Hoyt powiedział mi wczoraj, że jeden z kucharzy zaczął przyjmować zakłady, jak długo wytrzymam, zanim zrezygnuję.

Ale nie mogłam tego zrobić, niezależnie jak źle sprawy się potoczą. Życie mamy zależało od tych pieniędzy.

– Proszę, nie zapomnij o przygotowaniu małży i umieszczeniu ich w lodzie. A dostawa z rancza Niemana powinna być tutaj najpóźniej w południe – powiedziałam.

Eeny parsknęła.

– Spodziewać się, że Carl przywiezie mięso na czas, to jak spodziewać się zobaczyć goryla na trójkołowym rowerku, jadącego

chodnikiem. Ten chłopak jest powolniejszy niż niedzielne popołudnie.

I głupi jak but z lewej nogi, pomyślałam. Mógłby rzucić się na ziemię i chybić. Dostarczał mi mięso codziennie od miesięcy, a nadal przynajmniej raz w tygodniu dzwonił, żeby zapytać o lokalizację.

– No to zbieraj się, Kopciuszku – powiedziała Eeny, popychając mnie ramieniem. – Chyba nie chcesz, żeby twoja karoca zamieniła się w dynię!

– Cieszę się, że tak cię to bawi, Eeny – odparłam, posyłając jej krzywe spojrzenie.

Wyszczerzyła się w uśmiechu i poklepała mnie po ramieniu.

– Dobrze ci zrobi wyjście z mężczyzną raz na jakiś czas. Dzięki temu soki lepiej krążą, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Moje krzywe spojrzenie teraz zrobiło się groźne.

– To nie jest randka, Eeny.

– Och, wiem – odparła beztrosko. – Ale zważywszy na to, że Jackson Boudreaux patrzy na ciebie, jakbyś zamieniała jego mózg w jajecznicę, nie chodzi tu tylko o interesy. Przynajmniej dla niego. O Panie! – krzyknęła nagle, wskazując za okno. – Kim jest ten przystojniak?

Ze strony kierowcy eleganckiego, czarnego sedana wysiadł równie wymuskany, ciemnoskóry mężczyzna. Ubrany był w garnitur, włosy przyprószone siwizną miał krótko i schludnie przycięte. Stał, wpatrując się w drzwi wejściowe, i poprawiał krawat. Był wysoki, elegancki i dość przystojny. Oceniłam, że mógł mieć trochę ponad sześćdziesiąt pięć lat.

Od razu pomyślałam o mojej matce. Na pewno miałaby na niego chrapkę.

– Zapewne kierowca Jacksona. – Patrzyłam, jak podchodzi do drzwi. – Ciekawe, czy jest tak wredny jak jego szef.

– Mm-mmm! – powiedziała Eeny, oblizując usta. – Może być wredniejszy niż gniazdo wściekłych żmij, i tak wzięłabym go na przejażdżkę.

W mojej głowie pojawiła się przerażająca wizja całych stu trzydziestu kilogramów Eeny, kotłujących się nago w łóżku, wszędzie

wkoło latały kurze pióra i amulety voodoo, a ona szalała z dobrze ubranym kierowcą.

– Mogłaś zachować to dla siebie – burknęłam dokładnie w chwili, kiedy rzeczony dżentelmen wszedł do środka.

– Dzień dobry paniom – powiedział z uśmiechem. – Obie wyglądacie piękniej niż z obrazka!

Błysnął śnieżnobiałym uśmiechem i pokazał dołeczki w policzkach, a Eeny prawie zemdlała.

– Dzień dobry. – Podeszłam z wyciągniętą dłonią. – Jestem Bianca, a to Ambrosine.

– Mów mi Eeny – zaszczebiotała, wyraźnie flirtując. – Jak się masz?

– Bardzo miło poznać was obie – powiedział, ściskając moją dłoń, i skinął ciepło do Eeny. – Muszę przyznać, że nie mogłem się doczekać, kiedy tu wpadnę i posmakuję pani kuchni, panno Bianco, ale po prostu nie znalazłem czasu. Byłem ogromnym fanem restauracji pani mamy. I muszę przyznać, że niezwykle ją pani przypomina. Te piękne kości policzkowe.

Eeny i ja spojrzałyśmy po sobie. Ten mężczyzna mógłby zaczarować każdego. Co, na Boga, robił, pracując dla Bestii, pozostawało dla mnie tajemnicą.

– Dziękuję, bardzo miło to słyszeć, panie…?

– Gdzie moje maniery! Rayford Hayes, majordomus pana Boudreaux. – Ukłonił się lekko. – Do usług.

Pewnie dopiero co zaczął tę pracę. Nie ma mowy, żeby ktoś tak uroczy mógł pracować z Bestyjką dłużej niż tydzień, nie tracąc przy tym zmysłów.

Chciałam jak najszybciej skończyć to spotkanie, żebym mogła wrócić do restauracji i zabrać się za przygotowania.

– Możemy jechać?

– Tak, proszę pani. Eeny. – Zwrócił na nią ciepłe spojrzenie i uniósł dwa zgięte palce do czoła, w lekkim salucie. – Życzę cudownego dnia.

Jej lekkie westchnienie i trzepotanie rzęsami sprawiły, że musiałam przygryźć wargi, żeby się nie roześmiać.

– Panu również, panie Hayes – odparła, machając do niego palcami. – Pa, pa!

Potrząsnęłam głową i ruszyłam za Rayfordem do wyjścia. Otworzył dla mnie drzwi samochodu. Kiedy się zawahałam, zapytał:

– Wszystko w porządku, panno Bianco?

– Tak, ale… czy nie miałby pan nic przeciwko, gdybym usiadła z przodu, obok pana?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Obok mnie?

Zaczęłam czuć się głupio, że w ogóle zapytałam.

– Po prostu nie jestem przyzwyczajona, że ktoś mnie wozi. To wydaje się trochę… cóż, powiedzmy, że to nie w moim stylu.

Na policzkach Rayforda znowu pojawiły się dołeczki.

– Ależ oczywiście. Cokolwiek sprawi pani przyjemność. – Zamknął tylne drzwi, otworzył przednie, po stronie pasażera i wyciągnął rękę. – Zapraszam.

Uśmiechnęłam się do niego z wdzięcznością i wsiadłam. Zamknął drzwi, obszedł samochód wkoło i zajął miejsce kierowcy. Odpalił silnik i ruszyliśmy.

– To bardzo ładny samochód – powiedziałam, patrząc na kilometry miękkiej skóry i równie dużo błyszczącego drewna. Na desce rozdzielczej znajdowało się tyle technologii, że nawet astronauta dostałby zawrotów głowy.

Rayford się zaśmiał.

– Nie wydaje się pani pod wrażeniem.

Nie byłam, ale czułam się nieco zawstydzona.

– Sama w ogóle nie mam samochodu. Mieszkam sześć przecznic od restauracji i codziennie chodzę do pracy pieszo. Nie potrafiłabym powiedzieć, co to za samochód, nawet gdyby przystawił mi pan broń do głowy.

Tym razem śmiech Rayforda był jeszcze głośniejszy.

– Na pewno nie powiem o tym panu Boudreaux. To mogłoby złamać mu serce.

To on ma serce? Kto by pomyślał.

– Długo pan dla niego pracuje? – Próbowałam prowadzić swobodną rozmowę, ale byłam też ciekawa.

– Pracuję dla jego rodziny przez większość życia. Znam Jacksona od urodzenia.

Zatrwożona tą wiedzą, zerknęłam na przystojny profil Rayforda.

– Naprawdę?

Przytaknął.

– Poszedłem do pracy u Clemmy i Briga jeszcze zanim pojawił mi się zarost. Zaczynałem od stajni, sprzątałem boksy, potem awansowałem do pralni, a w końcu zacząłem pracę w kuchniach.

Stajnie? Pralnia? Kuchnie, liczba mnoga? Brzmiało to tak, jakby pracował w pałacu. Zafascynowana, słuchałam, jak mówił dalej.

– Tam nauczyłem się wszystkiego, co potrzebne, żeby prowadzić główny dom. Chociaż posiadłość Jacksona jest dużo mniejsza niż jego rodziców, wciąż jest tam okropnie dużo roboty.

Nie wątpię. Samo utrzymanie przy nim zdrowych zmysłów musi być mordęgą.

– Więc jak to się stało, że zamieszkał pan z nim w Nowym Orleanie?

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której Rayford w zamyśleniu wyglądał przez okno, zanim odparł łagodnie:

– Nie ja powinienem opowiadać tę historię, panienko.

No proszę. Właśnie wdepnęłam w wielką, cuchnącą kupę nie mojego interesu.

– Rozumiem. Przepraszam. Mama zawsze mi powtarza, że za dużo mówię. Twierdzi, że mój dar mówienia jest bliższy przekleństwu.

Posłał mi uśmiech i gładko zmienił temat.

– A jak się miewa pani mama? Nie znałem jej zbyt dobrze, byłem tylko okazjonalnym gościem, jak wspominałem, ale było mi bardzo przykro z powodu tego, co stało się z jej restauracją po przejściu Katriny.

Wywróciło mi się w żołądku. Wyjrzałam przez okno i zapatrzyłam się w uciekającą drogę.

– Wszystko u niej w porządku, dziękuję, że pan pyta. Widziałam się z nią dzisiaj rano. Mieszkamy niedaleko siebie i lubię do niej zaglądać po drodze do restauracji.

Poczułam jego spojrzenie i zastanawiałam się, czy wychwycił zmianę w moim głosie. Jeśli nawet, był zbyt uprzejmy, by o tym

wspomnieć.

Reszta drogi upłynęła nam na miłej pogawędce. Zanim podjechaliśmy do wielkiej, przesuwanej, żelaznej bramy, otoczonej kamiennym murem, prawie zapomniałam o tym, że martwię się o matkę.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Rayford. Jak zaczarowana, żelazna brama rozsunęła się powoli i mogłam pierwszy raz zobaczyć dom Bestii.

Przyznaję ze wstydem, że naprawdę westchnęłam na ten widok.

Rayford się zaśmiał.

– Pięknie tu, prawda?

Patrzyłam w zachwycie na imponującą posiadłość na końcu długiego, żwirowego podjazdu. Otoczona z obu stron prastarymi wierzbami płaczącymi i osadzona nad migoczącym brzegiem jeziora Pontchartrain, wyglądała jak miejsce, w którym prezydent mógłby spędzać weekendy, gdyby chciał odpocząć od Białego Domu.

Rayford powiedział z dumą:

– Rivendell ma dziesięć sypialni, dwanaście łazienek i ponad tysiąc pięćset metrów kwadratowych na pięciu hektarach działki. Jackson wykupił nieruchomości dookoła i zburzył domy, żeby mieć więcej prywatności.

Spojrzałam na Rayforda zaskoczona.

– Rivendell? Dom został nazwany na cześć krainy elfów z *Hobbita*?

Brwi Rayforda podjechały aż na czoło.

– Fanka Tolkiena?

– Ogólnie książek. W zasadzie mam lekką obsesję. Czytam wszystko.

– Doprawdy – zadumał się, rzucając mi ciekawskie spojrzenie.

Uśmiechnął się tajemniczo, co uznałam za nieco dziwne.

– Ojciec zawsze czytał mi przed snem, kiedy byłam mała. Przypuszczam, że już wtedy zakochałam się w książkach i ten romans trwa do dzisiaj.

– W takim razie na pewno chętnie zobaczy pani bibliotekę – stwierdził Rayford. – Mógłbym przysiąc, że mamy więcej książek niż Biblioteka Kongresu.

Zamilkłam na chwilę. Bestia również kochał książki?

Stwierdziłam, że zapewne kazał dekoratorowi wnętrz kupić pierwsze wydania, żeby móc chwalić się przed swoimi bogatymi przyjaciółmi. Istniała również spora szansa, że posiadał kolekcję drogich win, o których nie miał pojęcia. Człowiek, który pochłaniał jedzenie tak beznamiętnie jak Jackson Boudreaux, z pewnością nie potrafił docenić ani literatury, ani dobrego wina.

Kiedy podjechaliśmy bliżej domu, stałam się bardziej nerwowa. Świadomość tego, w co się wpakowałam, zaczęła do mnie docierać. Jeśli przyjęcie nie wypadnie jak należy, zapewne wina za to spadnie na mnie. A ja nie miałam wątpliwości, że Jackson bez zastanowienia powiedziałby, co o mnie myśli i to w obecności trzech setek gości, jeśli nie byłby w pełni usatysfakcjonowany jedzeniem.

– Wygląda pani na nieco przerażoną, panno Bianco. – Rayford uśmiechnął się do mnie. – Wszystko w porządku?

– Jak najlepszym! – odparłam radośnie. Prędzej odgryzłabym sobie rękę, niż przyznała, że czuję się onieśmielona.

Rayford się zaśmiał.

– Dobrze. On też nie może się doczekać spotkania.

Czekaj. *Co?*

Zanim zebrałam myśli na tyle, żeby sklecić jakąś błyskotliwą odpowiedź, Rayford powiedział:

– A! O wilku mowa!

Kiedy podążyłam za jego spojrzeniem, serce mi zamarło.

Przed ogromnymi drzwiami frontowymi, z szeroko rozstawionymi nogami i ramionami skrzyżowanymi na piersi, stał Jackson, ubrany jak zwykle na czarno, z miną, jakby zaraz miał rozpocząć wojnę nuklearną.

W rzeczy samej wilk, pomyślałam, powstrzymując westchnienie. Spodziewałam się, że to Rayford oprowadzi mnie po domu i kuchni, ale najwidoczniej Bestia miał inne plany.

Pewnie pomyślał, że będę próbowała coś ukraść.

Kiedy tylko samochód się zatrzymał, Jackson otworzył moje drzwi. Wpatrywał się we mnie zmrużonymi oczami i przechylił lekko głowę.

– Dlaczego siedzisz z przodu?

Prawda. Powinnam przestrzegać protokołu, bo jestem *pomocą*.

Rumieniec wystąpił mi na szyję i oblał policzki. *Boże, daj mi cierpliwość, żebym zaraz nie zdjęła buta i nie rzuciła nim prosto w jego jaja.*

– I panu również dzień dobry, panie Boudreaux – powiedziałam słodkim głosem. – Widzę, że jest pan w swoim zwykłym, promiennie tęczowym nastroju. Znowu zapodział pan gdzieś pigułki na człowieczeństwo?

Jego usta się zacisnęły.

Po drugiej stronie wyczułam, że Rayford próbuje powstrzymać śmiech.

Jackson cofnął się o krok i otworzył szerzej drzwi – niemy rozkaz, żebym wysiadła.

Zachowałam neutralny wyraz twarzy, gdy zaskoczył mnie, oferując mi dłoń. Ujęłam ją ostrożnie, chociaż częściowo spodziewałam się, że zmiażdży mi palce w swojej ogromnej ręce. Jego chwyt był pewny i opanowany, ani trochę miażdżący, choć moje palce praktycznie zniknęły w jego ogromnej dłoni.

Kiedy tylko stanęłam na nogach, puścił moją rękę, jakby go parzyła. Potem odwrócił się i bez słowa zniknął we wnętrzu domu.

Rozdrażniona, zapytałam Rayforda:

– On zawsze jest taki czarujący?

Rayford uśmiechnął się do mnie. Wyglądał na trochę smutnego.

– Nie każdy ma dar mówienia, panienko. – Patrząc na puste wejście, dodał: – Jeśli jest się traktowanym jak bezpański pies wystarczająco długo, człowiek zaczyna wierzyć, że właśnie tym jest i tak się zachowuje.

Po tym tajemniczym stwierdzeniu, odwrócił się i podążył do domu za swoim pracodawcą, pozostawiając mnie na podjeździe, aż zaczęłam się zastanawiać, w co właściwie się wpakowałam.

OSIEM

BIANCA

Jeśli sądziłam, że Rivendell od zewnątrz to było coś, wnętrze dosłownie sprawiło, że szczęka mi opadła.

Wielkie, marmurowe rzeźby rozstawione wszędzie: są.

Bezcenne obrazy olejne francuskich i włoskich mistrzów: są.

Sala balowa, pokój bilardowy, domowa sala widowiskowa: jest, jest i jest.

Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Nie byłam też w domu tak przeszywająco zimnym.

– Powinnam była wziąć sweter – powiedziałam do Rayforda, kiedy przeszłam obok niego, drżąc. Echo każdego naszego kroku odbijało się od ścian i zamierało w upiornej ciszy. Miałam dziwne uczucie, jakbym znajdowała się wewnątrz krypty.

– Przyzwyczaisz się – powiedział Rayford. – Ogrzewanie zawsze jest włączone, ale marmur za nic nie chce się nagrzewać, a o tej porze roku chłodna bryza od jeziora niczego nie ułatwia. W kuchni jest lepiej.

Minęliśmy kolejne ogromne pomieszczenie, które zapewne było oficjalną jadalnią, z wypolerowanym, dębowym stołem długości pasa startowego. Potem dotarliśmy do biblioteki, a ja prawie zmoczyłam się z ekscytacji.

– Jasna cholibka! – powiedziałam, zatrzymując się, żeby popatrzeć.

Rayford się roześmiał.

– Mówiłem, że mamy dużo książek.

Dużo nawet w części nie oddawało rzeczywistości. Biblioteka była wysoka na trzy piętra, zwieńczona sklepionym sufitem, wymalowanym w reprodukcje fresków z Kaplicy Sykstyńskiej.

Żyrandole migotały nad głową. Wielki, marmurowy kominek rozciągał się na jednym końcu pomieszczenia. Z rogu zapraszająco kusiły krzesła i miękka kanapa. I wszędzie, gdzie spojrzałam, widziałam książki. Upchnięte na półkach, pokrywających całe ściany, ułożone w stosy na wielkich stolikach kawowych, oprawione w skórę grzbiety lśniły pozłacanymi literami. Każda wyglądała jak pierwsze wydanie. Palce aż mnie świerzbiły, żeby dotknąć wszystkich.

Usłyszałam za sobą głos:

– Czytasz?

Oczywiście to Jackson. Nikt inny nie zdołałby podać w wątpliwość mojej umiejętności czytania.

– Pasjami – odparłam, nie mogąc oderwać wzroku od wszystkich tych cudowności, które wabiły mnie i czarowały. Rozproszona i pełna podziwu, dodałam: – Tuż przed śmiercią ojciec zapytał mnie, jak wyobrażam sobie raj. Powiedziałam mu, że raj to biblioteka pełna wygodnych krzeseł, z dobrym oświetleniem i każdą książką, jaka kiedykolwiek została napisana. Gdybym tu mieszkała, spędzałabym w tym pomieszczeniu cały czas.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Jackson przesunął się, stając w moim polu widzenia. Gęsty zarost na szczęce, gęste włosy wołające o fryzjera, a w głowie zapewne też aż gęsto od wycia jego leśnych pobratymców.

– To wyjaśniałoby twoje interesujące menu koktajlowe – powiedział szorstkim głosem.

Odwróciłam głowę, by na niego spojrzeć.

– Interesujące? Nie pretensjonalne?

Napotkał moje spojrzenie. Jego niebieskie oczy nie błyszczały taką stalą jak zwykle. W zasadzie prawie można było nazwać je ciepłymi.

– Pretensjonalne byłoby tylko wtedy, gdybyś oszukiwała – powiedział. Przez chwilę oceniał mnie przeszywającym wzrokiem. – Czyli najbardziej lubisz klasyki?

Znowu odnosił się do mojego menu koktajlowego, które oprócz Romeo i Julep oraz Ostatniego Mojitanina, zawierało takie mieszanki inspirowane literaturą jak Tequila Mockingbird czy Huckleberry Sin. Tak, wszystkie były zainspirowane klasycznymi powieściami.

– Mój ojciec najbardziej lubił klasyki – powiedziałam cicho. – Stworzyłam menu koktajlowe na jego cześć.

Patrzyłam mu w oczy, więc mogłam dostrzec krótki przebłysk żalu.

– Przepraszam – powiedział sztywno. – Nie wiedziałem.

– Bo nie zadałeś sobie trudu, żeby zapytać.

Patrzeliśmy sobie w oczy w zupełnej ciszy, aż Rayford dyskretnie odchrząknął.

– Ehm. Czy powinniśmy przejść do kuchni, sir?

Jackson skinął krótko i odwrócił się na pięcie, znowu dając mi widok na swoje szerokie plecy. Pomaszerował korytarzem, skręcił za róg i zniknął nam z oczu.

– Cóż – powiedział Rayford, wyglądając na nieco oszołomionego. – Myślę, że powinna pani kupić dziś kupon na loterię, panno Bianco.
Kiedy spojrzałam na niego z uniesionymi brwiami, zaśmiał się.

– Pan Boudreaux nie przeprosił nikogo, odkąd pamiętam. To musi być pani szczęśliwy dzień.

– Rayfordzie – powiedziałam, biorąc go pod ramię. – Nie zmuszaj mnie, żebym zaczęła przeklinać. Moja mama tego nie lubi.

Jego śmiech odbił się echem od marmuru, kiedy Rayford prowadził mnie korytarzem, coraz dalej od biblioteki.

***

– …a wszystkie patelnie są tutaj – powiedział Jackson, otwierając kolejną, ogromną szufladę, by ukazać szeroki wybór elegancko ułożonych garnków i patelni.

Oprowadził mnie po całej kuchni, zaczynając od spiżarni, przez profesjonalne kuchenki, aż po szafki nad zlewem, a skończył na całej ścianie szafek nad rzędem piekarników. Kuchnia była prawie tak duża jak biblioteka, z własnym kominkiem w jednym końcu i telewizorem z płaskim ekranem na przeciwległej ścianie. Wszystko aż błyszczało pierwszorzędną perfekcją.

Rayford miał rację. Kuchnia była dużo cieplejsza od reszty domu. Z ogniem trzaskającym i strzelającym w samym sercu oraz telewizorem nastawionym na poranne wiadomości było tam prawie przytulnie.

– Boczne patio zostanie wykorzystane jako scena – ciągnął Jackson, wskazując w stronę francuskich drzwi, otwartych na szerokie, wykładane kostką patio, ocienione baldachimem z wiciokrzewu. – Na południowym trawniku zostanie ustawiony namiot, w którym umieścimy stoły do kolacji. Cicha aukcja ma rozpocząć się o czwartej, wraz z podaniem koktajli i przekąsek, a kolacja zacznie się o szóstej.

– Z którym koordynatorem współpracujesz?

Jackson wymienił nazwisko dobrze znanej, lokalnej koordynatorki, która specjalizowała się w ogromnych imprezach. Skinęłam głową, zadowolona z wyboru.

– Załatwiła już wszystkie najważniejsze rzeczy, w tym wypożyczenie porcelany, szkła, obrusów, stołów i innych takich. Wszystko zostanie ustawione dzień wcześniej, więc nikt nie będzie się tu kręcił i przeszkadzał ci w pracy.

To brzmiało dobrze. Sprawy wyglądały lepiej, niż śmiałabym oczekiwać.

– Będę musiała porozmawiać z nią o ustawieniu bufetu…

– To nie będzie bufet – przerwał mi. – Kolacja zostanie zaserwowana.

– Zaserwowana? – powtórzyłam i poczułam, że zaczynam się pocić.

Kącik ust Jacksona powędrował w górę.

– Zatrudniłem kelnerów. I barmanów. Ty masz się martwić tylko przygotowaniem jedzenia.

No jasne. Łatwizna. Po prostu pestka. Przygotować dość jedzenia dla trzystu osób, utrzymać je gorące, ale nie przesuszyć, skoordynować równoczesny serwis trzystu przystawek, dań głównych i deserów – a wszystko to zarządzając i dowodząc wielką grupą kelnerów, których poznam kilka godzin wcześniej – to przecież żaden problem.

Najłatwiejsze dwadzieścia tysięcy, jakie kiedykolwiek zarobiłam.

Mój uśmiech był pewniejszy, niż sama się czułam.

– Świetnie. Jeśli to możliwe, chciałabym jeszcze dzisiaj porozmawiać z koordynatorką.

– Rayford przekaże ci do niej kontakt, zanim wyjdziesz. Koordynator z WWP również chce z tobą porozmawiać.

Czyli gala charytatywna miała na celu zebrać pieniądze dla weteranów. Zaskoczyło mnie, że nie miała jakiegoś bardziej powierzchownego przeznaczenia, jak Miliarderzy Bez Młodych Żon albo Fundacja Na Rzecz Samolubnych Dupków z Południa.

Mój były mógłby zostać jednym z założycieli tej ostatniej.

– Och, byłeś w armii? – zapytałam.

Jackson podszedł spokojnym krokiem do dużej, marmurowej wyspy na środku kuchni, wysunął krzesło i usiadł. Złożył ręce i spojrzał na mnie ze ściągniętymi brwiami.

– W kwestii menu.

Najwidoczniej wdepnęłam w kolejną, cuchnącą kupę cudzego interesu.

Zdeterminowana, by nie popełnić znowu błędu zadawania osobistych pytań, dołączyłam do niego przy wyspie i wysunęłam sobie krzesło naprzeciwko. Z notatnika wyjęłam menu, nad którym pracowałam do drugiej w nocy. Podałam mu kartki i patrzyłam, przygryzając wargę, gdy zaczął czytać.

Po kilku nerwowych minutach ciszy, powiedział:

– Może być. A karta win?

– Nie – odparłam.

Jego głowa podskoczyła do góry. Bez mrugnięcia spiorunował mnie wzrokiem.

– Nie?

– Karta whiskey. A dokładniej mówiąc, pasujących burbonów Boudreaux.

Wpatrywał się we mnie długo, miażdżącym spojrzeniem. Miałam wrażenie, że zaraz znowu zacznie warczeć, ale rzucił tylko krótkie:

– Wyjaśnij.

Moje serce przyspieszyło i zaczęłam mówić.

– Kiedy powiedziałam, że uwielbiam burbon waszej rodziny, to była prawda. Istnieje przyczyna, dla której to najlepiej sprzedający się alkohol na świecie…

– Tak. Miliony dolarów wydane na marketing – stwierdził Jackson.

Zaskoczył mnie gorzki ton jego głosu.

– Nie, to po prostu najlepsza whiskey, jaką można kupić za pieniądze…

Zacisnął zęby i odwrócił wzrok.

– Już ma pani tę pracę, panno Hardwick. Nie musi pani wchodzić mi w tyłek.

Zaczerwieniłam się i odpowiedziałam:

– Nigdy nie wchodzę nikomu w żadne otwory, panie Boudreaux. Wasz burbon jest najlepszy, gdyby tak nie było, nie dodawałabym go do jedzenia i nie podawała swoim cholernym gościom!

Spojrzał mi w oczy. Wpatrywaliśmy się w siebie, a napięcie iskrzyło, jakby między nami znajdował się przewód wysokiego napięcia. Miałam wrażenie, że nie za bardzo wiedział, co ze mną zrobić, takie wredne, małe nic z niewyparzoną gębą. A ja zdecydowanie nie wiedziałam, co zrobić z nim.

Nabrałam powietrza, żeby się uspokoić. Mimo że ten mężczyzna mógłby wywołać kłótnię w pustym domu, sprzeczanie się z nim donikąd mnie nie zaprowadzi. I nie mogłam ryzykować, że wkurzy się na tyle, żeby mnie zwolnić, bo za bardzo potrzebowałam tych pieniędzy.

– Popatrz. Całe jedzenie, które zaproponowałam – wskazałam na kartki w jego dłoni – zostało wybrane specjalnie dlatego, że dobrze pasuje i podkreśla unikalne aspekty i różne linie burbona, który sprzedajesz.

– Który sprzedaje moja rodzina – stwierdził gorzko.

Niech mnie drzwi ścisną. Rozmawiać z tym człowiekiem o burbonie to jak wyznaczać drogę przez pole minowe. Jakakolwiek historia kryła się za jego nastawieniem do rodzinnego interesu, to z pewnością jakaś grubsza sprawa.

– Wybacz – powiedziałam sztywno. – Który sprzedaje twoja rodzina. Wpadłam na pomysł, że skoro to ty organizujesz przyjęcie, w odróżnieniu od przypadkowego Joe Miliardera, którego rodzina produkuje kostki toaletowe, byłoby dobrze pokazać kunszt i mistrzostwo twojej rodziny. Myślę, że to byłaby prawdziwa gratka dla twoich gości, bardziej osobiste podejście. No bo skoro zadajesz sobie tyle trudu, by to przyjęcie było wyjątkowe, dlaczego nie olśnić ich tym, co najlepsze? Pokaż im, co znaczy nazwisko Boudreaux.

Pokaż im, jak smakuje dwieście lat dopracowywania procesu destylacji. Daj im prawdziwy smak, nie tylko namiastkę!

Spojrzał na mnie, potem na menu i westchnął głęboko, jakby uchodziło z niego powietrze, po czym przeczesał włosy obiema dłońmi.

– Chryste – mruknął, zaplatając palce za głową – mój ojciec by cię pokochał.

To zabrzmiało zupełnie jak obelga, ale wyczułam pęknięcie w jego zbroi, więc kontynuowałam.

– Po wydaniu przystawek zaczniemy od musującego koktajlu na bazie prosecco z dodatkiem whiskey silver label. Nazywa się Stary Kubańczyk… posmakuje ci.

Kiedy zmarszczył brwi, jakby wątpił w to, że mógłby kiedykolwiek go polubić, czym prędzej wróciłam do tematu.

– Będziemy też mieć klasyczne mojito z białym rumem Boudreaux Special Select, które idealnie dopasuje się do pierwszego dania. Danie główne zawiera duszoną wołowinę, smakującą pysznie z black label… cały ten dymny, mięsisty charakter wydobędzie smak mięsa. A na deser możemy zrobić Honney-Hatton z miodową whiskey, do której podamy sernik z imbirem i pomarańczą. Aż mi ślinka cieknie na samą myśl!

Jackson wpatrywał się we mnie tak długo, że zaczęłam się podejrzewać o przyśnięcie i przegapienie czegoś. W końcu powiedział:

– Ty naprawdę uwielbiasz mój rodzinny burbon, prawda?

Powiedział to tak, jakbym przez to była naprawdę dziwna, co mnie zaskoczyło.

– A ty nie?

Ten wściekły mięsień na jego twarzy znowu się pojawił i podskakiwał jak szalony.

– Jasne, tak samo jak uwielbiam leczenie kanałowe.

Ilość dramatu rodzinnego zawartego w tym jednym zdaniu mogłaby udusić słonia.

Zauważyłam, że w którymś momencie podczas naszego spotkania Rayford się ulotnił.

– Panie Boudreaux, wiem, co robię. Naprawdę trudno jest dopasować drinki do jedzenia, zwłaszcza przez cały posiłek, a to jest kolejna rzecz, która sprawi, że wszystko będzie naprawdę wyjątkowe. Mogę się założyć o duże pieniądze, że żaden z pana gości nigdy wcześniej nie skosztował burbona skomponowanego z czterodaniowym posiłkiem. Proszę mi zaufać. Będzie fantastycznie. A im lepiej goście będą się czuli, tym szerzej otworzą portfele. Przecież o to właśnie chodzi, prawda?

Jego wzrok był intensywny i niewzruszony, przepełniony pociągającym wrażeniem skoncentrowanej uwagi, która była tak ciężka i intymna, że odczuwało się ją prawie jak dotyk.

Była niemal seksualna.

– Mów mi Jackson – powiedział nagle.

Delikatnie, z uśmiechem, odpowiedziałam:

– Gdybym chciała nazywać pana Jackson, zrobiłabym to, panie Boudreaux.

Jego intensywny wzrok zaczął wręcz palić.

– Przypuszczam, że na to zasłużyłem – burknął. – Na swoją obronę powiem, że kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, miałem okropny dzień. Mogłem być trochę ostrzejszy niż zwykle.

Zaśmiałam się.

– Ostry? A może nietaktowny! Albo chamski! A tak przy okazji, ludzie ciągle miewają złe dni, ale nie zmieniają się w humorzaste potwory, które obrażają wszystko w zasięgu wzroku. To się nazywa zwykła grzeczność.

Nie ruszył się. Jedyne, co zrobił, to zatrzepotał rzęsami. Powiedział po prostu:

– Gdybyś była moja, przełożyłbym cię przez kolano za tę małą przemowę.

Prawie spadłam z krzesła.

Zanim zdołałam dojść do siebie, blondwłose dziecko, około trzy lub czteroletnie, wbiegło do kuchni, śpiewając *Jingle Bells* na całe gardło.

I wtedy stał się cud. Twarz Jacksona „Bestii” Boudreaux rozszerzyła się w wielkim, szczerym uśmiechu.

– Cody! – Przyklęknął i chwycił malca w niedźwiedzi uścisk.

Patrzyłam w sześciu różnych stadiach szoku, jak chłopiec owinął swoje małe ręce wokół szyi Jacksona i krzyknął z radości, kiedy ten zakręcił nim, a szczęśliwy uśmiech nadal rozświetlał jego twarz.

– Przepraszam, panie Boudreaux, uciekł mi!

Udręczona, około pięćdziesięcioletnia blondynka wbiegła do kuchni, dysząc. Miała ślady jedzenia na bluzce, włosy sterczały jej we wszystkich kierunkach, uciekając z kucyka, a wyglądała tak, jakby nie spała od roku. Od razu zrobiło mi się jej żal.

– W porządku, Charlie. Usiądź. Ja go wezmę.

Jackson pocałował Cody'ego w policzek i uniósł wysoko w powietrze, sprawiając, że chłopiec ponownie wrzasnął z zachwytu.

Nie, żebym zamierzała zapytać, ale jasne włosy chłopca wskazywały, że Jackson prawdopodobnie nie był jego ojcem. A charakterystyczne ukształtowanie twarzy sugerowało, że mały miał zespół Downa.

Charlie, która zapewne była nianią Cody'ego, zerknęła na mnie.

– Och, nie, sir. Widzę, że jest pan zajęty.

– Powiedziałem usiądź – warknął.

Nie sprzeczając się dalej, Charlie z wdzięcznością opadła na krzesło obok mojego.

– Dzień dobry – powiedziała, odsuwając z twarzy kilka pasm włosów. – Jestem Charlotte Harris.

Uścisnęłam jej wyciągniętą dłoń.

– Bianca Hardwick. Miło mi cię poznać.

Twarz Charlie się rozpromieniła.

– Jesteś nowym szefem kuchni! Och, dzięki niebiosom. Obawiam się, że mój repertuar kończy się na jajecznicy i tostach. Biedny pan Boudreaux musiał przetrwać na ochłapach, odkąd Gregory odszedł, a ja…

– Ona pomaga tylko przy przyjęciu, Charlie – powiedział Jackson, sadzając sobie Cody'ego na ramionach. Wstał, przytrzymując chłopca jedną silną ręką za plecy, a drugą położył na jego biodrze, jak dumny drwal niosący drewnianą kłodę.

To było urocze.

Słowo, którego nigdy w życiu nie spodziewałam się użyć wobec Jacksona Boudreaux.

Widać było, że Cody to uwielbia. Nie przestał śpiewać, śmiać się i krzyczeć radośnie, odkąd pojawił się w pomieszczeniu. Energia go rozpierała. Rozumiałam, dlaczego Charlie była taka zmęczona.

– Cóż, skoro już tu jestem, może przygotuję coś na lunch?

Charlie wyglądała, jakbym właśnie powiedziała jej, że wygrała milion dolarów.

– Och, nie, nie mogłabym cię o to prosić – powiedziała, ale jej wzrok błagał, żebym zaprzeczyła.

Uśmiechnęłam się i ścisnęłam jej ramię.

– Oczywiście, że możesz. Siedź spokojnie, a ja zobaczę, co znajdę w tym hangarze samolotowym, który nazywacie lodówką.

Wstałam. Jackson i ja spojrzeliśmy sobie w oczy, a w moim żołądku coś zatrzepotało. *Jest zły? O co chodzi z tym spojrzeniem?*

Zamarłam niepewna, czy przekroczyłam jakąś granicę.

– To znaczy… chyba, że wolałby pan, żebym tego nie robiła.

Jackson ostrożnie postawił Cody'ego na nogi. Kiedy tylko jego małe buciki dotknęły podłogi, ruszył prosto na mnie, rączki szeroko rozłożone, paluszki gotowe do chwytania.

– Pani! – krzyknął. – Cześć, pani!

Zderzył się z moimi nogami, owinął wokół nich swoje pulchne ramionka, odchylił głowę i uśmiechnął się do mnie. Odpowiedziałam mu tym samym.

– Cześć Cody. Jestem Bianca. – Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam jego włosy, miękkie jak puch kurczaczka.

Cody krzyknął:

– *Jingle bells*! – I się zaśmiał.

– Tak, panno Hardwick, myślę, że wszyscy bardzo byśmy tego chcieli – powiedział cicho Jackson.

Zdałam sobie sprawę, że pozwolił Cody'emu zdecydować, czy powinnam zostać i przygotować dla nich lunch. Kimkolwiek był dla niego ten chłopiec, Jackson bez wątpienia go kochał.

Nie miałam pojęcia, dlaczego mnie to poruszyło, ale tak właśnie się stało, i to do głębi. Spojrzałam na Jacksona i powiedziałam instynktownie:

– Proszę, mów mi Bianca.

Jego usta zadrgały. Oczy mu zapłonęły. Skinął mi krótko i nieznacznie. Odwróciłam się, zanim mógł zobaczyć, jak moja twarz zapłonęła rumieńcem.

Potem zajęłam się przygotowaniem lunchu, próbując nie przywoływać w głowie obrazu jego oczu, kiedy powiedział: *Gdybyś była moja*.

STARY KUBAŃCZYK BIANKI

Na jedną porcję

- 60 ml prosecco
- 40 ml burbona
- 30 ml syropu cukrowego
- 25 ml świeżego soku z limonki
- 20 kropli gorzkiej wódki Angostura
- Świeże liście mięty dla ozdoby

Przygotowanie

- Wszystkie składniki, poza prosecco, wlej do shakera i uzupełnij lodem.
- Potrząsaj energicznie, żeby schłodzić.
- Przelej do schłodzonej szklanki.
- Na górę nalej prosecco i ozdób liśćmi mięty.

Przygotowanie syropu cukrowego

- Do rondla wlej szklankę wody i wsyp szklankę cukru, doprowadź do wrzenia, mieszając, aż cukier się rozpuści. Zdejmij z ognia. Przechowuj pozostałość w hermetycznym pojemniku w lodówce, do dwóch tygodni.

DZIEWIĘĆ

JACKSON

Ojciec powiedział mi kiedyś, że jedyna różnica między kobietą a rekinem ludojadem to rozmiar zębów.

Wtedy się z nim zgadzałem. Miałem ku temu dobry powód. Jednak obserwowanie Bianki Hardwick poruszającej się z gracją po mojej kuchni, przygotowującej nam lunch, gdy w międzyczasie rozmawiała z Charlie i zaczepiała Cody'ego, jakby znała go od urodzenia, sprawiło, że tamto stwierdzenie wydało mi się zbyt surowe.

I żaden rekin na świecie nie miał takiego tyłka jak Bianca.

Poza byciem dziełem sztuki, ta cholerna część ciała działała jak magnes na moje oczy. Już z pół tuzina razy przyłapałem się na gapieniu się na niego, a mój kutas podskakiwał w spodniach jak u jakiegoś nastolatka. Nawet te ohydne, brązowe spodnie robocze, które lubiła, a które wyglądały, jakby uszyto je ze starego worka po ziemniakach, nie mogły umniejszyć jego uroku.

Był krągły jak jabłuszko. Taki jędrny i gładki. Chciałem oprzeć Biancę o krzesło, zsunąć z niej te spodnie i zatopić w nim zęby. Chciałem go ściskać, całować, dawać klapsy i…

Chryste, co się ze mną działo?

Weź się w garść, Jackson!

– …trochę pieprzu?

Otrząsnąłem się akurat w chwili, gdy Bianca zadała mi pytanie. Coś o pieprzu. Nie mogłem sobie przypomnieć, bo cała krew z mojego mózgu spłynęła na południe.

– Co? Co powiedziałaś?

Bianca przechyliła głowę i spojrzała na mnie z lekkim zdziwieniem spod długich, podkręconych, czarnych rzęs.

– Zapytałam, czy chciałbyś trochę świeżo mielonego pieprzu do swojego makaronu?

Trzymała w dłoni młynek do pieprzu. Przede mną stała miska czegoś, co pachniało przepysznie. Nie miałem pojęcia, na jak długo odpłynąłem do Tyłkolandii, ale czułem się, jakbym został przyłapany na gorącym uczynku. Odpowiedziałem więc ostrzej, niż powinienem.

– Nie!

Bianca zamrugała. Jej brwi wygięły się w łuk.

– W porządku. Nie trzeba stawiać na nogi całego stanu – powiedziała.

Zwróciła się do Charlie i zadała to samo pytanie, ale otrzymała dużo uprzejmiejszą odpowiedź.

– Bardzo chętnie, dziękuję. To pachnie znakomicie, Bianco.

– W lodówce nie było za dużo – stwierdziła Bianca z uśmiechem. – Ale makaron i podsmażone warzywa zawsze są dobre na szybki i smaczny posiłek.

– Miło z twojej strony, że zrobiłaś makaron z serem dla Cody'ego – powiedziała Charlie, wskazując na chłopca. Siedział przy wyspie naprzeciwko mnie, radośnie wciągając makaron pokryty serem i uderzając stopami o metalowe nogi krzesła.

– Z doświadczenia wiem, że dzieci zawsze mają ochotę na makaron z serem, niezależnie jakie z nich niejadki.

– Masz dzieci? – zapytała Charlie.

To pytanie mnie przeraziło.

Założyłem, że Bianca nie była mężatką, ponieważ nie nosiła obrączki, ale to nie znaczyło, że nie miała dzieci. Mogła być po rozwodzie. Mogła być samotną matką. Mogła być kimkolwiek, a mój wewnętrzny jaskiniowiec od razu stwierdził, że potrzebowała ochrony.

Bianca się zaśmiała.

– Nie, ku wielkiemu rozczarowaniu mojej mamy.

Wtedy śmiech zamarł. Na jej twarzy pojawiło się coś dziwnego. Na chwilę w jej oczach mignął ból, ale zaraz wzruszyła ramionami i się uśmiechnęła.

Ten uśmiech wyglądał na wymuszony.

Powstrzymałem potrzebę zapytania, co się działo, chociaż wyraźnie coś było na rzeczy. Jednak wiedziałem, że nic by nie powiedziała. Poza tym, teraz była moją pracownicą. Musiałem przestać myśleć o jej cudownym tyłku czy o rozwiązywaniu jej problemów i zachować profesjonalne relacje.

Ktoś musiał wyjaśnić to mojemu fiutowi, bo wcale mnie nie słuchał. Tyłkolandia była zbyt wielką pokusą.

– Chociaż pewnego dnia, mam nadzieję. Kocham dzieci – powiedziała Bianca.

Kocha dzieci. Wygląda tak dobrze, uwielbia czytać, gotuje jak szef z trzema gwiazdkami Michelina i kocha dzieci.

I dała mi jasno do zrozumienia, że nie może mnie znieść.

Wpakowałem sobie makaron do ust, żeby powstrzymać jęknięcie, które formowało się w mojej piersi.

Bianca podeszła do Cody'ego i zmierzwiła mu włosy. Uśmiechnął się do niej szeroko, a ser miał rozmazany na brodzie i rączkach. Potem wypłukała naczynia w zlewie i włożyła je do zmywarki, jakby od lat przygotowywała posiłki w mojej kuchni.

Wpatrywałem się w nią przez chwilę, zaskoczony jak bardzo podobała mi się jej obecność tutaj. I sprawił to nie tylko jej spektakularny tyłek. To po prostu ona.

Pyskata, rządząca się, a jednak w ogóle nieprzypominająca rekina.

I nie może mnie znieść.

I jest teraz u mnie zatrudniona.

Jasna cholera.

– Ale teraz naprawdę muszę wracać do restauracji. Dziś po południu zadzwonię do obojga koordynatorów – powiedziała, odwracając się do mnie – i dam ci znać, czy mam jeszcze jakieś pytania.

– W porządku – burknąłem w moją miskę przepysznego makaronu. A potem dlatego, że mój kutas podrygiwał, a ona wychodziła, chociaż chciałem, żeby została, a kurewsko nienawidzę czuć się zdezorientowany i beznadziejnie radzę sobie z pożegnaniami, warknąłem: – Przy wyjściu Rayford da ci czek na twoje wynagrodzenie.

Nawet mimo solidnej marmurowej płyty między nami czułem gniew Bianki na mój ostry, lekceważący ton. Spojrzałem na nią i odkryłem, że wpatruje się we mnie, a w jej pięknych, ciemnych oczach płonął ogień.

– To zawsze ogromna przyjemność, panie Boudreaux – powiedziała z cichym sarkazmem.

No i wróciliśmy do pana Boudreaux. Kurwa.

Pożegnała się z Charlie, odwróciła się i wyszła.

Przysięgam, że próbowałem nie gapić się na jej tyłek, kiedy szła, ale nawet Achilles miał swoje słabości.

DZIESIĘĆ

BIANCA

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam po tym, jak Rayford podrzucił mnie do restauracji, było popędzenie do banku, żeby zdeponować czek Jacksona na koncie mojej mamy. Pierwszą chemioterapię miała zaplanowaną za kilka dni i nie chciałam ryzykować, że Jackson wpadnie w jeden ze swoich niezrozumiałych nastrojów godnych bestii i wstrzyma czek.

Po zrobieniu tego poczułam się lepiej.

Dopóki nie wpadłam na mojego byłego na parkingu banku. Dosłownie wpadłam *na* niego.

Odgłos, który wydałam, zderzając się z jego klatką piersiową, był tak nieprzystający damie, że moja matka, słysząc to, zasyczałaby ze złości. Trochę chrząkniecie, trochę jęk, a trochę jak coś, co brzmiało, jakby wystrzeliło z mojego tyłka prosto na gorące powietrze, przepraszam za słownictwo. Zamachałam rękami, upuściłam torebkę i zatoczyłam się do tyłu, zaskoczona.

– Wow! – Silne dłonie chwyciły moje ramiona, by pomóc mi utrzymać równowagę. – Spokojnie, dziewczyno. Wiem, że jestem diabelnie przystojny, ale to nie powód, żeby się na mnie rzucać.

Spojrzałam w górę – i oto on. Diabeł we własnej osobie. Piękny jak posąg wykuty z marmuru i równie bezduszny.

– Nie schlebiaj sobie. – Odtrąciłam dłonie Trace'a. – Po prostu nie patrzyłam, gdzie idę.

Obejrzał mnie z góry na dół i się uśmiechnął.

Pozwólcie, że nakreślę sytuację.

Trace wygląda, jakby Denzel Washington, Dwayne Johnson, Jason Mamoa i jakaś gorąca, tahitańska modelka bikini urządzili sobie dziką orgię, a dziewięć miesięcy później wyskoczył on, z równą

porcją ich wszystkich najlepszych genów. Kiedy uśmiechał się do ciebie, miałaś wrażenie, że niebo rozstąpiło się w słoneczny dzień, a promień słońca padł na twoją głowę niczym niebiańska aureola.

Czułaś się wyjątkowa. Jak niezwykły, mały płatek śniegu błyszczący w słońcu, aż zdasz sobie sprawę, że on uśmiecha się w ten sposób do każdej napotkanej kobiety i wtedy zaczynasz czuć się jak idiotka.

– Gdzie się tak spieszysz, pszczółko? – zapytał.

Słysząc moje dawne przezwisko, mocno zacisnęłam zęby.

– Jak najdalej od ciebie – odparłam i podniosłam torebkę. Kiedy wyprostowałam się i chciałam go wyminąć, Trace zaszedł mi drogę.

– Poczekaj – powiedział, nagle poważniejąc. – Chcę z tobą porozmawiać.

– Nie. – Znowu próbowałam go ominąć, ale mi nie pozwolił.

– Bianco, proszę cię – powiedział niskim, błagalnym głosem, którego nigdy u niego nie słyszałam. – Naprawdę chcę z tobą porozmawiać.

Spojrzałam mu prosto w oczy. W te piękne, karmelowe, przecinane złotem oczy, które kiedyś potrafiły skłonić mnie do wszystkiego. Ale teraz już nie.

– Wiem, że nie bardzo łapiesz, więc pozwól, że ci to wyjaśnię, Trace – oznajmiłam. – Kiedy kobieta mówi: nie, to nie myśli: tak. Nie myśli: może. Nie myśli: proszę, spróbuj mi to wyperswadować, bo naprawdę tak nie uważam i chcę, żebyś postarał się trochę bardziej. Ona myśli: nie. N.I.E. A teraz zejdź mi z drogi.

– Ale nigdy nie dałaś mi szansy, żeby wyjaśnić…

– Wyjaśnić! – Roześmiałam się zdumiona jego bezczelnością. – Co wyjaśnić? Że potknąłeś się i upadłeś, a twój penis przypadkowo wylądował w mojej najlepszej przyjaciółce? I w kasjerce z Halley's Market? I w kelnerce z Dooley's? I w tej szmacie, kimkolwiek była, która pisała do ciebie o drugiej w nocy, żeby umówić się na seks? Coś często się potykasz, Romeo. Musisz iść do lekarza, bo możesz mieć problem z błędnikiem.

Przynajmniej miał na tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na zawstydzonego.

– Wiem, że byłem kretynem, ale przysięgam, zmieniłem się.

Uniosłam brwi.

– Naprawdę? Miałeś przeszczep mózgu?

– Nie. Odnalazłem Boga – odparł bardzo poważnie.

Po chwili ciszy odrzuciłam głowę do tyłu i się zaśmiałam.

– No to brawo ty! Alleluja! A teraz zabieraj swój zdradziecki tyłek, zanim stracę cierpliwość i poślę cię na spotkanie ze stwórcą!

Musiałam mu to przyznać. Stary Trace byłby wściekły o tę uwagę. Prawdopodobnie zrobiłby jakiś chamski komentarz o moim tyłku, który, jak zwykł mi mówić, mógł zostać „naprawiony" dzięki liposukcji. Jednak ten Trace – kimkolwiek był – wyglądał tylko na smutnego.

– Minęły dwa lata, Bianco. Przysięgam, jestem innym człowiekiem. Proszę, chcę tylko porozmawiać.

Założyłam ręce na piersi.

– Rozumiem. To jakiś program trzynastu kroków, tak? Musisz mnie przeprosić, bo inaczej nie przekroczysz bram raju?

Wzdrygnął się.

– Chyba chodziło ci o dwanaście kroków. I nie, to nie to. Ja tylko… Odcięłaś się ode mnie i nie odbierałaś telefonów…

– Wolałabym rozmawiać z komornikiem – przerwałam mu wściekle. – Przynajmniej wiem, że to byłaby szczera rozmowa.

I wtedy – z ręką na sercu, nie dałabym rady tego wymyślić – w oczach stanęły mu łzy. Wielkie, krokodyle łzy błyszczały i drżały, jakby makijażysta podbiegł właśnie z butelką gliceryny pomiędzy scenami filmu.

Powiedział chrapliwie:

– Przepraszam. Tylko tyle chciałem powiedzieć. Potraktowałem cię źle, a nie zasłużyłaś na to. Nie chciałem cię nachodzić po zerwaniu, ale miałem nadzieję, że gdzieś na ciebie wpadnę. I oto jesteś. Więc… przepraszam. Naprawdę cię kochałem, mimo tego, co zrobiłem. Zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy cię straciłem.

Zerknął na swoje buty, wziął głęboki oddech i spojrzał mi w oczy. Bardzo szybko dodał:

– W zasadzie nadal cię kocham, pszczółko. Myślę, że zawsze będę.

Muszę to przyznać. Moje serce wykonało salto, a w brzuchu zatrzepotały mi motyle. Kto by nie chciał, żeby jego były, w którym

był szaleńczo zakochany, popłaszczył się trochę po tym, jak potraktował go niczym jednorazową chusteczkę.

Na jego nieszczęście, dziewczyna, którą byłam, i ta, którą jestem teraz, to dwie zupełnie różne Bianki.

Odetchnęłam głęboko, wyprostowałam się i zadarłam brodę.

– Nie mogę powiedzieć, że miło było cię spotkać, Trace, ale na pewno interesująco. Życzę szczęścia.

Z wysoko uniesioną głową przeszłam obok niego żwawym krokiem. Nie obejrzałam się za siebie. Szłam dalej – prawie tak szybko, jakbym brała udział w zawodach – aż dotarłam do restauracji. Otworzyłam drzwi i wbiegłam do środka, żeby się schować, bo nie byłam w stu procentach pewna, że mnie nie śledził.

– Yyy, co robisz, dziecinko?

Zza moich pleców dobiegł zaskoczony głos Eeny.

– Upewniam się, że nikt mnie nie śledzi – odparłam, wyglądając na ulicę przez rolety w oknie.

– Śledzi? – Zachichotała. – Spotkanie z wilkołakiem poszło aż tak źle?

Zadowolona, że Trace nie wpadnie zaraz przez drzwi wejściowe, opuściłam rolety i odwróciłam się, by z westchnieniem spojrzeć na Eeny.

– Uch. To zupełnie inna katastrofa. Przypomnij mi, żebym strzeliła sobie kieliszek likieru, zanim znowu porozmawiam z Jacksonem Boudreaux. Może kiedy będę wstawiona, odnajdę w tym jakiś sens. Ale nie mówiłam o nim, chodziło o Trace'a.

Na wspomnienie jego imienia Eeny uczyniła znak krzyża nad piersią.

Nie byłam nawet pewna, czy była chrześcijanką, ale lubiła być zabezpieczona ze wszystkich stron.

– Trace! O Panie! Po coś, na Boga, z nim rozmawiała?

– Uwierz, to nie był mój pomysł. – Przeszłam obok Eeny w drodze do kuchni. Oburzona i podekscytowana ruszyła za mną.

– No i co powiedział? A co ważniejsze, jak wyglądał? Nadal ma te wielkie mięśnie we wszystkich właściwych miejscach? Czy może sobie odpuścił?

Parsknęłam.

– Dzień, w którym Trace Adams sobie odpuści, będzie dniem, kiedy Ziemia przestanie się obracać.

– Czyli wyglądał dobrze? Co miał na sobie?

Zatrzymałam się i odwróciłam, żeby na nią spojrzeć.

– Eeny. Skup się. Ten facet to kłamca i oszust. Nie ma znaczenia, jak dobrze wygląda.

Ściągnęła usta.

– A możesz mi tylko powiedzieć, czy miał na sobie te ciasne dżinsy, które zawsze uwypuklały jego duży sprzęt i kształtny tyłek?

Westchnęłam i odwróciłam się, by ruszyć do kuchni.

– Nie. Był ubrany w dresy.

Halo, to jawne kłamstwo. Tak naprawdę Trace miał na sobie dżinsy, które podkreślały jego jędrny, krągły tyłek, ale nie zamierzałam jej tego mówić. Nie zrobiłaby nic więcej do końca dnia. Sama przed sobą też nie zamierzałam przyznać, że zauważyłam.

Ale zauważyłam, co było żałosne. Trace był ostatnim, z którym uprawiałam seks, a on wiedział, co robić w łóżku… Nie byłam pewna, czy mój brak zainteresowania kimkolwiek był spowodowany tym, jak bardzo złamał mi serce, czy może obawą, że żaden inny mężczyzna nie sprawi, że będę tak krzyczeć.

W każdym razie, okres posuchy trwał już tak długo, że wnętrze mojej pochwy zapewne wyglądało jak jedno z tych starych, westernowych miast duchów: wszędzie suche krzaki i opuszczone domy, a wkoło wrednie wyglądające sępy, żerujące na wyschniętych kościach.

– Dresy! – zawołała Eeny. Zagdakała prawie jak kura. – Panie, co za strata. To jakby zakryć kurtyną posąg Dawida.

Chociaż bardzo chciałam, nie mogłam zaprzeczyć. Trace może i jest zły na wskroś, ale nigdy nie widziałam piękniejszego mężczyzny.

Gdyby tylko wnętrze pasowało do wyglądu. Ale, jak powtarzała mi mama, uroda jest powierzchowna. Nieraz najpiękniejsze twarze kryły najpodlejsze serca, a gładka gadka nie jest równoznaczna z dobrym charakterem. Człowieka można ocenić tylko po jego czynach.

Takich jak opieka nad dzieckiem o specyficznych potrzebach. Dzieckiem, które nawet nie jest twoje, zamyśliłam się.

Potem odepchnęłam tę myśl i wróciłam do pracy.

***

Trzy dni później siedziałam w pokoju szpitalnym, pachnącym środkami do dezynfekcji i desperacją, trzymałam moją mamę za rękę, kiedy trujące chemikalia wlewały się w jej żyły wprost z przezroczystej, plastikowej torebki zawieszonej na metalowym drążku.

Moja matka traktowała całą tę sprawę jak wyjście do parku, gawędziła z pielęgniarkami, flirtowała z lekarzem, czytała magazyny plotkarskie i się śmiała.

Ja z kolei znajdowałam się na skraju załamania nerwowego. *Mamę właśnie napełniali trucizną.*

Trucizną zabijającą raka, ale wciąż trucizną.

– Weź się w garść, dziecko, wyglądasz, jakbyś siedziała na pogrzebie! – zrugała mnie mama, uderzając w ramię zwiniętą gazetą.

– Przepraszam. – Pociągnęłam nosem i usiadłam wyprostowana na krześle. – Masz rację. Co mogę dla ciebie zrobić? Coś ci przynieść? Wodę? Jakąś przekąskę? A może coś innego do czytania?

Podszedł do nas pielęgniarz, po cichu sprawdził igłę w ręce mamy, skinął nam głową i wyszedł. Patrząc, jak odchodzi, mama mruknęła.

– Ooo! To moja przekąska. Myślisz, że lubi starsze kobiety?

Musiałam się zaśmiać.

– Te chemikalia chyba uderzają ci do głowy.

Udawała urażoną.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie mogłabym do niego uderzać?

Skrzywiłam się.

– Uderzać? Kim ty jesteś? Raperem?

Mama podeszła do tego praktycznie.

– Gdybym była, chciałabym zostać Jayem Z. Mieć za żonę Beyoncé, wyobrażasz sobie? Ten chłopak nie ma bladego pojęcia, jaki z niego szczęściarz! – Trzepnęła mnie w ramię magazynem plotkarskim. – A jeśli nie będzie uważał, Kanye West wejdzie do gry i ukradnie mu kobietę.

Zamrugałam, patrząc na nią.

– Zapytałabym, czy coś piłaś, ale obawiam się odpowiedzi.

– A mówiąc o piciu – powiedziała, patrząc na mnie spod rzęs, jak zwykle, kiedy miała jakiś skandaliczny sekret do ujawnienia – kilka dni temu odebrałam bardzo interesujący telefon.

– Tak? – odparłam, obserwując staruszka z balkonikiem sunącego korytarzem. Niebieska, szpitalna koszula rozchylała się na boku, ukazując jego pomarszczony, biały tyłek. Odwróciłam wzrok, zażenowana tym widokiem.

Boże, szpitale działały przygnębiająco.

– Mmm-hmm – przytaknęła mama. – Od Trace'a.

Odwróciłam głowę tak gwałtownie, że prawie odpadła mi od szyi.

– Trace! Chyba żartujesz!

– Jestem śmiertelnie poważna, *chère*. – Zacisnęła usta i przechyliła lekko głowę, by lepiej mi się przyjrzeć. – Dlaczego nie wspominałaś, że go widziałaś?

– Bo próbowałam o tym zapomnieć – burknęłam. – A po co niby dzwonił do ciebie? Co za bezczelność!

– Och, nie martw się, dałam mu nieźle do słuchu. – Przerwała na chwilę i się zamyśliła. – Zabawne, że zgodził się ze wszystkim, co o nim powiedziałam. A potem przeprosił.

Wywróciłam oczami.

– Och, mamo, przecież dobrze wiesz, że nie ma sensu słuchać tego gada. Powinnaś się rozłączyć w chwili, gdy rozpoznałaś jego głos.

– Zrobiłam to – powiedziała, przytakując. – Ale zadzwonił ponownie i powiedział, że utrata ciebie była największym błędem w jego życiu.

– Żart – odpowiedziałam.

– I że zrobiłby wszystko, żeby cię odzyskać.

– Och, na miłość boską.

– To kolejna rzecz, o której wspomniał.

Spiorunowałam mamę wzrokiem.

– Proszę, powiedz, że nie uwierzyłaś w całe to przedstawienie o byciu ocalonym przez Jezusa!

Wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę, nie wypowiadając ani słowa. Potem wzruszyła ramionami.

– Dla niektórych ludzi sięgnięcie dna to jedyny sposób, by rozpocząć podróż na szczyt.

– Dna! To babiarz, mamo, nie alkoholik! Na Boga, przecież spał z moją najlepszą przyjaciółką! W moim łóżku!

Tę ostatnią część mogłam wypowiedzieć trochę za głośno, bo przechodząca obok pielęgniarka prychnęła.

Mama poklepała mnie po ręce.

– Wiem, co zrobił, skarbie, i to było naprawdę okropne. Chciałam tylko powiedzieć… Czasami dobrzy ludzie popełniają głupie błędy. – Jej oczy zaszły mgłą. – Szczerze mówiąc, ostatnio wiele myślałam o błędach, które popełniłam w życiu. Czasami musi się wydarzyć coś naprawdę złego, żeby dobre rzeczy nabrały innej perspektywy.

– Słodki Jezu – zawołałam, wpatrując się w nią. – On rzucił na ciebie urok.

Pomachała na mnie ręką.

– Nikt nie rzucił na mnie uroku. Jestem zbyt tępa, żeby to zadziałało. – Westchnęła, bawiąc się okularami na łańcuszku zawieszonym na szyi. – Ale po sześćdziesięciu czterech latach życia, wiem, kiedy człowiek kłamie, a kiedy mówi prawdę. Gdy Trace powiedział, że nadal cię kocha i zrobiłby wszystko, żeby cię odzyskać, mówił szczerze.

Potrząsnęłam głową z niedowierzaniem.

– Nie wierzę, że w ogóle o tym rozmawiamy. Widziałaś, jaka byłam zdruzgotana, kiedy zerwaliśmy. Pamiętasz, jak bardzo schudłam, jak płakałam każdego dnia i nie mogłam wyjść z łóżka całymi tygodniami, prawda?

– Pamiętam – odpowiedziała cicho. – Ale wiem też, że od rozstania z nim nawet nie spojrzałaś na innego mężczyznę. A to pozwala mi myśleć, że te uczucia, które do niego żywiłaś, nadal gdzieś tam są.

Coś okropnego przyszło mi do głowy.

– O nie. Proszę, powiedz, że mu tego nie powiedziałaś.

Zrobiła minę wołającą *ups*.

Zerwałam się z krzesła i spojrzałam na nią z góry.

– Mamo! Nie zrobiłaś tego!

Obrzuciła mnie swoją własną wersją Spojrzenia.

– Nie podnoś na mnie głosu, młoda damo. Nie zamierzam opuszczać tego świata, jeśli nie zobaczę, że się ustatkowałaś, rozumiesz?

– Ty nigdzie się nie wybierasz! – oznajmiłam, przerażona samą myślą, że mówiła o umieraniu.

Zignorowała moje wtrącenie.

– I powiem ci coś jeszcze: twój tatuś też nie był tak święty, jak sobie wyobrażasz. Zanim wzięliśmy ślub, ten facet ganiał za każdą spódniczką, którą zobaczył, więc rzuciłam go i nie chciałam widzieć na oczy. Ale błagał, żebym mu wybaczyła i cieszę się, że to zrobiłam, bo byliśmy szczęśliwym małżeństwem przez ponad trzydzieści lat i dał mi najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam… Ciebie.

Wpatrywałam się w nią, a moja szczęka leżała na podłodze.

Mówiła dalej:

– Mężczyźni nie są tacy jak my, skarbie. W kwestii miłości są tępi jak stołowe nogi. Jednak kiedy zdecydują się zaangażować, ale nie powiedzą, że się angażują, tylko postanowią to w głębi serca, nigdy się nie zawahają. Twój ojciec nie zawahał się przez trzydzieści lat, nawet kiedy jego rodzice zostawili go bez grosza przy duszy dlatego, że się ze mną ożenił. Nie zawahał się, kiedy okazało się, że nie mogę mieć więcej dzieci, mimo że pragnął dużej rodziny. Nie zawahał się w dobrych i złych chwilach, w zdrowiu i w chorobie, przez wszystkie te lata, kiedy przysięgał kochać mnie i szanować. Na koniec jedyna rzecz, która mogła nas rozdzielić, to śmierć.

Jej głos zrobił się cichszy.

– I czasami nie jestem pewna, czy nawet jej się to udało. Czasami wciąż go czuję, kiedy jestem smutna. Raz na jakiś czas czuję zapach jego wody po goleniu, nawet jeśli jestem w pokoju sama. Nawet tego ranka przewróciłam się w łóżku i poczułam dłoń na czole, ale kiedy otworzyłam oczy, nikogo tam nie było. Nie wiem, co to znaczy, ale wiem jedno. Jeśli twój ojciec, świeć Panie nad jego duszą, mógł okazać się uczciwym człowiekiem, prawdziwym przyjacielem i lojalnym mężem, jakim był przez wszystkie te lata, *chère*, dla każdego jest nadzieja. Nawet dla takiego łobuza jak Trace.

Roztrzęsiona do granic i z drżącymi kolanami opadłam z powrotem na krzesło.

– Nigdy mi tego nie mówiłaś – szepnęłam.

Uśmiechnęła się, pochyliła do przodu i odsunęła kosmyk włosów z mojej twarzy.

– Bo nigdy wcześniej nie umierałam.

– Ty nie umierasz – nalegałam, chwytając ją za rękę.

– Wszyscy umieramy, skarbie. To tylko kwestia czasu. – Uniosła moją dłoń i przycisnęła sobie do ust. – Miałam cudowne życie. Może lepsze, niż zasłużyłam. Nie boję się odejść, więc ty też się tego nie bój.

Łzy napłynęły mi do oczu z pełną mocą.

– Jak możesz się nie bać? Tak bardzo boję się za ciebie.

Tym razem jej uśmiech był naprawdę piękny.

– Ponieważ twój tatuś czeka na mnie po drugiej stronie, skarbie – odparła łagodnie. – W końcu będziemy znowu razem. Lęk przed tym byłby czystą głupotą.

Wargi mi zadrżały. Gardło się zacisnęło.

Potem wybuchłam płaczem.

– Och, no dalej, *chère* – powiedziała, otwierając dla mnie ramiona. Ukryłam twarz w jej piersi i płakałam. Klepała mnie po plecach i pocałowała czubek mojej głowy, chichocząc lekko. – Zawsze byłaś taka sentymentalna. Płakałaś nad zdechłą złotą rybką i na reklamie, w której właściciel szukał swojego kota w deszczu.

– Ty nie jesteś złotą rybką! – Moja odpowiedź była nieco stłumiona.

Jej westchnienie brzmiało wręcz filozoficznie.

– Mogłabym być. Jesteśmy tutaj tylko przez jakiś czas, jedziemy na skale, która leci przez kosmos z prędkością miliona kilometrów na dzień, w galaktyce, która posiada setki miliardów gwiazd. Ja, Jay Z, prezydent, złota rybka… w ostatecznym rozrachunku nie ma większej różnicy, *chère*. Przychodzimy i odchodzimy. Żyjemy i umieramy. Jeśli mamy szczęście, kochamy i jesteśmy kochani.

Odchyliła mi głowę, kładąc palec pod moją brodą, i uśmiechnęła się.

– Miałam nieprawdopodobne szczęście, więc nie marnuj na mnie łez, słyszysz?

Otarłam twarz wierzchem dłoni.

– Tak jest.

– Dobra dziewczynka. – Zerknęła ponad moim ramieniem. Jej głos stał się bardziej żwawy. – A teraz, gdzie, u diabła, jest ten pielęgniarz? Czuję, że potrzebne mi sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

Nie mogłam zrobić nic więcej, tylko się roześmiać. Śmiałam się, aż lekarz wyciągnął mnie na korytarz i powiedział poważnym głosem, że mama musi przyjmować chemię przez następne siedem dni, potem nastąpi tydzień przerwy i kolejne siedem dni i tak dalej przez kolejny miesiąc… a każda runda będzie kosztowała prawie trzy tysiące dolarów.

A kwota ta nie obejmowała badań laboratoryjnych, badań obrazowych, naświetlań ani leków przeciwwymiotnych i innych, które były niezbędne przy chemioterapii dożylnej.

Będę potrzebowała dużo więcej pieniędzy niż dwadzieścia tysięcy.

JEDENAŚCIE

BIANCA

Kiedy przyjęcie Jacksona zaczęło się zbliżać, stałam się drażliwa jak kot na gorącym, blaszanym dachu.

Doktor Halloran powiedział nam, jakich efektów ubocznych chemioterapii możemy się spodziewać, ale ani mama, ani ja, nie byłyśmy przygotowane na rzeczywistość. Przez pierwsze kilka dni czuła się dobrze, ale potem wszystko spadło na nas jak grom z jasnego nieba.

Nudności i wymioty okazały się najmniejszym problemem. Miała też okropne bóle głowy, koszmarne afty i była tak wyczerpana, że ledwo mogła podnieść się z łóżka.

Przez pierwszy tydzień jeździłam z nią do szpitala codziennie, potem w drugim pomagałam w domu, próbując nakłonić ją do jedzenia i odprawiając wszystkich jej gości pod pretekstem grypy. Nawet biedny Pułkownik nie miał wstępu. Mama nie miała w sobie na tyle energii, żeby robić dobrą minę do złej gry i udawać, więc musiał odejść ze zwieszonymi ramionami.

Nie uważałam za dobrą decyzję tego, że nie powiedziała mu, co się dzieje, ale to nie zależało ode mnie.

Jednak najbardziej bałam się tego, co się stanie, kiedy będzie musiała wrócić na kolejną serię chemioterapii. Pierwsza okazała się tak straszna, że mogła ją zabić prędzej niż rak.

– To zupełnie normalne – mówił doktor Halloran za każdym razem, kiedy dzwoniłam spanikowana. – To znak, że lek działa, Bianco. Daj mu robić swoje.

To takie irytujące, kiedy ktoś jest spokojny, a cały świat się kończy.

Pomiędzy tym wszystkim pracowałam jak szalona, żeby przygotować się na przyjęcie charytatywne Jacksona. Spotkałam się

z koordynatorami, zamówiłam mięso, warzywa, owoce i alkohol, oraz zaplanowałam dodatkowe zmiany w restauracji, żeby zacząć przygotowywać jedzenie.

I unikałam telefonów Trace'a.

Dwa razy dzwonił do domu. W obu przypadkach zobaczyłam numer i pozwoliłam mu dzwonić, wyciszając dźwięk. Kiedy włączała się automatyczna sekretarka, rozłączał się z ciężkim westchnieniem, jakbym zachowywała się niedorzecznie.

Odpuściłam mamie ze względu na chorobę, ale nie było mowy, żebym sama miała wysłuchiwać czegokolwiek, co miał mi do powiedzenia. Byłam pewna, że jedynym powodem, dla którego dzwonił, było to, że dałam mu kosza. Nasz wspólnie spędzony czas udowodnił mi na wiele sposobów, że Trace był mężczyzną, który pragnął tylko tego, czego nie mógł mieć. Odrzucenie podsycało jego zainteresowanie. Gonienie króliczka tylko zwiększało apetyt. Gdybym okazała choć odrobinę wrażliwości, kiedy wpadliśmy na siebie na ulicy, przeszedłby obok mnie, nie poświęcając mi nawet jednej myśli, jak przez ostatnie dwa lata.

Z perspektywy czasu stwierdzam, że powinnam była powiedzieć mu, że jestem w nim szaleńczo zakochana i patrzeć, jak się za nim kurzy, kiedy ucieka, aż na chodniku zostałby tylko ślad po gumie jego butów. Jednak moje serce wciąż było zbyt poobijane, żeby grać w tę grę. Zamiast tego zaczęłam nosić w torebce gaz pieprzowy na wypadek, gdybym go spotkała. Dość już miałam na głowie. Nie potrzebowałam kłamliwego, zdradzieckiego, gównianego artysty, żeby mnie zabawiał.

***

– Czyli mamy załatwione kanapki i koktajle – powiedziała Claudia, gorliwie zaznaczając haczyk na liście spoczywającej na podkładce w jej dłoni ozdobionej idealnym manikiurem. – Muzycy rozgrzewają się na trawniku. Za trzydzieści minut zapalę wszystkie świece, a piętnaście minut później powinni zacząć pojawiać się goście.

Spojrzała na mnie i poprawiła swoje stylowe, czarne okulary.

– Czy na tym etapie potrzebujesz czegoś ode mnie?

Potrząsnęłam głową.

– Nie, dziękuję. Jestem gotowa.

– Dobrze. – Claudia spojrzała na zegarek. – Zajrzę do ciebie za pięćdziesiąt minut. Jeśli będziesz mnie potrzebować, jestem pod telefonem. Numer jest…

– Na rozpisce – dokończyłam. – Wiem.

Koordynatorka, którą Jackson zatrudnił do nadzorowania przyjęcia, była chudą jak tyczka, gładkowłosą brunetką, a zarazem najbardziej wydajną osobą, jaką kiedykolwiek poznałam. Sprawiła, że wszyscy biegali wkoło jak kurczaki z odrąbanymi głowami, starając się sprostać jej harmonogramowi, rozplanowanemu w pięciominutowych odstępach. Chociaż była bardzo uprzejma, odniosłam wrażenie, że wpadłaby w histerię, gdyby ktoś nie dopasował się do jej grafiku.

Na tę chwilę byliśmy dwie minuty w tyle, a jej lewa powieka już zaczęła drgać.

– Drogie panie. Jak sprawy się mają?

Jackson stanął w wejściu do kuchni, patrząc na mnie i Claudię. To pierwszy raz, kiedy go widziałam, odkąd przyjechałam dziś rano do jego domu, żeby zacząć przygotowania.

– Wszystko jest pod kontrolą – odparłam. – Claudia wykonuje kawał dobrej roboty.

Uśmiechnęła się sztywno i znowu poprawiła okulary. Wyczułam jej wdzięczność za okazane wsparcie. Było oczywiste, że Jackson bardzo ją onieśmielał. Ledwo mogła spojrzeć mu w oczy, prawdopodobnie dlatego, że miał na twarzy grymas tak mroczny jak jego strój.

Ale ja już się do tego przyzwyczaiłam. Nie pozwoliłam, żeby to mnie zbiło z tropu.

– W takim stroju zamierzasz wystąpić? – zapytałam.

Z mocno ściągniętymi brwiami spojrzał najpierw na siebie, potem na mnie.

Widząc jego morderczy wzrok, Claudia uciekła z kuchni, jakby jej spodnie stanęły w płomieniach.

– Pięćdziesiąt minut, Bianco! – zawołała przez ramię i zniknęła za drzwiami.

Jackson wydawał się nawet nie zauważać jej wyjścia.

– Co jest nie tak z moim ubiorem? – domagał się wyjaśnień.

Wzruszyłam ramionami.

– Nic, jeśli chcesz, żeby ludzie myśleli, że mieszkasz pod mostem.

Skrzyżował ramiona na piersi. Starałam się ignorować, jak dzięki temu uwydatniły się jego bicepsy.

– Chyba mylisz mnie z kimś, kogo obchodzi, co myślą ludzie – powiedział.

Oparłam dłonie na biodrach i zmierzyłam wzrokiem jego niewłożoną w spodnie koszulkę, pomarszczone dżinsy, obdarte buty, nieogoloną szczękę i włosy, które zapewne ostatnio widziały grzebień, kiedy przeszedł na ulicy obok takiego, który wypadł komuś z kieszeni.

– Bóg wie, że nie jestem znawczynią mody i ubieram się tak, żeby było wygodnie, ale pana goście zasługują na najlepszą wersję pana, panie Boudreaux. Przykro mi to mówić, ale to nie jest ona.

Jego spojrzenie było tak palące, że słabszą kobietę mogłoby roztopić. Jednak po ostatnich kilku dniach, które przeżyłam, byłam w bardzo zawziętym nastroju. Zawziętym, *prawdomównym* nastroju, bo ostatnio stwierdziłam, że życie jest za krótkie, żeby owijać w bawełnę.

Poza tym jego czek już został zrealizowany w banku.

– Och, naprawdę? – powiedział Jackson kwaśnym tonem.

– Tak, naprawdę. – Wpatrywaliśmy się w siebie. To pewnie moja wyobraźnia, ale miałam wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu podskoczyła o kilka stopni.

– Więc co poleciłabyś mi ubrać? – warknął.

– Ma pan garnitur?

Wyraz jego twarzy stał się jeszcze mroczniejszy.

– Nienawidzę garniturów.

– Ale ma pan jakiś?

Kiedy nie odpowiedział i stał tam po prostu, wpatrując się we mnie, jakby miał nadzieję, że zabłąkana asteroida wpadnie zaraz przez sufit i trafi mnie w głowę, powiedziałam:

– To właśnie powinien pan ubrać. I krawat. – Zerknęłam na jego buciory. – I buty wyjściowe.

Przesunął dłonią po twarzy – prawdopodobnie właśnie zastanawiał się, czy podnieść toster z blatu i rzucić nim we mnie – a ja dodałam:

– Golenie też by pana nie zabiło.

Spojrzał na mnie z nowym, dziwnym wyrazem twarzy.

– Nie lubisz zarostu.

Powiedział to dość płasko, zupełnie nie jak pytanie.

– Zarost jest w porządku. Ale ta rzecz na pana szczęce? Szczerze mówiąc, widziałam bardziej schludne dżungle.

Przez chwilę myślałam, że zaraz wyrzuci z siebie wiązankę przekleństw, która sprawi, że ogłuchnę. Ale wtedy jego wargi się wygięły, a ja zdałam sobie sprawę, że próbował powstrzymać uśmiech.

– Jesteś dzisiaj w dobrej formie, Bianco – stwierdził.

To był pierwszy raz, kiedy użył mojego imienia. Prawie zemdlałam z zaskoczenia, ale udało mi się zachować kontrolę.

– Przepraszam – powiedziałam i spojrzałam na harmonogram, który nadal trzymałam w dłoni. – Ma pan rację. Ja tylko… – Odchrząknęłam. – Ostatnie tygodnie były bardzo trudne.

Nastała chwila ciszy, po czym podszedł bliżej.

– Co się dzieje? – zażądał odpowiedzi głosem szorstkim i opryskliwym jak u niedźwiedzia.

Spojrzałam na niego i znowu mnie zaskoczył. Mogłabym przysiąc, że patrzył na mnie ze zmartwieniem w oczach.

Zmartwieniem i czymś jeszcze. Czymś nieco gorętszym.

Moje serce uznało, że to świetny moment, żeby zacząć galopować. Ruszyło jak królik goniony przez sforę psów.

– To osobiste sprawy. Moja matka…

Powstrzymałam się, oszołomiona jego spojrzeniem. Wcześniej tego nie zauważyłam, ale jego oczy nie były tylko niebieskie. Wokół źrenic miał maleńkie plamki zieleni i złota, które ocieplały te stalowoniebieskie otchłanie.

I, mój Boże, ten mężczyzna pachniał przepysznie. Jeśli to jego naturalny zapach, mógłby zarobić kilka kolejnych milionów, butelkując go i sprzedając mniej apetycznym mężczyznom…

Czekaj. Co ja wyprawiam? Dlaczego o nim myślę? Czy ja już kompletnie postradałam rozum?

– Twoja matka? – powtórzył, ale szybko się cofnęłam, przygładzając włosy dłonią.

– To nic. Bardzo przepraszam, zachowuję się nieprofesjonalnie. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie Boudreaux, wrócę teraz do pracy…

– Jackson – powiedział. Spojrzał na mnie płonącym wzrokiem. Jego głos zrobił się niższy o oktawę. – Chcę, żebyś mówiła do mnie Jackson, Bianco.

Moje pędzące serce właśnie potknęło się o własne nogi i upadło na twarz w mojej piersi. Na policzki wystąpił mi rumieniec.

– Yyy… dobrze – odparłam niepewnie.

Jego spojrzenie zsunęło się na moje usta.

Każdy mięsień w moim ciele się napiął.

Kiedy Jackson odwrócił się gwałtownie i wyszedł, kolana trzęsły mi się tak bardzo, że musiałam przytrzymać się blatu.

Co tu właśnie zaszło?

***

Kolejne kilka godzin minęło w mgnieniu oka. Pomiędzy kierowaniem ekipą serwującą, składającą się z prawie setki ludzi, upewnianiem się, że jedzenie ma odpowiednią temperaturę przed podaniem, jest właściwie ułożone na talerzach, zanim opuści kuchnię, i że jest go wystarczająco dużo, nie miałam nawet chwili czasu, żeby złapać oddech, a co dopiero myśleć o tym, co wydarzyło się między mną a Jacksonem w kuchni. To nic, naprawdę…

Ale czułam, jakby to jednak było coś. Wszystkie te mrowiące, kobiece części ciała mi to podpowiadały.

– Bianca!

Podskoczyłam na dźwięk swojego imienia. Obróciłam się, by zobaczyć Claudię idącą przez trawnik w moją stronę krokiem tylko odrobinę wolniejszym od sprintu, przyciskającą podkładkę do piersi. Twarz miała bladą jak prześcieradło.

– Co? Co się dzieje? – zapytałam.

Doskoczyła do mnie i wyrzuciła z siebie:

– Pan Boudreaux prosi, żebyś do niego przyszła. Czeka w namiocie. Lepiej się pospiesz.

Zmarszczyłam brwi, podając dwa talerze sernika czekającemu kelnerowi, który odwrócił się i oddalił czym prędzej. Zdążyliśmy już wydać prawie trzysta porcji mojego sernika z imbirem i pomarańczą, a chociaż zwykle nie każdy gość życzył sobie deseru, ten tłum wydawał się wyjątkowo żarłoczny.

Dzięki Bogu zrobiłam dużo na zapas, bo ostatnim, czego chciałam, to żeby Jackson wysłuchiwał skarg, że nie było wystarczająco dużo jedzenia.

– W namiocie? – zapytałam. – Dlaczego chce widzieć się ze mną w namiocie? Czy aukcja nie powinna się właśnie zaczynać?

Claudia – której żel do włosów zawiódł i teraz jej fryzura wyglądała jak brązowa aureola wokół twarzy – powiedziała:

– Sześć minut temu! I właśnie dlatego musisz się pospieszyć! Idź! Już! – Pchnęła mnie lekko w kierunku namiotu.

Byłam zakłopotana.

– Spokojnie, już idę!

– Szybko! – powiedziała, machając rękami i dysząc.

Dochodząc do wniosku, że chodziło o jakąś kulinarną katastrofę, poszłam tam tak szybko, jak mogłam, a serce miałam w gardle. Potruchtałam przez bujną trawę do ogromnego namiotu, ustawionego na trawniku za domem. Był cały biały i wyglądał jak pożyczony od Cirque du Soleil. Trzy wysokie, oflagowane czubki jak upiorne palce sięgały w stronę wieczornego nieba. Kelnerzy wchodzili i wychodzili przez rozsunięte poły, zbierając talerze i donosząc drinki. Przy jednym wejściu stała młoda kelnerka i machała zawzięcie.

Na mnie.

Kurczę pieczone, to nie wygląda dobrze.

Zatrzymałam się obok niej i zerknęłam do środka. Nie widziałam, żeby ktoś wymiotował, nie słyszałam żadnych oburzonych okrzyków, nie dostrzegałam niczego niepokojącego w tłumie setek dobrze ubranych ludzi, siedzących przy okrągłych stolikach.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Idź na scenę.

Wskazała w stronę podestu w tylnej części namiotu, na którym ustawiono oświetlone punktowo, drewniane podium i mikrofon. Za sceną widniały trzy ogromne, białe ekrany, za którymi wisiało czarne płótno, zakrywające kable i przewody sprzętu audiowizualnego.

– Na scenę? – powtórzyłam. – Dlaczego?

Kelnerka wyrzuciła ręce w powietrze.

– Jakby ktoś mi cokolwiek mówił! Wiem tylko, że powinnaś tam wejść natychmiast.

– Ale harmonogram… – zaprotestowałam.

Odwróciła się i odeszła, zanim zdołałam cokolwiek z niej wyciągnąć. Ale potem to przestało mieć znaczenie, bo w tym momencie Jackson wyszedł na scenę i pojawił się w blasku reflektorów, a ja zaniemówiłam.

To nie był on. Nie mógł być.

Wtedy podszedł do mikrofonu i zaczął mówić, a ten gładki, gęsty jak melasa głos udowodnił, że to jednak on.

– Dobry wieczór, panie i panowie – powiedział. – Nazywam się Jackson Boudreaux.

Cała sala oszalała. Ludzie skoczyli na równe nogi, zaczęli klaskać, wiwatować i gwizdać, robiąc taki rumor, że prawdopodobnie można było ich usłyszeć na kilometr.

Patrzyłam na wszystkich tych wrzeszczących ludzi i zastanawiałam się, czy ktoś dodał im kokainy do drinków. Cała ta ekscytacja na widok Bestii?

– Bardzo dziękuję za przybycie – powiedział Jackson, przekrzykując hałas. – Mam zaszczyt powitać was w moim domu.

Kim jest ten człowiek? – pomyślałam zszokowana. *Ten uprzejmy, czarujący mężczyzna?*

Na scenie stał obcy człowiek w smokingu dopasowanym do jego wielkiej, muskularnej postury tak idealnie, że musiał być uszyty na miarę, z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu i świeżo ogolony. Uśmiechający się, obcy człowiek, który wyglądał jak Jackson i sam nazwał się Jacksonem, ale nie wyglądał ani trochę jak mężczyzna, którego znałam.

Jackson Boudreaux, którego znałam, sprawiał, że Chewbacca wyglądał na elegancko ostrzyżonego.

Jackson Boudreaux, którego znałam sprawiał, że King Kong wydawał się kulturalny.

Jackson Boudreaux, którego znałam, nie wyglądał jak Superman, nie ubierał się, jak James Bond i nie miał trzystuosobowego, adorującego go tłumu u swych stóp.

Może miałam halucynacje. Przyłożyłam wierzch dłoni do czoła, żeby sprawdzić temperaturę, ale było chłodne i suche.

Nowy, Ulepszony Jackson powiedział:

– Jak już może wiecie, pierwszy raz zaangażowałem się w WWP po tym, jak mój najlepszy przyjaciel, Christian LeFevre, został ranny podczas służby Marines w Afganistanie.

Czyli dlatego Jackson zaangażował się w działania charytatywne. Jakie to tragiczne. Słuchałam, zakrywając dłonią usta, kiedy mówił dalej.

– Mina-pułapka odebrała Christianowi nogę, ale nie zabrała mu miłości do tego kraju, radości życia ani poświęcenia służbie innym. Mimo że komplikacje po amputacji ostatecznie kosztowały go życie, WWP było przy nim w ostatnich miesiącach w sposób, w który nie zrobiłaby tego żadna inna organizacja.

Głos Jacksona się załamał. Gwałtownie przerwał, przesunął dłonią po włosach i odetchnął powoli.

Patrzyłam na niego zafascynowana. On miał uczucia. Bestia *miał uczucia*.

Wcześniej oczywiście już widziałam jego irytację oraz oddanie Cody'emu, ale to było coś zupełnie innego. To było surowe. To było potężne.

To było wyrazem całkowitej *bezbronności.*

Gdyby ktoś przystawił mi broń do skroni i zażądał, żebym opisała, co czułam w tym momencie, albo dostanę kulkę w łeb, musiałby mnie zastrzelić.

Jackson kontynuował łagodniejszym tonem.

– Przez cztery lata od śmierci Christiana na własne oczy przekonałem się, na ile żyć miała wpływ ta organizacja. Ile żyć zmieniła na lepsze. Ile żyć ocaliła. Ten kraj i jego mieszkańcy mają

ogromny dług wdzięczności wobec tych dzielnych kobiet i mężczyzn, którzy służą naszej armii. Jednak największy dług mamy wobec tych, którzy zostali ranni albo polegli w walce. Tych, którzy tak mężnie i bezinteresownie bronią nas i naszych sprzymierzeńców na całym świecie i są skłonni bez wahania ponieść najwyższą ofiarę za naszą wolność. Nigdy nie możemy o nich zapomnieć.

Głos znowu mu się załamał, ale tym razem Jackson mówił dalej.

– To dzięki staraniom takich organizacji jak WWP jesteśmy pewni, że nigdy tak się nie stanie.

W tłumie wybuchły oklaski. Brzmiało to jak koncert rockowy. Wpatrywałam się w Jacksona na scenie, nie zdając sobie sprawy, że po policzkach spływały mi łzy, aż przetarłam je dłonią i okazało się, że jest mokra.

– Już za chwilę rozpoczniemy aukcję – powiedział Jackson. – Jestem pewien, że wszyscy okażecie się bardzo hojni, by pomóc naszym rannym weteranom, mam rację?

Nastąpiło jeszcze więcej owacji.

Wtedy spojrzał nad głowami wszystkich zebranych w pomieszczeniu i zauważył mnie w wejściu. Nawet mimo dzielącej nas odległości widziałam, jak jego wzrok płonął.

– Ale zanim do tego przejdziemy – powiedział – chciałbym przedstawić wam kobietę, która przygotowała dla was całe to przepyszne jedzenie, którego mogliście dziś skosztować. Szefowo, zapraszam na scenę.

Jackson wyciągnął rękę. Trzysta głów odwróciło się, by spojrzeć na mnie.

Na moje nieszczęście, ziemia nie rozstąpiła się, by mnie pochłonąć.

SERNIK Z IMBIREM I POMARAŃCZAMI

Na 8 porcji

- 1 1/2 szklanki kruszonych krakersów z mąki razowej
- 1/3 szklanki roztopionego masła
- 1/3 szklanki białego cukru

- 900 gram serka twarogowego
- 2/3 szklanki białego cukru, plus 2 łyżki stołowe
- 1 szklanka kwaśnej śmietany, oddzielnie
- 1 łyżka stołowa startej skórki pomarańczy
- 4 jajka
- 2 szklanki kawałków klementynek
- 1/2 szklanki dobrze posiekanego, kandyzowanego imbiru

Przygotowanie

- Rozgrzej piekarnik do 160 stopni. Zmieszaj krakersy z mąki razowej, masło i 1/3 szklanki białego cukru. Wyłóż masą całe dno tortownicy.
- W robocie kuchennym umieść serek twarogowy, 2/3 szklanki cukru, 1/2 szklanki kwaśnej śmietany i skórkę pomarańczy. Przykryj i miksuj przez około 3 minuty albo do uzyskania gładkiej konsystencji. Dodaj jajka. Przykryj i miksuj. Rozprowadź na kruszonce.
- Piecz przez 1 godzinę 20 minut, aż środek będzie wypieczony. Schładzaj przez 15 minut. Szpatułką oddziel brzegi od naczynia.
- Umieść w lodówce bez przykrycia na 3 godziny albo do momentu schłodzenia, potem przykryj i schładzaj jeszcze przez przynajmniej 4 godziny, ale nie więcej niż 48 godzin.
- Zmieszaj pół szklanki kwaśnej śmietany z 2 łyżkami cukru i rozprowadź na serniku. Na wierzchu ułóż świeże owoce i kandyzowany imbir. Niezjedzone porcje przechowuj w lodówce przykryte folią.

DWANAŚCIE

BIANCA

Chociaż chciałam odwrócić się i zwiać, nie zrobiłam tego. W końcu ten człowiek zapłacił mi niedorzeczną sumę pieniędzy za pracę. A ja byłam profesjonalistką. Nie zawstydziłabym go odmową przed wszystkimi gośćmi.

Byłam również zaintrygowana tym nowym Jacksonem, tym dobrze ubranym nieznajomym, który tak elokwentnie mówił o honorze i bezinteresowności, używając przy tym słów takich jak *proszę*.

Nie sądziłam, że to słowo znajdowało się w jego słowniku.

Tak więc z ciekawością – i zdrową dozą zażenowania – przeszłam pomiędzy stolikami i, pokonując kilka stopni, wspięłam się na scenę.

I wtedy zamarłam zszokowana, bo Jackson objął mnie ramieniem, przyciągnął do swojego boku i uśmiechnął się, patrząc w moją stronę. Byłam zbyt zajęta próbowaniem nie przewrócić się z zaskoczenia, by zauważyć, jak idealnie wpasowałam się pod jego ramię i jak wygodnie umościłam się przy jego twardym ciele.

Jaki był twardy, wszędzie.

Zdecydowanie mam halucynacje. Albo Jackson Boudreaux ma brata bliźniaka, o którym nikt nie wie.

Bliźniaka, który miał trzy cienkie, tajemniczo wyglądające blizny na prawej stronie twarzy, wcześniej zakryte zarostem.

– Udawaj, że mnie nie nienawidzisz i uśmiechaj się – powiedział, ledwo poruszając żuchwą, a usta miał rozciągnięte w uśmiechu. – Proszę.

I znowu to słowo. Jestem zagubiona jak zeszłoroczne jajko wielkanocne. To ukryta kamera?

Spodziewając się wkrótce zobaczyć siebie na filmiku w internecie, uśmiechnęłam się.

Usatysfakcjonowany Jackson zwrócił się z powrotem do widowni.

– Odkryłem magię kuchni Bianki Hardwick, kiedy odwiedziłem jej restaurację we Francuskiej Dzielnicy. Jedzenie było tak dobre, że zostałem tam przez cały wieczór i spróbowałem wszystkiego z menu…

– Może zostałeś nie tylko dla jedzenia! – krzyknął ktoś z widowni, po czym gwizdnął jak jeden z tych chłopaków, którzy wychylają się przez okno samochodu i krzyczą, kiedy idziesz ulicą.

Trzystu ludzi się zaśmiało. Moja twarz zrobiła się purpurowa.

Jackson również zaczął się śmiać i mocniej ścisnął moje ramiona.

– Cóż, może przez pierwszą godzinę chodziło o jedzenie – odpowiedział.

Kim jest ten śmieszek? – pomyślałam z niepokojem, gdy serce mi galopowało, a reszta ciała zesztywniała. *Ten zabawiacz tłumu? Ten… flirciarz?*

W tej chwili przechylił lekko głowę i puścił do mnie oczko.

On *puścił oczko*.

Kątem oka dostrzegłam błysk fleszy aparatów. Słodka Georgio Brown, sfotografowali mnie szczerzącą się jak jakaś wioskowa kretynka do Jacksona Boudreaux.

Przeniosłam wzrok z powrotem na tłum. Zimny pot spłynął mi między łopatkami. Uśmiech wciąż był przyklejony do mojej twarzy.

– Chcę, żebyście do końca miesiąca wszyscy odwiedzili restaurację Bianki. Zrobicie to dla mnie?

Tłum zawył jeszcze głośniej. Jackson skinął głową i powiedział kolejnych kilka zdań, ale byłam zbyt skołowana, żeby je zrozumieć. Potem na scenę wszedł jakiś mężczyzna, uścisnął dłoń Jacksona, a ten sprowadził mnie ze sceny za ramię, machając do tłumu.

W chwili, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu gości, puścił moje ramię i warknął:

– Możesz już przestać się uśmiechać, na Boga!

– Och, dzięki niebiosom – powiedziałam sarkastycznie. – Przez chwilę myślałam, że znalazłam się w jakiejś alternatywnej rzeczywistości, w której naprawdę masz dobrą stronę.

Odwrócił się i stanął naprzeciwko mnie. Znajdowaliśmy się przed namiotem, niedaleko jednego z wejść, przez które wciąż przechodzili

kelnerzy, wpatrywaliśmy się w siebie w chłodnym półmroku, a w środku już rozpoczęła się aukcja.

– Masz rację – warknął. – Nie posiadam dobrej strony. Osoba, którą tam byłem, została sfabrykowana. To Jackson Boudreaux, który lubi ludzi i blask reflektorów. Który czuje się dobrze w pieprzonym stroju pingwina. – Zerwał muszkę i rzucił ją na ziemię. – Ale ten facet wie, jak urobić tłum i zebrać kupę pieniędzy, żeby pomóc wielu potrzebującym żołnierzom.

Podszedł bliżej i wyrzucił z siebie:

– I ten facet zrobi wszystko, co trzeba, żeby dotrzymać swojej części umowy z tobą i wypromować twoją restaurację, udając, że jesteśmy w dobrych relacjach, nawet kiedy to tak kurewsko boleśnie oczywiste, że wolałabyś zostać zepchnięta z budynku, niż znieść moją rękę na swoich ramionach!

Normalnie w tym momencie straciłabym panowanie nad sobą i powiedziała mu, żeby pocałował mnie w tyłek. Albo inną głupotę. Ale zrozumiałam, jakbym dostała w twarz, że powodem jego gniewu było zranienie.

Czuł się zraniony, bo uważał, że go nienawidzę.

Fakt, że obchodziło go, co o nim myślę, sprawił, że zaparło mi dech.

Po chwili odpowiedziałam:

– Dla jasności, wolę twoją rękę, obejmującą mnie, niż zepchnięcie z budynku. To zdecydowanie lepsze niż śmierć.

Stał tam, wpatrując się we mnie, oddychał ciężko, błękitne oczy lśniły, a na szyi pulsowała żyła. Blizny na żuchwie poruszyły się wraz z mięśniem pod nimi.

Dodałam:

– Ponownie dla jasności, nie nienawidzę cię. Powiedziałeś to wcześniej, ale to nieprawda. Zwykle w twojej obecności odczuwam głównie irytację, przyznaję, ale to tylko dlatego, że zawsze zachowujesz się, jakbyś przed chwilą uciekł z zoo.

Poza jego klatką piersiową, która unosiła się i opadała w nieregularnym tempie, ani drgnął. Stał sztywno jak posąg, kiedy mówiłam dalej, a jego intensywne spojrzenie ani na chwilę nie schodziło z mojej twarzy.

– I nawet jeśli wszystko było tylko na pokaz, podziwiam to, co zrobiłeś. – Wykonałam gest w stronę namiotu, krążących kelnerów oraz bocznej części domu, z wszystkimi tymi wypożyczonymi piecami i sprzętem. – Żeby upamiętnić przyjaciela, który odszedł. I żeby zebrać pieniądze, które pomogą innym takim jak on.

Moje spojrzenie przesunęło się na jego szczękę, na te tajemnicze, białe linie, które wyglądały prawie jak ślady pazurów. Co skłoniło go do ogolenia się i wystawienia ich na widok?

Skąd je w ogóle miał?

I dlaczego posłuchał *mojej* rady?

Łagodniejszym głosem dodałam:

– I to, że ogoliłeś się, założyłeś strój pingwina i powiedziałeś wszystkie te miłe rzeczy o mojej restauracji, nawet jeśli w to nie wierzyłeś.

– Gdybym w to nie wierzył, nie stałabyś tam – odparł beznamiętnie.

A ta druga część? – chciałam zapytać. *Ta o zostaniu dla jedzenia tylko przez pierwszą godzinę, sugerująca, że przez resztę czasu zostałeś dla mnie?*

Ale to było zbyt niebezpieczne. Nie byłam pewna, czy naprawdę chciałam znać odpowiedź.

Zamiast tego powiedziałam:

– Nie czuję się dobrze przed wielkimi tłumami. Właśnie dlatego stałam tak sztywno. Byłam zaskoczona, że objąłeś mnie ramieniem i że zachowywałeś się tak inaczej, co skutkowało moim ogólnym dziwnym zachowaniem, ale szczerze mówiąc, byłam również bardzo poruszona tym, co powiedziałeś o swoim przyjacielu i jeszcze się nie otrząsnęłam, kiedy mnie zawołałeś. Ta część nie była grą, prawda?

Miałam nadzieję, że odpowiedź brzmi nie.

Jackson przełknął i potrząsnął głową.

– Kochałem Christiana jak brata. Razem chodziliśmy do college'u. Właśnie dlatego adoptowałem Cody'ego. Jest synem Christiana.

Więc miałam rację, że Cody nie jest biologicznym synem Jacksona. To piękny gest, że adoptował dziecko swojego zmarłego przyjaciela. Nie śmiałam zapytać, co z matką Cody'ego, więc zamiast tego wpatrywałam się w twarz Jacksona.

Ten mężczyzna miał tak wiele warstw – współczujących, złożonych warstw pod tą kolczastą fasadą. Bez wahania warczał i burczał, ale równie łatwo można było zranić jego uczucia.

Może musiał wyhodować sobie tę ciernistą skórę, żeby chronić wrażliwe serce? Może to, co stało się z jego twarzą i skłoniło go do mówienia z taką goryczą o swoim rodzinnym interesie, po prostu go zmieniło?

A może zwyczajnie miałam wybujałą wyobraźnię.

Tak czy inaczej, jego cudowny zapach drażnił mój nos, a on sam stał trochę zbyt blisko i patrzył na mnie w ten dziwny sposób. Ten, który sprawiał, że serce zaczynało mi szybciej bić, a dłonie się pociły. Musiałam gdzieś pójść i to szybko, żebym mogła się zastanowić, co się, u diabła, ze mną działo, bo byłam całkiem pewna, że moje sutki stwardniały nie tylko od chłodu.

Krótkim, rzeczowym tonem oznajmiłam:

– Jeśli pozwolisz, wrócę do pracy, zanim Claudia odkryje, że wciąż mnie nie ma, i dostanie wylewu.

I popędziłam przez trawnik w stronę domu, wmawiając sobie, że *nie czułam* na sobie spojrzenia Jacksona, kiedy odchodziłam.

Tyle, że czułam.

I paliło jak ogień.

***

Aukcja zakończyła się przed północą, goście wyszli, a wynajęta ekipa przyjechała, żeby złożyć namiot i stoły. Claudia czuła taką ulgę, że przyjęcie wypadło dobrze – i odbiegło od jej grafiku tylko o dwanaście minut – że mnie uściskała. Pozostało mi tylko odnaleźć Rayforda, który obiecał, że odwiezie mnie do domu.

Ale nie widziałam go od kilku godzin.

Nie czułam się komfortowo, wałęsając się po domu i go szukając, więc przez jakiś czas czekałam w kuchni, pomagając ekipie sprzątającej ładować talerze i szklanki z powrotem do skrzynek, a potem pakować pozostały sprzęt kuchenny. Kiedy wszystko zostało zabrane, postanowiłam porządnie zeskrobać blaty kuchenne, bo nie mogłam znieść zostawiania bałaganu w kuchni na koniec dnia.

Byłam właśnie w połowie usuwania przypalonego jedzenia z palnika, kiedy poczułam, że ktoś mnie obserwuje. Odwróciłam się i zastałam Jacksona stojącego w wejściu. W jednej dłoni trzymał butelkę, a w drugiej dwie pękate szklaneczki.

– Skoro tak bardzo lubisz Burbon Bourdeaux, pomyślałem, że chciałabyś spróbować czegoś specjalnego – powiedział.

Uniósł butelkę, przepiękny kawałek ciosanego kryształu wypełniony bursztynowym płynem tak ciemnym, że prawie brązowym. Na złotej etykiecie widniał napis „Dziedzictwo trzydziestu lat".

Moje oczy otworzyły się szeroko.

– Myślałam, że to tylko miejska legenda.

Jackson podszedł do wielkiej, marmurowej wyspy na środku kuchni i postawił na niej butelkę oraz szklanki. Zdjął marynarkę i podwinął rękawy swojej białej, wyjściowej koszuli. Nadal nie mogłam się przyzwyczaić, jak inaczej wyglądał, choć jego włosy z całych sił próbowały wrócić do wcześniejszego nieładu. Kilka niesfornych, ciemnych kosmyków opadło mu na czoło w kuszący, chłopięcy sposób.

– To ostatnia butelka i jedyna w swoim rodzaju. Z tego konkretnego zacieru zrobiono tylko kilka tuzinów beczek. Eksperyment zakończono, kiedy mój ojciec otworzył beczki po dziesięciu latach i uznał, że to gówno. Reszta beczek została sprzedana konkurencji do sporządzenia mieszanki, ale jedną pominięto i została znaleziona kilka lat temu w magazynie. Okazało się, że zacier był idealny, ale potrzebował dużo więcej czasu niż inne receptury.

Usłyszałam w głowie głos mojej matki. Powiedziała: *Niektóre gąsienice potrzebują więcej czasu niż inne, żeby stać się pięknymi motylami*, kiedy zapytałam w wieku piętnastu lat, dlaczego nie mam cycków jak moje koleżanki. Zupełnie jak Dziedzictwo trzydziestu lat dojrzałam później.

To było jednocześnie dziwne i dziwnie pocieszające, że miałam coś wspólnego z rzadkim i drogim trunkiem.

Jackson odkorkował butelkę, nalał precyzyjnie odpowiednią ilość do każdej szklanki i umieścił korek z powrotem. Podniósł jedną

szklankę, zakręcił alkohol, powąchał i wyciągnął w moją stronę.

– Powiedz mi, co czujesz.

Niepewna, czy to jakiś test, odłożyłam gąbkę, którą wciąż trzymałam, podeszłam do niego, wzięłam szklankę, przysunęłam do nosa i się zaciągnęłam. Aromat karmelu, palonego dębu, klonu, suszonych moreli i skórki cytrynowej wypełnił moje nozdrza. Oczy zamknęły mi się z rozkoszy.

– Czuję raj – odpowiedziałam.

Jackson się zaśmiał. Kiedy rozchyliłam powieki, na jego twarzy nadal gościł uśmiech.

– Sądziłem, że raj to biblioteka, w której znajdują się wszystkie książki, jakie kiedykolwiek napisano.

Zaskoczona, że to zapamiętał, odpowiedziałam mu uśmiechem.

– Trzeba mieć coś dobrego do picia podczas czytania dobrej książki, panie Boudreaux.

Jego uśmiech powoli zbladł. Wziął swoją szklankę i podniósł ją do ust. Wpatrywał się we mnie, kiedy pociągnął łyk, przełknął i odstawił szklankę. Powoli oblizał wargi i powiedział chrapliwie:

– Jackson.

Na piekielne dzwony, ten mężczyzna powinien pracować w sekstelefonie! Ten głos*!*

Odchrząknęłam.

– Racja, Jackson. Przepraszam.

– Znowu powiedziałem coś, czym cię uraziłem? – zapytał.

Zamrugałam.

– Nie. Dlaczego?

Jego wzrok spoczął na moich policzkach.

– Bo rumienisz się, kiedy jesteś wściekła.

– Albo zawstydzona – poprawiłam. – Mam to po ojcu. Zawsze dało się zauważyć, że odczuwał jakieś silne emocje, bo jego policzki robiły się czerwone jak nos renifera Rudolfa.

Jackson pozwolił, żeby to dziwne wyznanie na chwilę między nami zawisło, i patrzył, jak rumieniec przesuwa się z moich policzków na szyję. Potem niskim głosem zapytał:

– Dlaczego poczułaś się zawstydzona, kiedy powiedziałem, żebyś zwracała się do mnie po imieniu?

Kurczę, pomyślmy, może dlatego, że twój głos aktora porno może wywoływać spontaniczne orgazmy u kobiet, które pamiętają, czym jest seks, albo dlatego, że masz ten dominujący sposób wydawania rozkazów, który zaczynam uważać za coraz mniej irytujący, a bardziej intrygujący, a może dlatego, że patrzenie, jak oblizujesz usta, wywołało wybuch nuklearny między moimi nogami.

Zamiast wypowiedzieć którąś z tych szalonych myśli na głos, po prostu odrzuciłam głowę i wychyliłam burbon z mojej szklanki.

– Wow! – wykrzyknęłam, kiedy skończyłam. – Aż mi w pięty poszło!

Jackson powoli uniósł brwi.

– To znaczy, że nie mogło być lepiej – powiedziałam pospiesznie, czując się jak totalna kretynka.

– Wiem, co to znaczy – odparł Jackson. – Zastanawiam się tylko, co wzbudziło twoje silne emocje. – Potem wpatrywał się we mnie, a jego oczy płonęły niebieskim ogniem.

– Ja… jestem yyy… zmęczona – wyjąkałam. – Przez zmęczenie robię się nieco zakręcona.

Dobry Boże, gdybyś mógł pomóc mi i obdarzyć mocą niewidzialności albo wywołać moją nagłą śmierć od czegoś szybkiego i bezbolesnego, byłabym niezmiernie wdzięczna.

Ale Bóg prawdopodobnie zbyt dobrze się bawił, patrząc, jak się wiję, żeby spełnić moje życzenie. Stałam tam, wpatrując się w Jacksona, a on we mnie. I żadne z nas nic nie mówiło.

Odchylił głowę, eksponując umięśnioną szyję i wychylił resztę swojego burbona. Patrzyłam, jak jego jabłko Adama unosi się i opada przy przełykaniu i wyobraziłam sobie Boga jako nastolatkę chichoczącą szaleńczo, kiedy poczułam, że gorąco z mojej twarzy i szyi rozchodzi się aż na piersi.

Sięgnęłam po butelkę i nalałam sobie kolejną szklankę. Tę również wychyliłam, kaszląc na koniec, bo chociaż była to najlepsza whiskey, jaką kiedykolwiek piłam, powinno się ją sączyć, a nie wlewać do gardła. Płomienie ogarnęły mój przełyk.

– Pycha – powiedziałam, kiedy łzy pociekły mi z oczu, i się zaśmiałam.

Jackson przekrzywił głowę i wpatrzył się we mnie.

– Czy sprawiam, że czujesz się niekomfortowo? – zapytał.

Może powinnam po prostu napełnić zlew wodą i włożyć tam głowę, pomyślałam, desperacko szukając sposobu ucieczki. W tej chwili samobójstwo nie było już wykluczone.

Spojrzałam ponad ramieniem Jacksona.

– Widziałeś gdzieś Rayforda? Powiedział, że zawiezie mnie do domu.

– Nie i to była najgorsza zmiana tematu, jaką kiedykolwiek słyszałem. Dlatego zakładam, że odpowiedź na moje pytanie brzmi tak. Następne pytanie brzmi: dlaczego?

Boże, ależ był bezpośredni.

– Sprawiasz, że czuję się niekomfortowo od momentu, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy – palnęłam bez zastanowienia i chciałam strzelić się za to w twarz.

Kiedy jego oblicze zrobiło się mroczne, dodałam:

– Ale dziś wieczorem to pierwszy raz, kiedy nie jest to zły rodzaj dyskomfortu.

Wpatrywał się we mnie bez mrugnięcia. Łup, łup, łup szalało moje serce.

– Więc w jakim sensie czujesz się niekomfortowo, Bianco?

O matko.

Staliście kiedyś na brzegu wysokiego klifu i spojrzeliście w dół?

Kiedy byłam mała, ojciec zabrał mnie, żeby zobaczyć Wielki Kanion. Jako ciekawskie dziecko chciałam znaleźć się najbliżej urwiska jak to możliwe. Więc kiedy moja matka odwróciła uwagę na ułamek sekundy, przemknęłam pod drewnianą barierką, pobiegłam prosto do kamiennego zbocza i spojrzałam w dół.

Wiatr zwiewał mi włosy z czoła, a ziemia chrzęściła pod stopami, byłam przerażona. I podekscytowana. I dziwnie pewna, że gdybym skoczyła i rozłożyła ramiona, mogłabym polecieć. Było coś magicznego w moim przerażeniu, coś, co sprawiało, że serce mi rosło, chociaż straciłam dech, a krew zamarzała mi w żyłach.

Dokładnie tak się czułam, patrząc w niebieskie oczy Jacksona, kiedy czekał, żebym odpowiedziała na jego pytanie.

Musiał zobaczyć to w wyrazie mojej twarzy, bo ostrożnie odstawił szklankę i do mnie podszedł.

TRZYNAŚCIE

JACKSON

– Powinnam już iść – powiedziała Bianca gwałtownie, brzmiąc tak, jakby właśnie sobie przypomniała, że zostawiła w domu włączony piekarnik.

Zatrzymałem się w miejscu, a rozczarowanie uderzyło we mnie z całą mocą. Omyłkowo wziąłem jej spojrzenie za pożądliwe. Najwidoczniej przenosiłem na nią swoje własne odczucia, bo patrząc na jej spanikowany wzrok, kiedy się zbliżyłem, poważnie przeliczyłem się w ocenie tego, co się tutaj działo.

Ona po prostu była miła, a ja zachowywałem się jak upiorny, perwersyjny, dziki, niestosowny kretyn, który nie potrafił utrzymać fiuta w spodniach.

Ale ze mnie cholerny idiota.

– Oczywiście – powiedziałem, upokorzony. – Jest późno. Nie będę cię zatrzymywać.

Krew zadudniła mi w skroniach. Szybko zrobiłem krok w tył, przeczesałem włosy palcami i wziąłem uspokajający oddech.

– Rayford miał odwieźć mnie do domu, ale nie… – zaczęła Bianca.

– Ja cię odwiozę!

Te słowa wyleciały z moich ust, zanim zdołałem je powstrzymać. Rzucona deklaracja, która sprawiła, że Bianca zamrugała, zaskoczona jej gwałtownością.

– Och – sapnęła. – Yyy… nie chcę zawracać ci głowy.

– To nic takiego – odpowiedziałem przez zaciśnięte zęby, zniesmaczony jej oczywistą niechęcią do myśli o wspólnej przejażdżce. Ale nie mogłem jej pozwolić tak po prostu wyjść, przy całym tym napięciu i towarzyszącej mu niezręczności. Musiałem jej to jakoś wynagrodzić po drodze, powiedzieć coś uprzejmego albo

czarującego, co przywoła jej śmiech i rozluźni tę stalową obręcz, która zacisnęła się na mojej piersi.

Tak, powodzenia, złamasie.

– Tędy – rzuciłem, odwróciłem się na pięcie i wyszedłem z kuchni.

Nie obejrzałem się, żeby zobaczyć, czy za mną poszła, kiedy ruszyłem do garażu, częściowo dlatego, że słyszałem jej kroki odbijające się echem od marmuru, a częściowo dlatego, że byłem zbyt zajęty kopaniem samego siebie za to, że zachowałem się jak kretyn. Poza tym moja twarz płonęła zażenowaniem. Nie chciałem, żeby Bianca widziała, jak przerażony byłem własną głupotą.

Powinienem wiedzieć, że kobieta taka jak Bianca Hardwick nigdy nie zainteresowałaby się takim mężczyzną jak ja. Jedyne kobiety, które mnie chciały to te, którym płaciłem.

Byłem sam tak długo, że już o tym zapomniałem.

Jesteś wart tylko tyle, ile stan twojego konta! Cricket wywrzeszczała mi to wiele lat temu i rzuciła pierścionkiem prosto w moją pierś. *Naprawdę sądziłeś, że mogłabym cię kochać? Że ktokolwiek mógłby cię kochać?*

Potem poczyniła kilka niewybrednych komentarzy na temat mojej sprawności w łóżku i to był ostatni raz, kiedy zaufałem drugiemu człowiekowi.

Z hukiem otworzyłem drzwi do garażu, włączyłem światła, chwyciłem kluczyki z haczyka na ścianie i ruszyłem w stronę porsche. Przeszedłem na stronę pasażera i otworzyłem drzwi. Stałem w ciszy, kipiąc ze złości, i patrzyłem, jak Bianca podchodzi z wahaniem.

Unikając mojego wzroku, wśliznęła się na siedzenie i ułożyła dłonie na kolanach.

– Pasy – burknąłem.

Nie spoglądając na mnie, przełożyła pas przez talię i zapięła go. Usiadła, patrząc przed siebie z takim wyrazem twarzy, jakby jechała na pogrzeb.

Zamknąłem drzwi i starałem się ze wszystkich sił, żeby nie uderzyć pięściami w dach samochodu.

Wsiadłem, odpaliłem silnik, wcisnąłem guzik drzwi garażowych i czekałem, aż staną otworem.

– To spora kolekcja samochodów. Naliczyłam dwanaście – powiedziała Bianca uprzejmie.

– Na coś muszę wydawać pieniądze – odparłem gorzko.

Zerknęła na mnie. Kiedy drzwi garażowe podjechały do góry, odpaliłem porsche. Samochód skoczył do przodu, wbijając nas oboje w siedzenia.

Jechaliśmy w ciszy, dopóki nie minęliśmy bramy mojej posiadłości.

– Dlaczego jesteś teraz wściekły? – zapytała Bianca.

Przeraziło mnie to. Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć, więc milczałem, koncentrując się na drodze.

– Prowadzisz jak szaleniec, a ja nie jestem jeszcze gotowa umierać, więc może jeśli powiesz mi, dlaczego jesteś taki wściekły, moglibyśmy o tym porozmawiać, a ty zwolnisz – oznajmiła.

– Nie jestem wściekły! – warknąłem, ale zdjąłem nieco nogę z gazu, a samochód momentalnie zmniejszył prędkość. Ostatnim, czego chciałem, to żeby nie czuła się przy mnie bezpieczna.

Po dłuższej chwili westchnęła.

– W porządku.

– Kurwa – mruknąłem. Odchrząknąłem i spojrzałem na nią. – Przepraszam.

Odwróciła głowę i popatrzyła na mnie. W ciemnym wnętrzu samochodu wyglądała nieziemsko, jak wyjęta ze snu, z błyszczącymi oczami i lśniącą skórą była elektryzująco piękna.

– Nie radzę sobie zbyt dobrze z ludźmi – przyznałem.

Jej usta wygięły się w górę.

– Radzisz sobie, kiedy tego chcesz.

Znowu mnie zaskoczyła. Czy to był komplement?

Ponownie skupiłem się na drodze, bo patrzenie na nią było niebezpieczne. Nie mogłem sobie ufać, że nie powiem nic głupiego, kiedy mierzyliśmy się spojrzeniami.

– Dokąd jedziemy? – zapytałem.

– Tremé. Ulica Świętej Anny.

Jechaliśmy w ciszy przez kilka minut, na tyle długo, że zrobiło się niekomfortowo, i prawie tak długo, żeby było dziwnie. Wtedy przerwała ciszę kolejną niespodzianką.

– Chcę ci podziękować.

– Za co?

– Za przepłacenie mnie. Te pieniądze wpadły mi w idealnym momencie.

Nie mogłem się powstrzymać. Spojrzałem na nią.

– Nie przepłaciłem. Uratowałaś mi tyłek. Nikt inny nie zorganizowałby tego wszystkiego w tak krótkim czasie. A jedzenie było niesamowite. Miałaś rację, ludzie otworzyli portfele. Wygląda na to, że to najlepsza aukcja od początku istnienia Projektu.

Wyjrzała przez okno na mijaną ciemność i powoli potrząsnęła głową.

– Tak czy inaczej, dziękuję.

Brzmiała tak melancholijnie. Nagle wydostałem się ze swojego kręgu użalania się nad sobą i jedynym, na czym mogłem się skupić, była ona.

– Co masz na myśli, że pieniądze wpadły ci w idealnym momencie? – zapytałem.

Wzruszyła ramieniem.

– Nic, tylko… doceniam to. Byłeś bardzo hojny. To naprawdę mi pomogło.

Mój umysł zaczął pracować w zawrotnym tempie, starając się zrozumieć, co mogła mieć na myśli. Wcześniej wspomniała o matce…

– Chodzi o twoją matkę?

Gwałtownie odwróciła głowę. Wpatrywała się we mnie wielkimi, zszokowanymi oczami.

– Skąd wiedziałeś o mojej matce?

Czyli dobrze zgadłem.

– Wspominałaś o niej wcześniej. Mówiłaś, że miałaś kilka ciężkich tygodni.

Bianca odwróciła się sztywno.

– Jest chora? – zapytałem łagodnie.

Powoli nabrała powietrza, po czym wypuściła je cicho.

– Dosłownie by mnie zabiła, gdyby dowiedziała się, że ci powiedziałam, więc wcale nie mówię. Tak. Ale nie słyszałeś tego ode mnie i proszę, nie mów nikomu.

Przyjrzała mi się błagalnym wzrokiem, a ja prawie zjechałem z drogi przez eksplozję emocji w mojej piersi.

– Masz moje słowo, że nikomu nie powiem – odparłem szorstko.

Wpatrywałem się w nią, serce zaczęło mi galopować, byłem zszokowany, jak łatwo potrafiła sprawić, że czułem się, jakbym topniał, latał i miał atak serca jednocześnie.

Niech to jasny szlag trafi, ta kobieta jest moim kryptonitem.

Ponownie spojrzałem na drogę, zacisnąłem palce na kierownicy i starałem się oddychać.

– Moja matka jest chora od bardzo dawna – oznajmiłem.

Bianca wciągnęła powietrze.

– Naprawdę? Och, nie! Czy jest… źle?

Cóż, tak, jest źle, nie powiedziałem tego na głos, *i to wszystko moja wina.*

– Kilka lat temu miała wylew. Teraz głównie leży w łóżku. Ma problemy z mówieniem, potrzebuje stałej opieki.

Mniej więcej tyle udało mi się wydusić, zanim gardło mi się zacisnęło i nie mogłem powiedzieć już nic więcej.

– Och, Jacksonie – powiedziała Bianca. – Tak bardzo przykro mi to słyszeć. To musi być dla ciebie bardzo trudne!

Kiedy nic nie odpowiedziałem, dodała z wahaniem:

– Czy może nie jesteście ze sobą zbyt blisko?

Na chwilę zamknąłem oczy. To coś, o czym nigdy z nikim nie rozmawiałem, ale Bianca właśnie podzieliła się ze mną czymś bardzo osobistym i poczułem, że powinienem też dać jej coś od siebie.

– Kiedyś byliśmy. Ale to było zanim stałem się takim rozczarowaniem.

– Rozczarowaniem? Ty? Ale jesteś taki…

Spodziewając się złośliwego żartu z mojego charakteru, spojrzałem na nią ostro. Ale Bianca przyglądała mi się z poważną miną i ściągniętymi brwiami, szukając odpowiednich słów.

W końcu oznajmiła:

– Cóż, nie wiem, co powinnam powiedzieć, ale ktoś, kto adoptuje dziecko wymagające specjalnej opieki, zbiera pieniądze na cel charytatywny i dotrzymuje swojej części umowy, dla mnie nie jest

rozczarowaniem. – Z uśmiechem dodała: – Nawet jeśli jesteś taki zadufany w sobie, jakbyś miał kij w tyłku.

– Zadufany w sobie! Nie jestem zadufany! – wykrzyknąłem, cholernie ucieszony tym, co powiedziała, nawet jeśli na końcu odniosła się do pracy.

Bianca pomachała w powietrzu.

– Och, proszę cię, Jacksonie, jesteś taki napuszony, jakbyś myślał, że twoje gówno smakuje jak sorbet.

Po czym zakryła dłonią usta i spojrzała na mnie z przerażeniem.

Odrzuciłem głowę i się zaśmiałem.

– O mój Boże, bardzo przepraszam – wysapała. – To było nikczemne i chamskie.

Nadal śmiałem się tak bardzo, że w oczach stanęły mi łzy. Jej mina była bezcenna. Gdyby ktoś inny odezwał się do mnie w ten sposób, eksplodowałbym furią.

– Proszę, powiedz, że nie nałożysz wstecznej blokady na czek! – błagała.

– Nie ma takiej możliwości – odparłem, łapiąc powietrze.

Ukryła twarz w dłoniach i jęknęła.

– Gdyby moja matka wiedziała, że powiedziałam coś takiego, wykopałaby mnie na księżyc.

Bez zastanowienia, uśmiechając się jak wariat, wyciągnąłem rękę i ścisnąłem jej ramię.

– Nie martw się. Dajesz mi niezły wycisk od chwili, gdy się poznaliśmy. Chyba zaczyna mi się to podobać.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Potem przeniosła wzrok na moją dłoń na swoim ramieniu.

Zabrałem ją tak szybko, że aż świsnęło.

– Przepraszam – burknąłem, a moja twarz znowu zaczęła się czerwienić.

Po minucie dręczącej ciszy, Bianca powiedziała:

– Skręć tutaj.

Pragnąc mieć wehikuł czasu, by odkręcić mój kolosalny błąd, jakim było dotknięcie kobiety, która wcale tego nie chciała, skręciłem za róg do dzielnicy Bianki. Po kilku kolejnych zakrętach odnalazłem jej ulicę.

– Ten biały po lewej, z czerwonymi drzwiami – powiedziała, wskazując na dom.

Kiedy zaparkowałem przy krawężniku, Bianca wydała z siebie cichy okrzyk.

– Och!

Podążyłem za jej spojrzeniem. Na werandzie przed domem siedział jakiś mężczyzna. Kiedy ją zobaczył, wstał i ustawił się obok drzwi, czekając.

O pierwszej w nocy jakiś mężczyzna czekał, żeby wróciła do domu. Młody i przystojny mężczyzna, z tego, co zauważyłem. Chociaż światła werandy były przyćmione, tyle dało się dostrzec.

Cholera.

Przytłoczony rozczarowaniem i irracjonalną, bezpodstawną zazdrością, zapytałem sztywno:

– Twój chłopak?

Bianca gwałtownie potrząsnęła głową. Odwróciła wzrok od okna.

– Były chłopak. I to bardzo, bardzo były.

Jej zniesmaczony ton pokazywał dokładnie, co czuła wobec mężczyzny na werandzie. Oczywistym było, że cokolwiek wydarzyło się między nimi, sprawiło, że była wściekła, zgorzkniała i bez grama chęci oglądania go ponownie. Moją zazdrość zastąpił gniew i potrzeba chronienia jej tak silna, że prawie złamałem kierownicę na pół.

– Pozbędę się go – warknąłem. Sięgałem już do klamki, ale Bianca mnie powstrzymała.

– Nie. – Odwróciła się do mnie z taką intensywnością w oczach, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widziałem. Położyła dłoń na moim przedramieniu. – Mam lepszy pomysł.

Wtedy jej spojrzenie przesunęło się na moje usta, pochyliła się do mnie, a serce zamarło mi w piersi.

CZTERNAŚCIE

BIANCA

Zanim zaczniecie mnie oceniać, powiem tylko, że mój mózg nie działał na pełnych obrotach przez całe to seksualne napięcie między Jacksonem a mną w kuchni, przez lęk spowodowany jego szaleńczą jazdą, sprawienie, że się zaśmiał (taki piękny, niespodziewany dźwięk), jego wielką, ciepłą dłoń spoczywającą na moim ramieniu w delikatnym, a jednak nieco zaborczym geście oraz widok Trace'a na mojej werandzie w środku nocy.

Więc tak. Pocałowałam Jacksona.

Mocno.

I to nie była ta zła część. Jego usta były miękkie, twarz gładka, a zapach z bliska okazał się jeszcze lepszy. Tą złą częścią był fakt, że on *nie oddał pocałunku*.

Kiedy po kilku długich chwilach stało się jasne, że nie zamierzał otworzyć ust i w zasadzie był sztywny jak zwłoki pozostawione na śniegu, odsunęłam się o kilka centymetrów i spojrzałam na niego z wahaniem.

– Czy ty właśnie mnie pocałowałaś, żeby wzbudzić w nim zazdrość? – zapytał.

– Yyy – odburknęłam.

Wpatrywaliśmy się w siebie. Czułam się tak, jakby każde z moich zakończeń nerwowych zostało zanurzone w łatwopalnym płynie i podpalone.

Uniósł rękę i powoli przesunął kciukiem po mojej dolnej wardze. Głosem niższym o oktawę powiedział:

– Wzięłaś mnie z zaskoczenia. Spróbujmy jeszcze raz. Ale tym razem połóż dłoń na mojej piersi, żeby wyglądało bardziej autentycznie.

– Boże, ale się rządzisz… – burknęłam.

Ale zaraz potem się zamknęłam, bo Jackson zawładnął moimi ustami i nie mogłam myśleć, a co dopiero mówić.

Smakował jak burbon, tajemnice i sfrustrowane pragnienie, a całował tak, jakby był na głodzie. Zaczęło się powoli, jego język delikatnie rozchylił mi usta, a wielka dłoń zagarnęła moją głowę, ale szybko zrobiło się gorąco i zachłannie. Kiedy wplotłam palce w jego włosy i przyciągnęłam go bliżej, wydał z siebie niski, męski dźwięk, pochodzący z głębi gardła, który był prawdopodobnie najseksowniejszym odgłosem, jaki słyszałam w życiu.

Po czasie, który wydawał się wiecznością, odsunął się pierwszy. Oboje ciężko oddychaliśmy.

Otworzyłam oczy, spojrzałam na niego i zaczęłam się martwić, że moje majtki mogą nagle stanąć w płomieniach przez wzrok, którym mnie obdarzył.

– Boże, mam nadzieję, że masz dużo byłych, u których chciałabyś wzbudzić zazdrość – wyszeptał.

Niezmiernie zszokowana i przerażona własnym zachowaniem – nie mam w zwyczaju rzucać się na mężczyzn i ich całować – usiadłam prosto i przygładziłam włosy.

– Niestety tylko tego jednego – powiedziałam.

Wszedł w to szybciej niż gorący nóż w masło.

– Niestety?

Moja twarz zapłonęła i jęknęłam.

Ale wtedy rozległo się ostre pukanie w moje okno.

Trace pochylił się i zajrzał do samochodu.

– Yyy, Bianco? Zamierzasz tam siedzieć przez całą noc, czy wejdziesz wreszcie do środka?

Powinnam była zgadnąć, że Trace nie przejmie się widokiem mnie całującej innego mężczyznę. Jego ego było większe niż cały stan Luizjana.

– To nie twój interes, co robię, Adams – oznajmiłam.

Trace sapnął.

– Muszę z tobą porozmawiać, pszczółko.

– Chcesz z nim rozmawiać, Bianco? – zapytał Jackson.

– Nie! Ani teraz, ani nigdy!

– Oczywiście, że chcesz – stwierdził Trace. – Po prostu jesteś uparta.

Jackson warknął, otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

– Oho – powiedziałam do siebie.

Jackson okrążył auto i powiedział do Trace'a:

– Masz dziesięć sekund, żeby wypierdalać od tego okna, albo zrobię kanapkę z pięści i wepchnę ci ją do gardła, przyjacielu.

Trace wyprostował się powoli. Po obu stronach widziałam tylko połowy męskich ciał, torsy, nogi, muskularne ramiona i dłonie zwinięte w pięści.

– Nie wiem, kim jesteś, dupku, ale nikt nie będzie tak do mnie mówił – powiedział Trace do Jacksona.

– A mnie nikt nie będzie nazywał dupkiem – odparł Jackson.

– Och – powiedział Trace – a nie jesteś dupkiem? Bo z mojej perspektywy właśnie tak wyglądasz.

Ze śmiertelną łagodnością Jackson odpowiedział:

– A z mojej perspektywy wyglądasz, jakbyś był o krok od odwiedzenia ostrego dyżuru.

Dobra, pomyślałam, *czas zainterweniować, zanim znajdziemy się w porannych wiadomościach.*

Odblokowałam zatrzask i wyskoczyłam z samochodu, omijając krocze Trace'a o włos, kiedy z impetem otworzyłam drzwi. Spojrzałam na niego spode łba i powiedziałam gniewnie:

– Wybacz, człowieku, który twierdzi, że odnalazł Boga, ale twoja dawna, wredna dusza znowu daje o sobie znać!

– Pszczółko… – wyjęczał Trace.

– Tylko mi tu nie pszczółkuj! Powiedziałam ci już ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, żebyś zostawił mnie w spokoju! Nigdy więcej nie chcę cię widzieć!

Trace założył ręce na piersi i spojrzał na mnie z cwaniackim wyrazem twarzy. Zanim w ogóle to powiedział, już wiedziałam, co za chwilę wyjdzie z jego ust.

– Twoja mama powiedziała mi coś innego – wycedził.

Nie jestem agresywną osobą, ale dłoń zaczęła mnie swędzieć, żeby wejść w kontakt z jego śliczną, zadowoloną z siebie twarzą.

– Sam fakt, że istnieje coś takiego jak recykling, nie oznacza, że każdy śmieć zasługuje na drugą szansę.

Usłyszałam za sobą parsknięcie Jacksona.

Trace przeniósł na niego spojrzenie, spiorunował go wzrokiem, a potem znowu zwrócił się do mnie.

– W porządku – powiedział. – Widzę, że nie będziesz zachowywać się rozsądnie przy tym dupku. Może w takim razie zadzwonisz do mnie, kiedy nie będzie go w pobliżu?

Lekceważąco skinął brodą w stronę Jacksona, odwrócił się i powoli ruszył chodnikiem.

Jackson obserwował go w napięciu i gotowości, niebezpieczny jak kobra tuż przed atakiem.

Trace wskoczył na motocykl zaparkowany dwa domy dalej, odpalił silnik, przypalił gumę i z rykiem pomknął ulicą.

– Ooch – powiedziałam, patrząc jak odjeżdża. – Ależ to męskie. – Wydałam z siebie odgłos przypominający wymioty i ruszyłam w stronę domu.

Wyjęłam zapasowy klucz ze skrytki w kształcie kamienia, ustawionej pod krzakiem obok werandy, wspięłam się na schodki i otworzyłam drzwi. Kiedy się odwróciłam, Jackson powoli wchodził za mną na ganek, rozciągając dłonie, jakby próbował pozbyć się napięcia.

– Przepraszam. To było żenujące – powiedziałam.

Jackson zatrzymał się kilka kroków od drzwi. Popatrzył na koniec ulicy, w stronę, w którą odjechał Trace, a jego spojrzenie było mroczne.

– Nie przepraszaj. Nie masz za co. Chcesz, żebym tu przez chwilę posiedział i upewnił się, że nie wróci?

Zaskoczyło mnie to. Jackson Boudreaux chciał siedzieć na mojej werandzie w środku nocy, jakby był moim osobistym psem obronnym?

Może ten pocałunek podobał mu się tak bardzo jak mnie.

– Dziękuję za propozycję, ale Trace już dzisiaj nie wróci. Musi wylizać rany w łóżku jakiejś kobiety przez noc albo dwie, zanim ponownie zbierze w sobie tupet, żeby mi się pokazać.

Westchnęłam, nagle potwornie zmęczona.

– Uwierz mi, widziałam to już milion razy. Szkoda tylko, że nie wzięłam dzisiaj ze sobą torebki, mam tam dla niego prezent, który zdecydowanie utrzyma go z dala ode mnie przez dłuższy czas.

Jackson oparł się o ościeżnicę i popatrzył na mnie.

– Prezent?

– Gaz pieprzowy.

Cień napięcia uszedł z jego ciała. Nawet zdołał uśmiechnąć się nieznacznie.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie nadepnął ci na odcisk.

Potarłam skronie. Czułam, że zbliża się okropny ból głowy.

– Nie wiem nic o nadeptywaniu na odcisk, ale wiem, że mężczyzna musi mnie wybrać albo mnie straci. Nie jestem wyjściem awaryjnym.

Jackson zamilkł. Kiedy na niego zerknęłam, obdarzał mnie tym samym, palącym spojrzeniem, tym, które sprawiało, że czułam się, jakbym mogła stanąć w płomieniach.

– Jest idiotą. Ale szczęśliwym idiotą – mruknął.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo miał cię przez jakiś czas.

Żar wystąpił na moje policzki. Zmieszana tym nieoczekiwanym komplementem, zmieniłam temat.

– Mogę zadać ci osobiste pytanie?

– Tak – odpowiedział bez wahania.

Wskazałam w stronę jego ręki.

– Dlaczego masz na nadgarstku wytatuowany średnik? Zauważyłam go, kiedy byliśmy w kuchni.

Jackson odwrócił rękę i spojrzał na prosty, czarny tatuaż na wewnętrznej stronie nadgarstka. Milczał przez dłuższą chwilę, po czym spojrzał w górę i napotkał mój wzrok.

– Jesteś zapaloną czytelniczką – odparł. – Wiesz, jakie znaczenie ma średnik.

Zmarszczyłam brwi.

– Autor używa go wtedy, kiedy mógłby zakończyć zdanie, ale decyduje się tego nie robić.

– Dokładnie.

– Nie rozumiem.

Jackson spojrzał mi głęboko w oczy. Jego uśmiech to prawdopodobnie najsmutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam.

– Ja jestem autorem, a zdanie to moje życie – powiedział łagodnym głosem.

O mój Boże.

Serce opadło mi do stóp.

– Jacksonie… – szepnęłam.

Odepchnął się od framugi, przeczesał włosy palcami i spojrzał na swój samochód.

– To był długi dzień. Pozwolę ci odpocząć.

Teraz wydawał się odległy. Załamany, jakby moje pytanie przywołało wszystkie złe wspomnienia i teraz chciał tylko uciec ode mnie i od nich.

Poczułam się głupio i nie wiedziałam, jak wymazać jego niezręczność.

– Dziękuję za Dziedzictwo trzydziestu lat. To była prawdziwa gratka.

Słaby, smutny uśmiech nadal błąkał się w kącikach ust Jacksona. Nie wiedziałam, o czym myślał, a on mnie nie oświecił. Skinął tylko głową i odwrócił się, by odejść.

Kiedy dotarł już do krawężnika, zawołałam go.

– Jacksonie?

Odwrócił się, by na mnie spojrzeć.

– Przykro mi z powodu tego pocałunku – powiedziałam.

Wpatrywał się we mnie spojrzeniem tak przepełnionym tęsknotą i samotnością, że zaparło mi dech.

– A mi nie – odpowiedział. – Pomoże mi przetrwać następne cztery lata.

Potem wsiadł do swojego porsche i odjechał, pozostawiając mnie stojącą w drzwiach wejściowych, zastanawiającą się, dlaczego położył nacisk na słowo *następne*.

I co sprawiło, że wytatuował sobie średnik.

A także dlaczego nagle chciałam wiedzieć o nim wszystko.

***

Przez całą noc nie zmrużyłam oka, ale nie kręciłam się. Po prostu leżałam w ciemności na plecach, wpatrywałam się w sufit, a moje myśli wirowały i nie chciały przestać.

Kim był prawdziwy Jackson Boudreaux? Bestią, która gryzła i warczała? Wyrafinowanym światowcem czującym się swobodnie przed tłumem ludzi? A może smutnym, samotnym mężczyzną, z tajemniczym tatuażem i oczami pełnymi złych wspomnień?

Był zagadką. Zagadką, którą bardzo chciałam rozwikłać, ale przyjęcie charytatywne dobiegło końca. A po tym, co wydarzyło się ubiegłej nocy, wątpiłam, żeby Jackson miał ochotę znowu się ze mną zobaczyć.

Chciałam samą siebie kopnąć za wykorzystanie go, żeby wzbudzić zazdrość Trace'a. To było samolubne i dziecinne. Chociaż wydawało się, że pocałunek podobał się nam obojgu, gdyby było odwrotnie i to ja zostałabym wykorzystana do zemsty, nie byłabym z tego powodu szczęśliwa.

Jakakolwiek była opinia Jacksona o mnie wcześniej, po ostatniej nocy zapewne opadła niżej niż brzuch węża w koleinie.

Rano jak zawsze wstąpiłam do mamy. Zastałam ją w łóżku, przemoczoną od potu i wymęczoną od mdłości. Poduszkę pokrywały włosy, które zaczęły wypadać kępkami.

– Jak poszło przyjęcie, *chère*? – szepnęła, wzdrygając się, kiedy włączyłam światło w sypialni.

Powstrzymując łzy, które napłynęły mi do oczu na jej widok, usiadłam na łóżku obok niej i chwyciłam mamę za rękę. Była lepka i krucha.

– Poszło dobrze, mamo. W zasadzie świetnie. Wszyscy byli zachwyceni jedzeniem.

Zamknęła oczy i skinęła głową.

– Oczywiście, że tak. Jesteś najlepszą kucharką w Luizjanie.

– Zaraz po tobie.

Jej uśmiech był słaby.

– A jak poradziłaś sobie z niesławnym panem Boudreaux? Był taki drażliwy jak zawsze?

Zastanowiłam się, jak odpowiedzieć na to pytanie i nad tym, co powiedział Rayford o Jacksonie. *Jeśli jest się traktowanym jak*

bezpański pies wystarczająco długo, człowiek zaczyna wierzyć, że właśnie tym jest i tak się zachowuje. Oraz nad czymś, co kiedyś powiedział mi ojciec i zostało to ze mną na lata. *Los to tylko suma wszystkich naszych złych decyzji*. A także nad czymś, co powiedział sam Jackson.

To było zanim stałem się takim rozczarowaniem.

– Myślę, że czasem człowiekowi łatwiej jest być najgorszą wersją siebie samego, niż pozwalać światu, żeby wciąż łamał mu serce – stwierdziłam.

Mama otworzyła jedno oko.

– Golnęłaś sobie dzisiaj na dzień dobry, skarbie?

Westchnęłam głęboko, walcząc ze zmęczeniem.

– Chciałabym. Jeden mały drink na przytłumienie zmysłów mógłby dobrze zadziałać w taki dzień jak dzisiaj. Ale dość już o mnie, co chciałabyś zjeść?

Na wspomnienie jedzenia aż pozieleniała na twarzy.

– Boże, proszę, nie mów mi o jedzeniu.

– Musisz coś zjeść, mamo – nalegałam. – Musisz być silna. Może trochę musu jabłkowego albo białego ryżu? Odrobinę gotowanego kurczaka?

Mama odprawiła mnie słabo.

– Nic. I tak nie utrzymałabym tego w żołądku. Po prostu daj mi trochę pospać. Później poczuję się lepiej.

Ale wiedziałam, że tak nie będzie. Wiedziałam, że to jeden z tych gorszych dni, takich, w których nie mogła nawet wyjść z łóżka.

Położyłam jej pod głową świeżą poduszkę, pocałowałam w policzek i zgasiłam światło, wychodząc z pokoju. Wiedziałam, że nie mogę jej zostawić samej na cały dzień. Będę musiała wrócić przed otwarciem restauracji, żeby sprawdzić, co u niej. Jej lekarz wspominał, że jest możliwość zatrudnienia pielęgniarki, która przychodziłaby kilka razy w tygodniu w ciągu dnia, żeby pomóc, i to zaczęło się jawić jako dobra opcja.

Sądziłam, że zdołam zająć się wszystkim sama – prowadzić restaurację i zapewniać mamie wszystko, czego będzie potrzebowała – ale zaczęłam już mieć wątpliwości.

Druga seria chemioterapii miała zacząć się za kilka dni. Jeśli będzie choć w połowie tak straszna jak ta pierwsza, będę potrzebowała całej armii do pomocy.

Ugotowałam trochę białego ryżu i piersi z kurczaka, zostawiłam w lodówce z karteczką na wypadek, gdyby mama poczuła się lepiej. Kiedy już miałam wyjść, mój wzrok spoczął na kopercie, leżącej na stole.

To ze szpitala. Nie była jeszcze otwarta.

Wsunęłam palec pod klapkę, wyjęłam złożoną kartkę papieru i cała krew odpłynęła mi z twarzy.

FAKTURA. Wielkie, kwadratowe litery krzyczały z prawego, górnego rogu.

Kiedy zobaczyłam sumę na dole strony, opadłam na kuchenne krzesło.

Potem pozwoliłam sobie na porządny, długi płacz.

PLACEK BIANKI Z NADZIENIEM Z JEŻYN I BURBONA

Na 8–10 porcji

- 12 szklanek świeżych jeżyn
- 3/4 szklanki cukru nierafinowanego
- 1/4 szklanki burbona wysokiej jakości
- Olej w sprayu
- 1/2 laski wanilii
- 1 szklanka cukru w kryształkach
- 2 szklanki mąki
- 3 łyżki proszku do pieczenia
- 1/2 łyżeczki soli kuchennej
- 1 łyżeczka skórki cytryny
- 1 1/2 szklanki mąki
- 1 jajko
- 3/4 łyżeczki ekstraktu z wanilii
- 6 łyżek roztopionego masła

Przygotowanie

- Rozgrzej piekarnik do 180 stopni. Zmieszaj jeżyny, cukier nierafinowany i burbon w dużej misce. Przełóż mieszaninę do formy do pieczenia, delikatnie spryskanej olejem w sprayu.
- Otwórz laskę wanilii, wyjmij nasiona i dodaj je do cukru w kryształkach, upewniając się, że nasiona są równomiernie rozłożone.
- Przesiej mąkę, proszek do pieczenia, sól i mieszaninę cukru w kryształkach do wielkiej miski. Dodaj skórkę z cytryny i wymieszaj. Ubij razem mleko, jajko i ekstrakt z wanilii, potem zmieszaj z suchymi składnikami. Dodaj roztopione masło i wymieszaj.
- Rozprowadź masę równomiernie na owocach. Umieść wszystko na papierze do pieczenia.
- Piecz w 180 stopniach przez 1 godzinę i 10 minut albo aż wierzch zrobi się złocistobrązowy.

PIĘTNAŚCIE

JACKSON

Wyglądając przez okno biblioteki na słoneczny, wiosenny poranek, ledwo słuchałem tego, co ojciec paplał mi do ucha. Moja uwaga była skupiona na myślach o Biance Hardwick.

Słodkiej, pyskatej, fascynującej Biance, która mówiła, co ślina przyniosła jej na język, martwiła się o matkę i samym pocałunkiem potrafiła sprawić, że mężczyzna czuł się jak król.

Nic dziwnego, że jej skretyniały były nadal kręcił się w pobliżu.

Przez cztery dni, które minęły od przyjęcia, nie mogłem pozbyć się jej z myśli. Nawet kiedy spałem. Każdego ranka budziłem się ze sztywnym kutasem, torturowany snami o jej słodkich ustach, tym, jak łagodnie wyglądały jej oczy po pocałunku, jak jej dłoń ciasno wczepiła się w moje włosy. Każdego wieczora postanawiałem jechać do jej restauracji, ale po drodze zmieniałem zdanie i wracałem do domu.

Powiedziałem za dużo, zachowywałem się zbyt dziwnie, nawet zagroziłem jej byłemu uszkodzeniem ciała. Musiała pomyśleć sobie, że jestem wariatem. Niestabilnym, przybitym, wybuchowym wariatem, który powinien się…

– …ożenić – powiedział ojciec.

Moje myśli natychmiast wróciły do rzeczywistości.

– Słucham? Kto się żeni?

– Ty, synu.

– Myślę, że obaj wiemy, że to się nie stanie – odpowiedziałem beznamiętnie, kiedy już odzyskałem panowanie nad sobą.

Cisza, która po tym nastąpiła, nie była długa, ale przenikliwa, a rozczarowanie odbijało się w niej echem.

– Nie słuchałeś ani słowa z tego, co powiedziałem, prawda?

Puls mi przyspieszył i zacisnąłem palce na telefonie.

– O czym ty mówisz?

Głębokie westchnienie ojca poniosło się echem w telefonie.

– Mówię o twoich obowiązkach wobec rodziny. Mówię o złamanym sercu twojej matki. Mówię o twoim majątku powierniczym, Jacksonie.

– Moim majątku? – zapytałem zdezorientowany. Już milion razy słyszałem o obowiązkach wobec rodziny i złamanych sercach, ale ojciec nigdy nie wspominał o majątku.

Ustanowił dla mnie specjalny fundusz, kiedy się urodziłem. Gdy skończyłem dwadzieścia jeden lat, zacząłem otrzymywać miesięczne wypłaty. Siedmiocyfrowe miesięczne wypłaty, które pozwalały mi żyć… cóż, tak jak teraz.

Bez mojego majątku powierniczego zostanę bez grosza.

Jak na ironię, bez niego nie zostałbym również tym nienawidzącym ludzi pustelnikiem, którym jestem teraz. *Wielkie dzięki, Cricket*.

– Tak. Twoim majątku – powiedział ojciec. – Który, co wiedziałbyś, gdybyś kiedykolwiek zadał sobie trud, żeby przeczytać umowę, może być wypłacany, tylko jeśli zaangażujesz się w codzienną pracę Burbon Boudreaux. Jeśli tego nie zrobisz, musisz ożenić się przed skończeniem trzydziestu pięciu lat.

Otworzyłem usta, ale stwierdziłem, że nic nie potrafię powiedzieć.

– Dodałem ten zapis, żebyś nie przepuścił wszystkiego na striptizerki i nie zwiał, jak syn Harveya Culligana. A trzydzieści pięć lat to bardzo hojnie, musisz przyznać! Mogłem zapisać dwadzieścia pięć, ale stwierdziłem, że mężczyzna potrzebuje kilku lat, żeby się wyszumieć, zanim zostanie uwiązany. Porządne bzykanie kształtuje charakter. Do pewnego stopnia.

Zaśmiałbym się przekonany, że żartował, ale jedynym, z czego ojciec nigdy nie żartował, były pieniądze.

Wobec mojego zdumionego milczenia, dodał:

– Twoja matka i ja byliśmy wobec ciebie bardzo cierpliwi, synu. Ta rozmowa nigdy nie miałaby miejsca, gdybyś po prostu ożenił się z Cricket i objął stanowisko głównego gorzelnika, jak powinieneś. Ale po tym, co zrobiłeś tej biednej dziewczynie, cóż…

O mój Boże. To się nie dzieje. To nie może się dziać.

Głos ojca stał się dziarski.

– Nie musimy znowu przechodzić przez to wszystko. Chodzi mi tylko o to, Jacksonie, że jesteś moim jedynym synem. Jesteś dziedzicem wszystkiego, co rodzina Boudreaux budowała przez osiem generacji. Jeśli nadal będziesz uchylał się od swoich obowiązków, a także odmówisz ustatkowania się i dania swojej matce wnuków, których pragnie, to przykro mi to mówić, ale zostaniesz bez grosza przy duszy.

Wydałem z siebie zduszony odgłos, który mój ojciec wziął za sygnał do zakończenia rozmowy.

– Owijałem w bawełnę w tej sprawie przez lata, bo czułem się źle z powodu stanu, w jakim się znajdowałeś, ale teraz zamierzam wyrazić się jasno. Masz czas do urodzin, żeby przywlec swój tyłek z powrotem do Kentucky i przejąć stanowisko głównego gorzelnika albo się ożenić. Z porządną dziewczyną, żeby była jasność. Nie zamierzam przyjąć jakiejś lafiryndy do rodziny! I zanim pomyślisz sobie o jakimś cwaniactwie i szybkim rozwodzie, powinieneś wiedzieć, że związek małżeński, w który zdecydujesz się wstąpić, musi trwać przynajmniej pięć lat, żebyś nadal dostawał pieniądze. Decyzja należy do ciebie.

Rozłączył się bez pożegnania. Wpatrywałem się w telefon, który wciąż trzymałem w dłoni.

Moje trzydzieste piąte urodziny wypadały w przyszłym miesiącu.

To nierealne. Tylko próbował mnie przestraszyć. To puste groźby.

Prawda?

Z sercem w gardle wybrałem numer wieloletniego prawnika mojej rodziny. A potem słuchałem z zamkniętymi oczami, jak przekazywał mi złe wieści.

***

– Więc twój tatuś wreszcie zrzucił bombę – powiedział Rayford, spokojnie czytając gazetę, siedząc naprzeciwko mnie w bibliotece. – Cóż, musisz to oddać Brigowi. Przynajmniej dał ci wybór.

– Wybór? – Podskoczyłem na równe nogi i zacząłem krążyć. Czułem się jak zwierzę w klatce. – Nie dał mi wyboru tylko ultimatum!

Rayford, niezrażony moim wybuchem, przewrócił stronę.

– Nic nie ma za darmo, panie Boudreaux, i pan powinien najlepiej o tym wiedzieć.

Przestałem chodzić i obrzuciłem go gniewnym spojrzeniem.

– Wiesz, że jeśli zostanę bez grosza, stracisz pracę, prawda?

Rayford opuścił gazetę i zerknął na mnie znad okularów.

– Niech się pan nie wygłupia. Musi pan myśleć o Codym. Opiece nad nim, edukacji i wszystkich jego potrzebach. Poza tym nie ma pan pojęcia, jak to jest być biednym. – Ponownie rozłożył gazetę i wrócił do czytania.

Skrzyżowałem ręce na piersi i stałem z rozstawionymi nogami, jakbym się spodziewał, że grupa ważniaków z banku wpadnie zaraz przez frontowe drzwi, a ja będę musiał walczyć z nimi na śmierć i życie o mój dom.

– Może nie, ale wiesz równie dobrze co ja, że nigdy nie wrócę do Kentucky.

Rayford się uśmiechnął. Wyglądało to dość tajemniczo.

– Czyli pozostaje małżeństwo. Więc kim jest ta szczęściara?

Chciałem rwać włosy z głowy. Zamiast tego znowu zacząłem krążyć.

– Odpuść mi, Rayfordzie! Nawet gdybym chciał się ożenić – a nie chcę – nie zdołałbym znaleźć żony w ciągu trzydziestu dni! Od czterech lat nawet nie byłem na randce! W całym stanie nie znajdę żadnej poczytalnej kobiety, która zechciałaby poślubić kompletnie obcego mężczyznę i pozostać z nim przez pół dekady!

– Więc trzeba znaleźć szaloną. Takich jest całkiem sporo.

– Jezu Chryste. W ogóle nie pomagasz.

Rayford wydał z siebie niezobowiązujący dźwięk, niebędący ani potwierdzeniem, ani zaprzeczeniem, po czym skrzyżował nogi. Ze wzrokiem wciąż wbitym w gazetę, rzucił:

– Zabawne, ostatnio wydawało mi się, że byłem bardzo pomocny.

Przestałem krążyć i spojrzałem na niego.

– Przestań rzucać takie zagadkowe stwierdzenia. Nie zniosę tego teraz.

Rayford zerknął na mnie. Jego mały, tajemniczy uśmieszek zrobił się szerszy.

– Kiedy w noc przyjęcia nigdzie nie można było mnie znaleźć i to pan musiał odwieźć Biancę Hardwick do domu.

Zatkało mnie na chwilę.

– Żartujesz. Zrobiłeś to specjalnie?

Teraz już całkowicie się rozpromienił.

– Urocza dziewczyna, prawda? Bardzo butna, jak mawiała moja matula. A jeśli mowa o matkach, przesłyszałem się, czy rzeczywiście mówiła panu, że jej matka ma jakieś problemy? Coś o tym, że miała kilka ciężkich tygodni?

Moje brwi podjechały aż pod linię włosów.

– Czy ty nas podsłuchiwałeś?

Wzruszył ramionami.

– Po prostu przechodziłem obok kuchni. Mam dwoje dobrze działających uszu, nic wielkiego.

– Rayfordzie – powiedziałem stanowczo.

– Ale wie pan, że ona pana lubi, prawda? – zapytał.

Kiedy odzyskałem zmysły, stwierdziłem, że moje nogi nie funkcjonują za dobrze, więc usiadłem na krześle. Odchrząknąłem, by zyskać czas i pozbyć się guli, która utknęła mi w gardle, zanim mogłem się odezwać.

– Skąd ten pomysł?

Rayford smutno potrząsnął głową.

– Proszę wybaczyć mi śmiałość, sir, ale jak na tak mądrego człowieka czasem potrafi pan być wyjątkowo głupi.

Wtedy złożył gazetę na pół i odwrócił w moją stronę artykuł, który właśnie czytał.

„Na przyjęciu charytatywnym zebrano miliony na rzecz rannych weteranów" głosił nagłówek. Bezpośrednio pod nim znajdowało się kolorowe zdjęcie przedstawiające Biancę i mnie na scenie. Stała pod moim ramieniem i uśmiechała się do mnie jak anioł.

– Kazałem jej się uśmiechać – stwierdziłem. – Po prostu wykonywała polecenie.

Rayford wywrócił oczami.

– Żadna kobieta nie uśmiecha się do mężczyzny w taki sposób na polecenie. – Postukał palcem w twarz Bianki, skłaniając mnie, żebym przyjrzał się uważniej.

Już otworzyłem usta, żeby zaprzeczyć, ale zaraz je zamknąłem.

Ponieważ miał rację. Uśmiech Bianki nie obejmował tylko ust. Rozciągał się na oczy, twarz i całe ciało. Opierała się o mnie, obejmując ręką w talii, i wpatrywała się, jakby na czubku mojej głowy świeciło słońce.

Wyglądała na… olśnioną.

Ja patrzyłem na nią w dokładnie taki sam sposób. W zasadzie gdybym zobaczył to zdjęcie gdzieś indziej i nie znał tych ludzi, doszedłbym do wniosku, że to ogłoszenie zaręczyn.

Oparłem się na krześle. Oddech opuścił moją pierś z głośnym świstem.

– Mm-hmm – stwierdził Rayford, zadowolony z siebie. – No to wszystko jasne.

– Niby co?

– Boże, czy ja naprawdę muszę odwalać całą brudną robotę? – mruknął i pomachał mi gazetą przed nosem. – Czas powitać przyszłą panią Boudreaux?

Zbladłem.

– Jesteś… to…

– Już się znacie, to oczywiste, że ona lubi pana, a pan ją… – oznajmił Rayford.

– Nigdy nie powiedziałem, że ją lubię.

– Och, proszę już zamilknąć, bo gada pan głupoty – powiedział Rayford i dalej ciągnął swoje niedorzeczne wyjaśnienia. – I jest duża szansa, że jeśli osłodzi pan trochę ten układ, ona może się zgodzić.

Zaczynałem mieć złe przeczucia.

– Osłodzić układ?

Rayford rozparł się na kanapie i znowu skrzyżował nogi. Wygładził klapy swojej marynarki i oznajmił:

– Każdy ma swoją cenę. Nie wiedział pan tego przy ostatnich zaręczynach, ale teraz już pan wie.

– Auć – odparłem cicho.

– Wiem. Przepraszam. Ale wydaje mi się, że jeśli wejdzie pan w to z otwartymi oczami, wykładając wszystkie karty na stół, to może zadziałać dla was obojga.

Pozwolił mi przetworzyć to w głowie, po czym dodał:

– Ona nie ma nawet samochodu.

Zamknąłem oczy i oparłem głowę o krzesło.

– Nie wierzę, że w ogóle o tym rozmawiamy.

– Mówił pan, że Cody ją lubi – rzucił.

Jęknąłem.

– Jest mądra, twardo stąpa po ziemi i pochodzi z dobrej rodziny.

– Rayfordzie! W jakich czasach my żyjemy? Rozmawiamy tu o kobiecie, nie o krowie!

– Jest też całkiem przyjemna dla oka.

To sprawiło, że zamilkłem. W mojej głowie pojawiła się krótka, ale wyraźna wizja Bianki chodzącej nago po mojej sypialni i musiałem potrząsnąć głową, żeby oczyścić myśli.

– To się nie wydarzy. Co niby miałbym zrobić? Wkroczyć do jej restauracji i powiedzieć: „O cześć, tak sobie pomyślałem, że ty jesteś biedna, a ja potrzebuję żony, więc powinniśmy wziąć ślub”? Ależ to romantyczne! Nie jestem pewien, czy tak wymarzyła sobie oświadczyny!

– Mogłoby być, gdyby poprzedził pan to wzmianką o milionie dolarów – stwierdził Rayford.

Gwałtownie podniosłem głowę i zapatrzyłem się na niego z przerażeniem.

– Milion dolarów? – wyrzuciłem z siebie.

Nawet nie mrugnął.

– Och, przepraszam bardzo, nie jest pan przypadkiem miliarderem?

– Nie! Mój ojciec jest miliarderem!

– A kto jest jego jedynym synem, który odziedziczy wszystkie te pieniądze?

Wyrzuciłem ręce w powietrze.

– To kompletne szaleństwo.

Ale Rayford nie zamierzał łatwo odpuścić.

– A kto dostaje pierdylion dolarów z majątku co roku, zanim jego ojciec umrze?

– Pierdylion nie jest nawet liczbą.

– Ja tu próbuję wyrażać się poetycko, sir, proszę mi odpuścić.

Rozsądny człowiek cofnąłby się przed spojrzeniem, które mu posłałem. Najwyraźniej nie był rozsądny.

Z irytującą rzeczowością oznajmił:

– Nie chce pan wracać do Kentucky. Nie chce pan także skończyć spłukany, bo nigdy w życiu nie miał pan pracy i nie wie pan, jak robić cokolwiek, poza kolekcjonowaniem o wiele za drogich pojazdów i szwendaniem się po swojej wielkiej, starej posiadłości. Nie przetrwałby pan nawet godziny jako biedak. Więc jedyną opcją pozostaje małżeństwo. W idealnym świecie miałby pan dziewczynę, którą mógłby pan poprosić o rękę, ale pana aspołeczny sposób bycia zupełnie to wyklucza, więc musimy podejść do problemu praktycznie i zastanowić się, z kim wytrzyma pan przez następne kilka lat, zanim się rozwiedziecie i każde pójdzie w swoją stronę, a wszyscy będą szczęśliwi i bogaci.

Uśmiechnął się do mnie.

– A z mojego punktu widzenia tylko jedna kobieta na świecie spełnia te warunki.

Musiałem to przyznać. Ten człowiek przytoczył kilka naprawdę dobrych argumentów.

Cholera.

SZESNAŚCIE

BIANCA

Minęły cztery dni od przyjęcia i choć wciąż miałam nadzieję, że Jackson wkroczy przez frontowe drzwi mojej restauracji, nie zrobił tego.

Teraz byłam zupełnie wolna, ale jedną rzeczą, której nigdy, *przenigdy*, nie zrobię, jest gonienie za mężczyzną. Niezależnie jak fascynującą byłby zagadką. Moja mama zawsze powtarzała, że w chwili, gdy zrobisz ruch w stronę mężczyzny, tracisz kontrolę, bo on już wie, że cię ma.

– Wartościowa kobieta to taka, na zdobycie której mężczyzna musi napracować się najbardziej w życiu, bo wtedy ona jest nagrodą, a nie prezentem – mówiła mi. – Wszystko, co dostajesz za darmo jest warte dokładnie tyle, ile za to zapłaciłeś: nic.

Nie szukałam w związku kontroli, ale wiedziałam, że miała rację, bo rzuciłam się na Trace'a, jakby ktoś wystrzelił mnie z armaty, i proszę, dokąd mnie to doprowadziło.

Więc wyrzuciłam Jacksona Boudreaux z myśli i skupiłam całą energię na opiece nad mamą, prowadzeniu restauracji i próbach znalezienia sposobu na zdobycie większej sumy pieniędzy.

Niestety wszystkie trzy sprawy nie wychodziły mi za dobrze.

– Dziecinko, co się z tobą dzieje? – zapytała Eeny z rękami opartymi na biodrach. – Nigdy nie widziałam cię takiej zapuszczonej!

Stałyśmy w kuchni. Był środek tygodnia i restauracja pękała w szwach. Mama przyjmowała drugą serię chemioterapii i rzygała jak kot. Zaczęłam spędzać u niej noce, bo bałam się zostawić ją samą. Kiedy sprawdziłam koszt zatrudnienia pielęgniarki do pomocy w domu, prawie zemdlałam.

Powinnam była zająć się opieką zdrowotną, a nie prowadzeniem restauracji.

– Wszystko w porządku, Eeny – powiedziałam, pocierając oczy. Czułam w nich piasek. Były przekrwione od braku snu i opuchnięte od płaczu.

Patrzenie jak ktoś, kogo kochasz, jest powoli otruwany, nie jest niczym przyjemnym.

– Dziewczyno, nic nie jest w porządku! – stwierdziła Eeny, zakładając ręce na piersi. – Znam cię, odkąd zaczęłam gotować w restauracji twojej mamy, a ty sięgałaś mi ledwo do kolan, i nigdy nie widziałam cię w takim stanie! Myślę, że powinnaś mi powiedzieć, co się dzieje, zanim sama odwiedzę panią Davinę i dowiem się prawdy!

Przestałam mieszać w wielkim garnku z jambalayą, stojącym na kuchence przede mną, i spojrzałam zmęczonym wzrokiem na Eeny. Stała tam, obrzucając mnie gniewnym spojrzeniem. Raziła w oczy kanarkowożółtym kaftanem, który miała na sobie, ozdobionym wzorem z turkusowych pasów, a na głowę założyła pasujący turban. Jeszcze tylko trochę owoców na czubku i wyglądałaby jak Chiquita Banana.

– Gdzie twój fartuch? – zapytałam. – Oślepiasz mnie tym strojem.

– Nie zamierzam przykrywać tej pięknej sukni, którą sobie zamówiłam, jakimś starym, wypłowiałym, kuchennym fartuchem! – oznajmiła. – I nie zmieniaj tematu!

Uwielbiałam myśl, że martwiła się o mnie, ale gdybym powiedziała jej prawdę, wieści rozniosłyby się po mieście szybciej niż z prędkością światła. Eeny miała wiele wspaniałych cech, ale powściągliwość nie była jedną z nich. Uwielbiała plotki tak samo mocno jak wyzywające sukienki i smażone plantany.

– Dopadł mnie jakiś wirus.

To nie było zupełne kłamstwo. Rzeczywiście walczyłam z wirusem. A dokładnie z wirusem depresji, bezsenności i tak niskiego stanu konta, że nie stać mnie nawet na to, żeby się skupić.

Eeny spojrzała na mnie, mrużąc oczy. Już otworzyła usta, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Pepper wbiegła do kuchni.

– Znowu tu jest! – krzyknęła radośnie. – To on!

Istniała tylko jedna osoba, która mogła wprawić Pepper w taką ekscytację. Zastanawiałam się, ile Jackson dał jej tym razem.

Z bijącym szybciej sercem, powiedziałam:

– Będzie musiał poczekać na stolik, chyba że uda ci się poprzesuwać rezerwacje.

Pepper, w błyszczącej, złotej sukience tak krótkiej, że wyglądała jak spódniczka, którą naciągnęła sobie na cycki, podskakiwała, szczerzyła się jak szalona i klaskała w dłonie.

– On nie chce stolika! Chce widzieć ciebie!

– Daj temu biedakowi okulary przeciwsłoneczne i mocnego drinka – mruknęła Eeny.

W drugim końcu kuchni Hoyt zaczął gwizdać melodię ze *Szczęk*.

– Pepper, proszę powiedz mu, że podejdę za chwi… – zaczęłam.

Jackson wparował przez kuchenne drzwi. Zauważył mnie stojącą bez ruchu przy kuchence i powiedział głośno:

– Wszyscy wyjść.

Cała załoga odwróciła się, by na mnie spojrzeć.

O Boże. Tylko nie znowu to samo.

Przygładziłam włosy, które uciekły mi z koka, i powiedziałam:

– Jacksonie, jesteśmy teraz naprawdę zajęci. Przepraszam, ale nie mogę pozwolić, żeby moi pracownicy…

– Bierzemy ślub – oznajmił i utkwił we mnie spojrzenie.

Pepper sapnęła. Eeny zamrugała komicznie. Hoyt zaczął kaszleć i nie mógł przestać. Wszyscy inni stali w miejscu, z szeroko otwartymi oczami i szczękami na podłodze.

Większa część mnie była przekonana, że żartował. To byłoby w bardzo złym guście, ale jednocześnie to jedyna opcja, która miała jakikolwiek sens.

Jednak jakaś maleńka część, która zauważyła determinację w jego spojrzeniu, nie była tego taka pewna.

– Ależ to wspaniała nowina – powiedziałam sarkastycznie. – A kiedy ma nastąpić ten radosny dzień?

Wyglądał, jakby mu ulżyło, a ja zaczęłam panikować.

– Tak szybko, jak to możliwe – odparł. – Nawet dzisiaj, jeśli chcesz. Możemy od razu jechać do urzędu.

Pepper pisnęła z radości. Nikt inny nie wydał z siebie żadnego dźwięku, poza Eeny, która odrzuciła głowę do tyłu i zaczęła się śmiać.

I wtedy moja panika przerodziła się w gniew.

Podeszłam do Jacksona, chwyciłam go za przód koszuli i wyciągnęłam z kuchni do uliczki za restauracją, kopnięciem otwierając tylne drzwi. Kiedy się zatrzasnęły, odwróciłam się i wyrzuciłam z siebie:

– Co, u diabła, jest z tobą nie tak? To jest moje miejsce pracy! Niektórzy z nas muszą pracować, żeby zarobić na utrzymanie! Nie możesz po prostu wpadać tutaj i opowiadać głupich żartów…

– To nie żart – przerwał mi ostrym tonem. – A kiedy się ze mną ożenisz, nigdy więcej nie będziesz musiała pracować.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Zwariowałeś. Naprawdę postradałeś rozum.

– Po prostu mnie wysłuchaj…

– Nie, nie zamierzam cię słuchać! Nie wiem, za kogo ty się masz, ale dla mnie to nie jest zabawne! I nie mam czasu wysłuchiwać tych głupot! Przysięgam, powinnam zadzwonić na oddział specjalny, żeby po ciebie przyjechali…

– Dam ci milion dolarów.

Najwidoczniej sądził, że to dobry kierunek dla tej rozmowy, ale poczułam się, jakby uderzył mnie prosto w brzuch.

Teraz stało się boleśnie oczywiste, że nie żartował. Był tak poważny, jak atak serca. Wszedł do mojej restauracji i oznajmił, że weźmiemy ślub – nie zapytał, *oznajmił* – a potem powiedział, ile mi za to zapłaci.

Ten facet myślał, że może mnie kupić. Sądził, że byłam na sprzedaż.

Uważał mnie za *dziwkę*.

Żar zalał moją twarz. Ostrym, drżącym głosem powiedziałam:

– Jak śmiesz.

– Wiem, że potrzebujesz pieniędzy…

Tylko tyle zdążył z siebie wyrzucić, bo podeszłam i uderzyłam go w twarz.

Trzask, jaki wydała moja otwarta dłoń w zderzeniu z jego policzkiem, był nienaturalnie głośny. A może uderzenia w twarz zawsze brzmiały tak głośno. Nie miałam pojęcia, bo nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Jego głowa odskoczyła w bok. Podniósł rękę do policzka i wpatrywał się we mnie z lekko rozchylonymi ustami i oszołomionym wzrokiem.

– Za co to, u diabła? – zapytał zszokowany.

Co za idiota.

– Nie jestem dziwką, Jacksonie Boudreaux – syknęłam. – Jakakolwiek byłaby twoja opinia o mnie, zamierzam wyjaśnić to raz na zawsze. Nie możesz mnie kupić.

– Nie uważam cię za dziwkę! Jezu Chryste, wstrzymaj się przez chwilę…

– Nie, to ty się wstrzymaj, ty bogaty, durny, arogancki dupku! Przyjęłam pracę u ciebie, bo potrzebowałam pieniędzy, tak, ale nie dla siebie i nie po to, żeby później zostać sprzedana jak prostytutka!

– Co, do kurwy nędzy…

– Powinieneś się wstydzić! Co powiedziałaby twoja matka, gdyby mogła cię teraz zobaczyć, oferującego pieniądze dziewczynie, żeby z tobą sypiała?

– Ja pierdolę, Bianco!

– Przestań przeklinać!

Zrobił dwa kroki w moją stronę i wrzasnął w odpowiedzi:

– Nigdy nie powiedziałem nic o sypianiu ze mną! Mówię tylko o małżeństwie!

Staliśmy nos w nos, wymieniając mordercze spojrzenia, ciężko oddychając i z dłońmi zwiniętymi w pięści.

– Och, rozumiem – powiedziałam przez zaciśnięte zęby. – Jesteś gejem i potrzebujesz przykrywki.

Jackson zamknął oczy i pod nosem wymamrotał przekleństwo.

– Nie. Nie jestem gejem. – Otworzył oczy. – I dobrze to wiesz, bo nasz pocałunek był gorętszy niż chodnik w lipcu.

Nadal wpatrywaliśmy się w siebie ze złością.

– Musisz popracować nad metaforami – oznajmiłam.

– Wybacz mi. Gorętszy niż kozioł przypalony palnikiem.

– To nawet nie ma sensu. A porównywanie pocałunku z kobietą do czegokolwiek związanego z kozami jest po prostu w złym guście.

Jego oczy zalśniły rozbawieniem, ale twarz pozostała poważna.

– Masz rację. Spróbuję jeszcze raz. Ten pocałunek był gorętszy niż kura domowa, czytająca *Pięćdziesiąt Twarzy Greya* na premierze *Magic Mike'a*.

Wargi mi zadrgały.

– Lepiej – stwierdziłam i odwróciłam się od niego, założyłam ręce na piersi i wypuściłam powietrze z frustracją.

Dał mi się przez chwilę uspokoić, a potem obszedł mnie wkoło i stanął przede mną.

– Najwidoczniej zabrałem się za to w niewłaściwy sposób…

– Tak myślisz?

Westchnął.

– Czy teraz dasz mi, proszę, dojść do słowa? Powiem swoje, a wtedy możesz posłać mnie, gdzie chcesz. Zgoda?

Stał w idealnej pozycji, żebym mogła sprzedać mu kopniaka prosto w jaja, ale w tej chwili ciekawość wzięła górę, więc obdarzyłam go obrażonym spojrzeniem i wzruszyłam ramionami.

– Dziękuję – powiedział. – Dobrze. Pozwól, że zakreślę ci sytuację. Mam majątek powierniczy. I to… duży.

Wywróciłam oczami.

Jackson znowu westchnął.

– Jak już mówiłem, mam naprawdę duży majątek powierniczy. I nie, to nie metafora. Dowiedziałem się dzisiaj, że jeśli chcę go zatrzymać i odziedziczyć fortunę po śmierci ojca, muszę albo pracować dla rodzinnej firmy, albo wziąć ślub. Przed trzydziestymi piątymi urodzinami. – Zmieszał się. – Które są w przyszłym miesiącu.

Skrzywiłam się.

– Więc idź pracować dla firmy, głuptasie!

Widać nie bardzo lubił, kiedy nazywano go głuptasem, ale powstrzymał się od uwagi, która cisnęła mu się na usta i zamiast tego powiedział:

– Nie mogę. Nigdy nie wrócę do Kentucky. Nigdy.

– Dlaczego nie?

Odwrócił wzrok. Mięsień w jego szczęce zaczął podskakiwać.

– Nie czeka tam na mnie nic poza duchami.

Jego głos był spięty, podobnie jak kręgosłup; Jackson wyglądał żałośnie na samo wspomnienie o Kentucky. Spojrzałam na jego nadgarstek, wypatrując tatuażu ze średnikiem, i zauważyłam fragment w półmroku.

Jeśli próbował sprawić, że zrobi mi się go żal… to trochę działało.

– Mm-hmm – odparłam. – Więc ożeń się z jakąś debiutantką, spłodź gromadkę idealnych dzieci i żyj długo i szczęśliwie jako członek śmietanki towarzyskiej, hodujący kucyki. Przykro mi, ale nie widzę tu problemu.

Jackson odwrócił głowę i spojrzał na mnie. Wyraz jego oczu zaparł mi dech w piersi.

– Problem polega na tym, że jesteś jedyną kobietą, którą polubiłem od dłuższego czasu. – Pozwolił tym słowom zawisnąć w powietrzu i dodał: – I nie chcę być biedny. Byłbym w tym wyjątkowo kiepski. Nie jestem na to wystarczająco miły.

– To niedorzeczne. Nie wszyscy biedni ludzie są mili.

Zmarszczył brwi.

– Naprawdę? Każda biedna osoba, którą kiedykolwiek spotkałem, była dla mnie wyjątkowo miła. Cóż… poza tobą.

Wyrzuciłam ręce w powietrze.

– Boże, jesteś beznadziejny. Są dla ciebie mili, bo jesteś bogaty! Chcą twoich pieniędzy!

– Och. – Wyglądał na zawiedzionego. – Myślałem, że tylko bogaci tacy są.

Spojrzałam na niego zdumiona.

– Masz rację. Nie mógłbyś być biedny. Nie masz pojęcia, jak wygląda prawdziwe życie.

– Dokładnie! – stwierdził. – Więc rozumiesz moje trudne położenie!

– Rozumiem tylko, że mam restaurację pełną gości, a stoję w ciemnej uliczce i rozmawiam o wymyślonych problemach z cierpiącym na urojenia, bogatym facetem. Jeśli potrzebujesz panny młodej, daj ogłoszenie w gazecie. Już pierwszego dnia dostaniesz z pięć tysięcy odpowiedzi.

– Mówiłem ci już. Jesteś jedyną kobietą, którą polubiłem od dłuższego czasu. Nie lubię nieznajomych. Nie ufam ludziom. Zwłaszcza kobietom.

Uff, tego nie zamierzałam tknąć nawet trzymetrowym kijem.

– Dopiero co powiedziałeś, że nie byłam dla ciebie miła. Dlaczego mnie lubisz?

Jego wzrok zapłonął.

– Jesteś uczciwa. I prawdziwa. I nie dbasz o moje pieniądze…

– Ha! Więc oferujesz mi milion dolarów?

– Nie skończyłem. Nie dbasz o moje pieniądze, jesteś uprzejma i odpowiedzialna, nie boisz się powiedzieć, co o mnie myślisz i jesteś tak cholernie piękna, że czasami patrzenie na ciebie aż boli. Jakbym patrzył w słońce i mógł oślepnąć, jeśli będę patrzeć zbyt długo.

Gwałtownie przestał mówić, jakby sam siebie zaskoczył tym, co wyszło z jego ust.

Nie tylko siebie.

Piękna. Nazwał mnie piękną. Samo to było warte więcej niż pieniądze, które oferował.

W spektakularnym przypływie inteligencji, powiedziałam:

– Och.

Niezręcznie przestąpił z nogi na nogę. Wpatrywał się w ziemię. Po chwili rzucił okiem na gwiazdy błyszczące na nocnym niebie. W końcu, kiedy nie miał już na co przenieść wzroku, kątem oka zerknął na mnie, jakby spodziewał się kolejnego policzka.

Zamknęłam oczy i policzyłam do dziesięciu. Potem powiedziałam:

– Dobrze, ustalmy fakty. Chcesz, żebym za ciebie wyszła.

– Tak.

– Ale nie muszę uprawiać z tobą seksu.

– Dokładnie.

– Jeśli ja za ciebie nie wyjdę, nie ożenisz się z nikim innym.

– Zgadza się.

– I nie ma szans, żebyś poszedł pracować dla rodzinnej firmy.

Stanowczo potrząsnął głową.

– Żadnych.

– Więc generalnie próbujesz mi powiedzieć, że jeśli nie zgodzę się na ślub z tobą, będę odpowiedzialna za to, że stracisz wszystkie

pieniądze, staniesz się nędzarzem i zmarnujesz resztę życia.

Zamrugał.

– Cóż… tak.

Parsknęłam.

– Kurczę, zero presji.

Uniósł ręce w geście poddania.

– To nie musi być na zawsze. Tylko pięć lat i wtedy moglibyśmy wziąć rozwód.

– Pięć lat! – wykrzyknęłam, na nowo przerażona. – Mam trzydzieści jeden lat, Jacksonie. Będę już blisko czterdziestki, kiedy ze mną skończysz!

Wyglądał, jakby zabolał go ten dobór słów.

– Myślę, że twoja matematyka trochę za bardzo wybiega w przyszłość, Bianco.

– A co jeśli chciałabym mieć dzieci? Zastanawiałeś się nad tym? Do czasu, kiedy się rozwiedziemy, będę już stara!

– Nie bardzo – stwierdził. – No i zawsze mogłabyś zdecydować się na in vitro. Przecież miałabyś dość pieniędzy. Albo wynająć surogatkę. Albo adoptować… Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Ponieważ przeżywam właśnie doświadczenie bycia poza ciałem. Jakimś cudem zostałam przeniesiona do alternatywnej rzeczywistości, w której jakiś psychotyczny miliarder próbuje mnie przekonać, żebym wstąpiła z nim w fikcyjny związek małżeński, poświęciła pięć lat życia, odrzuciła możliwość zakochania się i dzielenia z kimś przyszłości. Z kimś, kto pokochałby mnie za to, kim jestem, a nie za to, co mogę dla niego zrobić. Czy naprawdę sądzisz, że jakakolwiek suma pieniędzy mogłaby przekonać mnie do zrobienia czegoś tak… tak… złego?

Przez chwilę wyglądał na udręczonego. Naprawdę cierpiącego, jakbym dźgnęła go w serce.

W końcu powiedział grobowym głosem:

– Masz rację. – Przełknął i cofnął się o krok. – Masz absolutną rację. Przepraszam. To było… głupie. Bezmyślne. Nie powinienem był sądzić, że ty… nie jesteś taką… kurwa. Proszę, wybacz mi.

Odwrócił się i odszedł w tempie zbliżonym do biegu.

SIEDEMNAŚCIE

BIANCA

Zaskoczona patrzyłam, jak Jackson odchodzi, aż w końcu zniknął w nocy, wtapiając się w ciemność jak zjawa.

W oszołomieniu skierowałam się do restauracji, uniknęłam podekscytowanych pytań Eeny i Pepper, nakazując im wracać do pracy, co musiało zabrzmieć odpowiednio ostro, bo natychmiast zrobiły to, o co poprosiłam.

Resztę wieczoru zapamiętałam jak przez mgłę. Wciąż miałam przed oczami twarz Jacksona, kiedy wyznał mi, że jestem piękna. Wciąż odtwarzałam w głowie wszystko, co powiedział.

Starałam się nie myśleć, jak milion dolarów zmieniłby moje życie. I mamy.

Ciągle zastanawiałam się, jaka kobieta przyjęłaby jego propozycję.

Bo jakaś na pewno, nie miałam co do tego wątpliwości. Jakoś znalazłby kobietę, która z radością przyjęłaby jego pieniądze w zamian oddając pięć lat swojego życia. Boże, sama znałam z pół tuzina takich, a nie musiałam się długo zastanawiać. I ona będzie żyła w tej wielkiej posiadłości, spędzała czas ze słodkim Codym i codziennie widywała Jacksona.

Może nawet go pocałuje.

Albo pójdzie z nim do łóżka.

Ta część naprawdę zbiła mnie z tropu. Żadnego seksu. Moglibyśmy być małżeństwem, a on nie oczekiwałby seksu. Na miłość boską, jaki mężczyzna o zdrowych zmysłach zaproponowałby coś takiego?

Najpewniej taki, który nie miał zdrowych zmysłów.

Albo był zdesperowany.

Przypuszczałam, że w przypadku Jacksona chodziło po trochu o obie te sprawy.

Wtedy tego nie wiedziałam, ale za kilka tygodni miałam znaleźć się w podobnej sytuacji.

***

Gabinet doktora wyglądał jak każdy inny gabinet lekarski na świecie. Przynajmniej tak myślałam, siedząc z mamą na niewygodnych, plastikowych krzesłach przed biurkiem w małym i wyraźnie pustym pomieszczeniu, jeśli nie liczyć na wpół uschniętego kwiatka w rogu i kilku dyplomów w ramkach na ścianie.

– Wszystko w porządku? – zapytałam łagodnie matkę, chwytając ją za rękę.

Przytaknęła, ale tego nie kupowałam. Straciła prawie dziewięć kilogramów, jej skóra zrobiła się ziemista i wypadły jej wszystkie włosy, więc zaczęła nosić na głowie chustki, przypominające trochę kolorowe turbany Eeny. Chociaż w mamie obecnie nie było nic kolorowego, ani w ubraniach, ani w skórze, ani w duchu. Po chemioterapii z niegdyś pełnej energii kobiety został jedynie schorowany cień.

– Pani Hardwick.

Doktor Halloran wszedł do gabinetu z teczką w dłoni. Był tęgi, miał brodę i czerwone policzki, wyraźnie przypominał Świętego Mikołaja. Uścisnął dłoń mamy, potem moją, zasiadł za biurkiem i otworzył teczkę.

– Więc? – zapytałam, niecierpliwie czekając na informacje odnośnie stanu zdrowia mamy. W końcu właśnie po to tu przyszłyśmy.

Doktor Halloran zerknął na mnie. Potem przeniósł wzrok na mamę i się uśmiechnął.

– Dobre wieści – powiedział.

Prawie zemdlałam. Mama uniosła drżącą dłoń do ust.

Doktor mówił dalej:

– Prześwietlenie pokazuje, że guz zmniejszył się o jakieś pięćdziesiąt procent i tego właśnie potrzebowaliśmy, żeby móc rozważać operację. Pani ciało bardzo dobrze zareagowało na chemioterapię, pani Hardwick. Jak się pani czuje?

– Jakbym przebyła dwanaście rund z Muhammadem Ali – odparła łagodnie.

Doktor skinął głową.

– Kiedy zakończymy chemioterapię, zacznie się pani czuć znacznie lepiej.

Całe moje ciało drżało. Łzy zaczęły zbierać się w oczach. Nie mogłam złapać oddechu.

– Czy to znaczy, że ona wyzdrowieje? – zapytałam.

Doktor Halloran zamknął teczkę, oparł się na krześle i złożył dłonie na brzuchu.

– To znaczy, że leczenie działa. A to świetna wiadomość. W wielu przypadkach musimy próbować wielu różnych leków, zanim zobaczymy rezultaty. Ale nie chcę niczego upiększać. Kiedy usuniemy guz, czeka nas dodatkowe pięć do piętnastu tygodni chemioterapii, żeby zlikwidować wszelkie komórki rakowe, które mogą pozostać w płucach czy klatce piersiowej. Musimy też rozważyć radioterapię, w zależności od przebiegu operacji. Węzły chłonne są tylko nieznacznie zajęte, i to dobra wiadomość, ale przez kilka miesięcy nie będziemy wiedzieć na pewno, czy rak został tylko opanowany, czy zupełnie zwalczony.

Mówił dalej, ale ja słyszałam tylko słowa *pięć do piętnastu tygodni chemioterapii*. Moje serce miotało się w piersi jak koliber.

Nie miałyśmy na to pieniędzy. Nie miałyśmy pieniędzy ani na operację, ani na radioterapię. Złożyłam już podanie o przyznanie pomocy z lokalnego działu spraw socjalnych, ale powiedziano mi, że na odpowiedź mogę czekać miesiącami, a nawet jeśli otrzymamy zgodę, nie pokryje to większości kosztów. Złożyłam podanie online o dotację, ale wiedziałam, że to strzał w ciemno. Zrobiłam wszystko, co przyszło mi do głowy w poszukiwaniu pomocy finansowej i z zaskoczeniem odkryłam, że jeśli miało się raka płuc, ale ubezpieczenia zdrowotnego już nie, to generalnie człowiek znajdował się w czarnej dupie.

– Chciałbym umówić operację na za dwa tygodnie – powiedział doktor Halloran, patrząc na mnie.

Co miałam powiedzieć? Nie? To za drogo? Nie mam pieniędzy, żeby uratować życie matki?

Nagle wszystkie moje przemądrzałe argumenty, dlaczego nie mogłam wyjść za Jacksona Boudreaux dla pieniędzy, wydawały się nieznaczące, jak puszczenie bąka na wietrze.

Więc ścisnęłam dłoń matki i zmusiłam się do uśmiechu.

– Proszę to zrobić.

Kiedy wróciłam tego popołudnia do domu, wzięłam telefon, zadzwoniłam do Jacksona i zapytałam, czy jego propozycja jest nadal aktualna.

OSIEMNAŚCIE

JACKSON

– Sir – powiedział Rayford. – Wydepcze pan dziurę w dywanie.

– To kupię nowy – warknąłem i odwróciłem się, żeby powędrować z powrotem w kierunku, z którego przyszedłem. Nie mogłem usiedzieć w miejscu, a docinki Rayforda w niczym nie pomagały.

Czekaliśmy we dwóch w holu na przybycie Bianki. Rayford jak zwykle zachowywał zupełny spokój. Ja z kolei czułem się jak reaktor jądrowy na granicy wybuchu.

Miałem wziąć ślub.

Bianca Hardwick miała zostać *moją żoną*.

Przynajmniej na to się zapowiadało. Zadzwoniła do mnie wczoraj i zapytała, czy moja oferta jest nadal aktualna, a ja prawie spadłem z krzesła. Umówiliśmy się dzisiaj na spotkanie, żeby przedyskutować szczegóły.

W nocy przespałem łącznie jakieś piętnaście minut. Godzinę przygotowywałem się do spotkania, wziąłem prysznic, ujarzmiłem włosy i wybierałem ubrania. Nawet znowu się ogoliłem, bo wiedziałem, że jej się to podobało, chociaż widok tych cholernych blizn sprawiał, że chciałem rozwalić lustro. Miała zjawić się lada chwila, a możliwość, że Rayford otworzy drzwi i padnę martwy z powodu rozległego zawału serca, stawała się coraz bardziej prawdopodobna.

Nie byłem tak zdenerwowany… cóż, nigdy.

– Może powinien pan się napić – zasugerował Rayford, patrząc, jak krążę. – Żeby nie odstraszył pan tej biednej dziewczyny całą tą – z dezaprobatą pomachał ręką w powietrzu – energią.

– Moja energia jest w porządku – warknąłem, rozciągając dłonie.

Rayford parsknął.

– Jasne, jeśli szykuje się pan do ruszenia na bitwę na grzbiecie konia bojowego, żeby ściąć kilka głów.

Obrzuciłem go morderczym spojrzeniem, a on się uśmiechnął.

– Niech panu będzie – stwierdził. – Ale proszę nie mówić, że nie ostrzegałem, kiedy otworzę drzwi dla pani Bianki, a ona zobaczy, w jakim jest pan stanie, i ucieknie w popłochu.

– Ona nie jest z tych, które uciekają – odparłem. – Raczej z tych, co to podłożą ci ogień pod tyłek i spokojnie odejdą, podczas gdy ty spalisz się na popiół.

Rayford się zaśmiał.

– To będzie zabawne.

Przestałem chodzić i spojrzałem na niego.

– Zabawne? To najbardziej dziwaczna i nieprawdopodobnie poważna rzecz, jaką zrobiłem w życiu, a ty uważasz, że to zabawne?

Uśmiechnął się.

– Zabawne dla mnie, sir.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, usłyszeliśmy dźwięk dzwonka do drzwi.

– A oto nasza podpalaczka! – powiedział Rayford pogodnie i otworzył.

Bianca stała na marmurowym stopniu przed drzwiami mojego domu, w czerwonej sukience i z ponurą, zdecydowaną miną, jakby przeprowadzała kontrolę dla urzędu skarbowego. Mimo jej widocznego dyskomfortu, wyglądała obłędnie.

Pierwszy raz widziałam ją w czymś innym niż kuchenny fartuch i moje oczy pochłaniały ją zachłannie. Określenie *figura klepsydry* zostało stworzone dla kobiet takich jak ona. Miała wąską talię, obfite biodra oraz długie, nagie nogi. A jej piersi… prawie jęknąłem na głos.

Sukienka miała dekolt ewidentnie zaprojektowany, żeby niszczyć mężczyzn. Miała na tyle duże wycięcie, żeby dało się dostrzec rowek między piersiami, a choć prezentowała się elegancko, było ono na tyle głębokie, że odkrywało wypukłość biustu, który wydawał się ulepiony przez samego Boga.

Jeśli ubrała się tak z myślą o negocjowaniu w sprawie pieniędzy, już wygrała. Chętnie oddam jej cały majątek, jeśli będę mógł oglądać ją w tej sukience przez więcej niż pięć minut.

Mój Boże, jej skóra była nieskazitelna. Kurewsko nieskazitelna, jak…

– Zamierzasz zaprosić mnie do środka, czy wolisz rozmawiać przed domem? – zapytała Bianca zgryźliwie.

Moje spojrzenie przeskoczyło na jej twarz.

Rayford zakaszlał w pięść, żeby ukryć śmiech.

A ja zrobiłem się czerwony aż po cebulki włosów.

– Tak – powiedziałem za głośno, skołowany. – Wejdź. – Po czym odwróciłem się i pomaszerowałem w stronę biblioteki, przerażony, że zostałem przyłapany na gapieniu się na jej piersi, jak zakochany, seksualnie sfrustrowany Neandertalczyk.

Mimo dudnienia w uszach, usłyszałem jej westchnienie, powitanie Rayforda i zamykanie drzwi frontowych. Postanowiłem posłuchać rady Rayforda i nalać sobie drinka, żeby jakoś się pozbierać, więc kiedy tylko przekroczyłem próg biblioteki, ruszyłem najkrótszą drogą do kryształowej karafki na blacie i nalałem sobie szklaneczkę.

Rayford wprowadził Biancę do biblioteki i zapytał, czy coś jej podać.

– Trójnogi stołek i bat – odparła.

Kiedy odwróciłem się, żeby na nią spojrzeć, posłała mi spięty uśmiech.

– Czy nie tego używają poskramiacze lwów?

Rayford parsknął. Bawiło go to *zdecydowanie* za bardzo.

– Dziękuję, Rayfordzie – powiedziałem, chwytając szklankę tak mocno, że mogła roztrzaskać się w każdej chwili. – To wszystko.

– Tak, sir – powiedział radośnie i bezgłośnie opuścił bibliotekę, zostawiając mnie sam na sam z Biancą.

O ile nie stał na zewnątrz z uchem przyciśniętym do drzwi, co było całkiem prawdopodobne.

Bianca popatrzyła na mnie.

– Więc, panie Boudreaux, czy jest pan gotowy na małżeństwo?

Wychyliłem całą szklankę szkockiej jednym haustem.

Jej śmiech był tak samo ponury jak wyraz twarzy.

– No to jest nas dwoje. I jeśli nie masz nic przeciwko, napiję się tego co ty. Żołądek ściska mi się w taki sposób, że tylko alkohol może tu pomóc. – Podeszła do kanapy i przysiadła na brzegu, kolana miała

złączone, plecy proste, dłonie zaciśnięte ciasno na małej, białej torebce.

Więc ona też się denerwowała. To trochę rozluźniło napięcie moich ramion. Nie podobała mi się myśl, że czuła się niekomfortowo, a świadomość, że podchodziła do tego tak poważnie jak ja, okazała się pocieszająca.

Nalałem jej drinka i podałem szklankę. Wzięła ją, unikając mojego spojrzenia, i wychyliła dokładnie tak jak ja. Potem ciężko wypuściła powietrze i spojrzała na mnie.

– Proszę, usiądź – powiedziała. – To onieśmielające, kiedy tak nade mną wisisz.

– Nie mogę uwierzyć, że cokolwiek cię onieśmiela – odparłem, ale zrobiłem to, o co prosiła, i usiadłem naprzeciwko niej na krześle. Dzielił nas tylko stolik do kawy.

– Przypuszczam, że wkrótce dowiesz się o mnie wielu rzeczy – mruknęła, wpatrując się w szklankę.

Nastała chwila bolesnej ciszy. Postanowiłem przerwać ją wyznaniem prawdy.

– Martwię się.

Zamrugała z zaskoczenia.

– Martwisz?

Przytaknąłem.

– Czym?

Mój głos stał się bardziej szorstki, niż tego chciałem.

– Tym wszystkim. Tym, co zamierzamy zrobić, jeśli się zgodzisz. Ale najbardziej… tym, że spieprzę wszystko i sprawię, że mnie znienawidzisz.

Jedna z jej dłoni zadrżała na torebce. Zacisnęła ją jeszcze mocniej, żeby powstrzymać tę reakcję.

– Dziękuję. Nie wiem dlaczego, ale dzięki temu czuję się lepiej.

Powoli oparłem się na krześle i zapatrzyłem na pustą szklankę, dając jej przestrzeń. Chciałem, żeby zaczęła, kiedy będzie gotowa, żeby zapytała o wszystko, o co chciała, i żeby czuła, że ma kontrolę nad tym szaleństwem. Może i niewiele wiedziałem, ale byłem pewien, że każda, nawet najmniejsza szansa na sukces, żebyśmy pozostali w przyjaznych relacjach, zależała całkowicie od niej.

Ja już byłem zaangażowany. To Bianca jak dotąd nie pokazała kart.

– Ogoliłeś się – powiedziała w końcu.

Podniosłem wzrok i napotkałem jej spojrzenie.

– Wiem, że tak wolisz.

Zagryzła dolną wargę. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby to robiła, i stwierdziłem, że wyglądała powalająco seksownie.

– I założyłeś garnitur. Z krawatem – dodała.

Mój uśmiech zbladł.

– Nigdy nie powiedziałem, że nie mam garniturów. Mówiłem tylko, że ich nienawidzę.

– A jednak jeden ubrałeś.

– Wydawało mi się, że okazja tego wymaga.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez chwilę, aż Bianca odrzuciła torebkę na bok i skoczyła na równe nogi.

– O Boże, jakie to dziwne! – stwierdziła i zaczęła chodzić.

– Wiem.

Przeczesała palcami włosy. Miała je rozpuszczone, spływające falami na ramiona, ciemna masa miękkich loków, stworzonych, żebym wsuwał w nie dłonie.

Zamknąłem oczy i ścisnąłem nasadę nosa. *Jackson, zamknij się, kurwa.*

– Moja matka ma raka płuc. Trzecie stadium.

Przerażony otworzyłem szeroko oczy. Bianca nadal krążyła, zakładając ręce na piersi.

Nie zatrzymując się, mówiła dalej:

– Jesteśmy spłukane. Ona nie ma ubezpieczenia. Jej lekarz chce przeprowadzić operację. Chemioterapia spowodowała zmniejszenie guza, ale potrzebuje operacji i prawdopodobnie radioterapii, a na pewno dalszej chemioterapii po operacji. To wszystko kosztuje. I to dużo. Te dwadzieścia tysięcy od ciebie już wydałam, a starczyło tylko na wstępną serię chemioterapii i wykupienie kilku recept.

Odwróciła się i zaczęła maszerować w drugą stronę, rąbek sukienki powiewał wokół jej kolan.

– Nie ma gwarancji, że operacja przyniesie skutek, to oczywiste, ale bez niej już jest martwa. I tyle. Finito. Koniec. Po wszystkim. Sześćdziesiąt cztery lata prowadzenia interesu, wychowywania

dziecka, bycia wspaniałą żoną i matką, przyjaciółką, obywatelką i bogobojną chrześcijanką dbającą o innych, w ogóle nie zważając na własne potrzeby i oto, co dostaje w zamian. Raka. I to niby jest sprawiedliwość? Tak powinno być?

Kiedy odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć, zobaczyłem, jaka była załamana. Rumieńce wystąpiły jej na policzki. Piersi unosiły się i opadały gwałtownie. Nie wiedząc, co jeszcze mogę zrobić, odstawiłem pustą szklankę na stolik i wstałem.

– Moja matka jest moją najbliższą przyjaciółką – powiedziała Bianca. – To najlepsza osoba, jaką kiedykolwiek poznałam. Zrobiłabym dla niej wszystko, rozumiesz? – Spojrzała na mnie dzikim wzrokiem.

– Tak – odparłem cicho. – Rozumiem. Wyszłabyś za mąż za mężczyznę, którego nie kochasz, i poświęciłabyś pięć lat życia, żeby tylko zdobyć pieniądze, które mogą ją ocalić.

Przełknęła głośno, a jej oczy wypełniły się łzami.

– To nie sprawia, że jesteś dziwką – dodałem. – Wybacz, że w ogóle wypowiedziałem to słowo. To tylko czyni cię bezinteresowną.

Szybko otarła oczy, odwróciła się i znowu zaczęła krążyć.

– Nie wiem, kim to mnie czyni, ale stwierdziłam, że to nie ma znaczenia. Jestem gotowa zrobić wszystko, co trzeba.

Kiedy obserwowałem, jak porusza się w tę i z powrotem, rozrywając własne serce, walcząc ze łzami, poświęcając się dla kogoś, kogo kocha, dopadła mnie prawie obezwładniająca potrzeba wzięcia Bianki w ramiona. Chciałem ją pocałować, pocieszyć i powiedzieć, że wszystko naprawię i wszystkim się zajmę.

Zamiast tego rzuciłem szorstko:

– Powiedz, co sprawi, że to wszystko będzie dla ciebie łatwiejsze.

Jej kroki stały się wolniejsze. Spojrzała na mnie przez ramię, ponownie przygryzając wargę, i zmarszczyła brwi. Potem podeszła do kanapy i usiadła, więc zrobiłem to samo.

Wpatrując się w podłogę, odpowiedziała:

– Pomogłoby, gdybym wiedziała, czego się spodziewać. – Potem uniosła podbródek i spojrzała wprost na mnie niewzruszonym wzrokiem. Dokładnie wiedziałem, co miała na myśli.

– Seks nie jest częścią umowy – odparłem.

Delikatny rumieniec wypłynął na jej policzki, ale nie odwróciła swojego stanowczego spojrzenia.

– Czyli będzie umowa? – zapytała.

Przytaknąłem.

– Mój prawnik ją napisze, na podstawie naszych ustaleń, a twój prawnik może ją sprawdzić. Negocjacji nie podlega jedynie pięcioletni okres małżeństwa przed rozwodem, umowa poufności oraz to, że musisz tu mieszkać przez cały czas trwania naszego związku.

Uniosła brwi.

– Po ślubie ludzie mieszkają razem – powiedziałem łagodnie, nie wspominając, że prawnik ojca powiedział mi, że to jeden z warunków umowy.

Przeniosła wzrok na pełne książek półki na wszystkich ścianach biblioteki. Kiedy nie powiedziała nic przez chwilę, dodałem:

– W domu jest osiem sypialni gościnnych, poza główną i pokojem Cody'ego. Możesz wybrać którąkolwiek.

Potarła dłońmi o uda i oblizała wargi. Widziałem w zagłębieniu jej szyi jak szaleje jej puls. Miałem ochotę delikatnie przycisnąć do niego palec i szepnąć jej do ucha coś pocieszającego, ale utrzymałem tyłek w miejscu, na którym siedział.

Później zastanowię się, jak będę żył z nią pod jednym dachem i unikał eksplozji jąder, ale teraz to nie był dobry moment na takie rozważania.

– Nie chcę miliona dolarów – stwierdziła, a moje serce zamarło na jedno uderzenie.

No to zaczynamy negocjacje. Niech szlag trafi tę jej czerwoną sukienkę, bo już wiedziałem, że dam jej wszystko, czego będzie chciała.

Oparłem się na krześle, skrzyżowałem nogi i utrzymałem neutralny wyraz twarzy.

– Chcę tylko – kontynuowała – żebyś opłacił wszystkie rachunki za leczenie mojej matki, recepty, należności za hospitalizację i operację, a także wszelką inną pomoc, której będzie potrzebowała, dopóki nie pokona raka albo…

Przerwała i spojrzała na mnie, pozostawiając słowo *umrze* niewypowiedziane.

– Mów dalej – poleciłem.

Potrząsnęła głową.

– To wszystko.

Po mierzeniu jej wzrokiem przez zapewne zbyt długi czas, powiedziałem powoli:

– Co przez to rozumiesz? Jak to wszystko?

Skrzywiła się.

– Gdybym wzięła cokolwiek więcej, czułabym się brudna. Tu nie chodzi o chciwość ani chęć wzbogacenia się. Kocham swoje życie, jeśli chcesz znać prawdę. I szczerze mówiąc, wszystkie twoje pieniądze nie sprawiły, że jesteś jakoś szczególnie szczęśliwy.

Tu mnie miała.

– Jedyny problem polega na tym, że nie mogę zapłacić za leczenie mojej matki. Mogłybyśmy brać wszystko na kredyt i pozwolić, żeby szpital wzywał nas do zapłaty, ale wtedy musiałybyśmy ogłosić bankructwo, użerać się z wierzycielami i najprawdopodobniej zabrano by jej te kilka rzeczy, które posiada na własność. A moja matka jest zbyt dumna, żeby powiedzieć o chorobie nawet przyjaciołom. Wolałaby umrzeć, niż zostać bankrutem albo ciężarem dla kogokolwiek. Gdyby straciła dom i musiała zamieszkać ze mną, wsadziłaby głowę do piekarnika przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Zaczynałem już dostrzegać, skąd Bianca brała swoją butę, jak nazywał to Rayford.

– Musi być coś, co chciałabyś dla siebie – powiedziałem. – Coś do restauracji, na przyszłość…

– Moja przyszłość to moje zmartwienie – powiedziała łagodnie, ale w jej głosie pobrzmiewała stal. – Kupujesz sobie udawaną żonę na pięć lat, a ja szansę dla mojej matki na życie. Tylko tyle. Albo taki układ, albo żaden.

Zakłuło mnie w piersi. Ta kobieta miała możliwość dostać prawie wszystko, czego by zapragnęła, a ona chciała tylko, żeby jej matka wyzdrowiała.

Po raz pierwszy od lat poczułem nadzieję dla ludzkości.

– A co powiesz na to? – zapytałem. – Wpłacę pieniądze na konto i uczynię cię pełnomocnikiem. W ten sposób będziesz czuła się pewniej i zyskasz dostęp do pieniędzy, kiedy tylko będziesz ich potrzebować, zamiast polegać na mnie. Myślę, że byłoby… dziwnie, gdybyś musiała przychodzić do mnie z każdym rachunkiem. Potem wszystko, co zostanie po tym, jak twoja matka wyzdrowieje, wydasz, na co będziesz chciała. Możesz kupić matce większy dom albo oddać pieniądze na cele charytatywne, cokolwiek zechcesz.

Kiedy otworzyła usta, żeby zaprotestować, dodałem stanowczo:

– Albo taki układ, albo żaden.

Zacisnęła wargi. Wpatrywaliśmy się w siebie w ciszy, zegar na ścianie tykał głośno, a moje serce waliło jak bęben plemienny.

– W porządku, panie Boudreaux. Umowa stoi – odparła cicho.

Wstała i wyciągnęła do mnie rękę. Podniosłem się, zbliżyłem do niej i uścisnąłem jej dłoń. Patrząc w jej piękne, brązowe oczy, powiedziałem:

– Ile razy muszę ci powtarzać, żebyś mówiła do mnie Jackson.

Trzymając moją dłoń i spoglądając na mnie, westchnęła.

– Przypuszczam, że jeśli mam zostać twoją żoną, powinnam mieć dla ciebie jakąś ksywkę. Czy ktoś nazywa cię Jax?

O Boże, jęknęła. Boże, tak. Proszę… Jax…

Potrzebowałem gigantycznych zasobów siły woli, żeby odepchnąć od siebie wspomnienie intensywnie seksualnego snu, z nią w roli głównej, który miałem po naszym pierwszym spotkaniu.

– Nie – odparłem chrapliwym głosem. – Nikt nie mówi do mnie Jax. Poza tobą.

Kiedy jej wargi wygięły się ku górze, poczułem się, jakbym do tego momentu żył w ciemnej studni pełnej śmieci i mętnej wody, a w tej chwili ktoś właśnie podniósł pokrywę i spuścił dla mnie drabinę.

CIASTKA Z FRANCUSKIEJ DZIELNICY

Na około 3 tuziny

- 1 1/2 szklanki ciepłej wody
- 1/2 szklanki cukru

- 1 opakowanie suchych drożdży
- 2 jajka
- 1 1/4 łyżeczki soli
- 1 szklanka mleka skondensowanego
- 7 szklanek mąki
- 1/4 szklanki tłuszczu do pieczenia
- Litr oleju roślinnego
- 3 szklanki cukru pudru

Przygotowanie

- Zmieszaj wodę, cukier i drożdże w dużej misce i zostaw na 10 minut.
- W innej misce ubij jajka z solą i mlekiem skondensowanym. Dodaj mieszankę jajek do mieszanki drożdży.
- Dodaj 3 szklanki mąki do powstałej mieszaniny. Wymieszaj.
- Dodaj tłuszcz do pieczenia i wymieszaj. Mieszając dalej, powoli dodawaj pozostałą mąkę, aż wszystkie składniki dobrze się połączą.
- Połóż ciasto na delikatnie posypanej mąką powierzchni i wyrabiaj na gładką masę.
- Nakryj ciasto plastikową pokrywką albo ściereczką. Pozostaw do wyrośnięcia w temperaturze pokojowej przez 2–3 godziny.
- Rozgrzej olej w głębokim naczyniu do 180 stopni.
- Rozwałkuj ciasto na grubość około pół centymetra i wytnij kwadraty o boku około 4 cm. Smaż partiami, ciągle odwracając, aż przybiorą złocisty kolor. (Jeśli ciastka nie skwierczą, olej nie jest wystarczająco gorący).
- Osusz na ręczniku papierowym.
- Posyp cukrem pudrem gorące ciastka. Podawaj ciepłe.

DZIEWIĘTNAŚCIE

BIANCA

Opuściłam dom w ten sam sposób, w jaki się pojawiłam: taksówką, sama, ogarnięta przerażeniem.

Gdyby moja matka dowiedziała się, na co właśnie się zgodziłam, powiedziałaby, że zgłupiałam.

Wiedziała, że dostałam dwadzieścia tysięcy od Jacksona za catering, ale świadomość, że dostanę milion za zostanie jego żoną, to zupełnie inna sytuacja.

Kiedy dowiedziałam się, że nasza umowa będzie zawierała klauzulę poufności, ulżyło mi. To oznaczało, że zostałam zobligowana prawnie do tego, żeby trzymać gębę na kłódkę, jeśli chodzi o prawdziwą przyczynę poślubienia Bestii.

Teraz musiałam wymyślić tylko jakąś *fałszywą* przyczynę, którą spróbuję wszystkim sprzedać.

– Jest tak czarujący, że po prostu się w nim zakochałam, mamo! – mruknęłam do siebie sarkastycznie. Taksówkarz rzucił mi dziwne spojrzenie we wstecznym lusterku, ale miałam ważniejsze zmartwienia niż jego opinia. Zanim wyszłam, Jackson poinformował mnie, że musimy wziąć ślub i zamieszkać razem przed jego urodzinami, które wypadały za nieco ponad dwa tygodnie.

Dwa tygodnie. Musiałam myśleć szybko.

– Nieplanowana ciąża? – zadumałam się, otrzymując kolejne spojrzenie od taksówkarza. Zastanowiłam się nad tym przez chwilę, ale potrząsnęłam głową. – Nie, o ile nie zamierzasz udawać, że spałaś z mężczyzną, o którym wszyscy sądzą, że go nienawidzisz, a potem spreparować poronienie za kilka tygodni. – Westchnęłam, wpatrując się w promienie słońca migoczące w tafli jeziora, obok którego przejeżdżaliśmy. – Czasowa niepoczytalność? Hmm.

Prawdopodobnie najbardziej rozsądne wyjaśnienie, może poza niedawnym urazem głowy. Boże, jest źle. Jakim cudem przekonam kogokolwiek, że wyszłam za niego z miłości, kiedy ciągle tylko się kłócimy?

Taksówkarz, młody, czarnoskóry mężczyzna w czapce New Orleans Saints noszonej daszkiem do tyłu, powiedział:

– Chlap, chlap, cmok.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Słucham?

Uśmiechnął się szeroko, ukazując szereg lśniących, białych zębów.

– To popularne narzędzie filmowe i telewizyjne, w którym scenarzyści stawiają przed sobą dwoje nieznoszących się ludzi i pozwalają im się sprzeczać, aż jedno nagle całuje to drugie i oboje zdają sobie sprawę, że między nimi istnieje szalona chemia, a kłótnie były tylko przykrywką.

Wpatrywałam się w niego z otwartymi ustami.

Wzruszył ramionami.

– Tylko pomagam ci coś wymyślić. Jestem pisarzem. A właściwie próbuję być. Dużo czasu spędzam na studiowaniu narzędzi. Właśnie na ich podstawie budowane są historie. Nawet Szekspir jest pełen takich przenośni.

– No nie mów – odparłam oschle.

– Och tak – odpowiedział z entuzjazmem, nakręcając się na ten temat. – Na przykład *Wiele hałasu o nic*? Ta sztuka jest tak naszpikowana przenośniami, że można się nimi udusić. Ale podstawą wszystkiego jest to, że dwoje bohaterów, Beatrice i Benedick, na początku naprawdę się nienawidzą, ale każdy widzi, że idealnie do siebie pasują. Bo przecież przeciwieństwem miłości nie jest nienawiść tylko obojętność. Nie walczyliby tak bardzo, gdyby im na sobie nie zależało, prawda?

– Jeśli byś mnie zapytał, to brzmi jak wyjątkowo dysfunkcyjny związek – odparłam.

Uśmiech taksówkarza stał się jeszcze szerszy.

– Tak, ale wszystkie najlepsze takie właśnie są. To nie może być prawdziwa miłość, jeśli nie masz ochoty wybić mu zębów od czasu do czasu.

Zgodnie z tą definicją, Jackson i ja byliśmy dla siebie stworzeni.

Milczałam przez resztę drogi do domu, wdzięczna za czas, żeby pomyśleć. Kiedy tam dotarłam, przebrałam się w ubrania robocze i ruszyłam do mamy, żeby sprawdzić, co u niej, zanim udam się do restauracji.

I prawie dostałam udaru, kiedy zobaczyłam motocykl zaparkowany przed jej domem.

– Co za podły, brudny kundel! – powiedziałam, wpatrując się ze wściekłością w pojazd Trace'a. Potem ruszyłam schodami w górę i wmaszerowałam do domu.

Mama i Trace siedzieli w pokoju dziennym i pili herbatę, uśmiechali się i gawędzili w idealnej komitywie. Przerwali, kiedy weszłam do środka.

– A oto i ona! – zawołała mama, stawiając filiżankę na stole, na którym stał już ogromny bukiet świeżych kwiatów, które najwyraźniej przyniósł Trace. – Na pewno piekły cię uszy, *chère*, bo właśnie o tobie rozmawialiśmy!

Obrzuciłam Trace'a wściekłym spojrzeniem.

– Nie wiem, jak uszy, ale dupa na pewno mnie pali!

– Bianco! – wykrzyknęła mama, zszokowana. Podniosła rękę do gardła. – Nie tak cię wychowałam! Przeproś natychmiast!

– W porządku, pani Hardwick. To pewnie po prostu ktoś nowy wpływa na jej życie – oznajmił Trace, wstając z krzesła. Rzucił mi uśmieszek. – Słyszałem, że ten cały Jackson Boudreaux, z którym Bianca spędza tyle czasu, naprawdę zasłużył na swoje przezwisko.

– Jeszcze słowo, Trace – ostrzegłam – a wyciągnę z garażu starą strzelbę taty i jednym strzałem zmienię cię z kogucika w kurkę.

– Przestań w tej chwili, Bianco. Nie pozwolę na takie zachowanie w moim domu!

Głos mamy był donośny, ale zadrżał. Kiedy na nią spojrzałam, wyglądała, jakby walczyła o oddech. Spróbowała podnieść się z krzesła, ale się zachwiała. Podbiegłam do niej i pomogłam opanować sytuację.

– Dlaczego wyszłaś z łóżka, mamo? – zapytałam rozgniewana, klękając przy niej.

Oburzała się, kiedy traktowałam ją jak dziecko.

– Mam już dość leżenia w łóżku, Bianco, czuję się dziś trochę lepiej, więc wstałam i zjadłam śniadanie. Potem zadzwonił Trace i zapytał, czy może wpaść, a ja byłam akurat w nastroju na odwiedziny, więc się zgodziłam.

– To naprawdę miłe, że tak dobrze opiekujesz się mamą, Bianco – powiedział Trace.

Zamarłam.

– Co?

– Odkąd jest taka chora – wyjaśnił. – No wiesz, na grypę?

Mama i ja wymieniłyśmy spojrzenia, a moje ramiona opadły z ulgą. Trace był ostatnią osobą na tej planecie, którą chciałam informować o chorobie mamy. Najwidoczniej wcisnęła mu tę samą bajeczkę, co wszystkim.

Chociaż wątpiłam, żeby ktoś kiedyś słyszał o grypie, która pozbawiała człowieka wszystkich włosów.

– Racja. Grypa – powiedziałam. – Ostatnio krąży w powietrzu. – Wstałam, trzymając mamę za rękę, i spojrzałam na Trace'a. – Czyli właśnie wychodziłeś, tak?

Trace założył ręce na piersi i uśmiechnął się do mnie. W swoich ciasnych dżinsach, z idealną twarzą i bicepsami wypychającymi rękawy koszulki, wyglądał jak wyjęty z okładki romansu. Miałam ochotę zdjąć buty i odcisnąć mu piętę na czole.

– W zasadzie właśnie opowiadałem twojej mamie o moim nowym interesie – odparł.

Spojrzałam w sufit, modląc się do Boga o cierpliwość.

Przez trzy lata, które spędziliśmy razem, Trace rozpoczął – i porzucił – z tuzin interesów, albo i więcej. Mobilna myjnia samochodowa. Nowa linia witamin. Motocyklowe usługi kurierskie. Nowy napój energetyczny, bo przecież na rynku jest ich jeszcze za mało. Jego nowe przedsięwzięcie zapewne potrzebowało pieniędzy i zgadnijcie, kto miał zostać szczęśliwym „inwestorem"?

Tak. Ja. Łatwowierna, głupio zakochana, pracująca na trzy etaty, żeby zarobić na restaurację ja.

– Kolejny nowy interes. Ależ to ekscytujące – stwierdziłam bez emocji.

Uśmiech Trace'a stał się szerszy.

– Rzeczywiście – odparł. – Chodzi o ten, o którym zawsze myśleliśmy, żeby zacząć wspólnie. Pamiętasz, pszczółko?

Poczułam chłód w całym ciele.

– Nie – powiedziałam, ale mój głos zabrzmiał martwo.

Skinął głową, zadowolony z siebie.

– Oczywiście, że tak! Restauracja. Zdobyłem już kilku poważnych inwestorów i właśnie podpisałem umowę najmu lokalu. Otwieramy w przyszłym miesiącu. Na końcu twojej ulicy. Będziemy sąsiadami!

Zszokowana, wpatrywałam się w niego w ciszy.

– Ależ to wspaniale, Trace! – stwierdziła mama. Ścisnęła moją rękę, żebym na nią spojrzała, ale ja mogłam tylko wpatrywać się z niedowierzaniem w człowieka, który kiedyś był moim mężczyzną.

Który za kilka krótkich tygodni stanie się moją *konkurencją*.

Już nadszarpnęłam cierpliwość mamy, mówiąc, że dupa mi się pali, więc nie chciałam robić przy niej afery o te okropne wieści. Dlatego też przykleiłam uśmiech na twarz i powiedziałam do Trace'a uprzejmie:

– Jak uroczo. Czy mogłabym zamienić z tobą słowo na zewnątrz?

Moje zaproszenie sprawiło, że uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby był pewien, że to tylko kwestia czasu, kiedy pójdę po rozum do głowy.

Nie byłby taki zadowolony z siebie, gdyby wiedział, że wyobrażam sobie oddzielenie jego genitaliów od reszty ciała przy użyciu sekatora, ale Trace nigdy nie był zbyt dobry w odczytywaniu ludzi. Zawsze zakładał, że każdy miał tak wysokie mniemanie o nim, jak on o samym sobie. W tej chwili najpewniej myślał, że chcę wyprowadzić go na zewnątrz, żeby paść mu do stóp i błagać o pozwolenie, by zostać częścią jego nowego przedsięwzięcia.

– Oczywiście – odparł z błyskiem w oku. Odwrócił się do mamy i powiedział: – Zawsze miło panią spotkać, pani Hardwick.

– Ciebie również, Trace – powiedziała i obrzuciła mnie spojrzeniem, mówiącym *bądź miła*.

On nie wiedział, co go czeka, ale mama najwidoczniej tak.

Trace przytrzymał dla mnie drzwi i kiedy wyszłam, ruszył za mną w dół schodków werandy. Kiedy zatrzymałam się na chodniku, on

zrobił to samo. Potem spojrzał na mnie i posłał mi swój uśmiech łamacza serc, udowadniając tylko, jaki był głupi.

– Właśnie miałem poprosić twoją mamę o kilka jej przepisów, kiedy przyszłaś.

Gdyby czubek mojej głowy był wulkanem, w tej chwili eksplodowałby fontanną płonącej lawy tak wielką, że całe południowe Stany Zjednoczone zostałyby zmiecione z powierzchni Ziemi.

Głosem drżącym z furii powiedziałam:

– Jeśli jeszcze kiedyś zbliżysz się do niej, włamię się do twojego domu, kiedy cię nie będzie, i wleję do wszystkich twoich szamponów płyn, od którego wypadną ci włosy.

Trace zamrugał. Jego idealne brwi się zmarszczyły.

Wycelowałam palcem w jego twarz.

– Jesteś kłamcą. I zdrajcą. I nie obchodzi mnie, jak bardzo chełpisz się odnalezieniem Boga. Tacy jak ty nigdy się nie zmieniają. Znam wszystkie twoje sztuczki, Adams. Poznałam wszystkie twoje opowiastki. I dobrze wiem, że twoje wejście w biznes restauracyjny nie ma nic wspólnego z nowymi inwestorami, a wszystko z prześcignięciem mnie i udowodnieniem, że popełniłam błąd, kiedy wykopałam twój żałosny zadek za drzwi.

Trace wzruszył ramionami.

– Cóż, zrobiłaś to.

Wydałam z siebie zdumiony odgłos.

– Jesteś niewiarygodny.

Wyciągnął rękę, żeby założyć mi kosmyk włosów za ucho, ale odepchnęłam jego dłoń.

– Wiem, że ja również popełniłem błędy, ale chcę zostawić to wszystko za sobą – oznajmił. Usłyszałam w jego głosie lizusostwo. – No dalej, pszczółko. Wiem, że nadal coś do mnie czujesz, bo inaczej nie pocałowałabyś tamtego dupka w samochodzie. To nie w twoim stylu.

Krew we mnie zawrzała, zadudniła mi w uszach i zapulsowała we wszystkich żyłach.

– Ten dupek to mój narzeczony! – wrzasnęłam.

Żałowałam, że nie mam pod ręką aparatu. Ten wyraz szoku na jego twarzy był wart uwiecznienia dla potomności.

– Co ty, kurwa, wygadujesz? – Podszedł bliżej i zmrużył oczy, ale ja nie ruszyłam się z miejsca.

– Słyszałeś. Jesteśmy zaręczeni. Pobieramy się.

Jego nozdrza zadrgały z gniewu. Wpatrywał się we mnie ze szczęką zaciśniętą ze wściekłości i w końcu powiedział:

– Ha. Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy Panna Wszechwiedząca zmieni się w zwykłą dziwkę latającą za kasą.

To zabolało. Bolało tak, jakby ktoś obdarł mnie ze skóry i wrzucił w słoną kąpiel, ale nie chciałam, żeby to zobaczył. Więc uśmiechnęłam się, chociaż myślałam, że twarz pęknie mi na pół z wysiłku.

– Oto i on. Trace, którego znam. Witam z powrotem, cwaniaku. A teraz spadaj!

Odwróciłam się na pięcie, żeby odejść, ale Trace złapał mnie za rękę i przyciągnął do swojej piersi. Zbliżył się tak, że nasze nosy się stykały, i wysyczał:

– Ile on ci płaci, Bianco? Ile trzeba zapłacić, żebyś ssała kutasa?

Wyrwałam rękę z jego uścisku i cofnęłam się tak wściekła, że mogłabym krzyczeć.

– Jeśli jeszcze raz zbliżysz się do mnie albo do mojej mamy, zadzwonię na policję. A potem do mojego przyszłego męża. I uwierz mi, Trace, będziesz marzył, żeby policja dorwała cię pierwsza.

Odeszłam i nie oglądałam się za siebie, nawet kiedy nazwał mnie słowem na k i splunął na chodnik.

DWADZIEŚCIA

BIANCA

Następnego popołudnia, zgodnie ze swoim zwyczajem, Jackson przybył do restauracji bez zapowiedzi.

Była piąta, godzina przed pierwszą rezerwacją, pięć godzin po tym, jak powinno zostać dostarczone mięso. Obsługa jadła posiłek przy długim stole w przeszklonej, prywatnej jadalni. Ja w tym czasie chodziłam wkoło – to moje nowe, ulubione ćwiczenie. Kiedy drzwi się otworzyły i zobaczyłam długi cień na podłodze jadalni, wiedziałam kto to, bez odwracania głowy.

Podekscytowany pisk Pepper tylko mnie w tym utwierdził.

Odwróciłam się i zobaczyłam Jacksona stojącego w drzwiach i wpatrującego się we mnie. Miał na sobie wypłowiałe dżinsy i swoją poszarpaną kurtkę motocyklową, a biała, bawełniana koszulka przylegała do jego ciała, ukazując mięśnie brzucha przypominające cegły ustawione na reklamowej wystawie.

Generalnie nie wyglądał tak źle.

– Och. Cześć – powiedziałam.

Jego brwi się wygięły. Zerknął na zgromadzenie w prywatnej jadalni, piętnaście osób wpatrujących się w nas z otwartym zaciekawieniem zza tafli szkła.

– Niewłaściwy moment?

A czy jest właściwy, żeby zrzec się pięciu lat życia?

– W porządku – odparłam. – Na razie są pod kontrolą. – Sprawiłam, że moi pracownicy wyglądali jak banda szaleńców, co wcale nie odbiegało od prawdy. – Przejdźmy do mojego biura.

Poprowadziłam go przez restaurację, obok prywatnej jadalni, z jej gapiącą się menażerią, i przez kuchnię. Moje biuro znajdowało się na końcu korytarza, z tyłu. To ciasna, zagracona przestrzeń, gdzie

regularnie na koniec wieczora ze zmęczenia zapadałam w drzemki albo płakałam nad stertą niezapłaconych rachunków, analizując moje życiowe wybory.

Otworzyłam drzwi, a on zamknął je za nami. Rozejrzał się krytycznym spojrzeniem.

– Wygląda, jakby wybuchła tu bomba. – Potem jego spojrzenie padło na bukiet czerwonych róż na brzegu biurka i zamarł. Jego ton stał się zjadliwy. – Od wielbiciela?

Parsknęłam.

– Jeśli wielbicielem możesz nazwać pomiot szatana.

W dwóch, długich susach znalazł się obok bukietu. Zerwał mały, biały bilecik z plastikowego kijka. Odczytał treść na głos, a jego druga ręka zacisnęła się w pięść.

– Przepraszam, pszczółko. Nie myślę naprawdę tego, co wczoraj powiedziałem. Proszę, zadzwoń do mnie, musimy porozmawiać. Trace.

Jackson wysyczał imię Trace'a. Kiedy przeniósł na mnie spojrzenie, całe powietrze uleciało z pomieszczenia.

– Co się stało? – warknął.

Opadłam na swoje zniszczone krzesło i westchnęłam.

– Mieliśmy małe nieporozumienie w domu mojej matki.

– Nieporozumienie? – powtórzył powoli. Jego oczy pociemniały i wyglądały jak u seryjnego mordercy.

– W telegraficznym skrócie: po drodze do restauracji wstąpiłam do mamy, a on tam był. Powiedziałam mu, że bierzemy ślub, a on nazwał mnie słowem na k.

Jackson zmienił bilecik w pył jednym, solidnym zaciśnięciem pięści.

– A to nie jest najgorsza część – dodałam.

Jego oczy naprawdę zaczęły mnie niepokoić. Spodziewałam się, że zaraz strzeli z nich laserem i rozniesie całe to miejsce.

– Otwiera restaurację – powiedziałam, niezdolna do powstrzymania drżenia furii w głosie. – Na końcu ulicy. Jako środkowy palec dla mnie i wszystkich planów, które mieliśmy, żeby zrobić to razem.

Nagle moje biuro stało się za małe, żeby pomieścić Jacksona. Całe jego ciało rozrosło się z gniewu jak u Hulka. Nie byłam pewna, czy jego ubrania to wytrzymają.

– To tylko kolejna z jego dziecinnych gierek – wyjaśniłam. – Nic nie denerwuje go tak, jak bycie ignorowanym, a wiedział, że to przyciągnie moją uwagę. Chce, żebym wpadła w obsesję na tym punkcie. I dlatego muszę zachowywać się tak, jakby mnie to w ogóle nie obeszło.

– Zobaczymy – powiedział Jackson mrocznie.

Groźba zawarta w tym słowie sprawiła, że włoski na rękach stanęły mi dęba.

– Nie godzę się na żadną przemoc, Jacksonie.

– A kto mówił coś o przemocy? Są sposoby na załatwienie takiej sprawy bez rozlewu krwi. – Jego oczy seryjnego mordercy aż zapłonęły. – Chociaż bardzo chciałbym oderwać mu łeb i wepchnąć mu go w dupę za to, co do ciebie powiedział.

Pozwoliłam sobie na delektowanie się tą wizją przez chwilę. Cóż za piękna rzecz. Potem machnęłam dłonią w stronę krzesła przed biurkiem.

– Usiądź. Proszę. Sprawiasz, że pokój wydaje się mniejszy, niż jest.

Usiadł na krześle. Jego postura sprawiła, że mebel wyglądał jak przeznaczony dla dziecka. Wydawało się, że jest większy za każdym razem, kiedy go widziałam, nogi, ręce, obezwładniająca siła, potężna męskość. Czułam się przy nim krucha, a to dość imponujące, biorąc pod uwagę, co pokazała mi dzisiaj waga łazienkowa.

– Przyniosłem umowę – powiedział, wciąż podenerwowany.

Wypuściłam drżący oddech.

– Bianco. Właśnie zrobiłaś się biała jak papier.

Śmiech, który z siebie wydobyłam, brzmiał nieco szaleńczo.

– To rzeczywiście byłby wyczyn.

Wpatrywaliśmy się w siebie.

– Chcesz ją zobaczyć? – zapytał.

Wyciągnęłam rękę. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął kilka złożonych kartek i podał mi. Rozłożyłam je na biurku i sięgnęłam po długopis.

– Twój prawnik powinien ją sprawdzić, zanim podpiszesz – powiedziałem sztywno.

– Nie mam prawnika.

– To zatrudnij kogoś.

– Nie stać mnie na prawnika, Jax.

Przełknął głośno, słysząc tę ksywkę. Zwilżył wargi i przesunął się na krześle. Zaintrygowana jego reakcją, momentalnie zapomniałam o umowie.

– Sprawiam, że czujesz się niekomfortowo?

– Nie zmieniaj tematu.

– To uzasadnione pytanie. Jeśli mamy wziąć ślub, powinnam wiedzieć takie rzeczy.

Spojrzał na mnie spode łba i odpowiedział:

– Sprawiasz, że czuję się niekomfortowo od chwili, gdy się poznaliśmy.

Uśmiechnęłam się wbrew sobie. Wykorzystywał moje własne słowa przeciwko mnie i unikał pytania. Lubił uchylać się od odpowiedzi, a to oczywiście sprawiało, że byłam jeszcze bardziej ciekawa, niż byłabym w innej sytuacji.

– Zastanawiałam się nad pierścionkami – oznajmiłam.

Odchylił się, skrzyżował nogi i obrzucił mnie jasnoniebieskim spojrzeniem.

– Nie mogę się skoncentrować, kiedy te pieprzone róże gapią się na mnie jak tuzin cholernych środkowych palców – stwierdził po chwili.

Wściekał się, że ich nie wyrzuciłam?

– Zamierzałam wyrzucić je do śmieci w chwili, gdy zostały przyniesione dziś rano, ale Eeny powiedziała, że je weźmie. Do jakiegoś rytuału związanego z płatkami róż i kozią krwią. Nie pytałam o szczegóły.

Jackson wstał. Chwycił wazon z różami, otworzył drzwi biura, wystawił kwiaty na korytarz, zamknął drzwi, usiadł na krześle i wyglądał na nieco mniej żądnego mordu.

– Lepiej – stwierdził. – Pierścionki. Strzelaj.

Rozbawiona potrząsnęłam głową.

– Chcę pięciokaratowy, nieskazitelny diament od Tiffany'ego na środku, a po bokach jednokaratowe kamienie, osadzone w platynowej obrączce.

Jedna z jego brwi uniosła się powoli.

Uśmiechnęłam się.

– Tu mnie masz. Prosta, złota obrączka wystarczy. A dla ciebie?

Przekrzywił głowę i spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Chcesz mi kupić pierścionek?

– Nie wyjdę za mężczyznę, który nie chce nosić obrączki ode mnie. Jeśli mamy to zrobić, to tak jak należy. A to tyczy się też biżuterii.

– Dlaczego to ma znaczenie?

Dobre pytanie. Nie sądziłam, że mogłam mu powiedzieć, że chcę, żeby każda kobieta, która na niego spojrzy, widziała ten mały złoty znak *zakaz wstępu* na jego palcu, bo to nie miałoby sensu. Poza prawnym aspektem, nie miałam do niego żadnych roszczeń. W zasadzie, skoro seks został wyłączony z umowy, jak to uprzejmie stwierdził Jackson, nie miałam powodu sądzić, że zachowa wierność w naszym udawanym małżeństwie.

Ciekawe, że wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby o to spytać. Albo samej sobie zadać pytanie, czy ja będę wierna.

– Jakąkolwiek rozmowę prowadzisz sama z sobą, chętnie się przyłączę – stwierdził. – Wygląda fascynująco.

Przygryzłam dolną wargę. To sprawiło, że oczy mu zapłonęły, więc przestałam.

– Ja tylko… zastanawiałam się… nad kwestią seksu.

Jak ktoś może przejść od porażającego gniewu, przez rozbawienie, do tej mrocznej energii, którą obecnie emanował? Jakkolwiek zdołał to zrobić, zauważyłam, że zaczęłam wiercić się niespokojnie, pod jego gorącym spojrzeniem.

– Co w związku z tym? – zapytał neutralnym tonem, który nie odzwierciedlał jego spojrzenia ani napięcia.

Czując skrępowanie, spojrzałam w dół i zaczęłam bawić się długopisem.

– Yyy. Co jeśli poznasz jakąś dziewczynę? Jak my…

– Nie poznam.

Zaskoczona stanowczością tego stwierdzenia, podniosłam wzrok.

– Nie możesz tego wiedzieć. Mógłbyś poznać kogoś dzień po naszym ślubie i zakochać się na zabój. Powinniśmy przedyskutować taki scenariusz. Czy ona miałaby zamieszkać z nami?

Ruchem, który już rozpoznawałam jako jego reakcję na wzburzenie, przeciągnął palcami po włosach. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i przyszpilił mnie wzrokiem.

– Nie będzie żadnej dziewczyny – oznajmił. – Nie będzie nikogo, kiedy będziemy małżeństwem.

Powietrze znowu zostało wyssane z pomieszczenia. Naprawdę musiałam sprawdzić wentylację.

– Czyli klauzula „brak seksu" jest bardziej jak klauzula „celibat"?

Odchylił się na krześle, ale napięcie nie opuściło jego ciała.

– Powinnaś to przejrzeć ze swoim prawnikiem.

– Wolę przedyskutować to z tobą.

Jeden z jego palców zaczął zawzięcie stukać o udo.

– Umowa zaznacza, że seks między nami nie jest spodziewany. Nie stanowi wymogu dla wypełnienia założeń umowy.

Przetrawiłam to w głowie przez chwilę.

– Więc w takim razie to dobrowolne.

Wpatrywał się w obrazek na ścianie przedstawiający kociaka zwisającego z gałęzi drzewa na jednej łapie, napis pod spodem głosił „TRZYMAJ SIĘ!". Głowa Jacksona przekrzywiła się i spojrzał na mnie z taką intensywnością, że pomyślałam, że jest zły.

– To znaczy, że nie jest wbrew regułom.

Nie potrafię opisać jego wyrazu twarzy. Balansował pomiędzy seryjnym mordercą a wygłodniałym zwierzęciem.

– Czyżby przyszła pani Boudreaux składała mi niemoralną propozycję?

I oto krew zaczęła napływać od mojej szyi w górę, aż po linię włosów, jakbym wetknęła głowę w wiadro czerwonej farby. Zapatrzyłam się na umowę, próbując to ukryć.

– Przepraszam – powiedziałam. – To wszystko jest naprawdę bardzo dziwne. Chyba po prostu się denerwuję. Zapomnij, że w ogóle zapytałam.

– O nie. Nie wywiniesz się tak łatwo. Spójrz na mnie.

Zerknęłam na niego spod rzęs.

– Kiedy ostatnio uprawiałaś seks? – zapytał i przysięgam, że prawie zemdlałam.

– To nie twój interes – odpowiedziałam sztywno i usiadłam prosto na krześle.

– Ja ostatni raz uprawiałem seks ponad cztery lata temu – oznajmił i zaśmiał się drwiąco. – To znaczy z kimś poza sobą.

Wow. A ja sądziłam, że mój okres posuchy trwał długo.

– Nie. Naprawdę?

– Naprawdę.

– Jesteś mnichem?

Znowu spojrzał na mnie tym gorącym wzrokiem, który mógł mnie spalić, a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Czy ja ci wyglądam na mnicha?

Coś niezdrowego działo się z moim sercem. Przebywanie z Jacksonem wywoływało okropną arytmię, która mogła mnie w końcu zabić. Zdecydowałam się zignorować jego pytanie i zaryzykować zadanie własnego.

– Czy… przechodziłeś… yyy, okres, w którym nie byłeś pewien…

Jackson spojrzał w sufit z irytacją.

– Już ci powiedziałem, że nie jestem gejem, Bianco.

– Więc…

– Nie jestem też biseksualny, jeśli do tego zmierzasz – warknął. – Nie waham się, którą płeć wolę i nie mam żadnej choroby, której nie chciałbym roznieść! Po prostu od jakiegoś czasu nie miałem dziewczyny, na litość boską!

Musiałam się wycofać, zanim uwolni się z niego Hulk, a jego ubrania rozerwą się na strzępy.

– Dobrze, słyszę, nie wahasz się, nie jesteś chory, po prostu jesteś niespotykanie… aseksualny.

To nie był właściwy dobór słów. Wyczułam w nim zmianę tak samo, jak wyczuwa się zmianę w pogodzie. Elektryczność niebezpiecznie zatrzeszczała w powietrzu, jak przed burzą, a barometr wykazał wzrost ciśnienia. Jeśli jego oczy wcześniej były czarne, teraz miały barwę najgłębszych czeluści piekła.

Podniósł się, stanął nade mną i poderwał mnie na nogi, wkładając dłonie pod moje pachy, jakbym była lalką.

– Powiedz mi, czy to wydaje ci się aseksualne – rzucił.
Po czym chwycił moją twarz w dłonie i pocałował mnie.

DWADZIEŚCIA JEDEN

BIANCA

Tym razem to ja zamarłam w szoku, kiedy nasze usta się spotkały. Potrzebował kilku chwil delikatnego nacisku językiem, zanim w końcu rozchyliłam usta. Kiedy to zrobiłam, wciągnął powietrze i wydał z siebie cichy jęk.

Był taki wielki, ciepły i twardy wszędzie, poza ustami, które przypominały watę cukrową. Zatopiłam się w nich. Przesunął kciukiem nad moim uchem i zadrżałam. Jego palce nacisnęły na moją twarz. Kiedy delikatnie zatopił zęby w mojej dolnej wardze, przez moje ciało przemknęły błyskawice.

Zacisnęłam palce na jego karku i przyciągnęłam go bliżej.

Ssać, lizać, podgryzać, powtórzyć. Puls odczuwałam we wszystkich ukrytych zakamarkach ciała. Ten pocałunek był kaszmirowy, pełen przepychu, dekadencki, niespieszny, przepysznie słodki, jakbym wiła się na ciepłym piasku i popijała mai tai. Jego zapach wypełniał moje nozdrza: sosna, piżmo, coś ziemnego i świeżego, jak zapach lasu po deszczu.

Wydał z siebie ten gardłowy, męski odgłos, który był dla mnie dziwnie ekscytujący, i zsunął dłoń po moich plecach. To sprawiło, że dolne części naszych ciał zbliżyły się do siebie i zapewniły mi imponujący dowód tego, że Jackson Boudreaux zdecydowanie nie jest aseksualny.

– Och – wydyszałam.

Jego śmiech był łagodny i mroczny.

– Tak, och. Przestań mówić.

Nie zdążyłam złapać tchu, ale to nie miało znaczenia, bo jego usta znowu znalazły się na moich. Niewielkie oddechy przez nos musiały mi wystarczyć.

Dłoń w dole moich pleców została zastąpiona żelazną obręczą ramienia wokół mojej talii. Sutki mi stwardniały. Jego serce łomotało przy mojej piersi. Pocałunek zmienił się z powolnego i słodkiego w mocny i gorący, najpierw mnie roztopił, a potem rozniecił we mnie ogień.

Jackson wplótł palce w moje włosy, rozpiął spinkę, która je przytrzymywała, i pozwolił jej upaść na podłogę. Znowu wydał z siebie ten seksowny, męski odgłos, gdy moje włosy rozsypały się na jego dłoni. Walczyłam z chęcią przyciśnięcia swoich bioder do jego, a potem cicho jęknęłam z ulgą, kiedy zrobił to za mnie, wielką dłonią obejmując mój pośladek. *Tak, tak, tak* dudniło moje serce, prosząc o więcej.

Oderwał się ode mnie, dysząc ciężko. Rozchyliłam powieki. Przypatrywał mi się, jakby chciał mnie pożreć.

Dobrze, że byłam w nastroju na zostanie pożartą.

– Jeszcze nie skończyliśmy – szepnęłam. Wspięłam się na palce i zarzuciłam mu rękę na szyję.

Pocałunek znowu się zmienił. Tym razem władzę przejęły desperacja i pragnienie. Nie było już delikatnego badania, żadnych powolnych ruchów. Teraz wszystko płonęło żywym ogniem, zaciśnięte kurczowo dłonie, zachłanne usta i ciała walczące, by znaleźć się bliżej siebie. Jego palce zacisnęły się na moich włosach. Biodra kołysały się przy moich. Poczułam nowy uścisk między nogami i chciałam zerwać z Jacksona wszystkie ubrania…

Ktoś zapukał do drzwi biura.

– Szefowo? Przepraszam, że przeszkadzam. W końcu przywieźli mięso.

To Hoyt.

Zamierzałam zabić Hoyta. Prawdopodobnie gołymi rękami.

– Dziękuję – zawołałam, brzmiąc, jakbym połknęła garść żwiru. – Za chwilę przyjdę. – Zerknęłam na Jacksona i pomyślałam, że zaraz zostanie ze mnie kupka popiołu.

Miał przymknięte oczy, wypełnione oszołomieniem i pożądaniem, mieniące się srebrem jak oczy kota w mroku.

– Muszę… – zaczęłam.

– Wiem. Daj mi chwilę. – Jego głos był surowy. Zamrugał powoli, przesunął palcami po moich włosach i patrzył, jak pasma przesuwają się między nimi.

Bez zastanowienia dotknęłam blizn na jego szczęce. Zamknął oczy i wydał z siebie delikatny dźwięk, jakby odczuwał ból.

– Skąd masz te blizny?

Moje pytanie złamało czar, pod działaniem którego się znajdował. Wziął głęboki oddech i puścił mnie niechętnie. Jego wargi wygięły się okrutnie, kiedy odpowiedział:

– Rekin ludojad.

Odwrócił się i przeczesał włosy palcami, a ja wiedziałam, że ta tajemnicza odpowiedź to wszystko, co dostanę.

Skołowana i lekko chwiejna, z wahaniem podniosłam spinkę z podłogi. Spięłam nią włosy w rekordowym tempie, chociaż prawdopodobnie wyglądałam, jakbym uciekła ze szpitala psychiatrycznego, z wybałuszonymi oczami, rozwichrzonymi włosami, cała spocona i roztrzęsiona. Wygładziłam przód fartucha, choć to w ogóle mnie nie uspokoiło, ale przynajmniej pozbyłam się wilgoci z dłoni.

– Cóż. To było… – zaczęłam.

W głowie miałam kompletną pustkę.

Nie odwracając się, Jackson wypuścił drżący oddech. Rzucił przez ramię:

– Znajdź prawnika, który przejrzy umowę najszybciej jak to możliwe. Wyślij mi rachunek. I muszę poznać twoją matkę.

Otworzył drzwi i już go nie było.

Opadłam na krzesło i zaczekałam, aż kolana przestaną mi drżeć, a serce odzyska rytm, zanim poszłam sprawdzić, co z mięsem.

***

Następnego dnia poszłam do prawnika, który przyglądał się umowie Jacksona przez bardzo długi czas, a zmarszczki na jego czole mnożyły się szybciej niż króliki. Zerkał na mnie kilka razy, a ja siedziałam, splatając palce i starając się wyglądać nonszalancko, choć nie bardzo mi to wychodziło.

Zważywszy na jego wyraz twarzy, prawdopodobnie myślał, że jestem z ukrytej kamery.

– Panno Hardwick – zaczął ostrożnie, popychając umowę w moją stronę, jakby sądził, że zaraz stanie w płomieniach. – To dość… niezwykłe.

Mój śmiech bardziej przypominał rżenie osła.

– Nie da się ukryć.

– Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego – stwierdził, wytrącony z równowagi. We fluorescencyjnym świetle jego łysa głowa błyszczała jak lampa uliczna. – Zakładam, że zawiera pani tę umowę ze względu na… – Zakaszlał uprzejmie w rękę. – Problemy finansowe?

– Bingo. Więc jakie są złe wieści?

Wyglądał na zaniepokojonego.

– Wychodzi pani za mężczyznę tylko dla pieniędzy. Jakich jeszcze złych wieści pani oczekuje?

Miał szczęście, że to porada na koszt Jacksona, bo inaczej ta uwaga skutkowałaby tym, że wstałabym i wyszła stamtąd, zanim zdążyłby obdarzyć mnie tą swoją beznadziejną radą, którą planował mi sprzedać.

– Mówię o umowie. Czy jest w niej coś, co mi zaszkodzi?

Obrzucił mnie takim spojrzeniem, jakbym w ogóle nie usłyszała jego pierwszego pytania.

Westchnęłam.

– Wiem. Już może pan przestać mnie oceniać, dobrze? Niech mi pan tylko powie, czy w umowie jest coś, co powinnam odrzucić. Przykładowo ta część mówiąca o tym, że nie muszę uprawiać z nim seksu. Czy to jest w porządku?

To oczywiste, że właśnie skracałam biednemu prawnikowi życie. Nikt, kto miał pozostać długo na tym świecie, nie mrugał aż tak szybko.

– Tak – odparł, odchrząkując gwałtownie. – Ale powinniśmy zażądać więcej pieniędzy. Milion dolarów na pięć lat to tylko dwieście tysięcy rocznie. A to daje – policzył w głowie szybciej, niż mogłabym wstać – pięćset pięćdziesiąt pięć dolarów dziennie. Mniej więcej. Zgodnie z moją profesjonalną opinią, to za mało

w porównaniu z czasem trwania kontraktu. Powinna pani zażądać przynajmniej pięciu milionów, a idealnie dwa razy tyle.

Pomachałam z niecierpliwością.

– Suma pozostaje bez zmian. Ta część nie jest ważna.

Odchylił się na krześle i potrząsnął głową z politowaniem.

– Przykro mi, panno Hardwick, ale moja rada jest taka, żeby nie podpisywała pani tej umowy. To nie służy pani interesom. Mogłaby pani swobodnie zarobić milion w pięć lat z przychodów z restauracji.

Nawet w najśmielszych snach, sir. I nie mam tyle czasu.

Niecierpliwie zabębniłam palcami o oparcie krzesła.

– A poza pieniędzmi, czy jest tam coś innego, czym powinnam się martwić? Jakieś sformułowanie, które chciałby pan poprawić? Uchybiające zapiski, które należałoby usunąć? Cokolwiek?

Wpatrywał się w moją twarz przez czas, który nie mógłby zostać uznany za uprzejmy, po czym odpowiedział:

– Kilka pomniejszych kwestii. Umowa jest dość klarowna i sprawiedliwa, jeśli można użyć tego słowa w zaistniałej sytuacji.

– Dobrze – powiedziałam, wstając. Nie mogłam się doczekać, żeby wyjść. – Czy może pan nanieść poprawki do jutra?

Obrzucił mnie spojrzeniem znad okularów.

– Czy mogę coś powiedzieć?

– Nie.

Od razu widziałam, że to zrobi i tak właśnie się stało.

– Jest pani atrakcyjną, młodą kobietą, panno Hardwick. Wydaje się pani również inteligentna i pragmatyczna, a to połączenie, jak wiem z doświadczenia, jest rzadsze niż jednorożce. Nie ma sensu, żeby ktoś taki jak pani sprzedawał się tak tanio.

Wzdrygnęłam się, słysząc dobór słów. Przynajmniej miał na tyle wstydu, żeby wyglądać na skruszonego.

– Po prostu proszę nanieść poprawki do jutra – odparłam zwięźle i wyszłam, trzaskając za sobą drzwiami.

Musiałam oprzeć się o ścianę w korytarzu i poczekać, żeby mój żołądek uspokoił się na tyle, bym była w stanie dalej iść.

***

Kilka dni później miałam w ręku ostateczną wersję umowy. Postanowiłam uczcić to załamaniem nerwowym.

Właśnie leżałam twarzą w dół na biurku, kiedy zadzwonił telefon. Na nieszczęście nie przestawał dzwonić, nawet kiedy go zignorowałam i dwa razy włączyła się poczta głosowa. Po chwili ciszy znowu zaczynał dzwonić. Miałam wrażenie, że na mnie wrzeszczał, i wiedziałam, kto czeka po drugiej stronie, zanim odebrałam.

– Halo?

– Bianco. Tu Jackson.

Wydawało się, że jest poruszony. Co za niespodzianka.

– Jakbym mogła nie poznać tego warknięcia.

– Dlaczego nie odbierałaś? Zadzwoniłem na salę i Pepper upierała się, że jesteś w biurze.

Dodałam Pepper do listy pracowników, których zamierzałam zabić.

– Jestem w biurze. Po prostu… myślę.

Nastąpiła chwila ciszy.

– To zabrzmiało złowieszczo.

– Wynajęłam adwokata, który przejrzał umowę.

Kolejna pauza, a potem jego głos stał się suchy jak pieprz:

– Proszę, powstrzymaj tę ekscytację. Moje ego może nie wytrzymać takiego entuzjazmu.

Westchnęłam, opadłam na krzesło i zarzuciłam nogi na biurko.

– Porozmawiaj ze mną – zażądał.

Zwalczyłam dziecinną chęć wytknięcia języka do telefonu.

– To tylko przedślubny stres, skarbie, nie ma się czym martwić.

Jego głos zmienił się w łagodny pomruk, którego tak rzadko używał.

– Mamy pietra?

Intymność w jego tonie sprawiła, że dostałam na rękach gęsiej skórki, którą od razu zrzuciłam na klimatyzację.

– Umyślnie mówisz o mnie w pierwszej osobie liczby mnogiej, żeby mnie zirytować?

– Wystarczy, że oddycham w twojej obecności, żeby cię zirytować. A teraz mów, co się dzieje.

Zamknęłam oczy i przez kilka sekund zastanawiałam się, od czego zacząć.

– To wszystko, co robimy, jest trochę przytłaczające. Nigdy nie wyobrażałam sobie, że wyjście za mąż będzie wyglądało jak ubieganie się o kredyt.

– Zawsze tak jest – odparł natychmiast. – Co jeszcze jest nie tak?

Gwałtownie otworzyłam oczy. Brzmiał na trochę zbyt pewnego siebie.

– Mówisz z doświadczenia?

Jego milczenie było znaczące. Od razu wyprostowałam się na krześle.

– Byłeś już żonaty? – Złożyłam mój niepotrzebny okrzyk na karb załamania i odpuściłam sobie.

– Nie. Nie byłem. – Znowu akcentował słowa, jak zawsze, kiedy był wyjątkowo urażony, ale za tym zaprzeczeniem wyczuwałam coś więcej niż jego zwykłe rozdrażnienie, więc postanowiłam podrażnić niedźwiedzia.

– Okłamujesz mnie?

W słuchawce usłyszałam przerażający, zwierzęcy odgłos. Gdybym usłyszała podobny, idąc ciemną uliczką, na pewno zmoczyłabym się w majtki.

– Nigdy. Cię. Nie. Okłamię. Nigdy. Rozumiesz?

O kurczę. Drażnienie niedźwiedzia wywoływało nieprzyjemne rezultaty.

– Przepraszam. Po prostu zabrzmiało to tak, jakbyś nie powiedział mi wszystkiego.

Nie wiem, jakim cudem cisza może wibrować od emocji, ale ta właśnie to robiła. W końcu po kilku niezrozumiałych warknięciach i burknięciach, mruknął:

– Kiedyś byłem zaręczony.

Było tak, jakby ktoś rzucił nowiutką, wypełnioną kocimiętką zabawkę z piór wprost przed nos kota. Postawiłam uszy, zmrużyłam powieki, a mój ogon zaczął drgać.

– Co się stało?

– Nie kochała mnie, to się stało – zagrzmiał. – Chciała tylko moich pieniędzy!

Po kilku chwilach zdałam sobie sprawę, że ten dźwięk w moich uszach to dudnienie pulsu. Powoli wypuściłam powietrze, czując mdłości.

– Z nami jest inaczej – powiedział łagodniej, zgadując, dlaczego nie mogłam nic powiedzieć.

– Niby jak?

Jego głos stał się bezbronny, prawie chłopięcy.

– Tym razem wiem.

Strzał prosto w serce. Kulka w głowę. Upadek z czterdziestopiętrowego budynku. Tym jednym zdaniem zabił mnie na tuzin sposobów.

– Jax – wydyszałam, drżąc. – O Boże.

– To stare dzieje, Bianco. Już sobie z tym poradziłem. Nie wspominałbym o tym, gdybyś nie zapytała. – Jego głos stał się bardziej ożywiony. – I to ja zaproponowałem ten układ, pamiętasz? To był mój pomysł. Więc za nic się nie obwiniaj.

Och, ale mogłam. I robiłam to. Obwiniałam się, że choćby pomyślałam, że to może zadziałać oraz za bycie zimnokrwistą, pazerną szmatą.

Przez chwilę nienawidziłam się z oślepiającą furią, zarezerwowaną zwykle dla ludzi, którzy chodzą zbyt wolno i blokują chodnik.

– To szaleństwo – szepnęłam, tak pełna poczucia winy, że jeśli ktoś niesłusznie oskarżyłby mnie o morderstwo, przyznałabym się i zażądała krzesła elektrycznego. – Nie możemy tego zrobić.

– To zamierzasz powiedzieć matce? Że nie możesz zdobyć pieniędzy na operację?

W dwie sekundy zmieniłam się z osoby owładniętej poczuciem winy w osobę wrzeszczącą z gniewu.

– To nie fair! – krzyknęłam, uderzając dłonią o biurko.

– Życie nie jest fair – rzucił zgryźliwie. – To umowa biznesowa, Bianco. Dobra dla nas obojga. Nikt tu nie wyświadcza nikomu przysługi. Nikt nie zostaje wykorzystany. Wchodzimy w to świadomie, w pełni poinformowani i zgodni, mamy też możliwość wyjścia, precyzyjną i bezbolesną. A to o wiele więcej niż niektórzy ludzie mogą powiedzieć o swoich małżeństwach.

Boże, ależ to posępne. Kimkolwiek była kobieta, z którą był zaręczony, z pewnością odcisnęła na nim swoje piętno. Ten… ludożerca.

Dotarło do mnie, że blizny, które miał mu zrobić rekin ludożerca, w rzeczywistości pochodziły od jego byłej narzeczonej. Co ona zrobiła, uderzyła go widłami?

Odsunęłam od siebie myśl, że sama chciałam zrobić mu coś podobnego, kiedy się poznaliśmy, i znowu rzuciłam się na biurko, twarzą w dół.

– Co to za dźwięk? – zapytał Jackson, brzmiąc na zmartwionego.

– Moja głowa i biurko poznały się bliżej.

Roześmiał się i oficjalnie przeszedł przez wszystkie emocje, które może odczuwać człowiek w ciągu trzyminutowej rozmowy telefonicznej.

– Zabawne, nigdy nie wyobrażałem sobie ciebie jako miłośniczki dramatów.

A ja nie wyobrażałam sobie siebie jako narzeczonej gorącego Frankensteina, a jednak.

– Więc jaki jest następny krok? – zapytałam, otrząsając się na tyle, by podjąć próbę racjonalnej rozmowy.

– Posiadasz lub wynajmujesz dom?

Zmarszczyłam nos do telefonu. Teraz zajmował się handlem nieruchomościami?

– Wynajmuję.

– Zerwij umowę. Musimy przenieść cię do Rivendell przed moimi urodzinami, szesnastego.

Powiedział to tak, jakby mówił o więzieniu dla kobiet.

– A co z moimi rzeczami? Meble, ubrania, książki?

– Spakuj to, co chcesz zatrzymać, resztę zostaw. Wyślę do ciebie pudła przeprowadzkowe i wynajmę magazyn. Jeśli właściciel zażąda dodatkowych opłat, wszystkim się zajmę.

Moje przygryzanie warg musiało być słyszalne, bo Jackson podsunął:

– Wyrzuć to z siebie, Bianco.

– A sam ślub? Kiedy się odbędzie?

– Gdy tylko poznasz moich rodziców. Najlepiej, żebyśmy pojechali w ten weekend, ale jeśli masz inne…

– Czekaj. Poznać twoich rodziców? Jechać?

Jego głos stał się mroczny.

– Musimy odbyć krótką podróż do Kentucky, zanim weźmiemy ślub.

Kiedy zdałam sobie sprawę, co miał na myśli, wciągnęłam powietrze z przerażeniem.

– O Boże. Twoi rodzice muszą mnie zaakceptować, prawda?

Jego milczenie było moją odpowiedzią.

– Muszę przejść casting do roli twojej fałszywej żony? – wykrzyknęłam.

– To tylko formalność. Pokochają cię.

Jęknęłam i zakryłam oczy ręką. Już to sobie wyobrażałam: Jackson podjeżdża pod swój dom rodzinny – który w mojej głowie wyglądał jak plantacja Tara z *Przeminęło z wiatrem* – i przedstawia mnie swoim bogatym, konserwatywnym i bardzo białym rodzicom.

Jego matka obrzuci mnie srogim spojrzeniem. Ojciec zrobi się fioletowy ze złości. Wszyscy służący, którzy ustawią się w rzędzie, żeby nas powitać, jak w *Downtown Abbey*, będą szeptać pod nosem, komentując tupet Jacksona, który przywiózł do domu kolorową dziewczynę.

Litości! Czy to jego pokojówka?

– Wiem, że znowu rozmyślasz, bo czuję, że coś się przypala – rzucił oschle.

Myśl o mamie. Myśl o mamie. Myśl o mamie.

– Eeny może zająć się wszystkim przez kilka dni – odparłam słabo. Będzie musiała zająć się wszystkim na zawsze, kiedy umrę z poniżenia, gdy rodzice Jacksona poszczują nas psami i przegnają z plantacji, więc przynajmniej będzie na bieżąco.

– Dobrze. W takim razie wyjeżdżamy w piątek. Kiedy mogę poznać twoją matkę?

Czując się, jakbym śniła, odpowiedziałam:

– Dowiem się.

SŁYNNA KREOLSKA JAMBALAYA DAVINY

Na 8 porcji

- 1/4 kg surowego boczku, pokrojonego w kostkę
- 1/4 kg świeżej kiełbasy wieprzowej, zdjąć skórkę
- 1/4 kg francuskiej kiełbasy z podrobów (andouille), pokrojonej w plastry
- 3 łyżki masła
- 4 filety z piersi kurczaka, pokrojone w dwucentymetrowe kostki
- 1 duża, biała cebula, pokrojona w kostkę
- 1 zielona papryka, pokrojona w kostkę
- 3 gałązki selera naciowego, pokrojone w kostkę
- 3 ząbki czosnku, zmielone
- 2 szklanki białego ryżu długoziarnistego
- 1 łyżeczka suszonego tymianku
- 2 liście laurowe
- 1/2 łyżki chili w proszku
- 1 1/2 łyżki papryki
- 1 łyżeczka pieprzu cayenne
- 1 łyżeczka soli selerowej
- 1 puszka krojonych pomidorów
- 2 szklanki domowego (lub organicznego) bulionu z kurczaka
- 1 szklanka czerwonego wina dobrej jakości
- 3/4 kg surowych, dzikich krewetek, obranych i oczyszczonych
- 8 szalotek, posiekanych
- Świeża pietruszka

Przygotowanie

- W dużej brytfannie albo garnku z wysokimi ściankami rozpuść masło. Podsmażaj boczek i kiełbasy przez 3–5 minut albo do delikatnego zbrązowienia, często mieszając. Przypraw pierś z kurczaka solą i pieprzem, wrzuć do garnka i smaż przez 5 minut albo do zbrązowienia.
- Dodaj cebulę, paprykę, seler i czosnek, gotuj, aż zmiękną i zaczną puszczać aromat, około 10 minut. Jeśli wydaje ci się, że w garnku jest zbyt sucho, dodaj odrobinę oliwy z oliwek.

- Dodaj ryż, tymianek, liście laurowe, paprykę, pieprz cayenne i sól selerową, wymieszaj. Zwiększ ogień. Dodaj pomidory, czerwone wino i bulion z kurczaka. Doprowadź do wrzenia, zmniejsz ogień do średniego/małego, przykryj pokrywką i duś przez około 15 minut, aż ryż zmięknie.
- Kiedy ryż jest już gotowy, dodaj krewetki i szalotkę. Gotuj na małym ogniu przez 10 minut albo aż krewetki zrobią się różowe. Wyjmij liście laurowe, roztrzep jambalayę i podawaj ze świeżą natką pietruszki.

DWADZIEŚCIA DWA

BIANCA

Kiedy rozłączyłam się z Jacksonem, zajęło mi dobre piętnaście minut podchodów, zanim opanowałam się na tyle, żeby zadzwonić do matki. Odebrała po pierwszym sygnale.

– Cześć, mamo. Jak się masz?

Delikatny śmiech, który usłyszałam w słuchawce, był pocieszający.

– Mówiłam ci już rano, że dzisiaj czuję się dobrze, *chère*. Za bardzo się o mnie martwisz.

– To dobrze.

Po chwili znaczącej ciszy, włączył się jej instynkt matki kwoki.

– Bianco? Co się dzieje? – zapytała ostro.

Wpatrywałam się w obrazek z kotkiem na ścianie, aż zaczął mi się rozmazywać.

– Yyy… – *Bądź dzielna. Dasz radę.* Przerażona, odchrząknęłam. – Jest ktoś, kogo chciałabym, żebyś poznała.

Nie zawahała się nawet przez sekundę.

– Kto, Jackson Boudreaux?

Moja szczęka uderzyła w biurko. Kiedy już się opanowałam, zapytałam:

– Skąd wiedziałaś?

– Skarbie, znam Eeny od blisko pięćdziesięciu lat. Naprawdę sądzisz, że nie zadzwoniłaby do mnie, kiedy mężczyzna wparował do twojej kuchni i ogłosił, że bierzecie ślub, jakbyś wygrała główną nagrodę na loterii?

Eeny! Powinnam się domyślić, że wypapla! Powietrze uszło z moich płuc jak z przekłutego balona.

– Cóż, ten mężczyzna może i ma reputację zbyt wyniosłego, ale musi mieć nieco oleju w głowie, skoro się w tobie zakochał.

Zakochał? Prawie zapadłam w śpiączkę. Ale co miałam powiedzieć? Nie, w zasadzie my tylko bierzemy ślub, żeby ocalić jego majątek i twoje życie?

To by totalnie nie przeszło.

Przyjęła biznesowy ton.

– Przyprowadź go jutro o dziesiątej. I przygotuj się na to, że zostawisz nas na kilka minut, żebym mogła powiedzieć swoje. Nie wżeni się w tę rodzinę, jeśli nie jest dla ciebie wystarczająco dobry.

Rozłączyła się, pozostawiając mnie wpatrującą się w telefon w oszołomieniu. Uczucie przebywania we śnie jeszcze się wzmogło.

Porywacze ciał, to jedyne racjonalne wyjaśnienie tego nonszalanckiego zachowania. Kosmici porwali moją matkę i zastąpili ją robotem. Właśnie w tej chwili robot siedział w fotelu mamy, patrzył niewidzącym wzrokiem i pobierał instrukcje ze statku-bazy.

A może chemioterapia poprzestawiała coś w jej mózgu.

Albo miałam poważny wypadek samochodowy i teraz leżę w szpitalnym łóżku, podłączona do aparatury, a mój odurzony lekami mózg wszystko to wymyślił.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić – powiedziałam głośno do pustego pokoju i zarechotałam jak wariatka.

Miałam zabrać do domu Bestię, żeby poznał moją matkę. Świat oficjalnie się skończył.

***

Pięć minut przed dziesiątą następnego ranka siedziałam na brzegu kanapy w salonie mamy i udawałam, że nie mam zatoru w mózgu, kiedy czekałam, aż Jackson Boudreaux zapuka do drzwi.

Ubrana w królewską purpurę, mama zasiadła w wielkim, białym fotelu i mi się przyglądała.

– Dzwonili wczoraj od doktora Hallorana, żeby potwierdzić operację – powiedziała nagle.

– W następną środę o dziewiątej – przytaknęłam. – Pamiętam. – Zerknęła na zegar na ścianie. Cztery minuty do dziesiątej. Trzy. Dwie. Moje kolana zaczęły podskakiwać.

– Gdyby coś poszło nie tak…

Gwałtownie odwróciłam głowę.

– Wszystko pójdzie dobrze! – powiedziałam zbyt głośno.

Uśmiechnęła się do mnie z rozbawieniem.

– Jak już mówiłam, gdyby coś poszło nie tak, zebrałam wszystkie ważne dokumenty i włożyłam je do segregatora. Niebieskiego. Zostawię go na kuchennym stole, zanim pojedziemy do szpitala.

Przełknęłam gulę w gardle.

– Dokumenty?

– Mój testament. Akt własności domu. Kopie polisy ubezpieczeniowej i oświadczenia bankowe. No wiesz, dokumenty.

Przycisnęłam zimne palce do powiek i odetchnęłam głęboko.

– Och, *chère* – powiedziała mama łagodnie. – Umieranie to nie najgorsza rzecz, jaka mi się przytrafiła. To po prostu jedyne, czego nie przeżyję.

– Ile razy muszę ci to powtarzać? – zapytałam łamiącym się głosem. – Ty nie umierasz!

Machnęła z niecierpliwością, jakby odganiała muchę.

Pukanie do drzwi, jak uderzenie pioruna, sprawiło, że podskoczyłam z miejsca.

– To on! – krzyknęłam, potem wepchnęłam knykcie do ust i wpatrywałam się w drzwi, jakby zaraz miał przez nie wparować potwór.

– Więc mu otwórz, dziecko – zbeształa mnie mama i pokręciła głową.

Trzęsącymi się dłońmi wygładziłam przód sukienki i wzięłam kilka głębokich, drżących oddechów. Potem poczłapałam do drzwi i niezdarnie je otworzyłam.

Jackson stał na ganku mojej mamy w pięknym, ciemnoniebieskim garniturze, z lodowobłękitnym krawatem, który idealnie pasował do koloru jego oczu. Ciemne włosy miał zaczesane do tyłu. Na jego kwadratowej szczęce nie było nawet cienia zarostu. W dłoni trzymał maleńką, idealną doniczkę fiołków afrykańskich, zapakowaną w celofan i liliowy papier.

– Bianco. Dzień dobry – powiedział uroczyście.

Nie byłam pewna, czy to dom tonie, czy ja dryfuję, ale czułam, że moje stopy odrywają się od podłogi.

– Jax – szepnęłam, kompletnie bez tchu.

Jego oczy zabłyszczały ciepłem, które zaraz zniknęło.

– Mogę wejść?

Zdałam sobie sprawę, że stoję tam i wpatruję się w niego głupio, z otwartymi ustami i w bardzo nieatrakcyjny sposób. Zacisnęłam wargi i przytaknęłam.

– Oczywiście. Proszę, wejdź.

Dobry Boże. Brzmiałam jak sztywny kamerdyner.

I już po chwili Jackson stał w salonie mamy niczym rozbłysk żywych kolorów i elektryczności, który zawładnął całą przestrzenią, jak zwykle to robił.

– Pani Hardwick – powiedział do mojej matki. – Miło panią poznać. Dziękuję, że zaprosiła mnie pani do swojego domu.

Mama rzuciła mi spojrzenie, mówiące *ależ on ma maniery*. Wyciągnęła do niego rękę.

– Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję, panie Boudreaux, ale ostatnio jestem chora i mam nieco wiotkie kolana, jeśli wie pan, co mam na myśli.

Jackson podszedł do mamy i podał jej dłoń. Zamknęła ją w obu swoich, jakby się modliła. Spojrzała w górę na niego – wysoko w górę – i powiedziała:

– Mój Boże! Tam u góry powietrze musi być rzadkie, synu. Proszę, usiądź.

Synu? Opadłam na najbliższe krzesło i skoncentrowałam się na tym, żeby siedzieć prosto.

– To dla pani – powiedział Jackson uprzejmie, zasiadając obok mamy na krześle, które było o wiele za małe na jego ogromną sylwetkę. Wyciągnął roślinkę w jej stronę.

Kwiaty, które przyniósł Trace, zniknęły w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Och. – Mama przyłożyła rękę do gardła. Patrzyła na fiołki z zachwytem. – Fiołki afrykańskie to moje ulubione kwiaty. Nie widziałam ich od lat! – Spojrzała na mnie. Jej oczy błyszczały. – Bianco, ty to wymyśliłaś?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Jackson powiedział gładko:

– Pani córka zawsze o pani myśli. – Kiedy jego spojrzenie napotkało moje, miałam chęć się rozpłakać.

Dlaczego robił to wszystko, dlaczego przyszedł tutaj, żeby poznać moją matkę? Nie musiał. Już zgodziłam się podpisać umowę. To nie było konieczne.

Mama wzięła kwiatek w dłonie i się rozpromieniła.

– Co za cudowna niespodzianka. Poprawił mi pan nastrój na cały dzień. – Ułożyła doniczkę na kolanach jak małego, drogocennego pieska i uśmiechnęła się promiennie do Jacksona. – Co mogę zaproponować panu do picia, panie Boudreaux? Kawę? Wodę? Coś mocniejszego, może szwajcarski absynt?

– Nie trzeba, dziękuję pani. I proszę mówić do mnie Jackson.

Ta dwójka uśmiechała się do siebie szeroko, a ja patrzyłam na nich kompletnie zdezorientowana.

– Rozumiem, że Bianca odziedziczyła talent kulinarny po pani, pani Hardwick – stwierdził Jackson.

Mama zatrzepotała rzęsami, skromna jak grzech.

– Och, nauczyłam ją tego i owego, ale ona ma talent, jakiego ja nigdy nie miałam. Kreatywność to atrybut prawdziwego artysty! Na przykład wiosenne menu, które opracowała do swojej restauracji. – Spojrzała na mnie z dumą. – Chyba przyznasz, że to przebłysk geniuszu, Jacksonie, wszystkie te przepisy, zawierające Burbon Boudreaux?

Jackson odpowiedział bardzo poważnie:

– Menu rzeczywiście jest niesamowite, ale sądzę, że jej prawdziwy geniusz to radzenie sobie z ludźmi. – Jego spojrzenie napotkało moje, a głos się zmienił. – Wie, jak sprawić, że człowiek czuje się ważny.

Przez to intensywne spojrzenie, wwiercające się we mnie, kompletnie straciłam zdolność mówienia. Miałam wrażenie, że język roztopił mi się jak ciepły ser. Będę musiała wziąć lekcje języka migowego, żeby zacząć się jakoś komunikować.

Mama popatrzyła na nas przez chwilę, po czym westchnęła.

Był to dźwięk wyrażający satysfakcję, przepełniony ulgą i przyjemnością, jak kiedy znajdzie się coś cennego, czego człowiek szukał i był przekonany, że już to stracił.

Skołowana, spojrzałam na swoje ręce, które wykręcałam na kolanach.

– Bianco – powiedziała mama. Spojrzałam na nią i zobaczyłam, że patrzy na mnie wzrokiem, mówiącym *ulotnij się*. – Mogłabyś zabrać kwiatek do mojej sypialni i podlać? – Wyciągnęła fiołki w moją stronę. – I zobacz, czy znajdziesz ten stary album z twoimi zdjęciami ze szkoły. Chcę pokazać Jacksonowi zdjęcia z twojego zwycięstwa w konkursie literowania w piątej klasie. – Uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Będziesz musiała trochę poszperać w szafce w gabinecie, bo nie pamiętam, gdzie go włożyłam.

Powstrzymując jęk, który nie przyniósłby mi niczego poza reprymendą, wstałam i posłusznie zabrałam fiołki. Pozostawiłam ich gawędzących, głosy stawały się coraz odleglejsze, kiedy szłam korytarzem do sypialni mamy.

Nalałam roślince odrobinę wody z kranu łazienkowego. Postawiłam na umywalce i osuszyłam papierem, wygładzając wszelkie zmarszczki i zwężając usta w konsternacji. Później wypytam Jacksona, skąd wiedział, że to ulubione kwiaty mamy, ale jak na razie wciąż byłam w stanie lekkiego szoku, że w ogóle tu był.

Obawiałam się tego. Nie chciałam mówić mamie, że naprawdę miałam wziąć ślub i to nie tylko kiepski żart, którego Eeny była świadkiem. Mama miała lepszego nosa niż pies myśliwski. Od razu by zgadła, że coś jest nie tak.

Może mogłabym to odłożyć do czasu po operacji. Tak, dokładnie tak zrobię. Nie ma sensu rzucać się głową w dół w sam środek katastrofy. Mogę dozować jej wrażenia.

A potem przypomniałam sobie, że będę mieszkać z Jacksonem, zanim jeszcze dostanę kolejnego okresu. Na tym etapie nie ma czasu na dozowanie czegokolwiek.

– Chlap, chlap, cmok – powiedziałam do lustra. – I niech to zabrzmi wiarygodnie, Bianco!

Moje odbicie nie wyglądało na zbyt przekonane, że to zadziała.

Zwlekałam tak długo, jak to możliwe, żeby nie wydało się to dziwne, i weszłam do korytarza z ostrzegawczym kaszlnięciem. Mama i Jackson nachylali się do siebie, pogrążeni w rozmowie, ale przerwali, kiedy się pojawiłam.

Jak staroświecki dżentelmen, Jackson wstał, kiedy weszłam do pokoju.

Zarumieniłam się przez to. Delikatne, pełne aprobaty skinienie mamy jeszcze wzmocniło ten rumieniec.

– Nie mogłam znaleźć tego albumu – skłamałam, siadając na kanapie. – Pewnie jest w garażu.

– Hmm – zadumała się mama. – Cóż, może innym razem.

Jej oczy uśmiechnęły się do mnie. Obie dobrze wiedziałyśmy, gdzie były wszystkie albumy. Upchnięte na półkach w mojej dawnej sypialni.

Jackson porzucił swoje krzesło i zajął miejsce na kanapie, obok mnie. Jego waga sprawiła, że poduszki się wgniotły, a ja przesunęłam się delikatnie w jego stronę. Próbowałam zachowywać się normalnie i wyprostowałam się, ale Jackson objął mnie ramieniem i przyciągnął do swojego boku, jakby robił to już milion razy.

Spłonęłam ostrym rumieńcem i spojrzałam z zaskoczeniem.

– Rumienienie się ma po ojcu. To i ośli upór – powiedziała mama do Jacksona.

Zaśmiał się.

– Jest uparta? Jejku, proszę pani. Nie zauważyłem.

Oboje zaczęli się śmiać. Zastanawiałam się, czy można umrzeć z zażenowania.

Rozmawiali przez jakiś czas, zachowując się swobodnie w swoim towarzystwie, a ja siedziałam sztywno, czując się niekomfortowo przy mężczyźnie, który wkrótce miał zostać moim mężem, i patrzyłam, jak kobieta, która mnie wychowała, czarowała go jak szalona.

A on ją. Bez żadnych oporów.

W końcu, po czasie, jaki wydawał się wiecznością, którą spędziłam na przypatrywaniu się pęknięciu na ścianie naprzeciwko mnie, moja matka powiedziała:

– Cóż, cudownie było cię poznać, Jacksonie, ale obawiam się, że jestem już trochę zmęczona.

Odwróciłam się tak szybko jak pies pociągnięty za smycz.

– Wszystko w porządku? Coś ci podać? – Podniosłam się, przepełniona niepokojem, ale mama tylko machnęła ręką.

– Nic takiego, *chère*, nic takiego. Po prostu położę się na chwilę. Pozwolę starym kościom odpocząć. Pomożesz mi?

Pomogłam jej wstać, wzdrygając się na kruchość jej ciała. Ale ona podciągnęła się na nogi i uśmiechnęła, jakby nie miała żadnych trosk, a mi nieco ulżyło.

– Wspaniale było panią poznać – powiedział Jackson, znowu poważny. Podszedł i delikatnie ujął wyciągniętą dłoń mojej matki. – Widzę wyraźnie, po kim Bianca odziedziczyła urodę i inteligencję.

– A ja widzę, dlaczego tak cię lubi – powiedziała mama ciepło. – Bardzo przypominasz mi jej tatę. Crème brûlée, tak go zawsze nazywałam. Twardy z wierzchu, ale w środku miękki i przesłodki.

Prawie padłam trupem.

– Mamo!

– Och, cicho, dziecko, zbyt łatwo się zawstydzasz. – A do Jacksona powiedziała: – Mogę ci zaufać, że zaopiekujesz się moją dziewczynką, prawda, Jacksonie Boudreaux?

Uśmiechała się, jej ton był żartobliwy, ale w spojrzeniu można było dostrzec stal, która nie pozostawiała wątpliwości, że to nie było pytanie. Wydawała polecenie i niech Bóg ma go w swojej opiece, jeśli źle odpowie.

Jednak Jackson sprostał wyzwaniu z cichą gracją, która mnie zaskoczyła.

– Może pani zawierzyć mi jej życie – odparł łagodnie.

To było proste stwierdzenie, zapierające dech swoją szczerością. Nie miałam cienia wątpliwości, że wierzył w to, co powiedział.

Mama poczuła to samo. Przytaknęła, a stal w jej oczach powoli zastąpiła dziwna ulga, której echo słychać było w westchnieniu. Jej dłoń rozluźniła się w mojej.

– Pomożesz mi przejść do sypialni, *chère*? – zapytała.

– Oczywiście.

– Zaczekam na zewnątrz, Bianco. Pani Hardwick. – Jackson delikatnie skłonił głowę, zdołał wyglądać przy tym dostojnie, elegancko, skromnie, wyrafinowanie i szczerze zarazem. – Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy.

Ruszył do drzwi i cicho wyszedł na zewnątrz.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, z mojej piersi uciekło ogromne westchnienie. Czułam się tak, jakbym mogła zaraz upaść, bo moje kości zmieniły się w gumę.

Mama poklepała moją dłoń.

– Jestem ci winna przeprosiny, Bianco.

– O czym ty mówisz? – zapytałam, szczerze zdezorientowana.

Odnalazła moje spojrzenie.

– Podsłuchałam, co Trace powiedział do ciebie tamtego dnia na chodniku, kiedy oboje wyszliście. Myliłam się co do niego.

– Och, mamo – sapnęłam. Było mi przykro, że musiała słuchać, jak ten wstrętny babiarz nazywał mnie tak okropnie.

– Słyszałam też, co mu powiedziałaś – dodała i cała krew odpłynęła mi z twarzy.

Ten dupek to mój narzeczony! Wykrzyknęłam mu to w twarz na tyle głośno, że pewnie usłyszała cała okolica.

– Myślałam, że po prostu chciałaś mu dokuczyć i zasłużył na to, nie zrozum mnie źle. Ale Jackson Boudreaux właśnie poprosił mnie o twoją rękę.

Całe ciało mi zdrętwiało. Więc dlatego chciał spotkać się z moją matką. Żeby uzyskać jej aprobatę.

Nie byłam pewna, co nastąpi najpierw, omdlenie czy wymioty.

Uśmiechnęła się.

– Nie wyglądaj na tak przerażoną, dziecko. Powiedziałam tak. Wydaje się, że wszystko dzieje się okropnie szybko, ale kim jestem, żeby to oceniać? Ze mną i twoim tatą było tak samo. A ty zawsze miałaś głowę na karku. Wiem, że nie chciałabyś wyjść za niego, gdybyś go nie kochała, chociaż trzymałaś buzię na kłódkę w tej kwestii. – Nieznacznie zwęziła oczy, jakby rzucała mi wyzwanie, żebym zaprzeczyła.

Zamarłam jak jeleń schwytany w światło reflektorów.

– Chlap, chlap, cmok – wymamrotałam.

Przez chwilę wydawała się nieco zaskoczona, ale już zaraz jej twarz się rozjaśniła.

– Masz na myśli tę starą, miłosną metaforę, w której dwoje ludzi walczy ze sobą jak pies z kotem, aż nagle zdają sobie sprawę, że szaleją za sobą?

Po chwili szoku tak przemożnego, że czułam, jakby przeszyła mnie kula armatnia, zaczęłam się śmiać. Śmiałam się tak bardzo, że aż się popłakałam.

– Dokładnie! – zawyłam.

Wzruszyła ramionami.

– To zdecydowanie ma sens.

I tak po prostu, stało się.

DWADZIEŚCIA TRZY

JACKSON

Chociaż mieszkała tylko kilka domów od swojej matki, Bianca nie była w formie na spacery. I tak nie pozwoliłbym jej iść, nie, kiedy miałem samochód. Ale wyglądała na nieobecną i zszokowaną, gdy wyszła z domu, więc zacząłem podejrzewać, że włóczyłaby się bez celu po osiedlu przez kilka godzin, aż w końcu zdałaby sobie sprawę, że się zgubiła i leży w jakimś przydrożnym rowie.

Widziałem człowieka uderzonego w głowę łopatą, który wykazywał więcej świadomości niż ona w tej chwili.

Przytrzymałem dla niej otwarte drzwi samochodu. Zajęła miejsce na siedzeniu z gracją zombie, z przykurczonymi nogami i sztywnymi ramionami, zupełne przeciwieństwo tego, jak zwykle się poruszała.

– Nie sądziłem, że moje spotkanie z twoją matką będzie dla ciebie tak traumatyczne – powiedziałem, siadając za kierownicą.

Bianca się zaśmiała. Był to dźwięk przypominający ten, jaki wydawał z siebie pies po nastąpieniu mu na ogon.

– Poprosiłeś moją matkę o pozwolenie na ślub ze mną – stwierdziła.

– Zgadza się.

Popatrzyła na mnie tak szeroko otwartymi oczami, że białka były widoczne wszędzie wokół tęczówek.

– Co byś zrobił, gdyby powiedziała nie?

Odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Zostałbym jednym z tych włóczęgów z bulwaru, których tak ci przypominam.

– Nie wzięlibyśmy ślubu?

Chciałem założyć, że jej przerażony ton jest wynikiem desperackiego zawodu, że nie zostałbym jej mężem, ale wiedziałem,

o czym myślała. I z pewnością nie chodziło jej o mnie.

– Zapłaciłbym za operację twojej matki, a potem znalazłbym sobie jakiś ładny, wygodny most, pod którym mógłbym mieszkać. – Odpaliłem samochód i ruszyłem, czując jej spojrzenie wwiercające się we mnie jak laser.

Po dłuższej chwili zapytała:

– Dlaczego?

Bo zrobiłbym wszystko, żebyś patrzyła na mnie tak, jak po naszym pocałunku, nawet gdyby miało tak być tylko jeden raz.

Jednak na głos odpowiedziałem:

– Nikt nie powinien musieć umrzeć tylko dlatego, że jest spłukany.

Wpatrywała się we mnie w ciszy, kiedy jechaliśmy. Podobało mi się to, jej uwaga skupiona na mnie w ten sposób. Czułem się naturalnie z nią u boku, dzielącą ze mną tę samą przestrzeń. Chciałem chwycić ją za rękę, ale postanowiłem nie przeciągać struny. Zamiast tego włączyłem radio.

Popłynęła z niego piosenka. *Like a Virgin*. Madonna śpiewała przyciszonym głosem.

Wyłączyłem radio.

– Czekaj. – Bianca wyjrzała przez okno zdezorientowana. – Jedziemy w złą stronę.

– Nie. Jedziemy do domu.

– Ale mój dom jest…

– Jedziemy do naszego domu – odpowiedziałem. – Chcę, żebyś wybrała sobie pokój, zanim wyjedziemy na weekend. Musimy cię przeprowadzić. I nie chcę musieć okłamywać rodziców, kiedy zapytają, czy mieszkamy razem.

Z jej gardła wydobył się słaby, zduszony odgłos, potem oparła głowę o siedzenie i zamknęła oczy.

– Okropnie działasz na moje ego – powiedziałem oschle.

– Przepraszam. To wszystko jest po prostu takie… surrealistyczne.

Jej głos był zduszony. Kiedy spojrzałem na nią ukradkiem, zobaczyłem, że jej twarz jest blada, a kolano podskakuje nerwowo. Naprawdę była zestresowana.

Gdybym był mniej samolubnym człowiekiem, zawróciłbym i odwiózł ją do domu, zapłacił za operację jej matki i podarł tę

umowę. Ale teraz – pomijając fakt, że szczerze kochałem swój dom i kolekcję samochodów, a także wszystkie rzeczy, które zyskałem dzięki pieniądzom ojca – musiałem przyznać, że myśl o mieszkaniu z nią pod jednym dachem wprawiała mnie w ekscytację, jakbym był pięciolatkiem w Boże Narodzenie.

Będę mógł oglądać te wielkie, okolone długimi rzęsami oczy *każdego dnia*. Będę mógł słuchać tego głosu, podsyconego miodem jak u piosenkarza jazzowego, z lekko szorstkim tembrem. Zyskam tę nieopisaną przyjemność oglądania, jak porusza się wśród moich rzeczy, ocieplając wszystkie marmurowe powierzchnie ogniem, śmiechem i żywiołowością.

Mówiąc krótko, będę najszczęśliwszym, cholernym człowiekiem na świecie. Nie zamierzałem odebrać sobie tego przez tak prostą rzecz jak przyzwoitość.

– Wiem – powiedziałem. – Przepraszam.

Po chwili usiadła prosto i wypuściła powietrze.

– Nie masz za co przepraszać. To ja zachowuję się niemądrze. Miałeś rację, to umowa biznesowa, z której oboje czerpiemy korzyści. – Posłała mi słaby uśmiech. – Jestem ci wdzięczna.

Teraz naprawdę poczułem się jak gnida.

Resztę drogi pokonaliśmy w ciszy, zagłębieni we własnych myślach. Kiedy zatrzymałem się przed domem, Rayford otworzył drzwi i podszedł, uśmiechając się od ucha do ucha. Zastanawiałem się, jak długo stał w środku i czekał na nasz przyjazd, wyglądając przez okno niczym zaniepokojona matka.

– Panna Bianca! – powiedział, otwierając jej drzwi samochodu. Uśmiechał się do niej całym ciałem. – Jak miło panią znowu widzieć!

Choć raz byłem zadowolony z jego niezachwianej pogody ducha. Widać było, że poprawiła Biance nastrój.

– Rayfordzie. – Ujęła jego wyciągniętą dłoń i pozwoliła, by pomógł jej wysiąść z auta. Potem go przytuliła.

Wyglądał na tak zaskoczonego, jak ja się czułem.

– Panno Bianco – powiedział, śmiejąc się i klepiąc ją po plecach. – Sprawia pani, że starzec się rumieni.

Powiedziała do niego coś, czego nie usłyszałem, i odsunęła się. Wysiadłem z samochodu tak szybko, jak mogłem, przekonany, że

przegapiłem coś ważnego, ale Rayford po prostu chwycił jej rękę i ułożył w zgięciu własnej, by poprowadzić ją do domu.

Spiorunowałem wzrokiem jego plecy. Stary cap zajął moje miejsce!

– Opowiedz mi, jak poszło z twoją mamą i panem Boudreaux – powiedział, zerkając na Biancę czule, kiedy szli korytarzem, a ja podążałem za nimi jak posłuszny piesek, starając się nie deptać jej po piętach.

– Było wspaniale – odparła Bianca, a w jej głosie pobrzmiewało zdumienie. – Naprawdę go polubiła.

Rayford rzucił mi przez ramię spojrzenie, mówiące *może ma nierówno pod sufitem*.

Zrobiłem do niego minę. Odwrócił się z powrotem do Bianki, przyklejając uśmiech na twarz.

– Oczywiście, że tak. Czego tu nie lubić w panu Gburku?

Prawie zakrztusiłem się własnym językiem, ale kiedy Bianca zaczęła śmiać się z całego serca, od razu mu wybaczyłem.

– Skorzystajmy z windy – powiedziałem, kiedy Rayford skierował się do spiralnych schodów na piętro.

Bianca wyglądała na zaskoczoną.

– Winda?

– Pan tego domu lubi instalować niepotrzebne urządzenia – stwierdził Rayford, jakbym wcale nie stał dwa kroki za nim. Poklepał jej dłoń. – Ale teraz, kiedy ty tu będziesz, może uda ci się namówić go do znalezienia sobie bardziej użytecznego hobby.

– Może ukrywanie zwłok – mruknąłem pod nosem.

– No i jesteśmy! – Rayford zatrzymał się przed wypolerowanymi, srebrnymi drzwiami windy, udając, że mnie nie słyszał. Nie mógł jednak przeoczyć spojrzenia, które mu posłałem, ani przekazu *Zostaw nas!*, który miał trafić wprost do jego mózgu.

Po prawie trzydziestu pięciu latach znajomości telepatia jest czymś oczywistym.

To, co powiedział, było jednym z najbardziej nieszczęsnych doborów słów, jakie słyszałem w życiu:

– Teraz was zostawię, króliczki.

Wcisnął przycisk przywoływania windy i odszedł korytarzem, a jego kroki i radosne pogwizdywanie odbijały się echem od

marmuru.

Weszliśmy do windy. Kiedy drzwi się zamknęły, Bianca spytała z powątpiewaniem:

– Króliczki?

Westchnąłem.

– Zwolniłbym go, ale to mój jedyny przyjaciel.

– Ja też jestem twoją przyjaciółką – powiedziała.

Kiedy na nią spojrzałem, odwróciła wzrok i przygryzła wnętrze policzka.

Przyjaciele. Powinno mnie to cieszyć, ale nie cieszyło. Chciałem coś rozwalić. I wtedy zdałem sobie sprawę, że to wygodne kłamstwo było dla mnie czymś więcej niż układem biznesowym. Przeczesałem włosy palcami i wypuściłem powietrze.

– Powiedziałam coś nie tak? – zapytała cicho.

– Nie. Oczywiście, że nie. Dlaczego pytasz?

– Bo kiedy jesteś bardzo poirytowany, zaczynasz przeczesywać włosy palcami.

– Naprawdę?

Przytaknęła.

– I nadymasz się. Czasami dosłownie robisz się większy. To dziwaczne. Wydajesz też z siebie zwierzęce odgłosy i masz wzrok seryjnego mordercy.

– Jakie to urocze – mruknąłem przytłoczony.

– Nie wszystko jest w tym złe – dodała, wpatrując się w sufit.

Nadstawiłem uszu, ale nie chciałem wyglądać zbyt gorliwie, więc udając brak zainteresowania, odpowiedziałem:

– Mów dalej.

– Cóż. Hmm. Cudownie pachniesz. Kiedy przestałeś mordować mnie wzrokiem, kiedy przedarłam się przez wszystkie te włosy i ogólnie niechlujny, menelski wygląd, to była pierwsza rzecz, którą zauważyłam.

Dziwne mrowienie przeszło po mojej skórze. Nie śmiałem się odezwać i modliłem się, żeby winda jechała wolniej.

Moje milczenie popchnęło ją do dodania:

– I masz naprawdę piękny głos. Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się przestać być leniwym bogaczem, mógłbyś zrobić niesamowitą

karierę w sekstelefonie.

Jasna cholera. Uważała, że mój głos jest seksowny.

Na sekundę przestałem oddychać. Kiedy moje płuca przypomniały sobie, jaka jest ich właściwa funkcja, powiedziałem:

– Leniwym?

Drzwi windy się otworzyły. Żadne z nas się nie ruszyło.

– Masz rację – stwierdziła. – To nieuprzejme. Jakim nieuwłaczającym słowem można określić bezczynność?

Nie byłem ani trochę urażony, bo *leniwy* i *bezczynny* to całkiem trafne określenia mojego sposobu spędzania czasu, ale za bardzo podobały mi się komplementy, żeby pozwolić tej rozmowie zmienić tor.

– Może mogłabyś powiedzieć o jeszcze kilku rzeczach, które we mnie lubisz, żeby zadośćuczynić za swoje okropne maniery.

Drzwi windy zaczęły się zasuwać, ale wyciągnąłem rękę i znowu się otworzyły. Z uniesionymi brwiami spojrzałem na Biancę, czekając.

Pod moim spojrzeniem jej policzki zaczęły nabierać delikatnych rumieńców.

Chryste, ależ to lubiłem.

– Zrobisz się zarozumiały – stwierdziła.

Uśmiech pojawił się na mojej twarzy.

– Aż tyle tego?

Pyskata jak zawsze, uniosła brodę i wyminęła mnie.

– W zasadzie już skończyły mi się pomysły. Próbuję tylko kupić sobie trochę czasu, żeby coś wymyślić.

Patrzyłem, jak przechodzi obok mnie, z sukienką falującą przy jej kolanach, i poczułem się jak parskający, ryjący kopytem ziemię byk, kiedy torreador powiewa mu przed oczami czerwoną płachtą.

I wtedy zza rogu wybiegł Cody. Zatrzymał się w miejscu, kiedy zobaczył Biancę, a twarz mu się rozpromieniła.

– Pani! – wykrzyknął i rzucił się prosto na jej nogi.

Zanim zdążył w nią uderzyć, złapałem go i podrzuciłem. Wrzasnął jak zjawa – to jego zwyczajowa odpowiedź na dziką radość. Łatwo było go rozweselić, więc często słyszałem te wrzaski w moim domu.

– Och! Ma go pan, sir, chwała Bogu!

Sapiąc i świszcząc, Charlie wytoczyła się zza rogu, włosy miała rozczochrane, a jedną rękę przyciskała do boku, jakby złapała kolkę. Zastanawiałem się, jak długo go goniła.

– Dzień dobry, Charlie. – Przerzuciłem sobie Cody'ego przez ramię i chwyciłem go za kostki tak, że zwisał z moich pleców. – Już cię wykończył?

Przesunęła dłonią po spoconym czole.

– Nie mam pojęcia, skąd on bierze tyle energii, sir. Przysięgam, że producent soku pomarańczowego chyba dodaje kokainę. Codziennie po śniadaniu zaczyna dosłownie biegać po ścianach i nie przestaje, aż zaśnie wieczorem.

Cody zaczął uderzać małymi piąstkami w mój tyłek, śmiejąc się, jakby to była najlepsza zabawa na świecie. Bianca patrzyła na to z rozbawieniem, potrząsając głową.

Szybkim ruchem podrzuciłem go, przekręciłem i postawiłem na nogach. Potem przyklęknąłem przed nim i przytuliłem, co od razu go uspokoiło. Uwielbia przytulanie bardziej niż cokolwiek na świecie.

– Co byś powiedział, gdyby Charlie przeczytała ci książeczkę, koleżko? – zapytałem, masując jego plecy.

Głowa Cody'ego spoczywała na moim ramieniu, a rączki owijały się ciasno wokół mojej szyi, kiedy zaczął się śmiać.

– Książeczka koleżka, książeczka koleżka!

To znaczyło tak. Charlie westchnęła z wdzięcznością. Pocałowałem Cody'ego w czubek głowy.

– Kocham cię, koleżko – wymamrotałem w jego włosy.

Cody spojrzał na mnie i uśmiechnął się szeroko, jego jasne, delikatne włoski naelektryzowały się i sterczały z jednej strony.

– Cody kocha tatuś też – wymówił.

Cmoknąłem go w pulchny policzek.

– Teraz muszę przez chwilę porozmawiać z Biancą, ale przyjdę poczytać z tobą i Charlie, kiedy skończymy, dobrze?

Cody położył swoje ciepłe, lepkie rączki na moich policzkach i zapiszczał radośnie.

Kiedy spojrzałem w górę, przyłapałem Biancę na wpatrywaniu się w nas z dziwnym, zbolałym wyrazem twarzy, jakby zaraz miała się

rozpłakać. Szybko odwróciła wzrok i przyciszonym głosem przywitała się z Charlie.

– Miło cię znowu widzieć, Bianco – odparła Charlie, uśmiechając się ciepło.

Wstałem, trzymając Cody'ego za rękę.

– Koleżko, czy mógłbyś przywitać się z Biancą, nie nokautując jej?

Wyglądając jak miniaturowy żołnierz, Cody stanął prosto i przyłożył rękę do czoła.

– Pani! – krzyknął i uśmiechnął się szeroko.

Bianca zaśmiała się łagodnie.

– Cześć, Cody.

– Książeczka koleżka, książeczka koleżka.

Bianca uśmiechnęła się do niego.

– Masz swoją ulubioną książeczkę?

Cody zaczął podskakiwać, śmiać się i tupać nóżkami.

– To znaczy, że lubi wszystkie – wyjaśniła Charlie, chwytając drugą rękę Cody'ego. Puścił moją, bo zdecydował, że to czas, żeby przyczepić się do lewej nogi Charlie. Delikatnie zdjęła go z siebie, podniosła i posadziła sobie na biodrze. Czule cmoknęła go w czoło.

– Gotowy iść poczytać, Cody?

Jego potwierdzający pisk był prawie ogłuszający. Wszyscy troje zaczęliśmy się śmiać.

– W porządku. Do zobaczenia później, sir. Bianco. – Charlie skinęła głową Biance, odwróciła się i wyszła za róg, w stronę pokoju dziecięcego, z Codym podskakującym na jej biodrze.

– Świetnie sobie z nim radzisz – powiedziała cicho Bianca, kiedy zniknęli.

Spojrzałem na nią gwałtownie. Dlaczego wyglądała na tak poruszoną?

– Nie będzie ci przeszkadzał, jeśli tym się martwisz. Charlie zapewnia mu zajęcie, a w przyszłym roku pójdzie do przedszkola…

– Jacksonie! Wcale o tym nie myślałam! – Bianca wyglądała na zbulwersowaną. – Chodziło mi tylko o to, że jesteś naprawdę… dobry w radzeniu sobie z nim. Przychodzi ci to naturalnie. Jesteś urodzonym ojcem.

To zbiło mnie z tropu.

Kochałem Cody'ego całym sercem, jakby był krwią z mojej krwi, ale zawsze byłem przekonany, że robię coś źle, albo coś mógłbym robić lepiej. Jako dziecko chodziłem do szkoły z internatem, a kiedy byłem w domu, ojciec zawsze pracował, więc nie miałem wzoru ojca, przebywającego z dzieckiem na co dzień, nadającego się do naśladowania. W zasadzie z Codym działałem po omacku, modląc się, żeby dawanie z siebie wszystkiego wystarczyło.

Kiedy Bianca powiedziała mi, że ojcostwo było moją naturą, poczułem się, jakbym urósł.

– Dziękuję – odparłem szorstko. Wtedy zauważyłem, że jej nozdrza drgają, a twarz zrobiła się czerwona i z zaszczyconego zrobiłem się zdezorientowany. – Jesteś zła?

– Nie jestem taką kobietą, której przeszkadzają dzieci – oznajmiła sztywno.

Moja dezorientacja rosła jak guz w brzuchu.

– Oczywiście, że nie. Nie chodziło mi o to…

– A właśnie, że tak – przerwała mi, a oczy jej błyszczały. – Inaczej byś tego nie powiedział.

Zaczynałem rozumieć, że zrobiłem coś niesłychanie głupiego i powinienem mówić dalej z największą ostrożnością, zakładając, że na każdym kroku może czekać na mnie uzbrojona mina.

– Jeśli uraziłem cię tym, co powiedziałem, przepraszam – oznajmiłem powoli.

Przez chwilę wpatrywała się we mnie błyszczącymi oczami. Potem odwróciła się sztywno i potrząsnęła głową.

– Zapomnij. Po prostu przejdźmy dalej.

Jej gorzki ton wcale mi nie pomagał. W zasadzie doprowadzał mnie do szaleństwa. Zanim zdążyła odejść dwa kroki, chwyciłem ją za ramię i delikatnie odwróciłem do siebie. Nie chciała na mnie spojrzeć, więc chwyciłem jej podbródek i uniosłem głowę.

– O co chodzi? – zapytałem łagodnie.

Przez chwilę wyraz jej twarzy mówił mi, że jako odpowiedź wsadzi mi dwa palce w oczy. Ale po chwili jej spojrzenie złagodniało i westchnęła.

– Zignoruj mnie. Zbliża mi się okres.

Chciała się odsunąć, ale nie zamierzałem na to pozwolić.

– Bianco – powiedziałem, przyciągając ją bliżej. – O. Co. Chodzi?

Kiedy spojrzała mi w oczy, wszystko inne zniknęło.

– Nie jestem dziewczyną, o której powinieneś myśleć wszystko, co najgorsze, Jax – oznajmiła. – Nie jestem dziewczyną, której motywów musisz się obawiać. Powiedziałeś, że mnie nie okłamiesz i uwierzyłam ci, więc wyświadczę ci tę samą grzeczność. – Wzięła głęboki oddech, a jej dolna warga zadrżała. – Kiedy powiesz coś bezmyślnie, zranisz moje uczucia. To dziecko jest najsłodszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Nie będzie przeszkodą. Nie będzie ciężarem. Nie wiem, ile chcesz, żebym miała z nim kontaktu, ale bardzo chciałabym się z nim zaprzyjaźnić, a twoja insynuacja, że jestem tak pozbawiona serca, że przeszkadzałoby mi życie pod jednym dachem z nim, cóż… – Pociągnęła nosem i odwróciła wzrok. Jej głos zrobił się wyższy. – Przez to naprawdę mam ochotę znowu ci przyłożyć.

Z powolnym wydechem, uleciał ze mnie ostatni, mizerny skrawek oporu.

– Jestem idiotą. Proszę, wybacz mi – powiedziały moje usta.

Ale serce mówiło *Jestem twój*.

DWADZIEŚCIA CZTERY

BIANCA

Wybrałam narożną sypialnię, która miała okna na dwóch ścianach, a na trzeciej wbudowaną biblioteczkę, sięgającą aż do sufitu. Pokój był mniej więcej tej samej wielkości, co mój cały dom.

– Jeśli będziesz chciała zmienić temperaturę, zaciągnąć zasłony, włączyć lub wyłączyć światła, wszystko jest sterowane na ekranie. – Jackson zaprezentował mi ekran dotykowy na ścianie przy drzwiach. – A jeśli nie znajdujesz się w pobliżu drzwi, możesz po prostu wypowiedzieć polecenie na głos, a Alexa je wykona.

– Kim jest Alexa? – zapytałam, obawiając się, że ktoś zaraz wyskoczy spod łóżka.

Wskazał na mały, czarny, walcowaty przedmiot na stoliku nocnym.

– Asystentka głosowa. Może też czytać ci audiobooki, sprawdzić pogodę i umożliwić kupowanie online tylko dzięki poleceniom głosowym. Cały dom jest okablowany.

Rayford nie żartował w kwestii obsesji Jacksona na punkcie technologii. Spojrzałam na czarny walec z obawą.

– Będzie patrzeć, jak śpię?

Jackson się zaśmiał.

– Nie. Ale jest opcja wideo na panelu dotykowym, więc możesz rozmawiać przez FaceTime z kimkolwiek w tym domu.

Kiedy spojrzałam na niego wystraszonym wzrokiem, znowu się zaśmiał.

– Musisz zaakceptować przychodzące połączenie, zanim rozpocznie się transmisja wideo. Żadnego szpiegowania.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

– Oczywiście, że nie.

Ale pierwsze, co zamierzałam zrobić, to zarzucić czarny materiał na to ustrojstwo. I Alexa zostanie odłączona od zasilania.

Jackson rozejrzał się po pokoju. Był wielki i pięknie umeblowany, utrzymany w kolorach kremowym i seledynowym, z misternym łóżkiem z czterema kolumnami, które pasowałoby do pałacu Buckingham. Zmarszczył brwi, patrząc na łóżko.

– Możemy zmienić tu wszystko, co ci się nie podoba – zaczął, ale przestał, kiedy zaczęłam się śmiać. – Co?

– Wszystko jest idealne – powiedziałam. – Przy tym sypialnia w moim domu wygląda jak przytułek dla bezdomnych. Bardzo mi się podoba.

Nigdy nie poświęcałam czasu ani pieniędzy na dekorowanie mojego domu, bo zawsze brakowało mi jednego i drugiego. Ciągle pracowałam, siedziałam u mamy albo spałam. W porównaniu z nim, dom Jacksona był jak Taj Mahal.

Może mieszkanie tutaj przez kilka lat jednak nie będzie takie złe.

– Dobrze – powiedział Jackson wyraźnie zadowolony, ale zachowywał się biznesowo i nonszalancko. Starałam się nie zauważać, jak uroczo to wyglądało.

– Ale mam dużo książek – ostrzegłam, wskazując na półki, które były zapełnione tylko w połowie.

– Przywieź je. Chcę, żebyś czuła się tu komfortowo. Weź ze sobą wszystko, co sprawi, że poczujesz się jak w domu.

Uśmiechnął się do mnie. Poczułam trzepotanie w żołądku. Odwróciłam wzrok.

– Więc co teraz?

Przeszedł przez pokój w stronę okna, dłonie miał wciśnięte w przednie kieszenie dżinsów. Wyjrzał na zewnątrz, na jasne, poranne niebo, i odpowiedział:

– Pakowanie. Przeprowadzka. Kentucky. – Odwrócił głowę i spojrzał na mnie z powagą. – Jutro wylatujemy.

Trzepotanie w moim brzuchu zmieniło się w uczucie mdłości, jakby prowadzono mnie na szubienicę.

– Och. Ale jeszcze nie mam biletu…

– Mój ojciec wysyła po nas prywatny odrzutowiec.

Prywatny odrzutowiec. Oczywiście. Wypuściłam krótki, napięty oddech, próbując powstrzymać nerwowy chichot, który narastał tuż za moimi zębami.

– Rozumiem. O której wyruszamy?

– O piątej.

Dokładnie wtedy przygotowywałabym się na przyjęcie pierwszych gości w restauracji. Moje serce podskoczyło jak zdychająca ryba.

– Kiedy wracamy?

– W niedzielę wieczorem.

– W porządku – pisnęłam, modląc się do Boga, żeby Eeny i Pepper poradziły sobie beze mnie przez trzy dni.

– Wynająłem dla twojej matki firmę zajmującą się domową opieką medyczną – oznajmił. – Wyślą do niej kogoś jutro, żeby pomagał, kiedy ciebie nie będzie przez weekend. Jeśli spodoba ci się ta dziewczyna, możesz zatrzymać ją na dłużej, ale możesz też sprawdzić innych kandydatów w przyszłym tygodniu…

Przerwał, kiedy zobaczył mój wyraz twarzy.

– Coś nie tak?

Opadłam na najbliższe krzesło, oszołomiona.

– Nie. To cudownie. Dziękuję. Poprosiłam Eeny, żeby zajrzała do mamy, kiedy mnie nie będzie, ale to jest… lepsze. – Odchrząknęłam zdeterminowana, żeby wziąć się w garść. Dzisiejszy dzień okazał się dla mnie dziwnie emocjonalny.

– Chciałabyś zostać na chwilę sama? – zapytał cicho.

Przeciągnęłam dłonią po twarzy. Potem spojrzałam na niego i zmusiłam się do uśmiechu.

– Nie. Przyniosłam umowę. Przypuszczam, że powinniśmy podpisać ją teraz. I szklaneczka burbona też by nie zaszkodziła.

Jackson wyglądał na skonsternowanego.

– Nie ma jeszcze nawet południa.

– Gdzieś na świecie jest piąta po południu. I wiesz przecież, jak lubię twój rodzinny burbon.

Jackson podszedł do mnie i wyciągnął rękę.

– Skoro masz wżenić się w tę rodzinę – mruknął, spoglądając na mnie płonącym wzrokiem – niech będzie burbon.

***

Podpisaliśmy naszą umowę małżeńską nad szklaneczką Whiskey Black Label przy stole w jadalni. Rayford pełnił rolę świadka, po czym szybko się ulotnił. Potem odłożyliśmy wieczne pióra i wznieśliśmy toast.

– Za pięć lat małżeńskiego szczęścia – powiedział Jackson uroczyście.

– Żebyśmy nie pozabijali się we śnie – dodałam i wychyliłam burbon.

Kiedy skończyłam, Jackson wpatrywał się we mnie z uniesioną brwią i krzywym uśmieszkiem.

– Prawdziwa z ciebie romantyczka, wiesz?

– Do szpiku kości. Jakie ubrania powinnam zabrać na weekend?

Jackson uśmiechnął się pod nosem.

– Takie, które zakryją kobiece części twojego ciała?

– Ha. Muszę wiedzieć, czy spodziewać się przejażdżek konnych, balu, czy co wy bogaci robicie w weekendy.

Jego brew podjechała w górę jeszcze kawałek.

– Rozumiem. A masz w szafie bryczesy i suknie balowe?

– Och tak, całe tony. Chyba jak wszystkie dziewczyny? – rzuciłam beztrosko.

Rozbawiłam go. Zacisnął usta i przełknął swoją whiskey.

– Naturalnie. Ale nie martw się ubraniami. Wszystkim się zajmę. Po prostu spakuj w małą torbę przybory toaletowe i bieliznę.

Wpatrywałam się w niego, a między moimi brwiami formowała się zmarszczka.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale brzmi nieco niepokojąco.

Odchylił się na krześle, skrzyżował nogi, zakręcił burbon w szklance i zmierzył mnie płonącym spojrzeniem, które prawdopodobnie zaprószyło ogień pod kompozycją kwiatową na kredensie za mną.

– Nie ufasz mi, co? – zapytał, przeciągając samogłoski.

To mi wyglądało na niebezpieczne terytorium. Ale umowa już została podpisana, więc oczywiście od razu w to weszłam.

– Cóż, masz swoją reputację. – Dopasowałam swój ton do jego i podobnie odchyliłam się na krześle. Skrzyżowałam nogi tak, że nasze pozycje były jak lustrzane odbicia. Chciałam również zakołysać burbonem, ale wyglądałabym śmiesznie, kręcąc pustą szklanką, więc pozostawiłam ją na stole.

Wpatrywał się we mnie przez dłuższą chwilę, studiując moją twarz, a jego mina z każdą chwilą stawała się mroczniejsza.

– Tak – odpowiedział łagodnie. – Zdecydowanie.

Poczułam się niekomfortowo pod tym mrocznym, intensywnym spojrzeniem.

– Dlaczego mam wrażenie, że właśnie palnęłam gafę?

Wziął głęboki oddech i zaczął stukać palcem w bok swojej szklanki, a potem się uśmiechnął. Wyglądało to bardziej, jakby dzikie zwierzę szczerzyło kły.

– Jeśli sądzisz, że tutaj mam złą reputację, poczekaj tylko, aż znajdziemy się w Kentucky. Może zrozumiesz, dlaczego nie chcę tam nigdy wracać.

Wstał gwałtownie, przeczesał włosy palcami, wyszedł na korytarz i wrzasnął, wołając Rayforda. Kiedy ten się pojawił, Jackson warknął:

– Zawieź Biancę do domu. Muszę zająć się pewnymi sprawami.

Wymaszerował i zniknął bez pożegnania.

Rayford i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Powiedz mi wprost. To schizofrenia, tak? Zgodziłam się poślubić schizofrenika?

– Przynajmniej nie będziesz się nudzić – odparł Rayford, wzruszając ramionami. – Szaleni ludzie są okropnie zabawni.

Okropnie to w tym przypadku „słowo klucz”, pomyślałam, sięgając po karafkę, którą Jackson zostawił na stole.

***

Pojechałam do restauracji i pracowałam tego wieczora, chociaż niewiele pamiętałam z tego, co się działo. Wróciłam do domu i zastałam stos kartonowych pudeł ustawionych na moim ganku, przyczajonych jak włamywacze czekający na swoją szansę. Przy pudłach znalazłam karteczkę.

Zabierz to, czego potrzebujesz, reszta trafi do magazynu. Samochód przeprowadzkowy przyjedzie jutro o czternastej. Bądź gotowa do wyjazdu zaraz potem.

Nie była podpisana, ale nie musiała być. Wszędzie rozpoznałabym ten władczy ton, nawet na papierze.

Czas, którego potrzebowałam na spakowanie tych kilku rzeczy, był wręcz żenujący. Jak dotąd książki zajęły najwięcej miejsca. Tylko je kolekcjonowałam. Żadnych porcelanowych figurek ani poduszeczek na szpilki. Kiedy kończyłam pakowanie, stanęłam na środku salonu i rozejrzałam się.

Rozwalona brązowa kanapa, którą kupiłam sześć lat temu z Goodwill. Lustro pęknięte w prawym górnym rogu, które znalazłam obok pojemnika na śmieci w uliczce za restauracją. Dwa niepasujące do siebie krzesła i stolik do kawy pokryty tajemniczymi plamami, pozostawione przez poprzedniego najemcę. Poza zdjęciami rodziców, ubraniami i książkami, bardzo mało mnie znajdowało się w tym niewielkim domu.

To sprawiło, że moja melancholia stała się jeszcze wyraźniejsza.

Byłam tutaj *szczęśliwa*.

Z tymi prostymi, sfatygowanymi rzeczami i książkami, które dotrzymywały mi towarzystwa, cieszyłam się dobrym życiem. Nie potrzebowałam niczego więcej, może poza kimś do kochania. Ale jutro przeprowadzę się do ogromnej posiadłości, do dziwnego, samotnego mężczyzny, który częściej patrzył srogim wzrokiem niż się uśmiechał, potem polecę poznać jego spektakularnie majętnych rodziców, którzy mają moc zerwania zawartej przez nas umowy jednym skinieniem dłoni.

Jakimś cudem spałam jak zabita. Obudziłam się o świcie z wrażeniem, że nad moją odsłoniętą szyją błyszczy ostrze gilotyny. Wzięłam prysznic i ubrałam się, uczesałam włosy i nałożyłam makijaż, zjadłam lekkie śniadanie, umyłam talerz i sztućce, po czym wszystko odłożyłam na miejsce. Potem ostatni raz powoli obeszłam dom, przeglądając szuflady i szafki, wdzięczna samej sobie, że dawno temu wyrzuciłam wszystkie sekszabawki, które kiedyś przyniósł mi Trace, więc teraz nie musiałam wkładać ich do pojemnika na śmieci.

Przyjechała ekipa od przeprowadzek. Czterem mężczyznom zajęło niecałą godzinę, żeby opróżnić całą przestrzeń.

O trzeciej smukły, czarny sedan z ohydnymi ozdobami podjechał do krawężnika. Rayford wysiadł, uśmiechając się w swój beztroski sposób.

– Panno Bianco – powiedział, wchodząc na schodki werandy. Podniósł moją małą walizkę. – Gotowa na Kentucky?

Uśmiechnęłam się tak szeroko, że zabolały mnie policzki.

– Bardziej nie będę!

Posłał mi współczujące spojrzenie, otworzył dla mnie tylne drzwi i pomógł się usadowić, a potem schował w bagażniku moją walizkę.

Jackson siedział obok mnie, ubrany w dżinsy i swoją starą, podartą, skórzaną kurtkę, tę, którą miał na sobie w noc, gdy się poznaliśmy. Jego powitanie było lakoniczne.

– Po drodze na lotnisko musimy zatrzymać się w biurze mojego prawnika.

– Tobie również dzień dobry.

Wypuścił powietrze przez nos. Cały samochód wibrował od jego napięcia. Nie śmiałam powiedzieć nic więcej.

Po kilku minutach podjechaliśmy pod nieoznakowany biurowiec. Kiedy weszliśmy do środka, czekał na nas wysoki mężczyzna trzymający teczkę z dokumentami.

– Panie Boudreaux – powiedział, entuzjastycznie ściskając rękę Jacksona i ukłonił się tak nisko, że prawie zgiął się w pół.

Mężczyzna – którego Jackson nie przedstawił – zaprowadził nas do wystawnego biura. Wszyscy usiedliśmy przy biurku. Otworzył teczkę, przerzucił kilka kartek pozszywanych dokumentów, odwrócił je w moją stronę i wskazał linię na dole.

– Proszę tutaj podpisać.

Z górnej szuflady biurka wyjął pieczątkę i rejestr.

– Co to jest? – zapytałam Jacksona, skonsternowana.

– Twój dostęp do konta musi być poświadczony notarialnie – odparł, jakby to było oczywiste.

– Och. – Przerzuciłam kartki na przód dokumentu i przeskanowałam treść wzrokiem, aż znalazłam słowa *milion dolarów*. Usatysfakcjonowana, wpisałam swoje nazwisko na linii,

którą wskazał mężczyzna w granatowym garniturze. Potem podsunął mi rejestr, który również musiałam podpisać i przystawić odcisk palca tuszem, który zniknął z niego bez śladu.

Mężczyzna w garniturze przystawił pieczątkę pod moim podpisem, zamknął rejestr, po czym włożył wszystko z powrotem do szuflady. Umieścił dokumenty w teczce.

Potem powiedział coś o numerze identyfikacji podatkowej i poświadczonej kopii dla banku oraz mojego prawnika – i było po wszystkim.

Jackson poprowadził mnie do samochodu, trzymając za łokieć, jakby pomagał inwalidce. Kiedy już zajęliśmy swoje miejsca, wydawał się mniej spięty i nawet obdarzył mnie lekkim uśmiechem.

– Wyglądasz pięknie – powiedział.

– Jestem przerażona – odparłam.

– Czym?

– Co jeśli nie spodobam się twoim rodzicom?

– Nie martw się tym.

– Oczywiście, że się tym martwię!

Zacisnął zęby.

– Niezależnie, co się stanie, nic ci nie będzie – stwierdził złowieszczo, potem zamknął oczy i zasnął.

Spał przez resztę drogi na lotnisko, a ja wpatrywałam się w jego profil i zastanawiałam się, ile jeszcze jego warstw muszę odchylić, zanim odkryję prawdziwe serce tego chodzącego zlepku przeciwieństw, którym był Jackson Walker Boudreaux.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

BIANCA

Na lotnisku podjechaliśmy bezpośrednio do samolotu czekającego na pasie. Kiedy Rayford wyjmował bagaże, my przeszliśmy przez „ochronę", czyli uśmiechniętą kobietę w kamizelce z odznaką. Ledwo zerknęła na nasze dowody. Zostaliśmy posadzeni na naszych miejscach w czasie krótszym, niż zwykle szuka się miejsca parkingowego na lot komercyjny.

To całe bogactwo zdecydowanie bywa wygodne.

Potarłam dłońmi o podłokietniki mojego luksusowego, biszkoptowego fotela i powiedziałam do Jacksona:

– Czy ta skóra jest ze specjalnego gatunku krowy, która była codziennie masowana i nacierana kremami na sierść, w diecie miała tylko makrobiotyczną sałatę, którą jadła, gdy piękne kobiety czytały jej poezję?

Siedząc naprzeciwko mnie w swoim miękkim fotelu, Jackson odparł:

– Nie wiem, ale chciałbym być tą krową.

– Ja też. Nigdy wcześniej nie dotykałam takiej skóry.

– Poczekaj, aż zobaczysz łazienkę.

Skrzywiłam się.

– Deska sedesowa jest ze skóry? To dość niehigieniczne.

– Nie, ale deska jest podgrzewana. Można ją też schładzać, jeśli wolisz, żeby marzł ci tyłek, kiedy załatwiasz swoje sprawy. Potem możesz wybrać drgający lub pulsujący strumień wody i uroczą suszarkę. Jest bardzo cywilizowana.

Miałam inne określenie na to, że zapewniało się swojemu tyłkowi spa, ale zdecydowałam nie mówić tego na głos.

– Wiec jak długo będziemy lecieć?

– Godzinę i czterdzieści pięć minut, mniej więcej.

– I zamierzasz spędzić ten czas udając, że śpisz, czy porozmawiamy?

Jeden kącik ust Jacksona przesunął się w górę. Dzisiaj się nie ogolił, a cień zarostu na jego szczęce wyglądał męsko i pociągająco. Służył również po to, by częściowo zakryć blizny. Ciekawe, czy taki był jego cel.

– Po ślubie też będziesz taka?

– Jaka? – zapytałam, robiąc za wzór niewinności. – Urocza i towarzyska? Nie, masz rację, powinnam być opryskliwa i gburowata, dzięki temu jest o wiele więcej zabawy.

Próbował spojrzeć na mnie groźnie, ale nie bardzo wyszło.

Posłałam mu uroczy uśmiech i zatrzepotałam rzęsami. Wywrócił oczami i wyjrzał przez okno.

Postanowiłam przyjąć inną taktykę.

– Jesteś bardziej najeżony niż jeżozwierz, który nastąpił na drut kolczasty. Chcesz o tym pogadać? Wyrzucić to z siebie, zanim spotkasz mamusię i tatusia?

– Nie – warknął.

To było do przewidzenia.

Sapnęłam i zrzuciłam szpilki. Założyłam sukienkę, jedną z niewielu, jakie posiadałam, z gorsetem ozdobionym złotymi guzikami, w nadziei, że nie wyglądają tanio.

– Już ci mówiłem, że wyglądasz pięknie – powiedział Jackson, nadal patrząc przez okno. – Przestań się zamartwiać.

Lubiłam, kiedy mówił mi, że wyglądam pięknie. Za każdym razem czułam się jak kot pogłaskany po grzbiecie.

– Tak, ale czy wyglądam jak materiał na *żonę*? – Nadal martwiłam się, czy zrobię dobre wrażenie na jego rodzicach. Nie myślałam o sobie. Myślałam o nim i o tym, że umrze od działania żywiołów w ciągu tygodnia od chwili, gdy zostanie bezdomny i zamieszka pod mostem.

Jackson posłał mi palące spojrzenie. Jego głos był szorstki.

– Powiedziałem ci, żebyś się nie martwiła.

Westchnęłam.

– Tak, powiedziałeś. Przy okazji, ależ to pomocne. I pouczające. Naprawdę ukojenie dla moich nerwów. – Posłałam mu wymowne spojrzenie.

– No dobrze, Bianco, skoro już zapytałaś… nie, nie wyglądasz jak materiał na żonę.

Wpatrywałam się w niego dziwnie zraniona.

Łagodniejszym tonem dodał:

– Nigdy nie widziałem niczyjej żony, która wyglądałaby tak dobrze jak ty. Jesteś pieprzonym mokrym snem. A teraz przestań domagać się komplementów i zapnij pasy, zaraz startujemy.

Moje serce też miało zaraz wystartować i wyrwać mi się z piersi jak rakieta. *Jesteś pieprzonym mokrym snem*.

Dobry Boże, chyba będę musiała skorzystać z tego pulsującego strumienia wody w toalecie.

Oddychając płytko, mocowałam się z pasem bezpieczeństwa dużo dłużej, niż powinno mi to zająć, aż moje palce odzyskały umiejętność wykonania tej prostej czynności, a pas znalazł się na swoim miejscu. Potem oparłam się na siedzeniu i zużyłam mnóstwo energii, żeby wyglądać jak normalny człowiek, a nie pacjent szpitala psychiatrycznego skaczący po ścianach, choć właśnie tak się czułam.

Z kabiny na przedzie wyłoniła się stewardessa. Wyglądała jak jedna z tych dziewczyn recytujących poezję krowie, z której zrobiono moje siedzenie. Nigdy nie widziałam kogoś tak ładnego z bliska. Pochyliła się nad fotelem Jacksona, ukazując kilometry kremowej skóry na dekolcie.

– Podać panu coś do jedzenia albo picia, sir?

Jej ochrypły głos zapowiadał, że ona również była w menu.

Jackson odprawił ją lekceważącym skinieniem, nawet nie patrząc w jej kierunku. Miałam ochotę wyrzucić ręce w powietrze i odtańczyć taniec radości. Zamiast tego uśmiechnęłam się uprzejmie, kiedy zwróciła się do mnie, bo niegrzecznie było napawać się triumfem.

– A może coś dla pani?

– Poproszę wodę – odparłam.

Oddaliła się, kołysząc biodrami jak księżniczka Disneya z 1952. Westchnęłam, wpatrując się w nią i jej wąską talię.

– Z jakiego powodu to melancholijne westchnienie? – zapytał Jackson, zerkając na oddalającą się stewardessę.

Machnęłam lekceważąco dłonią, żeby odpuścić temat, ale nie dał za wygraną.

– Niezła próba. A teraz odpowiedz na pytanie.

– Dlaczego ja muszę odpowiadać na pytania, a ty nie?

Po prostu wpatrywał się we mnie, czekając.

– Uch. W porządku. Myślałam sobie, że ta kobieta wygląda dokładnie tak, jak ja zawsze chciałam wyglądać.

Jackson zmarszczył brwi.

– Co?

– No wiesz, amerykańska Barbie z Malibu. Wielkie cycki, blond włosy, lśniące zęby.

Spojrzał na mnie, jakbym była niespełna rozumu.

– Dlaczego, u diabła, chciałabyś tak wyglądać, skoro wyglądasz tak jak teraz? – Machnął nerwowo dłonią w górę i w dół, wskazując na moją figurę.

Po dłuższej chwili zapytałam:

– Celowo próbujesz mi schlebiać, żebym czuła się pewniej podczas spotkania z twoimi rodzicami?

Spojrzał na sufit, szczękę miał zaciśniętą, jakby prosił o boską interwencję w relacji ze mną.

– Nie, Bianco. Nie. Próbuję. Ci. Schlebiać.

Więc ładne, długonogie blondynki nie były w jego typie. Interesujące.

– Cóż – odparłam skołowana. – Dziękuję. Sam nie jesteś wcale taki zły.

Wiedziałam, że to podchwyci, w chwili, gdy wypowiedziałam te słowa. Pochylił się do przodu jak drapieżnik nad świeżą ofiarą.

– Tak?

– Tak – potwierdziłam, starając się wyglądać nonszalancko. Podniosłam dłoń i obejrzałam swoje paznokcie. – Ostatnio nawet myślałam, że wyglądasz zupełnie niczego sobie.

Jackson już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale pojawiła się Barbie z Malibu, niosąc moją wodę.

– Bardzo proszę. – Jej uśmiech prawie mnie oślepił.

– Dziękuję.

Stewardessa odeszła, rzucając tęskne spojrzenie w stronę Jacksona. To najwidoczniej przypomniało mu o czymś, bo nie domagał się więcej szczegółów w związku z naszą przerwaną rozmową, zamiast tego zaczął poklepywać się po kurtce.

Odkręciłam plastikową butelkę i wzięłam duży łyk.

– Zanim zapomnę – powiedział – mam coś dla ciebie. – Wyjął z kieszeni czarne, aksamitne pudełeczko i położył je na moim kolanie.

Wyplułam wodę, którą miałam w ustach z takim impetem, że poleciała przez pół korytarza. Zaczęłam kaszleć, a z oczu pociekły mi łzy.

– Przypomnij mi w przyszłości, że nie reagujesz dobrze na niespodzianki – rzucił oschle.

Powachlowałam dłonią przed twarzą, próbując złapać oddech.

– Co to jest? – zaświszczałam.

Wyraz jego twarzy był skryty, nie wyrażał niczego.

– Myślałaś, że pozwolę mojej narzeczonej chodzić bez pierścionka zaręczynowego?

Wpatrywałam się w pudełko, jakby było wypełnione wąglikiem albo mogłoby stanąć w płomieniach.

– Ale… ty… my…

– Po prostu otwórz to cholerne pudełko, Bianco.

Poruszając się w żółwim tempie, zakręciłam butelkę i odstawiłam ją do uchwytu na ścianie obok mojego siedzenia. Potem podniosłam pudełko – trzymając je w dwóch palcach – i otworzyłam.

I natychmiast dostałam rozległego zawału serca.

Zagłuszając moje sapanie i bezowocne próby mówienia, Jackson oznajmił spokojnie:

– Pozwól, że zacytuję: pięciokaratowy, nieskazitelny brylant od Tiffany'ego jako centralny kamień, otoczony parą nieskazitelnych, jednokaratowych kamieni, osadzonych w platynowej obrączce. Żadna kobieta nie potrafi tak dokładnie określić pierścionka, jaki by chciała, chyba że spędziła sporo czasu na poszukiwaniach.

Wydałam z siebie dźwięk przypominający:

– Grglefarbluhh.

Kiedy stało się dla niego jasne, że nie jestem w stanie zarządzać własnymi funkcjami życiowymi, pochylił się, wyjął pudełko z mojej dłoni, wyciągnął z niego pierścionek i wsunął mi go na serdeczny palec lewej ręki, gdzie zalśnił jak tysiąc słońc.

Uśmiechnął się, zatrzasnął wieczko pudełka i rozsiadł się na siedzeniu.

Usłyszeliśmy przez intercom głos kapitana, który informował nas, że niedługo wystartujemy. Miałam nadzieję, że mają na pokładzie nosze, bo będą im potrzebne, żeby wydostać mnie z tego samolotu, kiedy znajdziemy się na ziemi.

– Jax – sapnęłam. – Jasna cholera.

Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się, głęboko, głośno, aż jego siedzenie zadrżało, a dźwięk poniósł się po całej kabinie.

– Boże, choćby dla tej reakcji było warto. Sprawiłem, że przeklęłaś!

– Proszę, nie mów mi nic o wartości. – Jęknęłam, wciąż wyciągając przed siebie rękę i wpatrując się w ogromny, błyszczący przedmiot. – Słodki Jezusie. Ktoś mnie napadnie, kiedy będę to nosić. Jakiś złodziej odrąbie mi dłoń maczetą. Nie mogę gotować bez lewej ręki, Jax!

– Ha, ha, ha! – zagrzmiał, świetnie bawiąc się moim stresem.

– Och, rozumiem – powiedziałam z kwaśną miną. – Teraz odkryłam sekret. Żeby cię uszczęśliwić, wystarczy panikować i kląć jak szewc.

Przestał rechotać i uśmiechnął się do mnie. Był nieziemsko przystojny, kiedy się uśmiechał. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć?

– Ty mnie ciągle uszczęśliwiasz – rzucił, potem zamarł, a wyraz przerażenia zastąpił uśmiech.

Myślę, że to było za dużo szczerości dla nas obojga, bo ja też zamarłam.

Ja go uszczęśliwiam? Jak to możliwe? Przez większość czasu, jaki spędzaliśmy razem, rzucał mi gniewne spojrzenia i kłapał zębami jak krokodyl. Poza chwilami, kiedy się całowaliśmy. Wtedy zdecydowanie wyglądał na szczęśliwego.

Czy coś.

Żeby rozładować nieco wyraźny dyskomfort między nami, powiedziałam lekko:

– To dlatego, że jestem taka czarująca i towarzyska. – Wykonałam królewski gest, jakbym jechała karocą i pozdrawiała poddanych. – I mam taki świetny gust w kwestii biżuterii.

Rozluźnił się, chociaż jego uśmiech zniknął na dobre. Odchrząknął.

– Jak widać – burknął i wyjrzał przez okno, zakładając ręce na piersi.

Bestia wrócił. Ten mężczyzna kiedyś mnie wykończy.

Samolot zaczął kołować z hangaru i ruszył pasem startowym. Zamilkliśmy i przygotowaliśmy się do startu, unikając swoich spojrzeń. Zanim znaleźliśmy się w powietrzu, zdołałam odzyskać kontrolę nad moim galopującym sercem i skołatanymi nerwami. Wyjęłam z torebki książkę i zagłębiłam się w lekturze, wiedząc, że Jackson na razie nie będzie w nastroju do rozmów.

Pierścionek na moim palcu był ciężki i chłodny, jakby chciał przypomnieć mi, że byłam oszustką.

– Szekspir? – mruknął Jackson.

Podniosłam wzrok. Przypatrywał się mojej książce.

– *Wiele hałasu o nic*. Ktoś mi ostatnio to polecił.

Jego niebieskie oczy pochwyciły moje, więżąc je w uniemożliwiający ucieczkę sposób. W końcu mnie puścił i skierował spojrzenie za okno, obserwując oddalającą się ziemię.

Resztę lotu spędziliśmy w ciszy. Byłam już przyzwyczajona do jego zmian nastrojów, więc wyczuwałam napięcie wzrastające w jego ciele z każdym kilometrem, który przybliżał nas do Kentucky. Kiedy zaczęliśmy lądować, był już tak spięty, jakby mógł w każdej chwili pęknąć.

Na lotnisku czekała na nas limuzyna. Kierowca w garniturze, z twarzą jak wykutą z marmuru, wziął nasze bagaże. Zbliżał się zachód słońca, niebo przybrało niesamowity kolor – pomarańczowy i fioletowo-niebieski. Z lotniska mieliśmy do przejechania niewielką odległość z gwarnego miasta Louisville na wieś, gdzie domy stawały się coraz większe i coraz bardziej od siebie oddalone. W końcu podjechaliśmy pod majestatyczną, kamienną bramę, a kierowca wbił

kod w małą, srebrną skrzyneczkę, zamontowaną na słupie przy podjeździe.

Siedzący obok mnie Jackson powiedział:

– Oddychaj, Bianco.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wstrzymuję oddech. Wypuściłam go ciężko i wygładziłam włosy.

Przejechaliśmy przez kamienną bramę i ruszyliśmy długim, ciągnącym się podjazdem, ocienionym z obu stron przez wielkie dęby. Zza zakrętu dostrzegłam w oddali dom. Był piękny, ale wcale nie tak wielki, jak się spodziewałam – może w połowie wielkości domu Jacksona.

Jackson zapewne obserwował moją twarz.

– To dom gościnny – oznajmił.

– Och. – Dobra, to miało sens. Byli bogaci, oczywiście, że mieli dom gościnny.

– Na posesji jest ich siedemnaście – dodał.

Szczęka mi opadła. Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem.

– Siedemnaście domków gościnnych? Jak ten?

– Nie. Ten jest mały.

Kiedy wydałam z siebie nieartykułowany dźwięk wyrażający szok, Jackson uśmiechnął się, choć tym razem to był mroczny uśmiech, zupełnie pozbawiony humoru.

– Posiadłość liczy dwieście sześćdziesiąt akrów, pięć jezior, siedemnaście domków gościnnych, ogrody botaniczne, park z jeleniami, stajnię, powozownię i własny kościół. Główna rezydencja ma trzydzieści siedem pokoi – niektórzy mówią, że trzydzieści dziewięć, nikt nie ma pewności – trzydzieści dwie łazienki, całe skrzydło przeznaczone na kwatery służby, kręgielnię, boiska do koszykówki i tenisa ziemnego, salę widowiskową na pięćdziesiąt osób, replikę angielskiego pubu, piwnicę z winami na trzydzieści tysięcy butelek oraz salon gier. No i jeszcze cała masa innych bzdetów, o których zapomniałem.

Przejechaliśmy obok jeszcze kilku „domków” gościnnych, ustawionych po obu stronach drogi, w lekkim oddaleniu, częściowo schowanych za rzędami drzew i bujnymi ogrodami. Potem

pokonaliśmy niskie wzniesienie i naszym oczom ukazała się rezydencja.

Sapnęłam.

– Witaj na Ranczo Moonstar – mruknął Jackson.

Potem pochylił się, objął dłońmi głowę i zaklął.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

BIANCA

Wyobraźcie sobie zamek – największy i najbardziej majestatyczny, jaki widzieliście w filmach. Ale nie odpychający, w stylu fortecy z lochami, fosą i dziwnym zapachem. Raczej coś romantycznego i eleganckiego. Coś z wieżami zwieńczonymi blankami, fontannami kaskadowymi i stadami gołębi wzlatującymi nad mglistymi dolinami. Albo jakikolwiek zamek z bajki, w której księżniczka czeka na swojego księcia, by przyjechał po nią na białym rumaku.

A potem potrójcie jego wielkość, dodajcie stado jeleni pędzących przez bujną dzicz aż po horyzont, lśniące jezioro pełne kolorowych fontann i spokojnie dryfujących łabędzi oraz ogromny, pomarańczowy księżyc wiszący nad horyzontem w oddali, opromieniający wszystko bursztynową poświatą, a uzyskacie maleńki wgląd w tę magię, majestat i przeszywające piękno miejsca zwanego Ranczem Moonstar.

Wydobyłam z siebie oddech pełen podziwu, który zawierał sporo samogłosek. Potem, spanikowana, złapałam Jacksona za rękę.

– Dobra – powiedziałam, brzmiąc nieco histerycznie. – Szanowałam twoją prywatność. Nie drążyłam, co się wydarzyło, by skłonić cię do opuszczenia tego miejsca i stwierdzenia, że nie chcesz nigdy wracać, ale teraz musisz mi coś zdradzić. Nie mogę tam wejść w kompletnej niewiedzy. Powiedz mi to wprost. Morderstwo? Porwanie? Molestowanie seksualne? Obiecuję, że nie będę oceniać i nie powtórzę ani słowa żadnej żywej duszy. Po prostu powiedz mi, dlaczego kiedykolwiek chciałeś opuścić coś tak pięknego. I dlaczego nazywacie to ranczem, skoro wygląda jak odrębny, europejski kraj.

Jackson podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Nawet najpiękniejsze rzeczy mogą być toksyczne – odparł tajemniczo.

Zamrugałam.

– Nie pomagasz. Ani trochę.

Wypuścił ciężki oddech i odchylił się na siedzeniu.

– Ucieszysz się, wiedząc, że to nic tak dramatycznego, jak podpowiada ci wyobraźnia. Zastanawiałaś się kiedyś nad porzuceniem restauracji i zajęciem się pisaniem powieści?

To sprawiło, że poczułam się nieco lepiej, choć nadal nie wiedziałam nic konkretnego. Potrzebowałam czegoś więcej.

– Czyli żadnego molestowania seksualnego? Żadnych trupów zakopanych w ogrodzie?

Jęknął.

– Na litość boską, Bianco!

– A co mam sobie myśleć?

– Naprawdę? Nie znając żadnych szczegółów, obstawiasz morderstwo albo obmacywanie przez tatusia?

– Ale to przecież musiało być coś poważnego!

Obrzucił mnie ponurym wzrokiem.

– Było. I nie, nie chodziło tu o morderstwo, porwanie ani żadne nieprzyzwoite zachowania ze strony rodziców.

Kiedy zmrużyłam oczy, zagrzmiał:

– Ani nikogo innego!

Mierzyliśmy się spojrzeniami. W końcu coś przyszło mi do głowy.

– Czy to ma coś wspólnego z rekinem ludojadem?

Kiedy zbladł, pomyślałam: *Bingo*.

Limuzyna minęła murowaną powozownię i zatrzymała się na okrągłym podjeździe.

– Dość pytań – powiedział Jackson przez zaciśnięte zęby. – Po prostu przetrwajmy jakoś ten weekend, dobrze?

Nie czekał, aż kierowca otworzy drzwi. Wyskoczył z samochodu, obszedł go od tyłu i otworzył mi. Wyciągnął rękę i niecierpliwie poruszył palcami.

Czyli czas na rozmowy minął. Teraz nadszedł czas, by stawić temu czoła. Czas, by poznać rodziców. Czas, by udawać słodką i czarującą

tak, by ci przerażająco bogaci ludzie nie znienawidzili mnie i nie poszczuli psami.

Przeklęłam samą siebie za to, że nie wrzuciłam do torebki piersiówki.

Jackson wyciągnął mnie z samochodu jak bagaż. Kiedy stałam już pewnie na nogach, spojrzałam w jego nachmurzoną twarz i dźgnęłam go w pierś, prawie łamiąc sobie przy tym palec. Może założył kamizelkę kuloodporną.

– Hej. Boudreaux. Tu jestem.

Jego usta zwęziły się w cienką, bladą linię. Spojrzał na mnie.

Powiedziałam stanowczo:

– Jestem twoją przyjaciółką. Nie zapominaj o tym. Niezależnie, w co mnie tu wciągasz, jakąś psychotyczną byłą, szalonych krewnych czy gnijące trupy zakopane pod krzakiem róży, do których się nie przyznajesz. Jestem po twojej stronie. Rozumiesz?

Przełknął. Jego spojrzenie stopniało. Próbował ukryć emocje pod gniewnymi spojrzeniami i odwracaniem wzroku, ale było za późno.

Mama miała rację co do niego. Ten mężczyzna to crème brûlée. Twardy z wierzchu, ale wewnątrz delikatny i słodki. Poczułam się dobrze, znając ten sekret, ale także, ku własnemu zaskoczeniu, zapragnęłam go chronić.

Lepiej, żeby te bogate skurczybyki uważały, bo jeśli jedno z nich choćby spojrzy na Jacksona krzywo, wejdę w tryb Rambo i odstrzelę im głowy. Tyle że przy pomocy słów.

– No dobrze – mruknęłam, chwytając go pod rękę. – A teraz udawaj, że jesteś we mnie szaleńczo zakochany i przedstaw mnie swoim rodzicom.

***

Wnętrze domu – i używam tego słowa bardzo luźno – było dokładnie takie, jak można się spodziewać po zamku. Zwisające gobeliny, olejne obrazy przedstawiające ponurych przodków, wiele misternych kamiennych rzeźb i okien z witrażami. Ułożona w jodełkę drewniana podłoga była wypolerowana tak, że można było się w niej przejrzeć jak w lustrze. Bukiety kwiatów ułożono w delikatnych wazonach

z chińskiej porcelany, które prawdopodobnie miały jakieś trzy tysiące lat. Sufity wyglądały jak w katedrze. Ściany w całości pokryto rzeźbionymi, mahoniowymi panelami i nigdy nie widziałam tylu rozgałęzionych kandelabrów poza kościołem. Ogólny efekt wyrażał stateczną, dystyngowaną elegancję.

– Ale nora – mruknęłam.

Stojący obok mnie w holu w kształcie ośmiokąta Jackson parsknął. Uznałam to za swoje małe zwycięstwo.

Kierowca limuzyny wszedł zaraz za nami, niosąc bagaże.

– Do pana pokoi, sir? – zapytał.

Jackson przytaknął i kierowca zniknął na końcu korytarza po prawej.

– Znasz tego gościa? – zapytałam zaskoczona.

– Pracuje tutaj, odkąd miałem… może dziesięć lat. To Charles.

– Myślałam, że to wynajęty kierowca. Zachowywaliście się, jakbyście nie spotkali się nigdy wcześniej!

Jackson rozejrzał się wkoło, zaciskając usta.

– Myślałaś, że rzuci się na mnie i obdarzy niedźwiedzim uściskiem?

– Ale nie było nawet „miło cię widzieć”. Nie dał po sobie poznać, że w ogóle cię rozpoznał.

Jackson przeczesał włosy obiema dłońmi i powiedział szorstko:

– Tylko Rayford kiedykolwiek mnie lubił.

O matko. Pole minowe. Miałam przeczucie, że cały weekend będzie nimi naszpikowany. Szybko zmieniłam temat.

– No to gdzie rząd służących?

Jackson posłał mi dziwne spojrzenie.

– Tylko żartuję. Ale… – Rozejrzałam się po pustym pomieszczeniu. – Yyy. Nie powinno być tu kogoś, kto wyszedłby nam na spotkanie?

W tym momencie po pomieszczeniu odbiło się echem ostre szczeknięcie. Odwróciłam się w lewo i zamarłam z przerażenia. Dwa ogromne, umięśnione, czarne psy stały w przejściu bez ruchu i wpatrywały się w nas.

Moje przerażenie zmieniło się w ulgę, kiedy Jackson przyklęknął na kolano i rozłożył ramiona.

– Zeus! Apollo! Chodźcie tu!

Psy skoczyły do przodu i wpadły w ramiona Jacksona niczym tornada szczeknięć, liźnięć i merdających ogonów.

Cofnęłam się o krok, bo nie byłam całkowicie przekonana, czy nie odwrócą się i nie rozerwą mnie na strzępy. Były większe od wilków i miały równie groźny wygląd.

– Nie bój się, Bianco – powiedział Jackson, bawiąc się z psami – wilczarze zazwyczaj nie są agresywne wobec obcych.

– „Zazwyczaj" nie dodaje mi pewności siebie, Jax.

– Są kochane. – Wstał. Czubek głowy psów znalazł się na wysokości jego talii, a więc prawie moich oczu. Powiedział: – Wyciągnij rękę i pozwól, żeby cię powąchały.

Albo zjadły, pomyślałam, ale stwierdziłam, że to mój pierwszy test w Ranczu Moonstar, i nie zamierzałam go oblać. Ostrożnie wyciągnęłam rękę i stałam zupełnie nieruchomo, a dwie ogromne głowy zawisły nad moją dłonią i zaczęły ją sprawdzać.

– Miłe pieski – szepnęłam przerażona. – Dobre pieski.

Psy trąciły nosami moją rękę, po czym zaczęły radośnie na mnie dyszeć. Najwidoczniej zdałam zapachowy test.

– Jesteście wcześnie – powiedział głęboki, męski głos z drugiego końca pokoju. Jackson zesztywniał.

W zwieńczonym łukiem wejściu do głównego pokoju stał mężczyzna. Nigdy na własne oczy nie widziałam, żeby ktoś nosił fular i marynarkę od smokingu, ale teraz dokładnie to zobaczyłam. Był bliźniakiem Jacksona, tyle że starszym i bardziej siwym, ze zmarszczkami mimicznymi wokół błękitnych oczu.

– Ojcze – powiedział Jackson, potwierdzając moje przypuszczenia.

Wpatrywali się w siebie. Nie były to nieprzyjazne spojrzenia – raczej oceniające – ale gdybym nie widziała się z moją matką od czterech lat, mogę się założyć, że nasze spotkanie nie wyglądałoby w ten sposób.

Starszy pan Boudreaux zwrócił spojrzenie na mnie.

– A ty musisz być Bianca – stwierdził ze znacznie większym entuzjazmem, niż kiedy zwracał się do syna. – Wiele o tobie słyszałem. – Jego wzrok przesunął się na moją lewą dłoń. Słaby uśmiech pojawił się na jego ustach.

O kurczaki. Z tego zrobi się niezły bałagan.

Mentalnie zebrałam się w sobie i posłałam przyszłemu teściowi uśmiech tak słodki, że praktycznie ociekał lukrem.

– Panie Boudreaux, bardzo się cieszę, że mogę pana poznać.

I wtedy, żeby pozbyć się mrocznej atmosfery, podeszłam i uściskałam go.

Wyobraźcie sobie objęcie ramionami marmurowego posągu, a dowiecie się, jak został przyjęty mój przyjazny gest. Cała czerwona na twarzy, cofnęłam się o krok i próbowałam zignorować, że szczęka Jacksona wisiała tuż nad podłogą.

Pan Boudreaux również poczerwieniał.

– Och. Rety. Musisz mi wybaczyć, Bianco, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek mnie przytulał od jakichś pięćdziesięciu lat.

Ale w pewnym sensie podobało mu się, widziałam to. Ośmielona, uśmiechnęłam się do niego ponownie.

– Przepraszam za moją śmiałość, panie Boudreaux, ale w mojej rodzinie bardzo lubimy się przytulać. Moja mama zawsze powtarza, że jest niewiele rzeczy, których nie zdoła naprawić porządny uścisk, a te można załatwić dzięki whiskey.

Pan Boudreaux wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym jego twarz rozświetlił szeroki uśmiech.

– Mów do mnie Brig, Bianco. Jeśli mamy zostać rodziną, powinniśmy przejść na ty, nie sądzisz?

Jackson wydał z siebie lekko krztuszący dźwięk, jakby miał zaraz zemdleć.

No i mamy za sobą ekscytujący start.

– Dziękuję, Brig – odparłam. – To okropnie miłe z twojej strony.

Brig spojrzał znowu na syna i jego uśmiech zbladł.

– Cóż. Z pewnością jesteście zmęczeni po podróży. Pozwolę wam odświeżyć się przed kolacją. Jest o ósmej. – Skinął głową w moją stronę, odwrócił się i wyszedł. Psy podążyły tuż za nim.

Kiedy zniknął, ulga wręcz mnie obezwładniła.

– Fiu! – odetchnęłam. – Chyba poszło całkiem dobrze, jak sądzisz? – Odwróciłam się i zobaczyłam, że Jackson wpatruje się we mnie, jakbym była obcą osobą. – Co? – zapytałam, od razu sądząc, że popełniłam jakąś okropną gafę.

Ale on tylko potrząsnął głową, zaskoczony.

– Przytuliłaś mojego ojca – powiedział łagodnie, a jego oczy lśniły. – Nie mogę zdecydować, czy jesteś genialna, czy kompletnie szalona.

Rozpromieniłam się.

– To proste. Jestem genialna.

– Tak – mruknął. – Zaczynam w to wierzyć.

Potem, nadal kręcąc głową, wziął mnie za rękę i poprowadził w głąb domu.

***

Nie było dość czasu, żeby rozejrzeć się po „domu" przed kolacją, więc pojechaliśmy do pokoju Jacksona jedną z wind, które, jak mi powiedział, rozmieszczone są po całej posiadłości niczym nory świstaków. Kiedy znaleźliśmy się już w środku, zamarłam.

– Widzę, dlaczego tak bardzo nienawidzisz tego miejsca – powiedziałam, rozglądając się dokoła. – To naprawdę poza granicą ludzkiej tolerancji.

Jeszcze więcej obrazów olejnych, strzelistych sufitów i bezcennych antyków. Jednak tym, co sprawiało, że pokój był naprawdę piękny, okazała się ściana okien, które dawały widok na ogrody, jezioro i las za nimi. Ogień trzaskał w wielkim, kamiennym kominku w jednym końcu pokoju. Na drugim końcu zobaczyłam lekko uchylone drzwi, za którymi dostrzegłam wannę rozmiarów olimpijskiego basenu w przylegającej do pokoju łazience.

Jackson podszedł prosto do ogromnego łóżka pod oknami i padł twarzą na jedwabną narzutę, gdzie pozostał bez ruchu.

I właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że nie rozmawialiśmy o tym, gdzie będziemy spać przez weekend.

Tam stoi całkiem duża kanapa, pomyślałam, zerkając na puchaty, błękitny mebel w rogu, naprzeciwko dwóch krzeseł z prostymi oparciami. *Czy co to tam jest*, zamyśliłam się, spoglądając na długi mebel pod ścianą. Nie miał oparcia, tylko walcowate poduszki na każdym końcu, ale najwyraźniej przeznaczony był do siedzenia. Otomana czy coś podobnego, co bogaci ludzie umieszczali w domach dla ozdoby. Poduszki wyglądały na wyjątkowo niewygodne, ale Jackson pewnie pozwoli mi wziąć jedną z łóżka…

– Znowu myślisz. – Głos Jacksona był przytłumiony. Podniósł głowę i obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem. – Przestań.

– Czy to… będziemy…

Spojrzał jeszcze intensywniej.

Westchnęłam i wyrzuciłam to z siebie.

– Gdzie będę spać?

Jackson przekręcił się na plecy i umieścił ręce pod głową. To sprawiło, że koszulka mu się podsunęła, odsłaniając kilka centymetrów brzucha i ukazując fragment złocistej skóry oraz ścieżkę ciemnych włosków, znikających za paskiem spodni.

Miałam nadzieję, że nie przełknęłam zbyt głośno.

– Tutaj – odpowiedział, spoglądając na mnie zza półprzymkniętych powiek.

– To znaczy… na łóżku?

Przytaknął.

Mój puls jeszcze przyspieszył.

– I niby… z tobą?

Kiedy kącik jego ust drgnął ku górze, wypuściłam poirytowany oddech. Pogrywał sobie ze mną.

– Prześpię się na kanapie, możesz wziąć łóżko – powiedział, a w jego głosie pobrzmiewał śmiech.

Rzuciłam torebkę na krzesło przy drzwiach i ruszyłam w głąb pokoju. Ignorując go, rozglądałam się przez jakiś czas, dotykałam różnych rzeczy, zaglądałam w kąty. Wetknęłam głowę do łazienki i zastanawiałam się, ile osób zmieściłoby się do wanny. Zgadywałam, że przynajmniej dziesięć.

Wiedziałam, że mnie obserwował w sposób, w jaki zawsze wiedziałam, że mnie obserwuje, jakby w moje plecy wbijały się dwa gorące pogrzebacze.

W końcu, kiedy już zakończyłam swoją inspekcję, odwróciłam się do niego i zażądałam:

– Opowiedz mi o swojej matce.

Zamknął oczy.

– Chryste, jesteś jak miodożer – mruknął.

Skrzyżowałam ręce na piersi.

– Nie wiem, co to jest, ale brzmi naprawdę uroczo, więc dziękuję.

Jego westchnienie było jak ogromny haust powietrza.

– To taka wielka, wściekła łasica ze skórą twardą jak skała.

To było tak komiczne, że nawet nie poczułam się urażona.

– Daj mi cokolwiek, żebym mogła się przygotować. Spotkam ją na kolacji?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem rzucił:

– Tak. Chyba że postanowi nie schodzić na dół.

To brzmiało źle.

– Rozmawiasz z nią w ogóle?

Poruszył szczęką. Milczał przez dłuższy czas, po czym powiedział:

– Nie rozmawiałem z nią, odkąd wyjechałem.

Niech mnie drzwi ścisną. Kolacja będzie urocza.

Ostrożnie przysiadłam na brzegu łóżka i spojrzałam na niego. Uparcie nie otwierał oczu, więc pozwoliłam, żeby mój wzrok zsunął się na odkryty fragment skóry nad jego paskiem. Palce mnie świerzbiły, żeby wyciągnąć rękę i delikatnie pogłaskać tę ścieżkę włosków. Wyglądały tak miękko i delikatnie. Tak zapraszająco.

Przygryzłam wargę.

– Na co patrzysz, Bianco? – zapytał łagodnie.

Moje spojrzenie natychmiast przeskoczyło na jego oczy. Wpatrywał się we mnie z takim żarem, że momentalnie odebrało mi mowę. Oderwałam od niego wzrok i skupiłam się na pierścionku na moim palcu, pozwalając, żeby mnie oślepił.

– Na nic.

– Więc dlaczego twoja twarz jest koloru krzesła, które stoi w rogu?

Miał na myśli szkarłatne krzesło. Zamknęłam oczy.

– I kto teraz jest miodożerem? – mruknęłam.

Po długiej chwili pełnej napięcia ciszy, Jackson powoli wyciągnął rękę i ujął moją dłoń. Delikatnie położył ją na swoim brzuchu, a potem zakrył ją swoją dłonią tak, że moja dotykała jego ciepłej, nagiej skóry.

Głosem niskim i brzmiącym jak papier ścierny zapytał:

– Patrzyłaś na to?

– Nie bądź niemądry – odparłam, ale oboje wiedzieliśmy, że kłamałam.

Chwycił mój palec wskazujący, dotknął jego opuszkiem włosów tuż pod pępkiem i szepnął:

– Na to?

Używając mojego palca jak pędzelka, wytyczył linię w dół, aż dotarł do górnego guzika dżinsów.

Wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz, ale nie otworzyłam oczu.

Nie zabrałam też ręki.

Jackson leżał bardzo spokojnie obok mnie, tylko jego oddech był urywany. Promieniował gorącem, a jego brzuch unosił się i opadał pod moją dłonią. Serce waliło mi jak dzwon.

Wyszeptał moje imię. Brzmiało tak słodko z jego ust, taki delikatny dźwięk. Z głębi mojego gardła wydobył się jęk, odmowa albo prośba, sama nie wiedziałam, która z nich. Jackson swoją wielką, drżącą dłonią pogładził wnętrze mojego nadgarstka.

Usłyszeliśmy głośne chrząknięcie od drzwi i podskoczyłam, jakbym miała pod tyłkiem sprężyny pneumatyczne.

– Proszę wybaczyć, sir – powiedział służący w uniformie, z nijaką twarzą i workami pod oczami. Ukłonił się. – Proszę pani. Potrzebujecie państwo czegoś przed kolacją?

Jackson usiadł, potarł czoło i warknął:

– Nie. I na przyszłość twoja obecność nie jest pożądana, o ile cię nie wezwę.

Służący ponownie się skłonił.

– Dobrze, sir.

Zniknął tak szybko, jak się pojawił, pozostawiając mnie i Jacksona samych w nieznośnej ciszy.

– Będę się ukrywać w łazience aż do kolacji, jeśli będziesz mnie potrzebował – rzuciłam i wypadłam stamtąd, zatrzaskując za sobą drzwi. Oparłam się o nie, walcząc o oddech i zastanawiając się, jak daleko zaszedłby ten mały flirt, gdyby nam nie przerwano.

I jak daleko *chciałam*, żeby zaszedł.

Możliwe, że zza zamkniętych drzwi dobiegł mnie stłumiony jęk.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

JACKSON

Mój kutas miał własny puls. Cała krew w moim ciele spłynęła do krocza. Jedno powłóczyste spojrzenie Bianki i znowu miałem dwanaście lat i nie potrafiłem kontrolować nagłego wybuchu hormonów, który wzniecił pożar w moich spodniach, pozostawiając mnie oniemiałym, pocącym się i z ogromnym poczuciem winy.

Zważywszy na jej paniczną ucieczkę do łazienki, byłem całkiem pewien, że popełniłem fatalny błąd.

– Ty pieprzony kretynie – powiedziałem, wpatrując się w dywan. Siedziałem na łóżku i opierałem głowę na rękach. – Ty kompletny, kolosalny przygłupie.

Nie mogłem nawet pocieszyć się wspomnieniem, że już wcześniej dwa razy się całowaliśmy, zanim straciłem rozum i prawie wepchnąłem sobie jej rękę w spodnie. Te pocałunki się nie liczyły. Nic nie znaczyły, przynajmniej dla niej. Pierwszy to po prostu trik, żeby wzbudzić zazdrość w jej byłym. Drugi to moje infantylne ego, które musiało coś udowodnić, kiedy usłyszałem, że nazwała mnie aseksualnym.

Chociaż oba pocałunki były piekielnie gorące – przynajmniej ja tak uważałem – to przecież nie tak, że *chciała* mnie pocałować. I teraz znowu znalazłem się w sytuacji, kiedy pomyliłem spojrzenie przepełnione zmartwieniem, konsternacją albo czymkolwiek innym, ze spojrzeniem pełnym pożądania.

Czy mogłem być jeszcze bardziej żałosny? Jeśli kobieta taka jak Cricket nie potrafiła mnie kochać, Bianca Hardwick była ostatnią na świecie, która by mogła.

Mój mózg przypominał jajecznicę. Nie myślałem logicznie. Bianca powiedziała mi ledwo piętnaście minut temu, że była moją

przyjaciółką. *Przyjaciółką*. Nie dziewczyną, która pomyślałaby, że to świetny pomysł, by pobawić się w robótki ręczne z moim obolałym, pulsującym, podrygującym potworem pomiędzy nogami tuż przed tym, jak mieliśmy zejść na kolację z moimi odpychającymi rodzicami.

To katastrofa.

Za drzwiami łazienki usłyszałem płynącą wodę oraz słabe sapnięcia. To pewnie Bianca wymiotująca do zlewu. Musiałem to naprawić. Musiałem przeprosić.

Podniosłem się na nogi i podszedłem do drzwi łazienki. Oparłem o nie czoło i zamknąłem oczy. Kiedy odgłos wody ustał, powiedziałem:

– Jeśli chcesz mnie czymś uderzyć, na kredensie stoi naprawdę duża reprodukcja obelisku z Placu Świętego Piotra, w całości wykonana z brązu. Mogę ci ją przynieść. Ma korzystnie spiczasty koniec.

Jej odpowiedź była przytłumiona przez drzwi.

– Nie chcę cię uderzyć.

Nie śmiałem uważać, że to znaczy cokolwiek innego poza tym, że wolałaby mnie zastrzelić, niż walnąć w łeb. Czekałem z dłońmi płasko przyciśniętymi do drewna, a serce mi galopowało.

Przysunęła się bliżej do drzwi ze swojej strony, bo jej głos stał się wyraźniejszy, kiedy dodała:

– Może moglibyśmy po prostu… zapomnieć, że to się stało.

Ulga mnie obezwładniła. Dopóki nie dodała łagodnie:

– Na razie.

Podniosłem głowę i wpatrzyłem się w drzwi. Na razie? *Na razie?* Co to, u diabła, znaczyło? Czy zamierzała nawrzeszczeć na mnie dopiero po kolacji, czy…

Czy co?

Jasna cholera. Miałem atak serca. Nie, znowu pozwalałem wyobraźni ze mną pogrywać.

Nie. Miałem atak serca.

Gałka w drzwiach się przekręciła. Bianca uchyliła drzwi i zerknęła na mnie przez szparkę. Widziałem tylko lewą stronę jej twarzy i cała była zarumieniona.

– Wspominałeś coś o ubraniach – powiedziała.

Przytaknąłem.

– Czy sukienka, którą mam na sobie, jest odpowiednia do kolacji?

– Tak. Ale w garderobie są rzeczy, które możesz przejrzeć, jeśli chciałabyś założyć coś innego.

Jej lewa brew wygięła się w łuk.

– Kazałem przywieźć tu dla ciebie kilka rzeczy – oznajmiłem.

Otworzyła drzwi szeroko.

– Zrobiłeś dla mnie zakupy?

Z wyrazu jej twarzy nie potrafiłem wywnioskować, czy była zadowolona, czy uznała to za dziwne, więc tylko przytaknąłem.

– Skąd znałeś mój rozmiar?

Wiedziałem, że zabrzmi dziwnie, kiedy powiem *Spędziłem sporo czasu patrząc na twoje ciało*, więc rzuciłem:

– Zgadłem.

Zrobiła kwaśną minę.

– Proszę, powiedz, że nie obstawiałeś, że noszę dwójkę, bo prawdopodobnie będę chodzić w tej sukience przez cały weekend.

Zacisnąłem usta, żeby powstrzymać uśmiech, odwróciłem się i podszedłem do szafy. Otworzyłem drzwi i odsunąłem się.

Bianca wychyliła głowę z łazienki i zerknęła do wnętrza szafy. Była wielka i zrobiona z rzeźbionego dębu, antyk prosto z Włoch, tak sądzę, i miała wystarczająco dużo szuflad i miejsca do wieszania nawet dla najbardziej zagorzałego miłośnika ubrań. Zaintrygowana, Bianca podeszła i stanęła obok mnie. Wpatrywała się przez chwilę we wnętrze szafy, a potem spojrzała na mnie, jej twarz była poważna.

– Tam jest naprawdę dużo ubrań, Jax.

– Nie należą do kogoś innego, jeśli to sobie pomyślałaś. Chciałem tylko, żebyś miała wybór.

Odwróciła wzrok w stronę szafy i utkwiła w niej spojrzenie, nie mówiąc ani słowa. Nie byłem pewien, co oznaczała ta reakcja, ale zaczynałem odczuwać lekką desperację.

– Oczywiście nie musisz zakładać niczego, co ci się nie spodoba. Ale cokolwiek przypadnie ci do gustu, zabierzemy do domu… to znaczy, jeśli chcesz. Albo możemy wszystko zostawić – dokończyłem nieprzekonująco, wpatrując się w swoje buty.

– To wszystko dla mnie? – zapytała.

– Tak – burknąłem, starając się nie wibrować z ekscytacji, bo jeśli nie odczytywałem jej tonu źle, była szczęśliwa.

Potem starałem się nie jęknąć głośno, bo odwróciła się do mnie, stanęła na palcach, zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła mnie.

– Dziękuję – wymamrotała przy mojej skórze.

O Boże. Słodka, święta Matko Boska. Zamierzałem kupować jej ubrania każdego dnia przez resztę jej życia. Objąłem ją w talii, przyciągnąłem bliżej siebie i zamknąłem oczy. Wdychając jej słodki zapach, wyszeptałem:

– Nie ma za co.

Przez jej ciało przebiegł delikatny dreszcz. Powstrzymałem nagłą potrzebę przesunięcia dłońmi po jej ramionach i talii oraz ściśnięcia wspaniałego tyłka. Stałem tam, oddychając chrapliwie, nie wiedząc nic poza tym, że nie zamierzałem puścić jako pierwszy.

Po chwili powiedziała:

– Jesteś bardzo wysoki.

– Kupię ci buty na platformie – rzuciłem bez zastanowienia.

Śmiech Bianki był stłumiony przy mojej szyi. Czułem zapach jej perfum. Miękki kosmyk jej włosów zaplątał się w kącik moich ust i trafiłem do nieba.

Uniosła głowę i spojrzała mi w oczy. Czy mogła dostrzec w nich gwiazdy?

– Widzę, że ktoś w tej rodzinie lubi przytulanie – zadrwiła.

Istniało prawdopodobieństwo, że odnosiła się do stalowej rury w moich spodniach, ale nie chciałem psuć chwili, wspominając o tym. Zamiast tego powiedziałem:

– Szczęściarz ze mnie.

Mój głos był tak chropowaty, jakbym krzyczał przez ostatnie kilka dni.

Przełknęła. Opuściła rzęsy i spojrzała na moje usta. Jej ręce nadal ciasno mnie oplatały. Była tak blisko, że widziałem pulsującą żyłę w zagłębieniu jej szyi, zapraszającą, żebym jej dotknął, pocałował, polizał delikatnie.

– O czym teraz myślisz? – zapytała miękko.

Zamknąłem oczy.

– Nie chcesz wiedzieć.

– To aż tak brudne myśli?

Kurwa. Flirtowała ze mną czy żartowała? Naprawdę musiałem poprawić spodnie, ale nie chciałem ryzykować poruszania ręką.

– Obleśne.

Jej oddech się zmienił. Lekko odwróciłem głowę tak, że czubek jej nosa dotykał mojej szyi. Moje usta znajdowały się tak blisko jej skóry, tak cholernie blisko…

Głosem tak cichym, że prawie niesłyszalnym, powiedziała:

– Dwa lata.

Byłem za bardzo owładnięty jej czarem, żeby cokolwiek powiedzieć, więc tylko delikatnie potrząsnąłem głową, pokazując, że nie wiedziałem, o czym mówiła.

Przysunęła twarz bliżej mojej piersi, jakby znowu się chowała.

– Pytałeś mnie, ile czasu minęło, odkąd ostatni raz… uprawiałam seks. Odpowiedź to dwa lata.

Wypuściłem drżący oddech. Ze wszystkich sił walczyłem o samokontrolę, żeby nie zmiażdżyć jej ust swoimi, żeby stać bez ruchu, kiedy żar i napięcie budowało się między nami, a jej serce biło jak oszalałe przy mojej piersi.

Nie zamierzałem popełnić znowu tego samego błędu. Nie zamierzałem na nią naciskać. Jeśli… *gdyby*… mnie pragnęła, musiałem pozwolić jej samej do tego dojść. Chociaż boleśnie pragnąłem rzucić Biancę na łóżko i zatopić się w niej, musiałem pozwolić jej przejąć kontrolę.

Nie mógłbym żyć sam ze sobą, gdyby kiedykolwiek czuła się zobligowana do bycia ze mną.

– To nic – powiedziałem słabym głosem. – Przebiłem cię o lata świetlne.

Kiedy poluzowała uścisk, prawie się złamałem i pocałowałem ją, ale zmusiłem się, żeby stać spokojnie i pozwolić jej się odsunąć. Spojrzała na mnie pogodnie i splotła ręce za plecami.

– A może wybierzesz, co chciałbyś, żebym ubrała do kolacji. Zobaczymy, jaki masz gust, Boudreaux. Ja w tym czasie poprawię włosy.

Weszła do łazienki i delikatnie zamknęła za sobą drzwi, pozostawiając mnie samego, pragnącego, by istniało cokolwiek, co mógłbym zrobić, żeby uchronić się od zakochania w kolejnej kobiecie, która nigdy nie odwzajemni moich uczuć, ale wiedziałem, że już było za późno.

KREOLSKA POTRAWKA Z OKRĄ

Na 6 porcji

- 4 łyżki masła
- Sól koszerna
- 1 łyżeczka pieprzu cayenne
- 750 g udek z kurczaka, bez kości i skóry, pokrojonych na kawałki
- 120 g szynki wędzonej, pokrojonej w kostkę
- 3 ząbki czosnku, zmielone
- 6 dużych, świeżych pomidorów, bez skóry, rdzenia i nasion
- 2 łyżki przecieru pomidorowego
- 6 szklanek bulionu z kurczaka
- 500 g okry, obranej i pokrojonej na grubość 1 cm
- 6 szklanek ugotowanego, białego ryżu

Przygotowanie

- Rozpuść masło w żeliwnym kociołku.
- Przypraw kurczaka solą i pieprzem cayenne z obu stron, smaż przez 10 minut albo do zbrązowienia.
- Dodaj szynkę i czosnek, smaż przez 5 minut.
- Dodaj tymianek, liść laurowy, cebulę i paprykę. Smaż do zbrązowienia, 5–10 minut.
- Dodaj pietruszkę, pomidory i przecier pomidorowy. Gotuj przez pięć minut albo aż zmięknie.
- Dodaj bulion, doprowadź do wrzenia. Gotuj na wolnym ogniu, aż kurczak się ugotuje, a potrawka zgęstnieje, około 1 godzinę.
- Rozpuść pozostałe masło na patelni nieprzywierającej. Smaż okrę, aż będzie lekko chrupka, 8–10 minut, potem dodaj do potrawki.

Gotuj jeszcze przez 15 minut. Wyjmij liście laurowe.

- Podawaj na gorącym, białym ryżu.

DWADZIEŚCIA OSIEM

BIANCA

Kiedy wyszłam z łazienki, Jacksona nie było. Poczułam ukłucie zawodu, ale ożywiłam się, kiedy zobaczyłam, co zostawił.

Śliczna, czerwona sukienka kusiła mnie z łóżka. Była bez rękawów, za to miała pasek i rozkloszowaną spódnicę, która dobrze zakryje moje ohydne uda jak u ciężarnej, a przy okazji podkreśli talię. Kiedy przesunęłam palcami po tkaninie, zalśniła jak jedwab.

Bo to *był* jedwab. Spojrzałam na metkę i wydałam z siebie głośny, mało kobiecy dźwięk. Ile to kosztowało? Stwierdziłam, że pewnie mniej niż ta bryła lodu na moim palcu. Tak czy inaczej, cały ten ślub okazał się dość kosztownym interesem dla mojego przyszłego męża.

Mąż. Moje nerwy były już w strzępach.

– Weź się w garść, Bianco – mruknęłam i podniosłam sukienkę. Ruszyłam do łazienki, żeby się przebrać i palnąć sobie mowę przed lustrem. Kiedy skończyłam obie czynności, musiałam przyznać, że wyglądałam całkiem dobrze.

Oczy mi błyszczały. Sukienka pasowała jak marzenie, a kolor podkreślał moją karnację. Ucieszyłam się, że założyłam cieliste sandałki na szpilce zamiast płaskich butów, bo były na tyle eleganckie, że tworzyły spójną całość ze strojem.

– Rozpuść włosy.

Podskoczyłam. Jackson stał w drzwiach i pożerał mnie wzrokiem. Wskazał dłonią na moją zwykłą fryzurę, spiętą spinką, tą samą co zawsze.

– Och. Yyy. Dobrze. – Odpięłam spinkę i potrząsnęłam głową. Włosy opadły mi na ramiona gęstymi falami.

Jackson wyglądał jakby ktoś dźgnął go w trzewia.

– Idziesz tak ubrany? – zapytałam, ignorując galopujące serce.

– Tak. – Nawet nie spojrzał na siebie, nadal wpatrywał się we mnie wzrokiem dzikiego jaskiniowca, a to spojrzenie robiło z moim ciałem wiele dziwnych rzeczy.

Zaczęła mnie dręczyć pewna myśl, ale odsunęłam ją na bok, by skupić się na obecnej sytuacji.

– Dobrze, mówię to tylko, żeby pomóc, nie oceniam, ale sądzę, że stara, skórzana kurtka i dżinsy mogą nie być najbardziej odpowiednim strojem do kolacji z twoimi rodzicami, których nie widziałeś od lat. Którzy mieszkają w pałacu. I prawdopodobnie jedzą na szczerozłotych talerzach.

Kiedy nie odpowiedział, dodałam:

– Nie pasujesz też do mojego stroju. Który, tak przy okazji mówiąc, uwielbiam. Jest piękny. Więc…

Jego wzrok przesunął się wolno w dół mojego ciała, potem w górę – jedno długie, przeciągłe spojrzenie, bezwstydnie pożądliwe, aż musiałam oprzeć się o blat, żeby ustać w miejscu.

– Jasne, przebiorę się – odparł.

Nie ruszając się od drzwi, zrzucił kurtkę i ściągnął koszulkę przez głowę. Obie rzeczy wylądowały na podłodze, leżąc jak kupka materiału wysysająca powietrze z pomieszczenia.

Wzięłam wdech tak głośno, że prawie zabrzmiało to jak parsknięcie.

Jeśli sądziłam, że moja jedwabna sukienka była piękna, w porównaniu z ciałem Jacksona przypominała szmatę z rynsztoka. Pasek włosków na dole, którymi byłam tak oczarowana, prowadził w górę od mięśni brzucha do klatki piersiowej, gdzie rozchodził się w stronę sutków. Delikatne, ciemne włoski wyglądały zarówno seksownie, jak i niezwykle męsko. Przywykłam do oglądania modeli w czasopismach, ogolonych gładko i błyszczących aż oczy łzawiły, co wyglądało prawie jak pornografia.

No i były jeszcze mięśnie. Boże, te mięśnie. Miał je w takich miejscach, w jakich nie podejrzewałam, że człowiek może być umięśniony, wszystko wyrzeźbione, napakowane i zaokrąglone, niektóre układały się w kształt litery V od bioder do krocza, jak neonowy znak reklamujący drogę do jego maszynki do robienia dzieci.

Nie wspominając już o skórze. Mężczyźni nie powinni mieć skóry, która *błyszczy*. Skóry tak złocistej i idealnej, że wygląda jak pomalowana sprejem, jak coś, co wyszło spod pędzla artysty.

Był wielki, piękny i patrzył na mnie, jakby zamierzał podciągnąć mi sukienkę i przechylić mnie nad zlewem, a to było o wiele za dużo dla moich biednych, małych jajników, które zrobiły to, co rozsądne – i zemdlały.

– Czyli to właśnie robisz w wolnym czasie – powiedziałam, choć mój głos brzmiał jak pisk myszy. – Ćwiczysz.

Z oczami płonącymi błękitnym ogniem, Jackson powiedział łagodnie:

– Chciałabyś wybrać dla mnie ubrania? Skoro jesteś już w nastroju, by mi pomagać?

Chciałam się zaśmiać, ale skończyło się na tym, że brzmiałam, jakbym próbowała pozbyć się włochatej kulki z gardła. Ależ to atrakcyjne.

– Jestem pewna, że sobie poradzisz.

Odwróciłam się, bo nie ufałam sobie, że zdołam przejść obok niego do pokoju, i zaczęłam zajmować się włosami, jak zwykły tchórz, którym w zasadzie byłam.

Nasze spojrzenia spotkały się w lustrze. Nie uśmiechał się, ale miałam wrażenie, że chciał. Miałam również wrażenie, że był z siebie bardzo zadowolony, więc spiorunowałam go wzrokiem.

Zniknął mi z pola widzenia. Chwilę później wrócił, niosąc jedną z toreb, które kierowca zostawił obok szafy. Położył ją na łóżku, otworzył i zaczął przetrząsać w poszukiwaniu koszuli, podczas gdy ja obserwowałam bezradnie, jak jego mięśnie pracują.

Serio, czy to konieczne, żeby mieć tyle twardych, wypukłych miejsc na ciele?

Tak! – ryknęły moje jajniki. *Zdecydowanie, absolutnie tak!*

– Z jakiego powodu to wielkie westchnienie? – Jackson spojrzał przez ramię, przyłapując mnie na wpatrywaniu w niego, i uśmiechnął się pod nosem.

– Tak po prostu wypuszczałam powietrze – odpowiedziałam i rzuciłam mu podobny uśmieszek.

Cwany skubaniec. Dobrze wiedział, co się działo. Mogę się założyć, że moje jajniki już wisiały na łączach z jego mózgiem.

Jackson się zaśmiał. Wyjął z torby ciemnoniebieską koszulę, zarzucił sobie na ramiona i odwrócił się do mnie, powoli ją zapinając. Cały czas patrzył na mnie tym pościelowym spojrzeniem, jakbym oglądała wsteczny striptiz.

– Lepiej – stwierdziłam, kiedy zapiął ostatni guzik. – A teraz włóż w spodnie.

– Już brzmisz jak żona – zaoponował łagodnie, ale zrobił to, co powiedziałam i włożył dół koszuli w dżinsy. To oczywiście wymagało odpięcia guzików spodni i zdradziło, że nosił białe, bawełniane bokserki, których przód był wypełniony mięśniem innego rodzaju, wyglądającym na wielki i gotowy do działania.

Pisnęłam jak przerażony, mały ptaszek i odwróciłam głowę tak szybko, że prawie sama sobie skręciłam kark. Widząc swoje odbicie w lustrze, wiedziałam już, że nie da się zaprzeczyć oczywistemu: byłam podniecona do granic. Miałam rozszerzone źrenice, intensywne rumieńce, a biust ciążył mi jak u modelek z okładek romansów.

Dobry Boże. Odczuwałam pociąg seksualny do mojego udawanego narzeczonego.

– Wszystko w porządku, Bianco?

Usłyszałam w jego głosie cień śmiechu i zaczęłam się zastanawiać, gdzie dokładnie stał ten posąg z brązu. Utrzymałam spokojny ton głosu tylko dzięki cudowi samokontroli.

– Znakomicie.

Oparł się o framugę. Obejrzałam się i zobaczyłam, że pochyla się, z ramionami założonymi na piersi, zapiętą i włożoną w spodnie koszulą, oraz swobodną pewnością siebie.

– Gotowa? – zapytał chrapliwym głosem.

– Na kolację – uściśliłam.

– Oczywiście. O czym innym mógłbym mówić?

Zamrugał, niewinny jak owieczka, i już wiedziałam, że byłam w poważnych tarapatach.

To tylko układ biznesowy, powiedziałam sobie, kiedy zapraszająco wyciągnął do mnie dłoń. *Tylko układ biznesowy*, powtarzałam, kiedy

wyszliśmy z pokoju, trzymając się za ręce. *Biznes, biznes, biznes*.

Kobiece części mojego ciała wybijały własną melodię, która zdecydowanie nie przypominała niczego biznesowego, ale po dwóch latach praktyki, łatwo było je zignorować.

***

Zanim weszliśmy do jadalni, nastrój Jacksona zmienił się z lekkiego w mroczny jak dno oceanu podczas huraganu.

Pokój był zdominowany przez dwuskrzydłowy kominek i żyrandol tak wielki, że miał swoją własną atmosferę. Stół wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie stół w jadalni hrabiego Drakuli. Długi, czarny kawał drewna, ozdobiony srebrnymi kandelabrami, otoczony czarnymi, misternie rzeźbionymi krzesłami. Kielichy z krwistoczerwonym winem ustawiono przy każdym białym, porcelanowym nakryciu, obramowanym na złoto. Wyglądało to dość przerażająco.

Zegar wiszący na ścianie zabił uroczyście osiem razy i atmosfera nawiedzonego zamku stała się kompletna.

Może jednak dorastanie tutaj nie było usłane różami.

– Proszę pani – powiedział służący z obwisłymi powiekami, materializując się znikąd tak bezgłośnie, że podskoczyłam. Krzyknęłam przerażona, a on się ukłonił. – Aperitif? – zapytał wytwornie.

– Tak! – rzuciłam tak gwałtownie, że zbiłam go z tropu. Zamrugał, patrząc na mnie, po czym strzelił palcami odzianymi w rękawiczki. Kolejny mężczyzna wystąpił do przodu z kieliszkiem szampana i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że wzdłuż ścian stał rząd ubranych w uniformy służących, każdy prosty jak struna, milczący i patrzący w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

To najbardziej dziwacznie straszna rzecz, jaką widziałam w życiu.

– Sir? – Główny lokaj zwrócił się do Jacksona, który w odpowiedzi tylko obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Służący ukłonił się i poszedł przyczaić się w rogu.

– Co to za potworność? – zapytałam Jacksona pod nosem.

– Moi rodzice lubią utrzymywać pełną obsługę – odparł, rozglądając się z niesmakiem.

Przysunęłam się do niego nieco bliżej.

– Założę się, że sami zaniżają poziom bezrobocia w całym stanie.

– Bianco!

Słysząc swoje imię odbijające się echem po całym pomieszczeniu, prawie krzyknęłam. Ale to tylko ojciec Jacksona pojawił się w przyległym korytarzu, z szerokim uśmiechem i rozłożonymi ramionami, jakby był mistrzem ceremonii w nocnym klubie, zapowiadającym kolejny występ.

– Och! Witam, panie Boudreaux. To znaczy Brig.

Stanął naprzeciwko mnie i chwycił za ramiona. Nadal uśmiechając się szeroko, potrząsnął mną przyjacielsko.

– Wyglądasz cudownie. Cudownie!

Dobra. To naprawdę zaczynało robić się dziwne. Pocieszyłam się, że przynajmniej nie napuścił na mnie psów.

Jakbym przywołała Zeusa i Apolla myślami, oba psy pojawiły się w wejściu i położyły w drzwiach jak masa czarnego futra, muskularnych kończyn i wywalonych jęzorów, efektywnie blokując przejście.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się do Briga uroczo. Odwrócił się do Jacksona i uśmiech zniknął z jego twarzy zupełnie jak wtedy, gdy przybyliśmy.

– Jackson.

– Brig.

Powieka Briga zadrgała, kiedy usłyszał, że syn zwraca się do niego po imieniu. Przez chwilę zastanawiał się, jak zacząć rozmowę. Jackson obserwował go, okrutnie wykrzywiając usta.

– Dziękuję, że zmieniłeś tę okropną, skórzaną kurtkę – zdecydował się zacząć.

Jackson zesztywniał.

– To była kurtka Christiana – warknął.

Nadstawiłam uszu. Christian? Jego martwy przyjaciel Christian? Ojciec Cody'ego? Miałam okropne przeczucie, że ta kurtka mogła znaczyć dla Jacksona dużo więcej, niż znaczyłoby zwykłe ubranie, i poczułam wyrzuty sumienia, że chciałam, żeby ją zdjął.

Pomyślałam o wszystkich razach, kiedy go w niej widziałam i myślałam, że to wstrętny staroć, a moje serce się zapadło.

– To ja skłoniłam go, żeby założył koszulę do kolacji – powiedziałam w ciszę, która zapadła. – Ale myślę, że wygląda świetnie w tej kurtce. Nie każdemu pasuje styl vintage.

Brig wpatrywał się we mnie chwilę dłużej, niż było to komfortowe.

– W rzeczy samej. – Odchrząknął.

Emanując furią, Jackson stanął obok mnie niczym twarda kłoda nabita gwoździami. Ścisnęłam jego dłoń. On ścisnął moją tak mocno, że bałam się, czy nie połamie mi kości.

– Zatem, Bianco. Jackson powiedział mi, że jesteś szefem kuchni?

– Zgadza się. Niedawno otworzyłam restaurację w Nowym Orleanie.

– Uroczo. Jak rozumiem twoja matka również prowadziła restaurację?

Zerknęłam na Jacksona, zastanawiając się, ile dokładnie powiedział o mnie ojcu, i przytaknęłam.

– Miała lokal przy Ninth Ward przez prawie dwadzieścia lat, zanim huragan Katrina zmiótł go z powierzchni ziemi. Po tym przeszła na emeryturę.

Brig wyglądał na strapionego.

– Przykro mi to słyszeć. Nie chciała odbudować?

– Nie miałyśmy pieniędzy na odbudowę.

Na wspomnienie o pieniądzach, oczy Briga zalśniły.

– Cóż. To cudowne, że kontynuujesz rodzinną tradycję. Matka musi być z ciebie bardzo dumna.

Jeśli sądziłam, że Jackson wcześniej był sztywny, teraz stał się bryłą lodu. Ale nie powiedział ani słowa. Tak jakby zamknął wszystkie kanały, oprócz tego, którym płynął gniew.

Wiedziałam, że znalazłam się w samym środku prastarego, rodzinnego dramatu i byłam wkurzona na Jacksona, że nie dał mi żadnego kompasu, żebym nie chodziła po omacku. Patrząc na jego niemy występ, to *ja* będę musiała prowadzić rozmowę przez resztę wieczoru.

Ale niezależnie od tego, jak bardzo wkurzona na Jacksona byłam, niech mnie szlag trafi, jeśli pozwolę się go czepiać. Zwłaszcza jego

ojcu. I nie było żadnych wątpliwości, że ten ostatni komentarz to umyślny przytyk.

Spojrzałam Brigowi w oczy z powagą.

– Och tak, jest. Ale byłaby ze mnie dumna, nawet gdybym była bezrobotna i żyła z zasiłku. Nie jest taką osobą, która kocha swoje dziecko, tylko kiedy trzyma się jej definicji sukcesu.

Wiem, że nie wyobraziłam sobie niskiego westchnienia służby ani tego, że w pokoju nagle zaskwierczało od elektryczności. Ale udawałam, że właśnie tak było. Brig również.

– Oczywiście, że nie – odparł cicho. – Rodzice zawsze kochają swoje dzieci, nawet jeśli te sprawiają, że kochanie ich jest trudne.

On i Jackson spojrzeli sobie w oczy.

Witam, gigantyczna puszko wijących się robali, proszę usiądź i rozgość się. Jeśli napięcie jeszcze wzrośnie, obawiałam się, że mogę pęknąć.

Z piskiem kółek, matka Jacksona wtoczyła się na wózku do pokoju.

Była blada, miała blond włosy i wyglądała na kruchą, za wyjątkiem jej błękitnych oczu, od których biła zaciekłość jak u lwicy. Jedna część jej ust wykrzywiła się w grymasie, jedna dłoń zwinęła w szpon. Włosy miała ciasno zaczesane w niski kok. Szyję oplatał potrójny sznur pereł tak ciasny, że prawdopodobnie odcinał jej dopływ krwi. Wózek pchała tęga kobieta w średnim wieku ubrana w sztywny, biały kitel pielęgniarki i buty z gumowymi podeszwami. Miała taki wyraz twarzy, jakby ktoś kiedyś jej zagroził, że jeśli kiedykolwiek się uśmiechnie, wszyscy, których zna, zostaną zamordowani.

Matka Jacksona była jeszcze bardziej przerażająca niż jadalnia Drakuli. Musiałam fizycznie się zmusić, żeby stać w miejscu i nie odwrócić się, by uciec z krzykiem.

– Ach! – wykrzyknął Brig. – Clemmy, chodź i poznaj Biancę. – Zachowywał się tak, jakby Jacksona nie było w pokoju.

Clemmy zwróciła na mnie wzrok. Jej oczy były jak lód w starożytnym, arktycznym jeziorze, które nigdy nie topniało. W moim gardle już budował się koci syk, ale przełknęłam go. Potem zwróciła spojrzenie na Jacksona. Zerknęłam na niego i zauważyłam, że jest blady jak ściana, ma ściśnięte usta i widać, że był głęboko zatrwożony.

Jezu, Maryjo i Józefie, o co chodzi tym ludziom? Stwierdziłam, że mam już dość tych bzdur.

– Pani Boudreaux, cieszę się, że mogę panią poznać. – Puściłam rękę Jacksona i zdecydowanie podeszłam do Clemmy, a uśmiech sprzedawcy zagościł na mojej twarzy. Pielęgniarka spojrzała zaalarmowana, kiedy wyciągnęłam ręce i chwyciłam jej zdrową dłoń w moje. Powiedziałam ciepło: – Pani dom jest taki piękny. Bardzo dziękuję za zaproszenie.

Dałoby się usłyszeć upadającą szpilkę. Przez całą wieczność nikt nie poruszył nawet jednym mięśniem.

Wtedy niewykrzywiona strona ust Clemmy wygięła się ku górze, a jej lodowe spojrzenie stopniało o kilka stopni. Niepewnym, lekko zniekształconym głosem, odpowiedziała:

– Dziękuję za przybycie.

Myślałam, że służący w rogu padnie jak długi.

Zdecydowałam się trochę nagiąć swoje szczęście i powiedziałam:

– Pani syn dał mi nieźle popalić, odkąd go poznałam, ale wiem, że wielkie serce musiał odziedziczyć po pani i mężu. Bardzo się cieszę, że będę mogła poznać was lepiej.

Zaskoczyłam ją. Wpatrywała się we mnie z rozchylonymi ustami, mrugając gwałtownie. Wyglądała, jakby nie była pewna, czy chce się rozpłakać, czy złapać mnie zdrową ręką za gardło i zmiażdżyć mi przełyk. Po chwili odzyskała opanowanie.

– To bardzo miłe.

Dwaj służący stojący przy przeciwległej ścianie teraz otwarcie się na mnie gapili.

To w zasadzie mogłoby być zabawne.

Puściłam jej dłoń i odwróciłam się do Jacksona z uniesionymi brwiami i wzrokiem, którego nie mógł nie zrozumieć. Jego spojrzenie przesunęło się kilka razy tam i z powrotem, między jego matką a mną, po czym Jackson ruszył do przodu. Podszedł do nas, pochylił się sztywno, żeby pocałować jej policzek, a następnie stanął po mojej drugiej stronie, używając mnie jako bufora między sobą a rodzicami. Chwycił moją dłoń, jakby była kamizelką ratunkową.

Brig, stojący po drugiej stronie jadalni, rozpromienił się. Znowu rozłożył ręce szeroko jak mistrz ceremonii i zawołał:

– Jedzmy!

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

BIANCA

Podczas gdy ja i Brig prowadziliśmy przyjazną pogawędkę o niczym, Jackson spędził cały posiłek, wpatrując się ponuro w swój talerz i wychylając jeden kielich wina po drugim. Nigdy nie widziałam go w tak żałosnym stanie, a to już o czymś świadczyło.

Jego rodzice zajęli miejsca na dwóch końcach stołu, a ja i Jackson siedzieliśmy naprzeciwko siebie, oddzieleni półmiskami z jedzeniem, karafkami wina i misami owoców. Świece na kandelabrach mrugały i ociekały woskiem. Służący stali czujnie przy ścianach. Wyglądało to jak żywcem wyjęte z adaptacji *Dumy i uprzedzenia*.

Jackson ani razu na mnie nie spojrzał.

– Czyli poznaliście się w twojej restauracji? – zapytał Brig, kiedy lokaj, czy jak go tam zwą, pochylił się nade mną z półmiskiem ryb. Ociekały kremowym, żółtym sosem, który rażąco przypominał flegmę. Uprzejmie odmówiłam.

– Tak. Jackson przyszedł spróbować mojego wiosennego menu, które było zainspirowane Burbonem Boudreaux. Nie wspominał o tym? – zapytałam, bo Brig wydawał się zaskoczony. – Wszystkie przepisy zawierają wasz rodzinny burbon.

Brig wyglądał na tak zszokowanego jak jego żona, kiedy chwyciłam jej dłoń.

– Nie – powiedział słabo, zerkając na mnie szeroko otwartymi oczami. – Nie wspominał.

Zerknęłam na Jacksona, który ponuro popychał nożem winogrono po pustym talerzu, tam i z powrotem.

– To prawda. W zasadzie groził, że mnie pozwie za naruszenie praw autorskich znaku firmowego.

Clemmy zakaszlała w trakcie przełykania zupy. Opuściła łyżkę, która uderzyła o talerz.

– Och! Wszystko w porządku?

Pielęgniarka obrzuciła mnie oburzonym spojrzeniem i zaczęła ocierać pierś Clemmy serwetką, żeby pozbyć się niewielkich plam po zupie. Clemmy odgoniła ją niecierpliwie.

– Pozwie? – powtórzyła.

Zabrzmiało to dość dziwnie przez jej zniekształconą wargę, ale było doskonale zrozumiałe.

– Och, tak. Jest bardzo troskliwy względem marki Boudreaux.

Brig i Clemmy popatrzyli po sobie w osłupieniu.

Kurczę pieczone, kolejne pole minowe! Od razu chciałam załagodzić sytuację.

– A potem wynajął mnie, żebym przygotowała jedzenie na przyjęcie charytatywne, które zorganizował w swoim domu, bo jego szef kuchni zrezygnował w ostatniej chwili… – Przerwałam w połowie zdania, kiedy zobaczyłam, jak jego rodzice przechylają głowy, zaskoczeni na wspomnienie o przyjęciu charytatywnym, ale powiedziałam już za dużo, żeby przerwać. – Przyjęcie udało się niesamowicie. Może czytaliście o nim w gazetach? – Nikt nic nie powiedział. Napawałam się krótką, przytłaczającą chwilą grozy. – Zebrał kilka milionów dolarów dla potrzebujących żołnierzy?

Na tym etapie mój głos stał się żałosny i piskliwy, a ja byłam gotowa ukryć się pod stołem. Ale potem ojciec Jacksona wypuścił oddech i powiedział:

– Cóż, to… cudownie. Naprawdę wspaniale, synu.

Poczułam się, jakbym właśnie zdobyła zwycięskie przyłożenie. Przerażenie wyparowało i spojrzałam na Jacksona z szerokim uśmiechem.

Wpatrując się w swój talerz, powoli przycisnął ostrze noża do winogrona i przeciął je na pół.

Próbowałam kopnąć go pod stołem, ale miałam za krótkie nogi.

– Tak czy inaczej – ciągnęłam zbyt radośnie, pragnąc, żeby na mnie spojrzał, ale oczywiście tego nie zrobił. – Tak to się właśnie zaczęło. No i jesteśmy tutaj!

Moja próba stworzenia wiarygodnej historii miłosnej zakończyła się katastrofą. Powinnam po prostu powiedzieć *Chlap, chlap, cmok* i tak to zostawić. Zapadła niezręczna cisza.

W domu moich rodziców podczas posiłków nigdy nie zapadała niezręczna cisza. Każdy mówił jeden przez drugiego, śmiał się, dokuczał innym, podawał jedzenie i dzielił się opowieściami, czując się swobodnie w towarzystwie bliskich. Co stało się w tej rodzinie, że sprawy miały się tak źle?

Mogłam zauważyć, że rodzice żywili uczucia do Jacksona, chociaż to w niczym nie przypominało mojej definicji miłości. Ale głównie dominowała tu otchłań ciszy, której nikt nie chciał przekroczyć pierwszy. A Jackson wydawał się usychać z każdą minutą. Nie wiedziałam, jak długo jeszcze wytrzyma siedzenie na krześle, zanim zsunie się na podłogę i wyzionie ducha.

Nagle zatęskniłam za mamą tak mocno, że oczy zakłuły mnie od gorących łez. Otarłam je rogiem serwetki.

Brzmiąc na szczerze zaniepokojonego, Brig zapytał:

– Bianco? Wszystko w porządku?

Jackson w końcu na mnie spojrzał. Kiedy podniósł głowę, jego zmrużone oczy okazały się ponad moje siły, więc przeniosłam wzrok na Briga i zmusiłam się do uśmiechu.

– Nie przejmuj się mną. Chyba po prostu tęsknię za domem. Kilka godzin z dala od Nowego Orleanu i już się rozklejam.

– Pochodzisz z Nowego Orleanu? Twój akcent jest trochę…

Wycofał się, nie chcąc mnie urazić, a ja się zaśmiałam.

– Wiem. Jest okropny. Rodzina ze strony mamy to Kreole, ale mój tato pochodził z Alabamy. Przejęłam bardzo dużo z obu slangów i mój akcent jest ich mieszanką.

Brig odparł ciepło:

– Jak dla mnie brzmi zupełnie w porządku. A co robi twój ojciec?

Zauważyłam, że Brig nawet nie mrugnął, kiedy wypowiedziałam słowo *Kreol*. Jeśli w jego głowie istniały jakieś wątpliwości, co do pochodzenia mojej ciemnej skóry, teraz już nie mogło ich być. Poczułam lekki wstyd z powodu przypuszczenia, że mógłby mnie oceniać, i zbeształam się w myślach.

– Był prawnikiem. Ale zmarł wiele lat temu.

Mina mu zrzedła.

– Bardzo mi przykro, Bianco.

Westchnęłam.

– W porządku. Bardzo za nim tęsknię, ale mam wspaniałe wspomnienia. Był najmilszym, najbardziej honorowym i szczodrym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. – Po chwili ciszy, dodałam szczerze: – Poza Jacksonem.

Wzięłam kęs sałatki ze swojego talerza. Dopiero po minucie przeżuwania zdałam sobie sprawę, że nikt się nie odzywał, ale wszyscy wpatrywali się we mnie. Nawet służba.

Ale to oczy Jacksona błyszczały.

Główny lokaj, Buldog, jak go teraz nazywałam w myślach, wystąpił do przodu, by uratować nas wszystkich od kolejnej katastrofy, w którą najpewniej się wpakowałam.

– Więcej wina? – zakrzyknął, chwytając karafkę ze środka stołu. Pochylił się nade mną, pocąc się i uśmiechając tak szeroko, że wyglądało to prawie boleśnie.

– Tak. Dziękuję. – *Naładowana broń też by się przydała*, pomyślałam, żałośnie zażenowana, nie wiedząc nawet czym.

Nagle zrobiłam się tak wściekła na Jacksona, że mogłabym wybuchnąć. Jak mógł pozwolić mi wejść do nawiedzonego lasu, nie dając żadnych wskazówek, gdzie ukrywają się wszystkie duchy i potwory? Czy ktokolwiek w tym pokoju wiedział o naszym małym, małżeńskim układzie? Czy wszyscy się ze mnie śmiali? Czy siedziałam tutaj, przed tymi obłędnie bogatymi ludźmi i ich gapiącymi się służącymi i robiłam z siebie kompletną wariatkę?

Wychyliłam kieliszek wina, które nalał mi Buldog, i skinęłam po kolejny. Widziałam, że mi współczuje, kiedy go uzupełniał.

Nabiłam na widelec udko z jednego z półmisków i przerzuciłam je na swój talerz z bardzo nieeleganckim plaśnięciem. Potem zaczęłam kroić, wymachując łokciami i sztućcami ze złością, robiąc przy tym bałagan i przedstawienie.

Ale już mnie to nie obchodziło. Właśnie wyczerpał się mój urok osobisty. Jeśli Brig i Clemmy postanowią mnie znienawidzić za zmasakrowanie kawałka drobiu, to mogą iść wprost pod bramę piekieł i nacisnąć dzwonek.

Jestem córką mojej matki, pomyślałam gniewnie, krojąc aż do kości, jak entuzjastyczny student medycyny w świeżych zwłokach. *Byłam dumą i radością mojego ojca. NIE pozwolę, żeby ktokolwiek robił sobie ze mnie żarty.*

Naprzeciwko mnie Jackson zaśmiał się mrocznie.

Wycelowałam nóż prosto w jego twarz.

– Ani słowa od ciebie, Boudreaux! – syknęłam. Potem wpakowałam sobie kawał kurczaka do ust i zaczęłam rzuć jak wiejskie zwierzę.

Służący robili do siebie wielkie oczy, jakby to było najzabawniejsze przedstawienie, jakie widzieli w życiu.

Najwidoczniej Jackson stwierdził, że już za długo pozwalał mi się miotać, bo wstał, robiąc przy tym sporo hałasu, i oznajmił:

– Matko. Ojcze. Proszę, wybaczcie nam. Myślę, że Bianca i ja musimy porozmawiać.

– A bebych jedział! – wymamrotałam z pełnymi ustami, wywołując histeryczny śmiech u służącego na drugim końcu pomieszczenia, ale szybko zamaskował go kaszlem.

Nie chciałam, żeby Jackson nade mną górował, więc moje krzesło poleciało w tył, kiedy skoczyłam na równe nogi, uderzając przy tym Buldoga. Stęknął z bólu.

Przeprosiłam, po czym spojrzałam na Clemmy i Briga.

– Dziękuję za ten wspaniały posiłek i waszą gościnność. Przepraszam, jeśli zachowałam się niegrzecznie, oboje wydajecie się uroczymi ludźmi, ale teraz muszę iść komuś nawtykać – obrzuciłam Jacksona morderczym spojrzeniem – i w zależności od tego, jaki przebieg będzie miała rozmowa, możliwe, że będę potrzebowała obrońcy w sądzie. Życzę cudownego wieczoru.

Wyszłam z wysoko uniesioną brodą, dym leciał mi z uszu, a dźwięk śmiechu Briga odbijał się echem od ścian jadalni.

***

Udało mi się dotrzeć do pokoju i zamknąć drzwi, zanim dobrałam się do Jacksona. Odwróciłam się twarzą do niego i zrobiłam moją najpotworniejszą minę, a on ruszył prosto do stolika kawowego

w rogu pokoju, na którym stało kilka kryształowych butelek alkoholu i zestaw pasujących szklaneczek.

– Masz w ogóle pojęcie, jak niesprawiedliwe jest to, co mi zrobiłeś? – zapytałam. – Pozostawiłeś mnie kompletnie nieświadomą, zachowywałam się jak pierwszorzędna idiotka przed twoimi rodzicami. Ten układ nie dotyczy tylko twojego dziedzictwa, Jacksonie, tu chodzi też o sytuację mojej matki! Powinniśmy być w tym razem! Dlaczego mi w ogóle nie pomagasz?

Jackson napełnił szklankę, wychylił, przeczesał włosy palcami i nalał kolejną. Zapatrzył się w nią i odpowiedział:

– Bo sama dobrze sobie radzisz. – Wychylił kolejną szklankę alkoholu, krzywiąc się przy przełykaniu.

– Ślepy jesteś? Nawet służba się ze mnie śmieje! Co to za wielki sekret? Co ty i wszyscy inni wiecie, a ja nie? Powiedz mi po prostu, co, u diabła, się dzieje…

– Zabiłem mojego brata – powiedział beznamiętnie.

Słowa zamarły na moich ustach. Wpatrywałam się w niego zszokowana. Mój żołądek zrobił powolny przewrót, a serce boleśnie próbowało odzyskać rytm.

Jackson zerknął na mnie. Twarz miał zaciętą, oczy pociemniałe, a knykcie aż mu zbielały od zaciskania na szklance.

– A przynajmniej oni tak uważają. Obwiniają mnie o to.

Cały mój gniew wyparował tak szybko, jak się pojawił.

– O mój Boże. Co się stało? – wyszeptałam.

Jackson wrócił do wpatrywania się w pustą szklankę, jakby szukał w niej odpowiedzi. Po dłuższej chwili zaczął mówić niskim, niepewnym głosem:

– Lincoln i ja byliśmy bliźniakami. On był starszy o dwie minuty. Dwie minuty – powtórzył gorzko. – Nie pomyślałabyś, że sto dwadzieścia sekund może sprawić aż taką różnicę, a jednak.

Zamilkł. Podeszłam do łóżka i usiadłam na brzegu, bo nie sądziłam, że nogi utrzymają mnie dużo dłużej. Jackson opadł na krzesło i nalał sobie kolejną szklankę. Jego energia była mroczna i elektryzująca, jak chmura burzowa tuż przed uwolnieniem ciążących jej piorunów i deszczu.

– Linc od początku był złotym dzieckiem. Dziedzic i dodatek, tak nas żartobliwie nazywali, ale to nie był żart. On nigdy nie robił nic źle. Był ode mnie lepszy we wszystkim. Sport, szkoła, dziewczyny… wszystko przychodziło mu z łatwością. A ja…

Jackson zamknął oczy. Jego głos był niskim pomrukiem.

– Nienawidziłem go za to. Nienawidziłem własnego brata. A to sprawiło, że znienawidziłem samego siebie.

Zakryłam usta dłonią. Jego ból był tak namacalny, poczucie winy tak pierwotne, że chciałam podbiec i objąć go, ale zostałam na miejscu i słuchałam z przerażeniem i fascynacją, jak kontynuował swoją opowieść.

– Wyglądał jak anioł. Dosłownie jak portret anioła spod pędzla Rafaela. Blond włosy, dołeczki w policzkach, uśmiech, na widok którego wszyscy wariowali. Ja byłem tym mrocznym. Tym sprawiającym kłopoty. Tym z problemami w nauce i temperamentem tak nieprzewidywalnym, że musieli podawać mi leki, chociaż byłem tylko nastolatkiem. Po prostu… nigdy… nie pasowałem.

Jabłko Adama poruszyło mu się w górę i w dół, kiedy przełknął. Jego twarz wykrzywiał grymas pełen udręki i złych wspomnień, zarumienił się od alkoholu, a na jego skroni pojawiły się kropelki potu.

– Lincoln był przygotowywany do przejęcia firmy. To logiczny wybór, bo był starszy i taki miły.

Jackson wypowiedział słowo *miły* jakby było oskarżeniem. Jego mroczne spojrzenie napotkało moje.

– Ale on tak naprawdę nie był miły. Był jak to piękne, lśniące, czerwone jabłko, od środka zżerane przez robaki i przegniłe. Tylko nikt tego nie widział. Nikt nie mógł uwierzyć, że coś tak ładnego może być tak zepsute. Poza mną.

Na całych rękach pojawiła mi się gęsia skórka. Jackson ciężko wypuścił powietrze i wychylił swój alkohol. Przy całym tym winie, które wypił do kolacji, i tym, co wlał w siebie, odkąd tu przyszliśmy, nie miałam pojęcia, jakim cudem wciąż utrzymywał się w pionie.

Odstawił szklankę z głośnym trzaskiem i skoczył na równe nogi. Zaczął krążyć tam i z powrotem, oddychał urywanie i wyginał dłonie,

jakby znajdował się na skraju załamania i zaraz mógł coś zniszczyć albo mieć poważny problem z sercem.

Powiedział:

– Linc ciągle mi mówił, że zostałem adoptowany, że jacyś żebracy porzucili mnie przy drodze na śmierć, bo byłem tak brzydki i głupi, że nikt mnie nie chciał, nawet moi prawdziwi rodzice. Powiedział mi, że Brig i Clemmy dostawali pieniądze za to, że przygarnęli bezdomną sierotę. Mówił, że powinienem się zabić i przestać być takim ciężarem. – Głos mu się załamał. – Takim bezużytecznym, głupim ciężarem. Ale zawsze, kiedy skarżyłem się rodzicom, patrzyli po sobie smutnym wzrokiem, wzdychali i rozmawiali o zmianie moich leków.

Chciałam pobiec na dół i uderzyć ich oboje w twarz. Jak mogli tak traktować Jacksona. Przecież to ich *syn*!

– Na piętnaste urodziny rodzice urządzili dla nas imprezę. Oczywiście cała uwaga skupiła się na Lincu, a ja do tego czasu już przywykłem do trzymania się na uboczu, więc poszedłem nad basen i ukryłem się. Linc chyba stwierdził, że zawstydzam rodzinę, chowając się, bo przyszedł mnie szukać. Zaczęliśmy się kłócić. Zagotowałem się. Wyzywał mnie, a ja jego. Zamachnął się na mnie, ale chybił. Za szybko usunąłem się z drogi. Zachwiał się i upadł, uderzył głową w cement i zsunął się do basenu.

Teraz Jackson mówił bardzo szybko, słowa wylewały się z niego lawiną. Poruszał się zrywami, gniewnie i pocił się, włosy przykleiły mu się do czoła i opadały w ciemnych strąkach. Jego oczy były błyszczące i dzikie.

– Nie umiałem pływać. Bałem się wody, bo ten jeden raz, kiedy próbowałem się nauczyć, Linc trzymał mnie pod powierzchnią, gdy nikt nie patrzył, i prawie utopił. Więc nie mogłem mu pomóc, nie mogłem się do niego dostać. Nie mogłem… nie wiedziałem, co robić.

Wyrwał mu się pojedynczy szloch. Wstałam, bezradna i przerażona, wiedząc już, dokąd to zmierza.

– Pobiegłem po rodziców, ale zanim tam dotarli, było już za późno. Znaleźli go na dnie basenu. Potem lekarze stwierdzili, że był nieprzytomny zanim wpadł do środka. Na twarzy miał ślad od upadku i uderzenia, a wszyscy pomyśleli… pomyśleli…

Przycisnęłam dłoń do serca, jakbym próbowała powstrzymać jego gwałtowne bicie.

– Pomyśleli, że go uderzyłeś i wepchnąłeś do basenu – szepnęłam.

Oparł dłonie na biodrach i przełknął konwulsyjnie, wpatrując się w podłogę, jego twarz była czerwona i wynędzniała. Próbował się nie rozpłakać.

– Oczywiście nikt nigdy nie powiedział tego wprost. Ale już nigdy nie patrzeli na mnie tak samo. Ludzie zaczęli mnie unikać. Na imprezie były dziesiątki dzieciaków i ich rodzice, więc od tego momentu stałem się wyrzutkiem. Wieści się rozniosły. Nie można przebywać z Jacksonem sam na sam. Trzymaj się z daleka od Jacksona. Jest zdolny do wszystkiego. Potem rodzice wysłali mnie do szkoły z internatem. Stamtąd poszedłem prosto do college'u. Tam właśnie poznałem Christiana, jedynego prawdziwego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałem. Kiedy wróciłem do domu, po skończeniu college'u, moi rodzice i ja byliśmy praktycznie obcymi dla siebie ludźmi.

– Och, Jacksonie – powiedziałam i głos mi drżał. – Tak mi przykro. To straszne.

Zaśmiał się. To był mroczny, okropny dźwięk, jeden z najbardziej niepokojących, jakie słyszałam w życiu.

– Poczekaj, będzie jeszcze lepiej – powiedział i nalał sobie kolejnego drinka.

TRZYDZIEŚCI

BIANCA

Minęło kilka minut, zanim Jackson znowu się odezwał. Kilka minut, w ciągu których serce mnie bolało i walczyłam ze łzami, myśląc, jak trudne musiało być dla niego dorastanie, a także dorosłe życie. Jaki musiał być samotny. Pomyślałam, że już rozumiem, dlaczego był taki, jaki był, opryskliwy i zdystansowany, ale nie usłyszałam jeszcze reszty historii.

– Miała na imię Cricket.

Tylko tyle z siebie wyrzucił, zanim musiał znowu się napić.

Opadł na kanapę i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w stolik kawowy, twarz miał bladą, dłonie mu się trzęsły jak u człowieka cierpiącego na nerwicę frontową.

– Cricket Montgomery. Najpiękniejsza dziewczyna w Kentucky, według każdych standardów. Chodziliśmy razem do podstawówki, zanim wyjechałem, więc znałem ją od lat. A raczej wiedziałem o niej. Jak wszyscy inni uwielbiała mojego brata, ale na mnie nie zwracała uwagi, jednak kilka tygodni po powrocie, wpadłem na nią w publicznej bibliotece w Louisville. Kiedyś chadzałem tam bez przerwy, żeby poczytać i uciec przed oskarżycielskimi spojrzeniami w domu. Pewnego dnia wybierała książkę w alejce, niedaleko krzesła, na którym zawsze siedziałem, rozpoznała mnie, podeszła i przywitała się, mimo że próbowałem ukryć się za książką. Była dla mnie bardzo miła. – Jego głos nabrał nuty wściekłości. – Tak kurewsko miła.

Dokończył swojego drinka i spojrzał na mnie, a oczy mu lśniły.

– Powinienem wiedzieć już wtedy. Ale byłem tak spragniony uwagi, tego, żeby ktokolwiek mnie dostrzegł albo spojrzał na mnie,

jakbym nie był wariatem i mordercą, że okazałem się kompletnie ślepy.

Nie wiedziałam, co zrobić z rękami. Biegały po moich kolanach jak przerażone ptaki, więc na nich usiadłam i słuchałam dalej.

– Zaczęliśmy się spotykać. Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Oto ta piękna, popularna dziewczyna wybrała mnie. Byłem tak szczęśliwy, że ledwo mogłem się opamiętać. Rodzice wręcz promienieli radością. Ojciec zaczął przebąkiwać o tym, żebym przejął interes. To było jak sen, wszystko, czego kiedykolwiek chciałem, zaczynało się układać. Po roku oświadczyłem się. A ona się zgodziła.

Jego nozdrza zadrgały i powoli wciągnął powietrze. Jego głos drżał od furii.

– Ta podła, knująca, zakłamana, bezduszna suka powiedziała tak.

Teraz to ja potrzebowałam drinka. Wstałam z łóżka, usiadłam naprzeciwko Jacksona i nalałam sobie solidną porcję.

Odstawił szklankę na stół i przeczesał włosy palcami. Wpatrywał się w podłogę, łokcie oparł na kolanach i mówił dalej.

– Kolejny rok zajęło planowanie wesela. Zaproszono sześćset osób, w tym gubernatora. Istne zoo. Wszyscy przyjaciele rodziców i partnerzy biznesowi, wszyscy jej przyjaciele i rodzina, politycy, liderzy w branży alkoholowej i cała gromada ludzi, których nawet nie znałem. Oczywiście miało się odbyć tutaj, na Moonstar. Wspaniałe miejsce na wesele. Kościół był za mały na tylu gości, więc koordynatorka ślubna wymyśliła cały ten motyw fantazyjnej baśni, który ostatecznie kosztował ponad milion dolarów. – Westchnął. – Później dowiedziałem się, że koordynatorka była przyjaciółką Cricket. Miała dostać swoją dolę z jej honorarium. – Zerknął na mnie. Wyglądał na załamanego. Powiedział cicho: – Bo oczywiście o to w tym wszystkim chodziło. O pieniądze.

Zrobiło mi się niedobrze. Dokończenie burbona jednym haustem nie pomogło.

Jackson wstał i znowu zaczął krążyć, jakby siedzenie w miejscu go bolało. Jednak teraz jego krok był mniej stabilny, lekko chwiejny. Wszystko, co wypił, zaczynało go dopadać.

– Ceremonia zaraz miała się rozpocząć. Goście siedzieli na miejscach. Kwartet smyczkowy zaczął grać. Ale panny młodej nigdzie

nie było. Koordynatorka przeżywała załamanie nerwowe. Więc poszedłem szukać Cricket. Pomyślałem, że po prostu potrzebowała chwili dla siebie, nerwy i tak dalej. Miałem przeczucie, że znajdę ją w stajni, bo uwielbiała jeździć konno, więc to było pierwsze miejsce, do którego poszedłem. I miałem rację… była tam. I rzeczywiście urządziła sobie przejażdżkę.

Zmiana w jego głosie nie pozostawiła żadnych wątpliwości.

Sapnęłam.

– Och, nie!

Odwrócił się i spojrzał na mnie dzikim, mrocznym wzrokiem.

– O tak. Dokładniej mówiąc: w siodlarni, przewieszona przez siodło, suknię ślubną za trzydzieści tysięcy dolarów, za którą zapłaciłem, miała podciągniętą do pasa, majtki wokół kostek. Nie widzieli, że przyszedłem. Po prostu pieprzyli się dalej, on mruczał „Zawsze będziesz moja", a ona krzyczała, że będzie, że to wszystko dla niego, robiła to dla niego, dla ich przyszłości, że będą musieli udawać jeszcze tylko odrobinę dłużej. Wszystko stało się dla mnie bardzo jasne. Bardzo jasne.

Jego głos zabrzmiał martwo.

– A potem postradałem rozum.

Zakryłam usta dłonią, przerażona tym, co zaraz powie. Doczłapał do łóżka i opadł na nie, a jego twarz zdradzała, jak był zdruzgotany. Wziął głęboki oddech. Kiedy znowu mógł mówić, jego głos był szorstkim szeptem.

– Moje dłonie owinęły się wokół jego gardła. Ona krzyczała. Wrzeszczała, żebym przestał, że go zabiję, ale przecież właśnie to zamierzałem zrobić. Zabić go. To jeden z jej tak zwanych „przyjaciół", z którymi się spotykaliśmy. Uśmiechał się i klepał mnie po plecach zawsze, kiedy płaciłem za kolację. Chciałem zabić go gołymi rękami. Zrobiłbym to, jestem pewien, ale Cricket podeszła do mnie z jakimś wielkim, metalowym narzędziem, używanym do robienia dziur w skórze, i uderzyła mnie w twarz. Musiała uderzyć trzy razy, zanim go puściłem. Był cały w mojej krwi. Leżał na ziemi, zakrwawiony i bez ruchu, a ona opadła na niego jak Maryja na ciało Jezusa, szlochając i zawodząc, błagając, żeby coś powiedział. Kiedy

tego nie zrobił, odwróciła się do mnie. Nigdy nie widziałaś niczego tak dzikiego. A to, co powiedziała. Boże.

Załamał się i zakrył twarz dłońmi.

– Jacksonie, nie musisz mi tego mówić – powiedziałam, ale on potrząsnął głową.

– Tak. Muszę komuś powiedzieć, bo nigdy nikomu tego nie mówiłem. Może jeśli to z siebie wyrzucę… Może jeśli po prostu… – Przekręcił się na plecy i leżał tam, z szeroko rozłożonymi ramionami i falującą piersią.

Czując mdłości i bezradność, podeszłam do niego, usiadłam na brzegu łóżka i chwyciłam jego dłoń. Była lepka i drżała. Z zamkniętymi oczami opowiedział mi resztę łamiącym się szeptem.

– Nigdy mnie nie kochała. Nie spotkaliśmy się w bibliotece przez przypadek. Zaplanowali wszystko. Byłem po prostu… źródłem utrzymania. Frajerem. Kto mógłby mnie pokochać, mordercę, dziwaka, fatalnego kochanka? Pieprzyła się ze mną przez dwa lata i to była tortura, tak powiedziała. To było piekło. Chciała, żebym umarł.

Ścisnęłam jego dłoń i poprzysięgłam sobie, że pierwsze, co zrobię po powrocie do Nowego Orleanu, to poproszę Eeny, żeby rzuciła klątwę voodoo na ten koszmar zwany Cricket Montgomery.

Głowa Jacksona przechyliła się na bok. Jego powieki się rozchyliły. Nie mógł skupić wzroku. Był naprawdę pijany.

Wyszeptał:

– Odszedłem. Nie powiedziałem nic nikomu. Poszedłem do pokoju, spakowałem torbę i wyjechałem z Kentucky w jednym momencie. Nie mogłem znieść widoku ich twarzy. Jechałem tak długo, aż znalazłem się w Nowym Orleanie. Zameldowałem się w hotelu i ukryłem tam na tydzień. Próbowałem zapić się na śmierć. Nie miałem broni i nie chciałem zostawiać zakrwawionych zwłok, żeby ktoś musiał po mnie sprzątać, więc uznałem, że zatrucie alkoholem będzie najlepszym rozwiązaniem. To Rayford mnie znalazł. Karty kredytowe zostawiają ślady. Po śmierci Linca był jedyną osobą, która ze mną rozmawiała. Tak czy inaczej, Cricket i jej „przyjaciel” powiedzieli wszystkim, że tylko rozmawiali w siodlarni, a ja tam wszedłem i oszalałem z zazdrości. To nie miało znaczenia,

miałem własną śmierć, którą musiałem się zająć, więc kogo obchodziły ich wymyślone historyjki? Ale ten stary skurczybyk Rayford nie chciał zostawić mnie w spokoju. – Słaby uśmiech pojawił się na jego twarzy. – Uparty sukinsyn.

– Och, Jax – powiedziałam, a serce mi się łamało. Odwróciłam jego dłoń i przesunęłam opuszkiem palca po tatuażu średnika na wnętrzu nadgarstka. Oczy wypełniły mi się łzami.

Jackson powiedział:

– Dzień po weselu, które nigdy się nie odbyło, moja matka miała udar. Dowiedziałem się o tym dopiero później, ale to w oczywisty sposób była moja wina. To poniżenie ją załamało. To całe rozczarowanie. – Westchnął głęboko. – Kto mógłby ją winić? Z takim synem to cud, że nie umarła ze wstydu.

Zamilkł. Jego oddech się pogłębił, wyrównał, a ja zdałam sobie sprawę, że jest bliski odpłynięcia w sen. Ale najpierw musiał przekazać mi jeszcze jedną cząstkę tego horroru.

Jego głos był bełkoczący i słaby, kiedy mówił:

– Tydzień po tym, jak przyjechałem do Nowego Orleanu, Christian stracił nogę w wybuchu przydrożnej miny, w jakimś piekielnym grajdole na końcu świata. Był moim prawdziwym bratem. Tym, który akceptował mnie takim, jakim byłem. On jedyny się na to zdobył, poza Rayfordem. Był moim jedynym, prawdziwym przyjacielem. – Na jego twarzy pojawił się słodki uśmiech. – I ty.

Teraz płakałam otwarcie, ale po cichu, łzy płynęły mi po twarzy, wolną dłoń wepchnęłam sobie do ust, żeby uciszyć szloch.

Jackson wymamrotał:

– Christian nie miał żadnej rodziny, więc zamieszkał ze mną. Ciągle okropnie cierpiał, bolało go tak bardzo fizycznie, jak mnie emocjonalnie. Zaczął pić. W ciągu dnia chodził do baru na Bourbon Street i pił, a ja chodziłem z nim… Żaden z nas nie miał nic więcej do roboty. Poznał dziewczynę. Wiedziałem… kim była, oczywiście… wiedziałem, co zrobiła. Ale to przynajmniej było uczciwe. Oboje rozumieli. Nie jak ja…

Jego głos stawał się coraz słabszy, a przerwy między słowami coraz dłuższe. Oblizał wargi i przekręcił głowę z westchnieniem. Jego

twarz wyglądała tak bezbronnie, bez zwykłej zbroi w postaci grymasu, że pękało mi serce.

– Zaszła w ciążę. Zrobiła test na ojcostwo. Dziecko było Christiana. Umarł zanim Cody przyszedł na świat. Nigdy nie poznał syna. Trina zrzekła się praw rodzicielskich na moją rzecz i zniknęła. Raz na jakiś czas dostaję telefon… pieniądze na kaucję… pieniądze na czynsz… zawsze nadawałem się tylko do…

Jackson zasnął, trzymając mnie za rękę. Samotna łza popłynęła z jego oka, pozostawiając zygzakowaty ślad na jego skroni.

Pochyliłam się nad nim, przytuliłam tak mocno, jak mogłam, i zaszlochałam.

Płakałam bardzo długo, ucho przycisnęłam do jego piersi, słuchając powolnego, miarowego bicia serca. W końcu, kiedy nie pozostało mi nic więcej, usiadłam, otarłam oczy, zsunęłam mu buty i okryłam go kocem. Poszłam do łazienki i ochlapałam twarz zimną wodą. Zadzwoniłam do mamy i powiedziałam jej, jak bardzo ją kocham, jakie miałam szczęście, że ją mam, że ona i tata byli najlepszymi rodzicami na świecie.

A potem pomaszerowałam na dół, żeby odbyć miłą, długą rozmowę z Clemmy i Brigiem.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

JACKSON

Wiedziałem, że śnię, bo ciepła, miękka, niedająca się z niczym pomylić krzywizna pod moją dłonią, była kobiecym biodrem.

Kobieta ze snu miała niesamowicie seksowne biodro.

Pachniała również przepysznie i była ciepła jak mały piecyk przy mojej piersi.

Wszystko to pomogło mi oderwać myśli od dziwnego faktu, że bolała mnie głowa, a w ustach czułem smak burbona. To był naprawdę realistyczny sen. Leżałem wygodnie, głowa spoczywała na puchatej poduszce, a nogi miałem podwinięte tuż za nogami kobiety ze snu.

Westchnęła z sennej przyjemności, kiedy przycisnąłem ją bliżej do siebie i zatopiłem twarz w jej włosach. Gdy przesunąłem dłonią po jej biodrze i delikatnie objąłem pośladek, znowu westchnęła, wyginając plecy w łuk i ocierając się o moje krocze.

To był kurewsko zajebisty sen.

Pachniała szamponem truskawkowym i słońcem. Jak bogini. Jak coś, w czym chciałem się zatopić… czego chciałem posmakować. Ustami odnalazłem jej kark i przesunąłem językiem po wypukłości kręgosłupa. Wydyszała najdelikatniejsze i najbardziej seksowne jęknięcie, które było jeszcze seksowniejsze, kiedy okazało się, że to moje imię.

Mój senny drąg był Godzillą. King Kongiem. Atyllą prowadzącym swoje armie dzikusów, by splądrować bogactwa obcych ziem. Przycisnąłem go do niej i zacisnąłem dłoń na jej biodrze, żeby przyciągnąć ją bliżej. Wydała z siebie ponaglający dźwięk, delikatny koci jęk, który wzbudził warknięcie głęboko w mojej piersi

Ustami chwyciłem zagłębienie między jej szyją a ramieniem. Odchyliła głowę, żeby dać mi lepszy dostęp do swojego gardła. Przesunąłem ustami po satynowej skórze, delikatnie przygryzłem i poczułem, że zadrżała. Jęknęła niespokojnie i zaczęła się wiercić.

Położyła rękę na mojej i przesunęła ją powoli w górę swojej talii, przez klatkę piersiową, aż do piersi. Była pełna i ciężka w mojej dłoni, sutek sterczący… i niezwykle wrażliwy. Kiedy go ścisnąłem, wygięła się i jęknęła, tym razem głośniej. Cienka warstwa bawełny oddzielała jej skórę od mojej i chciałem, żeby zniknęła. Potrzebowałem poczuć jej skórę na języku. Chciałem znowu usłyszeć ten jęk.

Odnalazłem brzeg jej koszulki i podciągnąłem go niecierpliwie. Objąłem nagą pierś i ścisnąłem delikatnie.

– Tak, Jax – wydyszała, wyginając się.

Przeturlałem ją pod siebie, przycisnąłem do łóżka i zamknąłem usta na jej sterczącym sutku. Jęk kobiety wysłał falę elektryczną czystego pożądania przez całe moje ciało.

Zakołysałem biodrami. Zacisnęła pięści na moich włosach, przyciągając mnie bliżej, drapiąc po głowie i krzycząc lekko, kiedy smakowałem ten twardy pączek przy pomocy zębów. Jej uda otworzyły się przy moich biodrach, w moje nozdrza uderzył jej słodki zapach, a uszy wypełniły urywane oddechy. Zsunąłem jej piersi razem i powoli przesuwałem się od jednego sutka do drugiego, ssałem i lizałem, delikatnie przygryzałem wypukłości, po czym przesuwałem językiem po miejscu ugryzienia, żeby złagodzić pieczenie.

– Proszę – dyszała. – Och, proszę, nie przestawaj. Więcej.

Mój kutas był tak twardy, że aż bolał. Czułem się jak w niebie. To był senny raj i nie zamierzałem go nigdy opuszczać.

– Muszę znaleźć się w tobie, skarbie – mruknąłem. Odpowiedziała drżeniem.

Powoli otworzyłem oczy.

Bianca leżała pode mną, dysząc lekko, oczy miała zamknięte, a głowę odrzuconą do tyłu. Różowa koszulka zwinęła jej się pod brodą. Jej cudowne piersi wystawały z klatki moich dłoni, sutki miała śliskie i ciemnoróżowe.

Uderzyło mnie to, jakby ktoś wylał mi na głowę kubeł zimnej wody.

Nie śniłem. To nie był raj. To wydarzyło się *naprawdę*.

Kurwa!

Kiedy zamarłem, Bianca rozchyliła powieki. Potem musiałem patrzeć z bolesną udręką, jak zdawała sobie sprawę, że również nie śniła. Otworzyła szeroko oczy. Usta rozwarła w zduszonym sapnięciu.

– Przepraszam – szepnąłem chrapliwie, zdezorientowany i zdegustowany samym sobą. Obmacywałem ją we śnie! Prawdopodobnie mógłbym zostać za to aresztowany! Jak w ogóle znalazłem się na łóżku… przecież miałem spać na kanapie! Co za pieprzona katastrofa!

Wykonałem ruch, żeby się odsunąć, podniosłem się na łokciach, ale ona zarzuciła mi ręce na ramiona i zaskomlała:

– Czekaj!

Znowu zamarłem. Leżeliśmy oko w oko, nos w nos, wpatrywaliśmy się w siebie. Jedynymi dźwiękami w pokoju były nasze ciężkie oddechy.

Jej spojrzenie przesunęło się na moje usta. Serce waliło mi tak mocno, że nie mogłem złapać tchu.

Zwilżyła wargi. Włosy miała dziko rozsypane wokół twarzy, wyglądały jak ciemna masa loków, i była tak piękna, że patrzenie na nią bolało.

Powiedziała bez tchu:

– Więc… wczoraj wpadłam na pewien pomysł. Kiedy paradowałeś po pokoju i popisywałeś się mięśniami.

Ręce mi zadrżały. Nie śmiałem się odezwać. Po prostu wpatrywałem się w nią, czekałem i płonąłem czystym pożądaniem.

– Że może to byłby dobry pomysł, gdybyśmy… – Rumieniec wystąpił na jej policzki. Wahała się przez chwilę, która wydawała się wiecznością, aż w końcu nabrała odwagi i powiedziała. – Gdybyśmy w końcu wyrzucili to z siebie.

Całe moje ciało było tak spięte, że mogłem pęknąć jak szkło.

– To? – powtórzyłem, a mój głos był chrapliwy.

Opuściła rzęsy. Potrafiła wyglądać skromnie nawet z odsłoniętym biustem. Jej ton był rzeczowy.

– Nie udawaj głupiego, Jacksonie. Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Kiedy nadal się w nią wpatrywałem, drżąc z niedowierzania, dała mi wyraźnie znać, co miała na myśli, przygryzając dolną wargę i kołysząc miednicą przy mojej.

Jęknąłem i oparłem czoło o jej klatkę piersiową. Ona chciała mnie zamordować. Umrę w tym łóżku, leżąc na niej, serce eksploduje mi w piersi jak granat.

Przysunęła usta do mojego ucha.

– To nie musi niczego zmieniać. Jeden raz, żebyśmy mogli przejść nad tym do porządku dziennego. A skoro żadne z nas nie robiło tego od wieków…

– Nie wystarczy mi mieć cię tylko raz – warknąłem i zaatakowałem jej usta.

Pocałunek był gorący i desperacki, częściowo dlatego, bo zrozumiałem, że nie mam nic do stracenia, a częściowo dlatego, bo byłem tak podniecony, że prawie wściekły. Odpowiedziała, wyginając się w moją stronę i zatapiając palce w moich ramionach, co sprawiło, że mój już pulsujący kutas zrobił się aż boleśnie twardy.

Oderwałem się i przytrzymałem jej nadgarstki nad głową na poduszce. Oboje dyszeliśmy. Praktycznie wibrowałem z frustracji.

– Ja pieprzę, Bianco!

Jeszcze nie skończyła mnie torturować. Uniosła głowę, przycisnęła usta do mojego gardła i ugryzła. Delikatnie, ale wystarczająco, żeby zakłuło. Wymruczała przy mojej skórze:

– Tak. Dokładnie to powinieneś zrobić, Jax. Pieprzyć Biancę.

Jęknąłem. Co się, do cholery, działo? Usłyszenie takich słów z tych zwykle pyskatych ust sprawiło, że wydały się jeszcze bardziej zmysłowe. Nie chciałem niczego więcej, tylko zerwać z niej te kuse szorty i zatopić kutasa głęboko w jej ciele, ale wiedziałem, że to byłaby katastrofa. Po tym wszystko byłoby dziwne. Wszystko by się zmieniło.

Nie było szans, żebym mógł ją mieć tylko raz. Wiedziałem, że uzależniłbym się od pierwszej chwili i popadł w obsesję, ganiając za

nią jak napalony pies i dręcząc jak jej były, aż w końcu znienawidziłaby mnie tak jak jego.

Tego właśnie bałem się najbardziej: że Bianca mnie znienawidzi. Niech szlag trafi moje dziedzictwo, nie mogłem jej stracić.

Ta mała dzikuska podniosła nogi i skrzyżowała kostki na moich plecach. Zaciągnęła się głęboko moim zapachem i jęknęła z przyjemności. Bez skrupułów zaczęła poruszać biodrami.

– Zabijasz mnie – sapnąłem.

– Dlaczego zmuszasz mnie, żebym błagała? – odparowała, przesuwając dłońmi pod moimi ramionami tak, że mogła dosięgnąć i ścisnął mój tyłek, co też uczyniła i to bardzo chętnie.

– Dlaczego nagle zrobiłaś się taka napalona?

Opuściła głowę na poduszkę i zerknęła na mnie. Oczy miała półprzymknięte i rozpalone. Jej głos był gardłowym szeptem.

– Ponieważ jesteś piękny, Jacksonie Boudreaux. W środku i na zewnątrz. Jestem idiotką, że wcześniej nie zdałam sobie z tego sprawy.

Moje serce zamarło, a potem wystrzeliło jak rakieta. Oparłem się na łokciach i chwyciłem jej twarz dłońmi. Chciałem zapamiętać każdy, najmniejszy szczegół, każdy aspekt tej chwili. Jej oczy, brodę, nos, sposób, w jaki włosy Bianki układały się przy czole. Jej seksowne usta przypominające łuk Kupidyna.

Powiedziałem szorstko:

– Nie mogę. Nie tylko raz. Nie chcę ryzykować, że potem zrobi się dziwnie. Nie potrafiłbym żyć sam ze sobą, gdybym to spieprzył.

Powoli nabrała powietrza i wypuściła je przez nos. Potem poderwała głowę i przyjrzała mi się uważnie.

– A więc to negocjacje.

Moje brwi wystrzeliły w górę.

– Słucham?

– Cóż, jeśli nie możesz zrobić tego tylko raz, ile razy mógłbyś? – Zamrugała leniwie. Jeden kącik jej ust uniósł się nieznacznie w uśmiechu, który szybko opanowała.

Mówienie zaczynało być coraz trudniejsze.

– Ja… Kompletnie wyszedłem z wprawy… Myślę, że pierwsze dziesięć lub dwadzieścia razy byłoby po prostu moim powrotem do

formy.

– Dziesięć albo dwadzieścia? Hmm. Jesteś ambitny, co? – Rozplotła kostki i przesunęła stopę w dół mojej nogi, zaciskając palce na łydce. – A to wszystko w jeden dzień, czy…

– Nie – odparłem stanowczo. Nieco spuściłem z tonu i starałem się wyglądać poważnie. Moje ciśnienie skakało aż pod sufit. – Nie, myślę, że będę potrzebował o wiele więcej czasu. – Odchrząknąłem. – To znaczy, nie chciałbym cię zamęczyć czy coś.

– Cóż za dżentelmen – szepnęła. Spojrzała mi w oczy i powoli potarła piersiami o mój tors.

Sutki miała twarde. Czułem przez koszulę dwa sterczące, małe wzgórki, które potrzebowały mojego języka. W moim brzuchu zaczął budować się warkot, przeszedł przez pierś i gardło, aż do ust, ale go wstrzymałem.

Nagle całe to droczenie zniknęło z jej głosu i oczu. Powiedziała stanowczo:

– Jacksonie. Jestem w twoim łóżku. Mam na palcu twój pierścionek. Jesteśmy rozgrzani jak dwie papryczki jalapeño na raz. Weź mnie, do cholery, i pospiesz się!

Na jedno uderzenie serca zapadła cisza. Chwila się rozciągała i nagle pękła, a ostatnie strzępki mojej kontroli zwinęły się jak podpalony papier i zmieniły w pył.

– Powinnaś pisać poezję – powiedziałem i zmiażdżyłem jej usta swoimi.

TRZYDZIEŚCI DWA

BIANCA

Widziałam przerażającą stronę Jacksona. Widziałam też jego ukrytą, słodką stronę i tę czarującą, a także tuzin innych.

Ale nigdy nie widziałam go sprośnego.

– Zdejmuj! – warknął, niecierpliwie ściągając mi koszulkę przez głowę. Odrzucił ją na bok i przeleciała przez pokój. Przez moment wpatrywał się we mnie, oczy poczerniały mu z pożądania, potem chwycił moje szorty i je zsunął. Po chwili wylądowały na komodzie razem z majtkami. Klęknął pomiędzy moimi rozłożonymi nogami i wydał z siebie zwierzęcy odgłos, kiedy jego spojrzenie omiatało mnie całą. A potem jego usta znalazły się na moim ciele.

Tam.

Krzyknęłam zaskoczona. Jego wargi były tak gorące i mokre, tak nieoczekiwane. Wbił palce w moje uda, a język głęboko we mnie. Prawie umarłam z rozkoszy.

– Tak kurewsko słodka. Wiedziałem, że będziesz smakować słodko. – Zatrzymał się na chwilę, żeby warknąć, a jego oddech owionął moje rozłożone uda. Potem wrócił do działania.

Wplotłam drżące palce w jego gęste, miękkie włosy, bo musiałam je poczuć. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tego pragnęłam. A teraz, kiedy już mogłam, chwyciłam je pełną garścią i zaśmiałam się.

Brzmiałam, jakbym właśnie obrabowała bank i uszło mi to na sucho.

Jackson zignorował mój szaleńczy śmiech. Jego język – och, cóż za sprytny język – kręcił kółka wokół tego małego guziczka między moimi nogami, aż ten zaczął pulsować, a ja musiałam walczyć o oddech.

Kiedy wygięłam się w łuk i wykrzyknęłam, Jackson odwrócił głowę i delikatnie przygryzł moje udo.

– Już blisko? – zapytał, a w jego tonie słychać było rozbawienie.

Zakołysałam biodrami, błagając go, żeby nie przestawał, używając jakiejś bezładnej plątaniny słów.

– Jesteś tak cholernie piękna – szepnął. – Szkoda, że nie możesz się zobaczyć. – Przesunął dłonią w górę i w dół mojego uda, badając skórę, szczypiąc i głaszcząc. Jego wielka dłoń była szorstka i ciepła. – Ta piękna skóra. – Pocałował moją nogę. – Te idealne cycki. – Wyciągnął ręce i ścisnął je, kciukami przesunął po moich sutkach, aż zadrżałam z rozkoszy.

Jego głos stał się mroczny i dreszcz przebiegł mi po plecach.

– I ta cudowna cipka. Popatrz tylko na siebie, otwarta dla mnie, taka różowa i miękka. Chryste. Nie mogę zdecydować, czy chcę cię pożerać, aż dojdziesz, a potem pieprzyć, czy może powinienem sprawić, że dojdziesz na moim twardym kutasie.

Słodkie Jezusiątko w żłobku, Jackson Boudreaux lubi świńskie gadki.

– Proszę – błagałam łamiącym się głosem. – Jax.

Delikatnie ścisnął moją łechtaczkę między palcami i dmuchnął na nią. Jęknęłam jak gwiazda porno.

– Powiedz mi, czego chcesz – zażądał, pocierając mnie leniwie.

– Czegokolwiek. Wszystkiego. Ciebie – wyrzuciłam.

– Och, skarbie – mruknął. – Już mnie masz.

A potem znowu obdarował mnie swoim językiem. Westchnęłam z ulgą, mój oddech drżał, a ciało wiło się pod wpływem umiejętnych działań jego dłoni i ust.

Wiedział dokładnie, jak doprowadzić mnie na krawędź i tam utrzymać, drażniąc i łagodząc, kiedy byłam zbyt blisko, śmiejąc się z moich majaczących okrzyków: *Więcej, Szybciej. Zabiję cię, jeśli przestaniesz*. Dał sobie czas, chociaż wiedziałam, że odczuwał to samo obezwładniające pragnienie co ja. Jego palce wbijające się w moją skórę wywoływały tylko cień bólu. Co kilka chwil odrywał się, żeby złapać oddech i zakląć.

Czułam się, jakbym unosiła się na fali. Fali gorąca i emocji, bijącej od mojego ciała na cały pokój, cały dom, cały stan. Chciałam śmiać się, płakać, krzyczeć, chciałam rozpaść się na kawałki i pozwolić,

żeby poskładał mnie w całość. Zatapiałam się w łóżko, a w tym samym czasie lewitowałam nad nim, czułam drapanie zarostu na wewnętrznych stronach ud, a dźwięk głębokich warknięć wibrował w całym moim ciele.

– O Boże, Jax. – Jęknęłam, nie mogąc się powstrzymać. – Dochodzę, o Boże, dochodzę, jestem ta…

Orgazm wyrwał mi słowa z ust. Szarpałam się i dyszałam. Moje ciało wygięło się w łuk. Zatopiłam palce we włosach Jacksona i eksplodowałam.

Położył przedramię na moim brzuchu i przytrzymał mnie w miejscu, kiedy wiłam się w konwulsjach. Wsunął we mnie dwa palce drugiej ręki. Zacisnęłam się na nich mocno i krzyknęłam.

Wszystko to trwało całą wieczność, a przynajmniej tak się wydawało. Pulsowanie, gorąco, błyskające światełka pod powiekami, uczucie jego paznokci na mojej skórze. Wszystko tak krystalicznie czyste, tak boleśnie surowe, że czułam się odsłonięta na każdym poziomie, wszystkie nerwy płonęły, a serce łomotało tak, że w uszach słyszałam pulsowanie przypominające wystrzały armatnie.

Kiedy doszłam do siebie, płakałam.

– Ćśś, skarbie – zanucił Jackson i wspiął się na mnie. Umościł się między moimi nogami i trącił nosem moją szyję. Przywarłam do niego, pokonana, drżąc od pozostałości przenikliwej rozkoszy i nagłego, bezbrzeżnego lęku.

Czymkolwiek to było, nigdy wcześniej się tak nie czułam. I totalnie mnie to przerażało.

– Wszystko w porządku – szepnął, składając delikatne pocałunki na moich policzkach. Jego serce łomotało przy mojej piersi tak mocno i nierówno jak moje. Był taki ciepły, wielki i wygodny, gigantyczna ludzka poduszka, w której mogłabym się zatracić.

Uwielbiałam jego ciężar. Uwielbiałam jego zapach. Uwielbiałam to, jaki potrafił być czuły, ten ogromny mężczyzna, który mógłby zmiażdżyć mnie jedną ręką, ale głaskał moją twarz z delikatnością kogoś, kto trzymał w dłoni najcenniejszą porcelanę. Uwielbiałam, jak sprawiał, że czułam się bezpieczna.

Ale nie podobało mi się to dziwne przerażenie, które właśnie się pojawiło.

Kiedy w końcu zdołałam zebrać się w sobie, pociągnęłam nosem zawstydzona i odwróciłam głowę do poduszki.

– Przepraszam. Zwykle nie płaczę po seksie. Ale to było… – Zadrżałam i zacisnęłam ramiona na jego szyi.

Szepnął mi do ucha:

– Nie przepraszaj. Teraz czuję się jak bóg seksu.

Otworzyłam nagle oczy. Wpatrywał się we mnie, a na jego twarzy malował się wielki, głupkowaty uśmiech. Jego ciemne włosy były rozczochrane, niebieskie oczy lśniły i był tak przystojny, że zaparło mi dech.

Oczarowana powiedziałam:

– Jesteś bogiem seksu, Jax. Jesteś Michaelem Jordanem seksu. Jesteś Warrenem Buffettem seksu. Jesteś Stevem Jobsem…

– Dobra – przerwał mi oschle. – Nigdy więcej imion innych mężczyzn, kiedy jesteś w moim łóżku.

Uśmiechnęłam się do niego.

– Przepraszam. To było po prostu jak… – Westchnęłam rozmarzona. – Wow.

Światło w jego oczach stało się jeszcze gorętsze. Wyszeptał:

– A to był dopiero pierwszy akt.

Miałam nadzieję, że czeka mnie ich jeszcze wiele.

Jackson podniósł się na kolana. Wpatrzony we mnie, powoli rozpiął koszulę. Rozstępowała się pod jego palcami, ukazując cudowną, twardą pierś, stalowe mięśnie, ten ciemny pas włosków, które tak mnie kusiły. Zsunął koszulę z ramion i znowu westchnęłam, z radości podwijając palce u stóp.

– Jasna cholera, kobieto – powiedział, chrapliwym głosem. – Zmienisz mnie w egocentryka. Powinnaś zobaczyć ten wzrok. Taki sprośny.

Zachichotałam.

– Jesteś naprawdę piękny, Jacksonie. Uwielbiam zwłaszcza to. – Podniosłam się na łokciu i przesunąłem palcem po ścieżce miękkich włosków na jego brzuchu. Mięśnie Jacksona zadrżały pod moim dotykiem. Zerknęłam na niego i zobaczyłam, że wpatrywał się we mnie w skupieniu, śledząc moje ruchy wzrokiem drapieżnika.

Wpadłam na pomysł.

Usiadłam, położyłam dłonie płasko na jego brzuchu i uśmiechnęłam się do niego. Przycisnęłam usta do kawałka ciepłej, miękkiej skóry tuż pod pępkiem.

Zamarł.

– Co robisz?

– Nie chcesz się przekonać? – zażartowałam. Utrzymując kontakt wzrokowy, powiodłam językiem wokół jego pępka i zatopiłam czubek w środku.

To, jak wciągnął powietrze, sprawiło, że uśmiechnęłam się szeroko. Miałam już pewien obraz tego, jak działało na niego moje spełnienie, i chciałam tego więcej.

Chciałam rozłożyć go na łopatki.

Moje palce odnalazły guzik jego dżinsów. Rozpięłam je gładko. Przycisnęłam usta do niewielkiego kawałka nowo odsłoniętej skóry nad bokserkami, a Jackson przestał oddychać.

Kiedy go polizałam, jęknął cicho.

– Twój mały języczek – szepnął, wpatrując się we mnie z fascynacją. – Twój mały, różowy…

Kolejne słowa zostały pochłonięte przez jęk, kiedy owinęłam dłoń wokół ogromnego wybrzuszenia w jego bokserkach i delikatnie ścisnęłam.

Powiedziałam z poważną miną:

– Wydaje się, że w pana bieliźnie jest coś wymagającego uwagi, panie Boudreaux. Patrząc na obrzęk, to może być coś, co wymaga pilnej pomocy medycznej. Mam rzucić okiem?

Wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć. Odpowiedział słabo:

– Tak, siostro. Bardzo proszę.

Zajęło mi całe wieki, żeby ściągnąć jego bokserki, bo za bardzo podobał mi się wyraz twarzy Jacksona, żeby robić to szybciej. Kiedy w końcu oderwałam wzrok od jego oczu i zerknęłam w dół, sapnęłam.

– Jasna cholibka – wydyszałam, rozłożona na łopatki samym rozmiarem i wspaniałością erekcji Jacksona. – Panie Boudreaux. To sytuacja zagrażająca życiu.

Zduszonym głosem odpowiedział:

– Może… należy zastosować… terapię oralną.

Przytaknęłam.

– Zgadzam się. Znakomita diagnoza.

Potem objęłam go ustami i zadrżałam na dźwięk ochrypłego sapnięcia Jacksona.

Był zbyt wielki, żebym zmieściła więcej niż kilka centymetrów, ale nadrobiłam to dłońmi, które owinęłam wokół jego trzonu i poruszałam w synchronizacji z językiem. Jego drżące ręce objęły moją głowę. Oddychał ciężko. Kiedy złapałam już rytm, Jackson dostosował się do niego delikatnymi pchnięciami, a każde wydobywało miękki jęk z jego piersi.

Był niedorzecznie wielki, ale uwielbiałam jego smak i zapach. Całe to męskie ciepło, ta woń. Przepyszne. Otworzyłam gardło, testując własną wytrzymałość i zostałam nagrodzona głośnym *Kurwa!*, które wydobyło się z jego ust. Zacisnął palce na mojej głowie.

Więc oczywiście musiałam zrobić to znowu. I znowu.

I znowu.

Z syknięciem wciągnął powietrze przez zęby.

– Bianco – ostrzegł.

Zerknęłam na niego. Miał ledwo otwarte oczy. Twarz była zarumieniona. Pierś unosiła się i opadała. Czułam się jak superbohaterka.

Powiedziałam:

– Hmm. Nie mogę zdecydować, czy chcę ci obciągać, aż dojdziesz i potem cię pie…

Jednym, płynnym ruchem Jacksona, znalazłam się na plecach z nogami owiniętymi wokół jego bioder i nadgarstkami przyszpilonymi nad głową. Pocałował mnie, mocno, nie wstrzymując się.

Zakołysałam biodrami przy naprężonym żarze jego erekcji, a on przygryzł moją dolną wargę.

– Próbujesz doprowadzić mnie do szaleństwa? – syknął, a oczy mu zabłyszczały.

– Tak – odparłam. – Chcę uwolnić Bestię. Chcę uwolnić nas oboje. Chcę, żebyśmy poddali się szaleństwu.

Zamknął na moment oczy. Mruknął sam do siebie: *Dzięki Bogu*, a potem znowu mnie pocałował, tak mocno, że zabrakło mi tchu

i poczułam, że moje wargi spuchły.

Obok łóżka stał mały stolik. Jackson wyciągnął rękę, złapał swój portfel i coś z niego wyjął. Wystarczyło rozdzieranie folii i już wiedziałam, że jesteśmy zabezpieczeni.

– Dobry ruch, panie Boudreaux. – Sapnęłam, kiedy jego gorąco i twardość wsunęły się we mnie. Potem nie mogłam już mówić, bo wygiął biodra i zatopił się głęboko w moim ciele.

Uniosłam się, wychodząc mu na spotkanie. Wygięłam szyję. Zamknęłam oczy. Usłyszałam przy uchu jego szorstki szept, jakby docierał z jakiegoś dalekiego miejsca.

– Bianca. Moja Bianca. Wiedziałem, że będziemy do siebie świetnie pasować.

A potem opuścił usta na moją szyję i zaczął mnie pieprzyć.

Nie było słodko. Ani delikatnie. Ani nawet pod kontrolą, ale to było wszystko, czego pragnęłam i potrzebowałam. Wychwalałam go tak głośnymi, rozpustnymi jękami, że prawdopodobnie wystraszyłam Buldoga na śmierć, jeśli słyszał ich echo na końcu korytarza.

Jackson nadal miał na sobie dżinsy, co jakimś sposobem czyniło wszystko jeszcze bardziej podniecającym. Pasek zatrzymał się na jego tyłku, więc zsunęłam go niżej, żeby móc chwycić te wspaniałe pośladki, kiedy wbijał się we mnie mocno, warcząc i klnąc.

– Tak dobrze, tak niesamowicie, o Boże, nie przestawaj – mamrotałam, wijąc się pod nim.

Dyszał.

– Nie mogę… musimy… zwolnić…

– Jeśli przestaniesz, zginiesz! – wykrzyknęłam.

Jęknął jak w agonii. Chwyciłam jego twarz i pocałowałam tak mocno, że poczułam krew. Owinęłam nogi wokół jego pasa i przytrzymałam go, kiedy zaczął szarpać się dziko, aż całe łóżko trzeszczało. Oboje ociekaliśmy potem, dyszeliśmy, jęczeliśmy i całowaliśmy się niedbale, bez zastanowienia, ale to właśnie było w tym cudowne.

Odchylił się na rękach, odrzucił głowę do tyłu i wyryczał moje imię do sufitu.

A więc o tym właśnie mówią te głupie, miłosne piosenki, pomyślałam tuż przed tym, jak zamieniłam się w supernową i eksplodowałam

kulą białego ognia, wylatując w przestrzeń kosmiczną.

TRZYDZIEŚCI TRZY

JACKSON

Leżeliśmy tak, oszołomieni i oniemiali, opleceni swoimi ramionami, na zdemolowanym łóżku, niczym ofiary bombardowania.

Po jakimś czasie Bianca powiedziała drżącym głosem:

– O. Rety. To było…

– Idealne. – Wpatrywałem się w nią z czcią. – Niesamowite. Oszałamiające. Powinniśmy dostać medal.

Uśmiechnęła się, mrugając powoli. To był uśmiech, który łamał serce, tak podnoszący na duchu i zadziwiająco piękny, że poczułem się jak człowiek, który właśnie odkrył nową religię.

Ona była moją religią. Moją północą i moim południem, niebem i ziemią, osią porządku, wokół której nagle ustawiło się wszystko. Po raz pierwszy w moim życiu wszystkie części mnie zaczęły działać wspólnie, mrucząc radośnie w zgodzie z harmonią wszechświata, nareszcie rozumiejąc swoje miejsce.

Poddałem się temu uczuciu kompletnie i bez wahania, wiedząc, że większość ludzi nigdy nie doświadczy czegoś takiego. Takiego oślepiającego szczęścia. Jawnej rozkoszy. Przeniesienia skupienia z siebie samego na inną osobę, która w dziwny, spontaniczny sposób dawała wolność i dogłębny spokój, którego zawsze się szukało.

Zawsze myślałem, że miłość to kajdany, ale myliłem się. Miłość to otwarte drzwi klatki.

– Zdecydowanie ma pan dużo energii, panie Boudreaux – powiedziała moja ukochana, pruderyjnie niczym bibliotekarka. To sprawiło, że zaśmiałem się tak serdecznie, aż łóżko zadrżało.

Zarzuciłem na nią nogę, przyciągnąłem do siebie i westchnąłem z radością. Wtuliła się we mnie, wydając lekkie pomruki rozkoszy, a jej małe dłonie podrapały moją pierś.

– Maniaczka seksualna – szepnąłem, kiedy zaczęła wędrować rękami po całym moim ciele.

– Nic nie mogę na to poradzić – zaprotestowała. – Jesteś zbudowany jak wieżowiec, a twoja skóra jest jak grzywa jednorożca.

Zmarszczyłem brwi.

– Grzywa jednorożca?

– Jedwabista, lśniąca i mistyczna.

Powiedziała to takim tonem, jakby mówiła: *No weź, co za kretyn nie wie, jak wygląda grzywa jednorożca?* Znowu się zaśmiałem, beznadziejnie oczarowany.

– Jesteś okropnie radosny po seksie – stwierdziła. – Lubię to.

O Boże. Moje pieprzone serce zaraz się otworzy jak przejrzały owoc.

– A ty jesteś okropnie gadatliwa. – Dopadłem jej usta i pocałowałem, żeby ją uciszyć.

Kiedy wreszcie oderwaliśmy się od siebie, żeby nabrać powietrza, przeciągnęła się przy mnie jak kotka, giętka i usatysfakcjonowana, leniwie oblizując wargi.

– Jesteś wyśmienity – oznajmiła. – Gdybyś był jedzeniem, byłbyś stekiem z krowy z samolotu twojego ojca, która była masowana i duszona na wolnym ogniu, przepyszna perfekcja.

– To dość niepokojące – odparłem, całując czubek jej nosa. – Ale dziękuję. Tak sądzę.

Jej nastrój zmienił się jak żywe srebro, z lekkiego na ostrożny. Ściągnęła usta i zapatrzyła się na mój mostek.

– A mówiąc o twoim ojcu.

– Co? – Nagle poczułem się w najwyższym stopniu zaalarmowany.

Zerknęła na mnie.

– Musisz z nim porozmawiać.

W jej oczach dostrzegłem coś, co mnie zmartwiło.

– Dlaczego?

Opuściła wzrok na moją klatkę piersiową i zaczęła bawić się włoskami.

– Yyy. Cóż. Porozmawiałam sobie z nim zeszłej nocy, kiedy odpłynąłeś. – Przerwała na ułamek sekundy. – Z twoją matką też.

Ciśnienie mojej krwi wzrosło od poziomu śpiącego dziecka do maklera na giełdzie w Czarny Poniedziałek.

– O czym?

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Nie krzycz!

– Nie krzyczę, tylko pytam!

Spiorunowała mnie wzrokiem.

Wypuściłem drżący oddech i ściszyłem głos.

– Przepraszam. Rozmawianie o moich rodzicach, kiedy leżę z tobą w łóżku nagi jest… fuj.

Dąsała się przez chwilę, ale potem ustąpiła.

– Ile pamiętasz z poprzedniej nocy?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz je zamknąłem. Ile pamiętałem? Cofając się dalej niż do tego niesamowitego snu, który okazał się nie być snem, pamiętałem przyjazd do Moonstar wczoraj wieczorem, spotkanie z ojcem przy wejściu, przyjście do pokoju, żeby się przebrać, pójście na kolację, by przetrwać tę obezwładniającą ciszę jak na wszystkich rodzinnych kolacjach, które pamiętałem, a potem…

Nic.

– Za dużo wypiłem – oznajmiłem. Opuściłem wzrok na Biancę, mając nadzieję, że jakoś wypełni te luki.

Wiedziała, że blefowałem, ale mnie oszczędziła.

– Opowiedziałeś mi o Lincu i Cricket – powiedziała łagodnie. – I o tym, co było później. Wyjazd do Nowego Orleanu. Christian. Cody. Wszystko.

Poczułem zimno rozchodzące się po moim ciele, mrożące jak arktyczny wiatr. A potem, co gorsze, podejrzenie. *Spała ze mną, bo było jej mnie żal?*

Wpatrując się w moją twarz, Bianca uderzyła mnie w pierś swoimi małymi piąstkami.

– Jeśli kiedykolwiek znowu tak na mnie spojrzysz – powiedziała, kipiąc ze złości – nie będziesz już ładnym, smacznym stekiem, Jacksonie Boudreaux, zostaniesz mieloną wołowiną!

Jej groźba sprawiła, że poczułem dziwną ulgę.

– Uwielbiam, kiedy grozisz mi obrażeniami cielesnymi – odparłem i znowu ją pocałowałem.

Westchnęła z zadowoleniem przy moich ustach. Byłem zachwycony tym, jak szybko przechodził jej gniew. Mnie zwykle zajmowało to kilka dni.

– Cóż, ktoś musi sprowadzać cię do pionu. Równie dobrze może to być twoja żona – powiedziała.

Było to dość zwyczajne stwierdzenie, ale trafiło mnie prosto w serce. Chwilę zajęło, zanim moja krew zaczęła znowu krążyć.

– Żona – powtórzyłem uroczyście, patrząc jej w oczy.

Zmarszczyła nos.

– Boże, to zabrzmiało, jakby ktoś powiedział ci, że odwołano Boże Narodzenie.

Objąłem dłonią jej szczękę.

– Nie. Jest tak, jakby ktoś mi powiedział, że wygrałem na loterii.

– Miliarderzy grają na loterii?

– Zaczęliby, gdyby wiedzieli, że to ty jesteś nagrodą.

Wierciła się lekko, wyraźnie zadowolona, ale udawała, że wcale tak nie jest i znowu zaczęła bawić się włoskami na mojej klatce piersiowej, jakby były jej nowym zwierzątkiem. Pogłaskałem jej twarz, oszołomiony małymi serduszkami, które latały mi przed oczami.

– Muszę wziąć prysznic – oznajmiła i spojrzała na mnie spod rzęs.

– Boże, ten sprośny wzrok. Prawdopodobnie mogłabyś zostać aresztowana za takie spojrzenie. Zboczuch.

Odpowiedziała zupełnie swobodnie:

– Cóż, skoro mamy spędzić tu weekend seksu przed powrotem do normalnego życia, równie dobrze mogę wyciągnąć z niego, ile się da, prawda?

W mojej głowie pojawił się dźwięk, jaki wydaje pociąg towarowy przy hamowaniu awaryjnym, a potem wypada z torów, rozrzucając cały ładunek broni i trującego gazu, który w końcu eksploduje gigantyczną kulą pomarańczowych płomieni, paląc ziemię i niszcząc wszelkie życie w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

Najwyraźniej dla Bianki to nie był początek czegoś głębszego między nami. To jak swędzące miejsce, które trzeba podrapać, zanim

się o nim zapomni. Jak irytujące łaskotanie, które narasta do tego stopnia, że można się go pozbyć tylko dzięki odruchowemu działaniu. Jak kichnięcie.

Bianca wykicha mnie ze swojego życia. Przecież powiedziała mi wcześniej, że *byłoby dobrze, gdybyśmy to z siebie wyrzucili*.

A ja się w niej zakochałem. Co za głupek.

– W porządku – powiedziałem, zamykając oczy.

Przez chwilę przyglądała się mojej twarzy.

– Co to za mina? Nie rozpoznaję jej.

Tak wygląda złamane serce.

– Żadna – odparłem beznamiętnie. – Wszystko w porządku.

Pchnęła mnie w pierś tak mocno, że opadłem na plecy. Otworzyłem szeroko oczy z zaskoczenia. Stęknąłem, kiedy na mnie wskoczyła.

– Nie! – krzyknęła. – Nie będziesz tak robił, kiedy byłeś we mnie jeszcze pięć minut temu! Nie pozwolę ci być dziwnym, wycofanym i niekomunikatywnym, słyszysz mnie? Mów!

Dźgnęła mnie palcem w pierś. Wpatrywała się we mnie ze złością, ciemne włosy, dziko rozczochrane, okalały jej twarz, a oczy błyszczały czarną furią, przez co zdawała się odrobinę przerażająca.

Ale byłem w niej szaleńczo zakochany, więc musiałem powiedzieć prawdę.

– Powiedziałem ci, że raz nie wystarczy – rzuciłem burkliwie. To brzmiało jak oskarżenie.

– No i?

To było wyzwanie i wkurzało mnie.

– No i – warknąłem – ty mnie, kurwa, uwiodłaś. – Jej oczy zalśniły gniewem, ale dopiero zaczynałem. – A teraz mi mówisz, że ten weekend to wszystko, co dostanę! Już ci mówiłem, że nie chcę tego spieprzyć! Więc teraz już jest za późno, już się spieprzyło, bo nie będę w stanie mieć cię tylko raz. Popadnę w pieprzony obłęd, próbując trzymać się z dala od ciebie. Dla ciebie to był tylko seks, ale dla mnie o wiele więcej, i powiedziałaś mi, że jestem piękny!

Wykrzyczałem to w jej twarz z taką siłą, że zdmuchnąłem z policzków kosmyki włosów. Wpatrywałem się w nią, dysząc, rozwścieczony, aż napięły mi się wszystkie ścięgna na szyi.

Jej wzrok złagodniał i uśmiechnęła się.

– Och, Jax – powiedziała czule. – Będziemy musieli zrobić coś z tym temperamentem.

Ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała mnie.

Byłem kompletnie zdezorientowany.

– Pocałuj mnie! – zażądała, kiedy wciąż leżałem pod nią sztywno.

– Przeżywasz jakieś załamanie nerwowe, o którym powinienem wiedzieć? – rzuciłem.

Westchnęła i wcisnęła twarz w zagłębienie mojej szyi, przytulając się do mnie.

– Jakie to wygodne, że zapomniałeś o tej części naszej rozmowy, w której była mowa o dziesięciu lub dwudziestu razach, Bestyjko.

Kiedy pozostałem sztywny i nie odpowiedziałem, westchnęła ponownie.

– I o tym, że kiedy zapytałam, czy to wszystko w jeden dzień, odpowiedziałeś, że potrzebujesz dużo więcej czasu?

Kiedy nadal nic nie powiedziałem, niecierpliwie dźgnęła mnie w mostek. Odwróciłem głowę i spojrzałem na nią. Uśmiechała się do mnie pobłażliwie, jakbym był wielkim, nadąsanym dzieciakiem.

– Wyrażę się teraz bardzo jasno, bo widzę, że masz problemy z przetworzeniem tego, co próbuję ci powiedzieć. – Odchrząknęła i przyjęła biznesowy ton. – Panie Boudreaux. Kiedy powiedziałam, że będziemy mieć weekend seksu, nie chodziło mi o seks tylko w ten weekend.

Całe powietrze opuściło moje ciało z głośnym sykiem. Położyłem dłoń na oczach, żeby ukryć ulgę.

Dodała mniej łagodnie:

– Nie ustalam tutaj żadnych reguł. Kiedy powiedziałam, że seks nie musi niczego zmieniać, mówiłam prawdę. Mam nadzieję, że nie zrobi się dziwnie, kiedy, albo jeśli, jedno z nas uzna, że lepiej pozostać przyjaciółmi. Zważywszy na to, że mamy umowę biznesową i w ogóle.

Nie mogłem się powstrzymać. Jęknąłem.

– Wiem – szepnęła. – To dziwna sytuacja. Dla nas obojga. Ale żeby to miało choćby szansę się udać, musimy sobie obiecać, że będziemy

ze sobą zupełnie szczerzy. – Nastąpiła dłuższa chwila przerwy. – I mówiłam poważnie, że uważam cię za pięknego. Cóż. To tyle.

Kiedy już opanowałem swoje rozszalałe emocje, jęknąłem:

– Sama też wyglądasz nie najgorzej.

Wybuchnęła śmiechem.

– Ależ kwieciste, romantyczne słowa! Już przepadłam!

Przerzuciłem ją na plecy, przytrzymałem i całowałem po całej twarzy. Śmiała się i śmiała, a moje serce rosło jak balon.

Problem z balonami jest jednak taki, że w pewnym momencie albo uchodzi z nich powietrze, albo pękają.

***

Po umyciu zębów i przebraniu się w czyste ubrania, zostawiłem Biancę drzemiącą w moim łóżku i zszedłem na dół, żeby poszukać rodziców.

Jedli śniadanie w pokoju solarnym tuż przy kuchni, wielkim, jasnym pomieszczeniu z przeszklonym sufitem, przez który wpadały promienie słoneczne. Odgłosy trzymanych w klatce ptaków matki rozbrzmiewały wszędzie wkoło. Stałem przez chwilę w drzwiach i obserwowałem ich, a stalowa obręcz zacisnęła się na mojej piersi.

Co Bianca im powiedziała? I czy to cokolwiek zmieni?

Ojciec podniósł wzrok i dostrzegł mnie prędzej niż matka. Jego twarz się zmieniła.

– Jacksonie – powiedział z uśmiechem. – Dzień dobry.

Matka spojrzała w moją stronę, powoli odłożyła widelec na talerz i zamrugała, wpatrując się we mnie, jakby nigdy wcześniej mnie nie widziała.

To wszystko było dość niepokojące.

Podszedłem sztywno do stołu. Ojciec wstał. Odchrząknąłem i już chciałem burknąć kilka słów powitania, ale przerwał mi, rozkładając szeroko ramiona. Uścisnął mnie mocniej, niż można by się spodziewać po mężczyźnie po siedemdziesiątce.

– Synu – powiedział, zdławionym głosem. – Och, synu. – Mocno uścisnął moją dłoń. – Dobrze mieć cię w domu.

Z szeroko otwartymi oczami spojrzałem przez jego ramię na matkę. Ocierała oczy chusteczką.

Ojciec mnie puścił i tak mocno poklepał po plecach, że prawie poleciałem do przodu. Na czas się pozbierałem i podszedłem do krzesła, by z niepokojem usiąść pomiędzy nimi. Matka wyciągnęła rękę i chwyciła moją. Cud.

Służący postawił szklankę soku pomarańczowego na stole przede mną.

– Śniadanie, sir?

Machnąłem ręką i służący się wycofał. Teraz nie było mowy o jedzeniu, ale sok pomarańczowy okazał się zbyt wielką pokusą, więc chętnie go wypiłem.

– Jesteśmy ci winni przeprosiny – powiedział ojciec, przez co od razu się zakrztusiłem.

Musiał kilka razy klepnąć mnie w plecy, zanim mogłem znowu złapać oddech, a nawet wtedy nie byłem w stanie nic powiedzieć, tylko patrzyłem załzawionymi oczami, z których wyzierało niedowierzanie.

– Och, nie rób takiej miny – dodał, rozkładając serwetkę na kolanach. – Sam nie jesteś taki niewinny! Nigdy nawet nie wspomniałeś, że mamy wnuka!

Odgłos, który wydobył się z moich ust, technicznie nawet nie był słowem, ale ojciec uznał, że nie zgodziłem się z nim.

– Tak, Bianca mi powiedziała, że adoptowałeś syna Christiana. I jestem cholernie wściekły, że ukrywałeś to przed nami! Wiesz, jak bardzo twoja matka pragnie wnuków! I mogłeś mi powiedzieć, co naprawdę zaszło z Cricket. To oszczędziłoby nam wielu lat żalu! – Spojrzał na mnie urażony. – Oczywiście nie ma porównania z tym, co sam musiałeś przejść. Nie to miałem na myśli. Tylko… cóż, cholera, Jacksonie. Nigdy nie dałeś matce ani mnie szansy, żebyśmy mogli być przy tobie. Po prostu zniknąłeś, a potem Rayford cię znalazł, ale też nic nam nie powiedział, i od tamtej pory nie widzieliśmy żadnego z was! To wyglądało tak, jakbyście obaj trafili do programu ochrony świadków!

Zajęło mi długą chwilę, zanim się z tego otrząsnąłem.

– Ale… – Spojrzałem na matkę. – Wywołałem u ciebie udar.

Westchnęła, jakby była zawiedziona, że urodziła takiego kretyna.

Ojciec zagrzmiał z rozdrażnieniem:

– Nie możesz się za to winić, chłopcze! Twoja matka od lat brała leki na rozrzedzenie krwi, bo miała już niewielki udar, zanim się urodziłeś, i lekarze chcieli zapobiec kolejnemu! Gęsta krew to dziedzictwo jej rodziny. Jezu Chryste na krzyżu, co za nonsens! I dlatego trzymałeś się od nas z daleka?

Mój temperament znowu się odezwał. Wstałem, odpychając krzesło.

– Trzymałem się od was z daleka, bo kochaliście Linca bardziej, niż kiedykolwiek kochaliście mnie!

Moja matka sapnęła. Ojciec wpatrywał się we mnie. Służący cicho przeprosił i uciekł z pomieszczenia.

– Jacksonie Walkerze Boudreaux – powiedziała matka zduszonym, przerażonym szeptem. Była biała jak papier. Jej oczy wypełniły się łzami. – To okropne, co mówisz, i nieprawdziwe!

Ojciec dodał gniewnie:

– No i teraz to osiągnąłeś. Gratulacje, chłopcze. Doprowadziłeś matkę do łez.

Podszedł do niej, chwycił dłoń i przytrzymał, szepcząc pocieszające słowa, kiedy szlochała, a ja patrzyłem dalej, przekonany, że byłem w tak głębokim szoku, iż zupełnie oderwałem się od rzeczywistości.

W końcu, kiedy ją uspokoił, podniósł się, wyprostował ramiona i dał mi popalić.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie, synu, bo powiem to tylko raz. Kochamy cię. Kochamy cię teraz, kochaliśmy cię wtedy i będziemy cię kochać do śmierci. Jesteś naszym synem. Wiemy, że nie byliśmy idealnymi rodzicami, ale z ciebie był niezły rozrabiaka. Może i nie zawsze wiedzieliśmy, jak sobie z tobą poradzić, ale nigdy nie kochaliśmy cię mniej niż twojego brata. Nigdy. I nigdy nie winiliśmy cię za jego śmierć, chociaż uważasz inaczej.

Kiedy zamrugałem zszokowany, przytaknął.

– Tak. Nie jestem głupi. W twoich żyłach płynie moja krew. Uważasz, że nie wiem, co myślisz? Jesteś upartym skurczybykiem, zupełnie jak ja. Jak już coś sobie ubzdurasz, to koniec.

Moja matka wydała z siebie łagodny odgłos, a ojciec westchnął ciężko.

– Ale to moja wina, że ignorowałem to tak długo. Powinienem był… coś zrobić. Nie wiem. Zmusić cię, żebyś ze mną porozmawiał. Ale nakłonienie cię do mówienia jest jak wyrywanie zębów.

Pomachał ręką w powietrzu, jakby chciał odgonić to ostatnie stwierdzenie.

– Tak czy inaczej, chodzi o to, że przeszłość to przeszłość. Będziemy mieli nową synową. Czas, żebyśmy znowu zaczęli zachowywać się jak rodzina. A tak przy okazji, uwielbiamy Biancę. Ale z niej torpeda. Mam nadzieję, że za rok o tej porze będziemy mieli kolejnego wnuka. Albo nawet dwoje.

Wpatrywałem się w niego. I w matkę. Otworzyłem usta i odkryłem, że brakuje mi słów.

– Popatrz tylko, Clemmy – powiedział mój ojciec. – Aż odebrało mu mowę. Punkt dla staruszka.

Opadłem na krzesło i schowałem twarz w dłoniach.

Służący pojawił się ponownie, postawił przede mną Krwawą Dixie i mruknął:

– Mam nadzieję, że nadal pan to lubi, sir. Pomyślałem, że się przyda. Witamy w domu.

Kiedy znowu się oddalał, towarzyszył mu mój lekki, niedowierzający śmiech.

KRWAWA DIXIE

Na 4 porcje

- 1 litrowa butelka soku pomidorowego
- 60 ml wódki
- 1 łyżka świeżo startego chrzanu (albo preparowanego)
- 1 łyżka soku z cytryny
- 1 łyżka sosu chili
- 1 łyżka sosu Worcestershire
- Szczypta soli selerowej
- Szczypta pieprzu

- 4 plastry gotowanego boczku
- 4 łodyżki selera

Przygotowanie

- Odlej z butelki 1/4 soku pomidorowego.
- Zmieszaj chrzan, sok z cytryny, sos chili i sos Worcestershire, sól i pieprz, dodaj do soku pozostałego w butelce i mieszaj energicznie.
- Umieść lód w 4 wysokich szklankach.
- Do każdej szklanki wlej na lód po 60 ml wódki (albo według uznania).
- Dodaj mieszaninę soku pomidorowego do pełna.
- Wymieszaj, potem ozdób boczkiem i selerem.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

BIANCA

Śpiewałam pod prysznicem głośno i naprawdę kiepsko, kiedy szklane drzwi się rozsunęły i Jackson wszedł do środka.

– Nie przestawaj – powiedział rozbawiony. – Nadal zostało mi z dziesięć procent słuchu.

Był nagi i zupełnie spokojny, zachowywał się, jakbyśmy brali wspólny prysznic każdego dnia tygodnia. Stanął przede mną, blokując strumień wody i zabrał kostkę mydła z moich zdrętwiałych dłoni, podczas gdy ja się na niego gapiłam.

Nagi Jackson to jedno. Ale Jackson nagi *i mokry* – to zupełnie coś innego. Woda otulała jego mięśnie, sprawiając, że te cudowne, złociste wypukłości lśniły i skrzyły się, jakby jakaś napalona, szurnięta kura domowa dorwała się do photoshopa. Odchylił głowę, żeby zamoczyć włosy i wyglądało to jak w zwolnionym tempie z grającą w tle seksowną muzyczką. Patrzyłam z otwartymi ustami, jak powoli zaczął namydlać klatkę piersiową.

Nawet Trace nie osiągnął takiego poziomu fizycznej perfekcji. Brałam prysznic z greckim bóstwem. Z dziełem sztuki. Jak mogłam być taka ślepa?

Otrząsając się z zamętu estrogenowego, który pustoszył mój system nerwowy, powiedziałam:

– Musisz wiedzieć, że wygrałam kiedyś konkurs talentów dzięki swojej znakomitej interpretacji utworu *You Are My Sunshine*.

Jackson potrząsnął głową, rozpryskując krople wody ze swoich ciemnych włosów, i uśmiechnął się do mnie. Odwrócił mnie i zaczął mydlić moje ramiona oraz plecy, delikatnie wbijając kciuki w mięśnie. Jęknęłam z przyjemności.

– Naprawdę? – zapytał. – A ile miałaś lat? Siedem?

– Osiem. – Nadąsałam się. – Palant.

Parsknął śmiechem.

– Nie uważasz mnie za palanta. – Pochylił się i pocałował moje ucho. To spowodowało, że jego ciepła, mokra skóra weszła w kontakt z moją. Wyszeptał: – W zasadzie myślę, że mnie lubisz. – Objął mnie w talii, przyciskając do swojego twardego ciała.

Moje wcześniejsze przekonanie, że raj to biblioteka ze wszystkimi książkami, jakie zostały napisane, właśnie wylądowało w śmietniku. Nie. Raj to prysznic z wielkim, nagim, pokrytym mydłem mężczyzną o chrapliwym głosie, delikatnym poczuciu humoru i z erekcją, która powinna mieć własny kod pocztowy. Z radosnym westchnieniem rozluźniłam się w jego objęciach.

– Może – stwierdziłam, prawie mrucząc, kiedy masował moją szyję. – Przysięgli nadal obradują.

Jego duża dłoń zsunęła się z szyi na bark, a potem w dół ramienia. Zamknął palce na moich żebrach, w skupieniu przesuwając opuszkami po każdym z nich, jakby wypisano na nich historię miłosną alfabetem Braille'a, a potem objął piersi.

– Powiedziałaś, że nie będziesz mnie okłamywać, skarbie – wymruczał i potarł kciukami moje twarde sutki.

Kiedy sapnęłam i podskoczyłam, jakby lekko poraził mnie prąd, znowu się zaśmiał.

– Chcesz mi sprzedać jeszcze jakieś kłamstwo?

– Yyy. Nic nie poczułam, kiedy to zrobiłeś?

– O, to jest dobre – szepnął, masując kciukami moje sutki, a ja drżałam z rozkoszy. – I drżysz dlatego, że tu jest tak zimno.

Gorąca para otaczała nas ze wszystkich stron. Nie zdołałam powstrzymać śmiechu.

– Zdecydowanie.

Delikatnie przygryzł moją szyję, co jak szybko odkryłam, było jedną z moich ulubionych rzeczy na świecie. Nigdy nie był brutalny, niezależnie gdzie przyciskał zęby. Było tak, jakby testował wytrzymałość mojego ciała, jakby uważał mnie za tak smaczną, że chciał mnie zjeść. Pochłonąć, kęs za kęsem. Utrzymać mój smak na języku i cieszyć się nim jak burbonem albo dobrym winem.

Oparłam głowę na jego ramieniu, wyciągnęłam ręce i objęłam go za szyję. To dało mu dostęp do wszystkich najciekawszych części mojego ciała i zaraz skwapliwie to wykorzystał.

Z ustami wciąż na mojej szyi, przesunął dłońmi po moich bokach, od pach aż do bioder, jego chwyt był pewny i zaborczy. Erekcja wbijała mi się w tyłek. Położył dłonie na moim brzuchu.

– Kocham ten brzuszek – powiedział cichym głosem. Potem przesunął dłonie na piersi. – I je. Takie piękne. Takie idealne. Zobacz, jak znakomicie pasują do moich dłoni.

Objął je, żeby udowodnić swoje słowa. To było niesamowicie erotyczne, kiedy patrzyłam w dół, na siebie i jego mokre, pokryte mydłem dłonie wypełnione moimi piersiami. Sposób, w jaki mnie dotykał, sprawiał, że poczułam się dumna ze swojego ciała, intensywnie kobieca i potężna, chociaż mógłby mnie pokonać w mgnieniu oka, gdyby tylko chciał.

Jego dłonie przesunęły się niżej, minęły talię i skierowały do trójkącika między nogami.

– A to – wydyszał do mojego ucha, wsuwając śliskie palce między moje nogi, kiedy sapnęłam. – Kocham to. Chcę to czuć na ustach, na dłoniach i na kutasie każdego dnia, do końca życia.

Co on mówił? Byłam tak oszołomiona, że ledwo rejestrowałam. Głowa opadła mi na jedną stronę. Zawładnął moje usta pocałunkiem tak intensywnym, że nogi odmówiłyby mi posłuszeństwa, gdyby mnie nie przytrzymywał.

Był powolny, gorący i głęboki. Jego palce zataczały małe, leniwe kółka między moimi nogami. Drżałam i wiłam się, a z mojego gardła wydobywały się desperackie dźwięki.

– Kocham też twoje nieśmiałe, słodkie jęki – dodał i usłyszałam uścisk w jego gardle. – Bianco, jesteś taka słodka.

Nie czułam się słodka. Byłam jak wygłodniałe, zaciekłe zwierzątko, które pragnęło rozszarpać go swoimi pazurkami. Byłam tak spragniona jego ciała, że aż bolał mnie brzuch.

Przycisnął nas do ściany. Oparłam dłonie o kafelki. Położył ręce na mojej talii, sprawdzając szerokość. A potem zaskoczył mnie, klękając i gryząc w pośladek.

– Boże. – Jęknął. Głaskał mój tyłek, podszczypywał i chwytał pełnymi garściami, jakby nie mógł się nim nasycić. Włożył dłoń miedzy moje nogi i objął mnie, powoli pocierając, kiedy naparłam na jego rękę i zajęczałam. Z rozkoszy zamknęłam powieki. Oparłam się o ścianę przedramieniem i opuściłam głowę, wypychając tyłek, bo tak bardzo podobało mi się to, co robił.

– Jesteś najseksowniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu.

Jego głos miał teraz twardszy ton. Desperacki, jakby się rozpadał. Potem Jackson wstał, odchylił moją głowę, wplatając mi palce we włosy, i pocałował mnie.

Sięgnęłam za siebie i chwyciłam jego erekcję. Jęknął w moje usta.

– Podoba mi się – powiedziałam, dysząc i pocierając go. Stanęłam na palcach i nakierowałam go tam, gdzie najbardziej chciałam, do tego bolesnego miejsca między nogami. – Pospiesz się.

Kiedy wsunął się do środka, opuścił głowę i przygryzł długi mięsień między moją szyją a ramieniem. Jackson zadrżał. Jego niski jęk przeszedł po całym moim ciele.

Staliśmy tak, bez ruchu, oddychając urywanie, aż nie mogłam tego dłużej znieść. Wygięłam biodra. Szarpnął się, wchodząc we mnie głęboko, a ja zaskomlałam zaskoczona.

– Przepraszam – wychrypiał.

Mój śmiech odbił się echem od ścian.

– Wybaczam. A teraz zrób to jeszcze raz.

Chwycił mnie za biodra i zaczął się poruszać w powolnym rytmie. Zaparłam się o ścianę. Przesunął dłonią po moim udzie i podniósł mi nogę, ustawiając stopę na siedzisku po prawej stronie. To zmieniło kąt wszystkiego, pogłębiając naszą więź, wyrywając z mojej piersi niski jęk.

Sięgnął dłonią i wsunął palce między moje nogi. Znowu jęknęłam, głośniej.

– Ona to lubi – powiedział, śmiejąc się łagodnie, i zaczął drugą ręką masować moje piersi.

Nie, wcale tego nie lubiłam. Uwielbiałam to. Miałam obsesję. Nigdy nie sądziłam, że sprośny, mokry seks pod prysznicem okaże się czymś, co pokocham bardziej niż croissanty z czekoladą wyciągnięte prosto z pieca i ociekające masłem.

– Nie chcę, żeby to się skończyło – sapnęłam, zbyt szybko zmierzając do szczytu. – Jax. Nigdy nie przestawaj.

– Nie przestanę – powiedział szorstko do mojego ucha. – Obiecuję. A teraz przestań się wstrzymywać.

Skąd wiedział? Zaczęłam podejrzewać, że ten mężczyzna potrafił czytać mi w myślach. Oparłam się o niego, owinęłam rękę wokół jego szyi i przyciągnęłam jego głowę. Pocałowaliśmy się. Przytrzymał zębami moją dolną wargę, badał językiem wnętrze ust, powoli napawał się mną. Czas rozciągnął się i zwolnił, aż wszystkie zegary przestały tykać i pozostaliśmy tylko my dwoje, woda, nasze miękkie, wspólne jęki i urywane oddechy.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że wpatrywał się we mnie, kropelka wody zawisła na czubku jego nosa, a na twarzy malował się wyraz uwielbienia.

Coś w głębi mojej piersi otworzyło się i wyswobodziło.

Orgazm uderzył we mnie jak kometa w ziemię. Zesztywniałam i wykrzyknęłam, bezpieczna w jego objęciach, patrzyłam mu w oczy, kiedy to się stało. Echo mojego spełnienia poniosło się po całej łazience.

– Zniszczyłaś mnie dla wszystkich innych – szepnął chrapliwie, zaczynając się zatracać. – Bianco. Zrujnowałaś mnie.

Zacisnęłam się na nim, zbyt rozbita, żeby mówić. Oparł się ramieniem o ścianę, żeby utrzymać nas w pionie. Drżał w spazmach, wydając takie odgłosy, jakby przeżywał ogromny ból.

– Kurwa – jęknął i wyszedł ze mnie. Potem pocałował mnie, jakby od tego zależało jego życie, i doszedł na mojej skórze.

Zanim zdążyliśmy się pozbierać, woda zaczynała robić się chłodna.

Jax wyciągnął rękę i wyłączył natrysk. Objął mnie ramionami i schował twarz w mojej szyi, przytulając mocno, a jego pierś falowała.

Wypowiedział moje imię, ale przerwałam mu.

– Jeszcze nie. Nie rozmawiajmy o tym jeszcze – szepnęłam.

Bałam się tego, co mogło wypłynąć z moich ust, gdyby zapytał, jak się czułam.

***

Osuszyliśmy się i ubraliśmy w ciszy, unikając swoich spojrzeń. Wiedzieliśmy, że jakiekolwiek słowa to będzie zbyt dużo, a zarazem za mało. Coś zmieniło się między nami pod prysznicem. Coś głębokiego zapuściło korzenie.

– Potrzebujesz jedzenia – powiedział Jackson, spoglądając na mój brzuch po kolejnym, alarmująco głośnym burczeniu. Mój żołądek brzmiał, jakby zagnieździła się w nim wielka, mięsożerna bestia, awanturująca się i rozbijająca meble.

– Jedzenie! Tak! – odpowiedziałam z głośnością osoby, która krzyczy do znajomego stojącego po drugiej stronie autostrady.

Jackson spojrzał na mnie pytająco.

Stał w drzwiach łazienki, patrząc, jak zwijałam mokre włosy w duży, niechlujny kok. Założyłam biały, kaszmirowy sweter, który mi kupił, i ciemnoszare rurki, które musiały być szyte na miarę, bo pasowały idealnie *zarówno* w talii, jak i w biodrach, a to statystycznie niemożliwe.

– I może twardego drinka – dodał oschle, obserwując moją twarz.

Twardy. Boże, nie mów do mnie o niczym twardym! Napotkałam w lustrze jego spojrzenie i zmusiłam się, żeby wyglądać jak osoba o zdrowych zmysłach.

– No więc, rozmawiałeś z rodzicami?

Jeden kącik jego ust drgnął ku górze.

– Tak.

Pozwoliłam, żeby to słowo zawisło w powietrzu, torturując mnie.

– I?

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. To było jak oglądanie wschodu słońca nad szczytami gór.

– I cię kochają – mruknął, wytrzymując moje spojrzenie.

Kochać.

Kurczę, znowu to słowo.

Pojawiało się w mojej głowie i jego słowach w ciągu ostatniej godziny jak chwasty w pęknięciach chodnika. Musiałam sobie przypominać, że to była umowa biznesowa. On był tutaj dla swojego dziedzictwa, a ja dla mamy. Nic dobrego by z tego nie wyszło,

gdybym zaczęła doszukiwać się głębszego znaczenia w rzeczach takich jak gorący seks pod prysznicem.

Gorący, emocjonalny, obnażający, rozdzierający duszę, zmieniający życie seks pod prysznicem.

– Oho – powiedział Jackson. – Czuję dym. Znowu myślisz.

– Ha, ha. A teraz, czy możemy już zdobyć jakieś jedzenie, zanim pochłonę tę kostkę mydła?

Odsunął się od drzwi i objął mnie ramionami, kładąc podbródek na czubku mojej głowy.

– Tak. Ale musisz mi obiecać, że jeśli to twoje małe załamanie psychiczne się pogorszy, porozmawiasz ze mną, żebym nie musiał wyłaskotać z ciebie informacji.

Obdarzyłam go przerażającym spojrzeniem wariatki.

– Nie będziesz mnie łaskotał. Nigdy. Rozumiesz?

Przekrzywił głowę i szepnął mi do ucha:

– Przykro mi, skarbie, ale tego nie ma w umowie. – A potem wbił palce w moje żebra.

Krzyknęłam i próbowałam się wyswobodzić, ale był za silny. Objął mnie i podniósł tak, że znaleźliśmy się twarzą w twarz, ręce miałam przyciśnięte do boków, a stopy bezskutecznie kopały w powietrzu.

– To niesprawiedliwe, że jesteś taki wielki – gderałam. – I okropnie silny.

– Aż tak silny nie jestem, ale dziękuję.

– Cukiereczku, trzymasz mnie, jakbym była bochenkiem chleba. I to takim nadmuchanym jak na zakwasie.

Zaśmiał się i pocałował mnie w czubek nosa.

– Cukiereczku? – wycedził.

Opuścił rzęsy, wyraźnie z siebie zadowolony. Z irytacją zastanowiłam się, dlaczego takie gęste, jedwabiste, czarne rzęsy zawsze są marnowane na mężczyzn, którzy nie docenią posiadania podobnych cudów.

Prychnęłam jak zadufana w sobie arystokratka.

– To było przejęzyczenie. Brak jedzenia tak na mnie wpływa. Mogę zemdleć w każdej chwili.

Pocałował mnie delikatnie i znowu się zaśmiał.

– Rozumiem. Nadal jesteś w nastroju do wciskania mi kitów. W porządku, odpuszczę ci to do – zerknął na zegarek, a to oznaczało, że trzymał mnie teraz jedną ręką – południa. Zgoda?

– Pozer – mruknęłam.

Zaśmiał się i postawił mnie na nogi.

– Po śniadaniu – oznajmił, wyprowadzając mnie za rękę z pokoju – będziesz mogła wybrać: jazda konna, kręgle, tenis, łódki, wycieczka po ogrodzie botanicznym albo beczkownia.

– Beczkownia?

Spojrzał na mnie przez ramię i się uśmiechnął.

– To oczywiście miejsce, w którym trzymamy wszystkie beczki.

Wywróciłam oczami.

– Oczywiście.

***

Reszta dnia była jak bajka, a ja byłam Kopciuszkiem.

Zjedliśmy śniadanie w słonecznym pokoju, który Jackson nazwał solarnym, w towarzystwie śpiewu tuzinów ptaków zamkniętych w klatkach rozwieszonych na różnej wysokości. Służący, choć nadal się wahali, wydawali się dzisiaj bardziej przyjaźni, nawet ośmielali się uśmiechać, kiedy przynosili nam jedzenie i zabierali talerze. A co jeszcze bardziej zaskakujące, Jackson odpowiadał im uśmiechem.

Wydawał się zupełnie innym człowiekiem niż wczoraj. Lżejszym. Mniej nękanym przez duchy. Jego rodzice też zdawali się inni, chociaż oni się nie wahali. Powitali nas ciepło, kiedy zeszliśmy na dół, prowadzili lekką rozmowę, a potem wyszli, ale obiecali spotkać się z nami na kolacji.

Miałam wrażenie, że zostawiają nas samych, a nie unikają, a to dwie kompletnie różne kwestie.

Jackson zafundował mi przejażdżkę po posiadłości wózkiem golfowym, ozdobionym wielką literą B z przodu, na boku i na dachu, co uznałam za naprawdę zabawne. Jakby ktoś mógł się pomylić, do kogo należał. Ogrody botaniczne to majstersztyk inżynierii, zaprojektowane przez chorobliwie pedantycznego botanika

z fetyszem nagich posągów i ogrodowych labiryntów. Gdybym była tam sama, zgubiłabym się w ciągu pięciu minut.

Obok stajni przejechaliśmy z maksymalną prędkością. Jackson wskazał je tylko kciukiem. Byłam zadowolona, że nie przyjęłam jego oferty jazdy konnej, bo najwidoczniej kilka duchów nadal czaiło się w siodlarni i tylko czekały, by zacząć jęczeć i szarpać za łańcuchy.

Jeziora. Drzewa. Piękny, biały kościółek ze strzelistą wieżą. Całe kilometry zadrzewionych ścieżek i ukrytych, małych pól golfowych oraz mnóstwo terenów usianych dziką przyrodą. Kilka razy musieliśmy zrobić unik, żeby ominąć przestraszonego zająca albo jelenia. Ranczo Moonstar to miejsce wypełnione magią, a wrażenie, że znalazłam się w bajce, narastało we mnie z biegiem dnia.

Co jakiś czas mój pierścionek zaręczynowy mienił się i błyszczał na palcu, posyłając wszędzie wkoło migoczące iskry, niczym zapowiedź czegoś dobrego.

Rozmawialiśmy, śmialiśmy się, nieśmiało trzymaliśmy za ręce, uśmiechając się do siebie oczami. W beczkowni – ogromnym, betonowym prostokącie, gdzie rodzina przetrzymywała prywatne zapasy – Jackson pocałował mnie w chłodnym, zacienionym kącie, za ścianą drewnianych beczek burbona ustawionych na metalowych regałach. Na lunch zrobiliśmy sobie piknik w cieniu ogromnej wierzby płaczącej, na wzgórzu górującym nad lśniącym jeziorem. Mieliśmy plan, żeby zjeść kolację z jego rodzicami. Chciałam przyrządzić dla nich słynną jambalayę mamy oraz ciasto z jeżynami i burbonem.

Kiedy poszliśmy do pokoju Jacksona, żeby przebrać się do kolacji, zadzwonił mój telefon. Zostawiłam go na komodzie, zbyt rozkojarzona tym, co się wydarzyło między nami pod prysznicem, by pamiętać o zabraniu go ze sobą.

– Halo? – Ze śmiechem udaremniłam próbę Jacksona, który chciał uszczypnąć mnie w tyłek.

– Bianco – powiedziała Eeny. Jej głos przeszedł w szloch.

Słowa spadły na mnie jak cegły rzucone z dachu budynku.

Tak mi przykro.

Odeszła.

Nic nie mogliśmy zrobić.

Próbowałam oddychać, ale nie mogłam. Próbowałam mówić, ale udało mi się wydobyć z siebie tylko zbolałe jęknięcie. Zrobiło mi się gorąco, a potem lodowato. Zaczęłam gwałtownie drżeć.

– Bianco? – Dotarł do mnie ostry, przepełniony troską głos Jacksona. Spojrzałam na niego. – Co się dzieje?

Upuściłam telefon i opadłam na kolana.

– Mama – wychrypiałam, krztusząc się słowami. – Nie żyje.

I od tej chwili ja również byłam martwa.

Bajka się skończyła.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

JACKSON

Przeżyłem wiele bolesnych momentów. Do tej pory sądziłem, że znam wszystkie ohydne oblicza bólu, wszystkie sposoby, w jakie potrafi paraliżować i ranić.

Ale przy tym jednym telefonie odkryłem, że nie ma na świecie gorszego bólu, niż obserwowanie cierpienia kogoś, kogo kochasz, kiedy nie możesz zrobić nic, żeby ulżyć w tej agonii.

Pocałowałem ją, przytuliłem i kołysałem, obiecałem, że zrobię wszystko, żeby pomóc. Słowa. A każde było bezużyteczne. Żadne z nich niczego nie zmieniło, nie przebiło się przez bryłę lodu, która utworzyła się wokół niej. Odkąd Bianca odebrała ten telefon, stała się zimna. Uszło z niej całe życie. Cały ogień zgasł. Pozostała tylko zszokowana skorupa.

Nawet nie płakała, a to było chyba jeszcze gorsze.

– Muszę wrócić tak szybko, jak to możliwe – powiedziała pustym głosem, siedząc na podłodze, plecami oparta o bok łóżka. Kucałem przy niej, trzymając jej lepką, bezwładną dłoń, walcząc z okropnym uczuciem spadania, jakby w mojej piersi powstało osuwisko.

– Oczywiście. Samolot może być gotowy w ciągu godziny. Dopilnuję, żeby bagaże zostały spakowane.

Zamknęła oczy. Nie odezwała się ponownie, dopóki nie dotarliśmy do Nowego Orleanu, poza pożegnaniem z moimi rodzicami, którzy byli tak samo zrozpaczeni jak ja, kiedy usłyszeli te wieści. Opuściliśmy Ranczo Moonstar w taki sam sposób, w jaki przybyliśmy, limuzyną i prywatnym samolotem, ale wszystko się zmieniło.

Po sposobie, w jaki Bianca wpatrywała się w pierścionek, zrozumiałem, że to, co wydarzyło się między nami było *przed*. Teraz

było *po*. To była nowa rzeczywistość, w której jej matka nie żyła i zabrała ze sobą do grobu jedyny powód, żeby Bianka była ze mną.

Więc tak. Sądziłem, że wcześniej znałem Ból. Sądziłem, że znałem Stratę.

Ale okazało się, że te dwie bezwzględne suki dopiero ze mną zaczynały.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

BIANCA

Padało, kiedy wylądowaliśmy w Nowym Orleanie. Niebo miało ten sam obrzydliwy odcień szarości co moja dusza.

Nie wiedziałam, dlaczego czułam się taka otępiała. To pewnie szok. Tak czy inaczej, byłam wdzięczna, że moje zmysły były tak otumanione, bo wiedziałam, że wokół mnie wiszą już tysiące niewidzialnych sztyletów rozpaczy, czekających tylko na swój moment, żeby ciąć i utoczyć krwi.

I doczekają się, tego byłam pewna. Ale jak na razie byłam bezpieczna w kokonie delikatnych dźwięków, w którym nic nie mogło do mnie dotrzeć. Nawet ta udręka w oczach Jacksona.

Jego pierścionek zaręczynowy odczuwałam jak zimny ciężar na palcu, nieustanne przypomnienie układu, który zawarliśmy, oraz jego powodu.

Nie mogłam o tym myśleć. Nie zdołałabym dzisiaj stawić czoła większemu stężeniu trudnej rzeczywistości. Mogłam tylko stawiać nogę za nogą i dalej oddychać.

Kiedy dotarliśmy do domu mamy, ledwo mogłam robić nawet to.

– Trzymam cię – powiedział Jackson, kiedy wysiadłam z samochodu i prawie upadłam. Objął mnie w talii i częściowo niósł, a częściowo wlókł po schodach do domu. Eeny już tam była, twarz miała poznaczoną zaschniętymi łzami, które zaczęły znowu płynąć w chwili, gdy na mnie spojrzała.

– Dziecinko! – zawyła i zmiażdżyła mnie w uścisku.

– W porządku – szepnęłam w jej pierś. – Wszystko będzie dobrze. – Nie wiedziałam, kogo chciałam przekonać, ją czy siebie.

Młoda, rudowłosa kobieta w bladoniebieskim kitlu stała obok kanapy, wykręcając dłonie.

– Panno Hardwick – wymamrotała, podchodząc bliżej. – Nazywam się Jennifer Wright, jestem z Programu Pomocy Domowe Anioły. Bardzo mi przykro z powodu pani straty.

Domowe Anioły. To pewnie firma, którą wynajął Jackson. Starałam się skupić na głosie kobiety, kiedy mówiła dalej.

– Miałam popołudniową zmianę. Gina, która była tu rano, powiedziała, że pani matka odpoczywała wygodnie, kiedy wychodziła w południe. Zjadła lekki lunch, potem poszła uciąć sobie drzemkę. Wtedy musiała… – Jennifer nie wiedziała, jak powiedzieć to uprzejmie, więc odpuściła. – Najwidoczniej Eeny przyjechała tuż przede mną, o czwartej.

Eeny przywarła do mnie, mocząc łzami moją szyję.

– Wyglądała, jakby spała! Tak spokojnie jak anioł…

Znowu zaszlochała. Jennifer przygryzła dolną wargę i zaczęła wykręcać ręce jeszcze szybciej.

Jackson zdał sobie sprawę, że był jedyną trzeźwo myślącą osobą, więc przejął kontrolę.

– Wezwano pogotowie? – zapytał Jennifer, brzmiąc tak, jakby mógł rozerwać ją na pół, gdyby źle odpowiedziała.

– Tak – pisnęła, blednąc. – Próbowali ją reanimować. Kiedy się nie udało, zapytali, czy chcemy przewieźć panią Hardwick do szpitala, czy skontaktować się z domem pogrzebowym, żeby stąd zabrali jej zwłoki.

Jej zwłoki. Prawie zemdlałam, ale zdołałam wziąć się w garść samą siłą woli, zaciskając zęby, żeby powstrzymać szloch, który budował się w moim gardle.

Jennifer zaraz podjęła:

– Eeny i ja pomyślałyśmy, że byłoby lepiej, gdyby pani Hardwick została tutaj, zanim nie przyjedzie jej córka. Mam nadzieję, że to w porządku?

– Tak – odparłam słabo. Wyswobodziłam się z uścisku Eeny i skinęłam głową Jennifer, która wyglądała na przerażoną, że mogła zrobić coś źle. – Dziękuję, Jennifer. – Spojrzałam na koniec korytarza, w stronę zamkniętych drzwi sypialni mamy.

Jackson zauważył kierunek mojego spojrzenia i delikatnie położył dłoń na moim ramieniu.

– Chcesz, żebym…?

– Nie – odpowiedziałam. – Chciałabym spędzić z nią chwilę sama, jeśli pozwolisz.

– Oczywiście. Tyle, ile potrzebujesz. Zadzwonię do Domu Pogrzebowego Robertsona i zacznę przygotowania, chyba że jest coś innego, co chciałabyś…

– W porządku – wyszeptałam, już się odsuwając. Nie miało znaczenia, która firma zabierze ciało mamy. Ta część jej, która się liczyła, już odeszła.

Zebrałam się w sobie i zawahałam chwilę przy drzwiach, zanim weszłam. Jedyną martwą osobą, którą do tej pory widziałam, był mój ojciec, a on zmarł, kiedy byłam na tyle młoda, by rozumieć śmierć, ale nie bać się jej. Nie wiedziałam, jak zareaguję na widok mamy leżącej bez życia w łóżku, i pomodliłam się w duchu, żeby sobie poradzić.

Drzwi się uchyliły. W pokoju panował półmrok, jedyne światło pochodziło z lampki, stojącej na stoliku przy łóżku. Powietrze było chłodne, nieruchome, pachniało lekko perfumami mamy.

Zbliżyłam się do łóżka z łomoczącym sercem. Przerażenie zaciskało mi się na gardle, jak pętla na szyi wisielca. Kiedy podeszłam bliżej i zobaczyłam spokojny wyraz twarzy mamy, lęk odszedł jak cofająca się fala i znowu mogłam oddychać.

Klęknęłam przy łóżku i chwyciłam ją za rękę. Nie było w niej już nawet cienia ciepła.

– Nie mogę uwierzyć, że mnie zostawiłaś – szepnęłam i usłyszałam oskarżenie w swoim głosie. Nagle byłam znowu dzieckiem, sześciolatką zagubioną podczas parady na Mardi Gras, kiedy mama na chwilę puściła moją dłoń. Czułam się dokładnie tak samo jak wtedy, niedowierzanie pomieszane z narastającą histerią, desperackie wyszukiwanie jej twarzy w tłumie nieznajomych.

Ale tym razem histeria nie zostanie zastąpiona słodką ulgą, kiedy zostanę odnaleziona. Pozostanę na zawsze zagubiona w morzu nieznanych twarzy, wykrzykując jej imię.

Powiedziałam jej, że ją kocham, że była najlepszą matką, jaka mogła istnieć i że mam nadzieję w przyszłości stać się chociaż w połowie taką kobietą jak ona, a także że zawsze będę się starała

sprawić, żeby była ze mnie dumna. Przez cały ten czas była cicha i nieruchoma, jak mogą być tylko zwłoki, ta natarczywa nieobecność życia, jakby coś wysysało powietrze z pomieszczenia.

Wyczułam zmianę atmosfery dopiero, kiedy szepnęłam:

– Powiedz tacie, że za nim tęsknię.

Coś krótko zamigotało. W powietrzu pojawiły się pulsujące błyski.

Może to moja wyobraźnia, ale przysięgam na Biblię, że poczułam delikatny dotyk na głowie.

Potem zniknął, a ja zostałam sama w chłodnym, cichym pokoju ze zwłokami mojej matki. Cały ból, który wstrzymywałam, teraz uderzył we mnie z pełną mocą.

Odrzuciłam głowę i zawyłam jak zwierzę, na tyle głośno, żeby wypłoszyć z nory każdego ducha w promieniu kilometra.

***

Mężczyźni z nijakimi twarzami, pracownicy domu pogrzebowego, mówili spokojnym, kojącym tonem. Ubrani byli w czarne garnitury i mieli wpięte w klapy białe goździki. Wybrałam trumnę z katalogu. Miała piękne, lawendowe obramowanie, które na pewno spodobałoby się mamie. Poczyniono wszystkie przygotowania. Papiery zostały podpisane. Kondolencje złożone.

Potem załadowali mamę do karawanu i zabrali.

Eeny pożegnała ją łzawym okrzykiem:

– Bezpiecznej podróży, pani Davino! – Ból był tak obezwładniający, że prawie upadłam na kolana.

Przez cały ten czas Jackson był jak skała. Trzymał dłoń na moich plecach, na ramieniu albo ręce – ciągły, delikatny dotyk wyrażający wsparcie. Kiedy trudno było mi stać, przytrzymywał mnie. Kiedy nie mogłam mówić, mówił za mnie. Podziękował Jennifer i odesłał ją do domu, potem poprosił Eeny, żeby poszła do restauracji i zajęła się tam wszystkim, bo każdy dobrze widział, że nie byłam w stanie temu sprostać.

– Odwołaj wszystkie rezerwacje do końca tygodnia – powiedziałam bezbarwnym głosem. – Wywieś kartkę „Czasowo zamknięte”.

– Mam do kogoś zadzwonić, dziecinko? Ludzie będą chcieli wiedzieć, że Davina odeszła.

– Tak – odparłam. W głowie mi pulsowało. – Zadzwoń do wszystkich. Dam ci znać, kiedy tylko ustalę z kościołem termin pogrzebu. Dziękuję, Eeny.

Nie miałam siły się kłócić, kiedy Jackson dodał:

– Powiedz pracownikom restauracji, że dostaną wypłatę za dni, kiedy będzie zamknięte.

Na tym etapie jedyne, czego pragnęłam, to położyć się i spać przez kilka lat.

Eeny wyszła, szlochając. Jackson i ja usiedliśmy przy stole kuchennym, wpatrując się w siebie, jakbyśmy byli ludźmi, którzy przetrwali katastrofę lotniczą tylko po to, by znaleźć się na bezludnej wyspie, bez jedzenia i schronienia, a nadciągał huragan.

– Tak mi przykro – powiedział w końcu. W jego spojrzeniu było coś dzikiego. – Była uroczą kobietą.

Spojrzałam na stół. Drewniana powierzchnia była poznaczona i porysowana od lat użytkowania. Żal spływał po mnie jak rwąca rzeka, rozbijająca się o brzegi.

– Tak. Dziękuję. Za wszystko, co zrobiłeś, dziękuję. Byłeś bardzo pomocny.

Nie chciałam, żeby to brzmiało, jakbym go odprawiała, jakby komisja zadecydowała, że dobrze działał pod presją, ale teraz musiał już iść, lecz niestety tak właśnie to zabrzmiało. Trochę bardziej zgarbił się na krześle.

Minuta upłynęła w ciszy. Potem Jackson odchrząknął.

– Zostaniesz tutaj na noc?

Nie zastanawiałam się nad tym, ale w chwili, gdy te słowa wyszły z jego ust, wiedziałam, że dokładnie to chcę zrobić.

– Tak – odparłam i dziwnie mi ulżyło.

Skinął głową. Szczękę miał zaciśniętą. Mój pierścionek zaręczynowy uchwycił promień światła i odbił go na kuchnię milionem pryzm. Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek mógł nastąpić bardziej niezręczny moment.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić? – zapytał. – Potrzebujesz czegoś?

Kiedy zaprzeczyłam, wyraźnie zeszło z niego powietrze.

– W porządku – odpowiedział cicho. – W takim razie ja po prostu… chyba po prostu pójdę.

Nie mogłam na niego spojrzeć. Moją pierś wypełnił chaotyczny trzepot skrzydeł. Chciałam, żeby poszedł? Chciałam, żeby został? Już nic nie wiedziałam, tylko to, że trudno mi było złapać oddech. Obawiałam się, że gdybym spojrzała mu w twarz, rozpadłabym się na tysiące kawałeczków.

Wstał.

– Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować. – W jego głosie słychać było odrobinę żalu, jakby już wiedział, że tego nie zrobię.

Pocałował mnie w czubek głowy, jego usta ledwo się przycisnęły, zawisły na chwilę i już ich nie było. Potem podszedł powoli do drzwi wejściowych, ramiona opadły mu w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. Kiedy usłyszałam otwierające się drzwi, płuca wypełniły mi się powietrzem, jakbym chciała krzyknąć, ale potem się zatrzasnęły, a ja zostałam sama w ciszy. Okropna realność całego tego dnia zaczęła do mnie dochodzić.

Gdzieś w oddali zawył pies. Dźwięk był identyczny z tym, który słyszałam w głowie.

***

Minął dzień. To bezduszne, jak słońce ma czelność wschodzić i zachodzić, a potem znowu wschodzić, kiedy jest świadkiem tylu nieszczęść.

***

Obudziłam się rano, nie mając pojęcia, gdzie się znajdowałam. Podniosłam się z kanapy i zdezorientowana rozejrzałam po małym saloniku, spojrzałam na wczorajsze ubrania, mrugając z powodu jasnego światła, wsączającego się przez zasłony. Potem sobie przypomniałam i poczułam się, jakbym miała tysiąc lat.

Wszystko wyglądało inaczej bez mamy na tym świecie. Nawet moja własna twarz w lustrze. Wyglądałam na starszą. Twardszą. Coś

zgasło w moich oczach.

Nie mogłam nic jeść, ale desperacko potrzebowałam kawy. Zrobiłam sobie filiżankę i prawie ją upuściłam, kiedy zadzwonił telefon. Nerwy miałam w strzępach.

– Halo?

– Bianco? – powiedział Pułkownik, szlochając. – Och, Bianco, powiedz mi, że to nieprawda!

Zamknęłam oczy i oparłam czoło o ścianę.

– Ja też nie mogę w to uwierzyć. To niemożliwe, że jej nie ma.

Słuchanie, jak mężczyzna płacze, to jedna z najokropniejszych rzeczy na świecie. Ich łzy są dużo bardziej przytłaczające od kobiecych. Może dlatego, że tak rzadko je przelewają.

– Czy to był atak serca? – zapytał Pułkownik, jego głos był zdławiony przez głęboki szok.

– Nie wiem. Nie chciała mieć sekcji, więc nie poznamy dokładnej przyczyny śmierci, ale chemioterapia ciężko wpłynęła na jej organizm.

Nastąpiła wypełniona oszołomieniem cisza.

– Chemioterapia?

– Miała raka płuc – szepnęłam. – Przyjmowała chemioterapię od kilku tygodni. W środę miała mieć operację.

Cichy, rozpaczliwy okrzyk Pułkownika trafił prosto w moje serce.

– Rak? Mój Boże! Nie powiedziała ani słowa. Myślałem, że ma grypę!

– Wiem. Przepraszam. Wszystkim tak mówiła.

Dopiero po chwili zebrał się w sobie na tyle, by rozmawiać dalej.

– Wiesz, co myślę? – powiedział ochrypłym szeptem.

– Nie. Co?

Wziął głęboki, drżący oddech. Wyobraziłam go sobie po drugiej stronie, ocierającego oczy i zbierającego się w sobie, by przybrać tę sztywną pozę, z której wszyscy go znali. Powiedział:

– Myślę, że po prostu miała dość życia bez twojego taty, a teraz, kiedy się ustatkowałaś, postanowiła, że czas na nią.

Z mojej piersi wyrwał się szloch. Walcząc ze łzami, zakryłam usta dłonią.

– Kochałem twoją mamę, Bianco. Była dobrą kobietą i będę za nią bardzo tęsknił. Ale zawsze wiedziałem, że dawno temu oddała swoje serce. Wiedziałem, że nigdy nie przestanie kochać twojego taty. Ale jestem wdzięczny za czas, który spędziliśmy razem, bo uszczęśliwiła mnie. Sprawiła, że świat był lepszym miejscem.

Nie wiedziałam, jakim cudem nadal stałam. Dziwne, zduszone odgłosy wydobywały się z mojego gardła.

Pułkownik zapytał łagodnie:

– Czy jest coś, czego potrzebujesz, skarbie? Mogę coś dla ciebie zrobić?

Udało mi się zaprzeczyć, ale odpowiedział głos innej osoby. Kogoś, kto warknął ochryple i miał złamane serce. Pożegnaliśmy się i rozłączyliśmy, ale zanim moja kawa wystygła, telefon znowu zadzwonił.

Nie przestawał przez wiele godzin.

Pomiędzy telefonami, pojawiali się goście.

Przybywali nieustannym strumieniem, przyjaciele i sąsiedzi, członkowie kościoła mamy. Przynosili jedzenie i łkali w zmięte chusteczki. Wszystko się rozmazywało. Wszystkie twarze zlewały się w jedną. Wszyscy ci ludzie wykańczali mnie, a zarazem dodawali energii, ich żal spiętrzał się na moim, ich głosy przypominały brzęczenie wściekłych os przy uchu. Znowu zaczęłam czuć się oderwana i otępiała, ale byłam za to wdzięczna.

Otępienie było lepsze niż alternatywa. Przy odrobinie szczęścia to otępienie poprowadzi mnie przez resztę życia.

Zadzwoniłam do kościoła i ustaliłam pogrzeb mamy na środę w południe. Zostanie pochowana dokładnie w dzień, kiedy miała odbyć się operacja ratująca jej życie. Nie chciałam roztrząsać tego zbiegu okoliczności.

Kiedy zadzwonił Jackson, powiedziałam mu, że muszę na razie zostać w domu mamy, żeby się ze wszystkim uporać. Gdy zapytał, czy ma przyjechać, żeby w czymś pomóc, odpowiedziałam, że nie. Po niezręcznej ciszy, która nastąpiła, powiedział, że wysłał do mnie trochę moich ubrań. Pomyślałam, że miał nadzieję usłyszeć, żeby się nie kłopotał, bo wkrótce wrócę do Rivendell, ale byłam na to zbyt zmęczona, więc powiedziałam tylko:

– W porządku.

Kiedy się rozłączyliśmy, czułam się, jakbym była zupełnie oderwana od rzeczywistości. Byłam małą łódką, która zgubiła kurs i dryfowała po morzu bez celu.

Przez następne dwa dni nic nie jadłam. Prawie nie spałam. Przetrwałam na kawie i adrenalinie, zapominałam się myć, aż Eeny powiedziała, że śmierdzę jak koza. Do środowego poranka byłam wrakiem człowieka. Nie wiedziałam, jak przetrwam pogrzeb, nie mdlejąc.

Ale ponownie pomogła mi siła Jacksona.

Pchnął moją małą łódkę na trudne wody i puścił mnie wolno.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

BIANCA

Rześkie powietrze, temperatura około czternaście stopni, niebo barwy krystalicznie czystego błękitu nad naszymi głowami. Eeny stała po mojej lewej stronie, szlochając w chusteczkę. Jackson po mojej prawej, jak wykuty z kamienia, zupełnie jak moje serce.

Nabożeństwo było piękne, uczestniczyło w nim prawie czterysta osób. Głosy chórzystów gospel popłynęły aż pod sklepienie kościoła. Hoyt zorganizował muzykę jazzową do procesji z kościoła Świętego Augustyna na cmentarz. Dwa tuziny muzyków w czarnych czapkach i białych koszulach wyjściowych powoli prowadziły żałobników przez ulice Nowego Orleanu przy akompaniamencie hymnów granych na trąbkach, bębnach, saksofonach i klarnetach. Przy grobie ułożono tyle kwiatów, że przyleciała cała armia pszczół, dodając delikatne brzęczenie, podkreślające wygłoszone przez księdza ostatnie błogosławieństwo i pożegnanie.

Potem trumna mamy została opuszczona do grobu i to był koniec.

Kiedy wróciliśmy do domu, czuwanie trwało całą wieczność. W końcu po zapadnięciu zmroku, dom opustoszał i zostałam sama z moim żalem i ponurym narzeczonym, który wyglądał na dokładnie tak zdruzgotanego, jak ja się czułam.

Powróciła czarna broda. Włosy tylko przeczesał palcami. Był niespokojny i podenerwowany, ciemna chmura burzowa zawisła nad jego głową. Chociaż miał na sobie garnitur i krawat, wydawał się Bestią bardziej niż kiedykolwiek.

– Usiądźmy – powiedział szorstko, wskazując w stronę kanapy. – Musimy porozmawiać.

Zaskoczona, usiadłam i złożyłam dłonie na kolanach, czekając, aż on również usiądzie. Jednak to nie nastąpiło. Stał wpatrując się

w podłogę, ręce wisiały luźno przy bokach i lekko drżały.

– Jacksonie?

Zerknął na mnie. Jego oczy były zupełnie ciemne. Coś w tym spojrzeniu sprawiło, że dostałam gęsiej skórki.

Wystraszona, zapytałam:

– Co się dzieje?

Zwilżył wargi. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza powoli wyjął plik złożonych kartek.

– Nie musimy tego ciągnąć dłużej, niż jest to konieczne. Chciałem poczekać, aż będzie po…

Przełknął, ponownie zwilżył wargi i zaczął od nowa.

– Wiedziałem, że masz dużo na głowie. Chciałem poczekać, aż skończy się pogrzeb, żeby dać ci to.

Wyciągnął dokumenty w moją stronę.

– To moja kopia umowy.

Wzięłam papiery i zdezorientowana zmarszczyłam brwi.

– Nie rozumiem.

Jackson przesunął dłonią po włosach. Poluzował krawat, podszedł do okna i wyjrzał w noc, jakby już stracił nadzieję, że znajdzie coś, czego szukał. Niskim, ostrym głosem zapytał:

– Nie myślałaś chyba, że teraz zmuszę cię do ciągnięcia tego, prawda?

Kiedy milczałam zaskoczona, bo pomyślałam, że wiem, co miał na myśli, zwrócił się ku mnie z tak udręczonym wzrokiem, że serce zamarło mi na chwilę.

– Proszę, powiedz, że nie miałaś mnie za człowieka, który zrobiłby coś takiego.

Wstałam powoli. Dokumenty w mojej dłoni drżały jak szalone.

– Zawarliśmy umowę – powiedziałam ochryple, nie poznając własnego głosu. – Twój majątek…

– Dla mnie już od jakiegoś czasu nie chodziło o majątek, Bianco – przerwał mi szorstko, a oczy mu lśniły. – Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy kiedykolwiek o niego chodziło.

To zawisło między nami, aż zapierało dech w piersi.

– Jax – szepnęłam.

Coś w wyrazie mojej twarzy sprawiło mu ból. Odwrócił się, wepchnął ręce do kieszeni i pochylił głowę.

– Każę przywieźć tu wszystkie twoje rzeczy. Przykro mi, że musiałaś zrezygnować ze swojego domu. Wyczucie czasu było po prostu – jego śmiech zabrzmiał płytko – gówniane.

Chciałam coś powiedzieć – cokolwiek – ale słowa się nie pojawiały. Jackson pozwalał mi zrezygnować z umowy. Nie musiałam za niego wychodzić.

I miał wszystko stracić.

W końcu zebrałam się w sobie. Przecież umowa to umowa, a ja zamierzałam dotrzymać mojej części, niezależnie od tego, jak zmieniły się okoliczności.

– Nie mogę ci na to pozwolić – powiedziałam i rzuciłam dokumenty na stolik. Wylądowały tam z pacnięciem, które wydawało się zbyt głośne w pokoju pogrążonym w ciszy.

Jackson odwrócił się od okna. Spojrzał na papiery, potem na mnie. Następnie przemierzył pokój w kilku długich krokach i podniósł umowę. Przedarł ją na pół nagłym, gwałtownym ruchem.

– Nie rozumiesz? Nie jesteś już zobowiązana wobec mnie! Jesteś wolna! Żyj własnym życiem!

Jego głos był zdławiony od emocji. Oczy miał dziksze niż kiedykolwiek. Położyłam dłoń na łomoczącym sercu.

– Przepraszam – wychrypiał, nagle skruszony, i cofnął się o krok. – Kurwa. Tak bardzo cię przepraszam. Jestem dupkiem. Wiem, że to najgorszy dzień twojego życia. Nie chciałem… Nie mogę…

Znowu zaklął, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

– Zachowaj pierścionek – powiedział przez ramię. – Spłucz go w toalecie. Wyrzuć. Cokolwiek chcesz. Jutro wyślę twoje rzeczy. Daj mi znać, jeśli będziesz potrzebowała jeszcze czegoś.

Otworzył drzwi i zniknął, zanim zdołałam zdecydować, czy słowa, które cisnęły mi się na usta, to *Dziękuję* czy *Nie odchodź*.

Siatkowe drzwi zatrzasnęły się za nim.

***

Zgodnie z danym słowem, Jackson odesłał wszystkie moje rzeczy do domu mamy, w tych samych pudłach, do których wieki temu je spakowałam. Kilka dni spędziłam w dziwnym stanie zawieszenia, włóczyłam się bez sensu, próbowałam zdecydować, czy chcę sprzedać dom, czy go zatrzymać, zanim porzuciłam zamysł zmuszania się do podejmowania poważnych decyzji i padłam w salonie na kanapę, na której pozostałam przez kilka kolejnych dni, opuszczając ją tylko po to, by skubnąć coś z resztek pozostawionych w lodówce.

Nie pozwalałam sobie na myślenie o Jacksonie. Czułam niepokojący ból w mostku, kiedy choćby zbliżyłam się do przywołania w pamięci jego twarzy, więc wepchnęłam wspomnienia o naszych magicznych chwilach na Ranczo Moonstar głęboko w kąt swojego serca i skoncentrowałam się na przygnębieniu.

Eeny nie pozwoliła, żeby to trwało długo, zanim wparowała przez drzwi frontowe i zrugała mnie z góry na dół.

– Podnieś swoje cztery litery, dziewczyno, i wracaj do pracy! Myślisz, że kogo uhonorujesz tym mazgajeniem? Bo na pewno nie swoją mamę! Byłaby zniesmaczona, gdyby zobaczyła cię teraz, leżącą tak i tarzającą się jak świnia w gównie!

Eeny zawisła nade mną z rękami opartymi na biodrach, patrzyła spode łba na żałosny obraz, jaki sobą prezentowałam na kanapie, w brudnej piżamie i z nieumytymi włosami.

Szczerze żałowałam, że dałam jej klucze.

– Masz rację – powiedziałam bez emocji, wpatrując się w sufit. – Wiem, że masz rację.

– Więc bierz dupsko w troki i wstawaj! – Z frustracją kopnęła lekko kanapę i mnie popchnęła.

– Jestem w żałobie. Nie powinnaś przeklinać na ludzi w żałobie.

Parsknęła i skrzyżowała ręce na piersi.

– Sama pchasz się w kłopoty, dziecinko.

Nie musiała nic więcej mówić. Ostatnia osoba, której to powiedziała, skończyła z czterema przebitymi oponami, kogutem z odciętą głową na wycieraczce i dziwną, uporczywą wysypką.

– Już wstaję – burknęłam, ożywiając się. – Terrorystka.

– Ty jesteś terrorystką, dziecko. Patrzyłaś ostatnio w lustro? Jesteś tak przerażająca, że zatrudnią cię w nawiedzonym domu! Wyglądasz tak strasznie, że na twój widok pociąg towarowy pojechałby drogą gruntową! Jest z tobą tak źle…

– Dobra, rozumiem – powiedziałam, potykając się o własne nogi. – Wyglądam jak gówno.

Eeny przytaknęła, jakbym wreszcie powiedziała coś wyjątkowo inteligentnego.

– Jakbyś spadła z drzewa brzydoty i po drodze uderzyła w każdą, cholerną gałąź.

Westchnęłam ciężko. Eeny skrzywiła się i pomachała ręką przed moją twarzą.

– Panie! Twój oddech jest toksyczny, dziewczyno! Nie mogę uwierzyć, że usta ci się nie roztopiły.

Gdzieś głęboko we mnie zrodził się niechętny chichot, co sprawiło, że Eeny uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Już lepiej. A teraz weź prysznic i załóż jakieś czyste ubrania. Idziemy do restauracji. Masz ludzi do nakarmienia, a ja tęsknię za tym upartym, starym capem Hoytem bardziej, niż bym przypuszczała. Nie patrz tak na mnie! – Warknęła, kiedy uniosłam brew. – A jeśli to komuś powtórzysz, stłukę cię na kwaśne jabłko!

– Trzymam buzię na kłódkę.

Kiedy szłam do łazienki, by zmyć tygodniowe zaniedbanie, uśmiechnęłam się pierwszy raz od wielu dni. Zatrzymałam się, słysząc dźwięk swojego telefonu, leżącego na kuchennym blacie. Nie rozpoznałam numeru, ale odebrałam.

– Halo?

– Panno Hardwick, z tej strony Michael Roth.

To prawnik, którego wynajęłam, żeby sprawdził moją umowę z Jacksonem.

– W czym mogę panu pomóc, panie Roth?

– Otrzymałem kopię upoważnienia do konta od prawnika pana Boudreaux.

– Och. Tak, yyy, cóż, pan Boudreaux i ja… umowa, którą pan sprawdzał… – Westchnęłam. – Pan Boudreaux nie chce już zawierać związku małżeńskiego, więc na tym etapie umowa jest nieważna.

Cisza, która zapadła po stronie prawnika, była tak ciężka, że telefon zaczął ciążyć mi w dłoni. Powiedział:

– Ale nie upoważnienie.

Ziewnęłam i podrapałam się po głowie.

– Hmm?

– Panno Hardwick, czy zasięgnęła pani porady prawnej przed podpisaniem upoważnienia?

O rety. W jego głosie dało się słyszeć oskarżenie. Nie byłam w odpowiednim stanie, żeby radzić sobie z poirytowanym prawnikiem.

– Cóż… nie – przyznałam nieśmiało. – Wszystko to działo się dość szybko…

– Upoważnienie nie jest w żaden sposób powiązane z umową małżeńską – przerwał mi niecierpliwie.

Potarłam oczy pięścią, bo cała ta rozmowa zaczęła mnie już irytować.

– Panie Roth, będzie pan musiał mówić po angielsku. Jeszcze nie piłam kawy. Co chce pan powiedzieć?

Rozbawienie ogrzało jego ton.

– Mówię, że pan Boudreaux podarował pani milion dolarów.

Zmarszczyłam brwi. To nie miało żadnego sensu. Może źle go zrozumiałam.

– Nie, to nie może być prawda. Bez ślubu nie ma pieniędzy.

Pan Roth zaczął mówić powoli i cierpliwie, jak zwykle mówi się do dziecka albo osoby nie będącej w pełni władz umysłowych.

– Nie ma nigdzie mowy o powiązaniu upoważnienia z umową małżeńską, panno Hardwick. Jeśli chodzi o umowę, upoważnienie nie istnieje. Pojawiło się w niej tylko stwierdzenie, że wynagrodzenie ma wynieść milion dolarów i zostanie wypłacone po zawarciu związku małżeńskiego, ale nie wyszczególniono, w jaki sposób nastąpi przekazanie. To upoważnienie, które właśnie otrzymałem… – W tle usłyszałam odgłos przekładanych stron. – Jest nie do podważenia. Nieodwołalne. Jest pani jedyną upoważnioną osobą. Nikt inny nie ma dostępu do tych pieniędzy. Ten milion należy do pani, zamężnej czy nie.

Wywróciłam oczami.

– Panie Roth. Z całym szacunkiem, ale nie wie pan, co pan mówi. Wiem, że skończył pan wyższą uczelnię, bo widziałam dyplom w ramce na ścianie za pana biurkiem, ale źle pan to wszystko zrozumiał. Jackson Boudreaux nigdy nie popełniłby takiego głupiego błędu.

Po chwili pan Roth powiedział:

– Zgadzam się. Nie zrobiłby tego. To było działanie umyślne.

Otworzyłam usta, ale nic z nich nie wypłynęło.

– Oczywiście jeśli pani mi nie wierzy, radzę zasięgnąć innej opinii. – Pociągnął nosem. Jego ego ucierpiało przez moje niedowierzanie. – Ale każdy prawnik powie pani to samo. Gratulacje, panno Hardwick. Jest pani milionerką.

Wydyszałam:

– Jestem… cooo…

Pan Roth mówił dalej, ale jego głos był tylko odległym dzwonieniem w moich uszach. Nie usłyszałam już niczego więcej. Stałam w kuchni, sparaliżowana szokiem, aż zadzwonił telefon domowy i przywrócił mnie do rzeczywistości. Rozłączyłam połączenie z panem Rothem, który nadal mówił, i podniosłam słuchawkę zawieszoną na ścianie.

– Rezydencja Hardwicków – powiedziałam, kompletnie zdezorientowana.

Pan Roth musiał się mylić. Musiał. Dlaczego, u licha, Jackson miałby zrobić coś takiego?

– Bianco – powiedział Trace.

W jego ustach moje imię brzmiało jak drwina. Zesztywniałam, przechodząc z dezorientacji w irytację w ciągu dwóch sekund.

– Masz tupet, żeby dzwonić do tego domu! – powiedziałam rozsierdzona.

Zaśmiał się. Był to obrzydliwy dźwięk, pełen złośliwości.

– Co, już nie mogę zadzwonić z kondolencjami?

Oboje wiedzieliśmy, że nie po to dzwonił. Miał na myśli coś zupełnie innego, a ja nie miałam zamiaru tego słuchać.

– Powiem ci to jeszcze tylko raz, Trace. Trzymaj się ode mnie z daleka.

– Bo co? – prychnął. – Jackson Boudreaux wykupi całą dzielnicę, a nie tylko jeden budynek?

– O czym ty, u diabła, gadasz? – Nienawidziłam się za złapanie przynęty, ale musiałam wiedzieć, co miał na myśli. Nagle wszystko, co miało związek z Jacksonem, nabierało nadrzędnego znaczenia, nawet jeśli płynęło z jadowitych ust Trace'a.

– Doskonale wiesz, o czym mówię!

Kiedy nie odpowiedziałam, wrzasnął:

– Moja restauracja? Budynek, w którym miałem ją otworzyć nagle zostaje sprzedany, chociaż nawet nie był na sprzedaż? Nowy właściciel unieważnia moją dzierżawę?

Na rękach dostałam gęsiej skórki. Serce zaczęło mi dudnić w piersi. Nie śmiałam w to uwierzyć, więc powiedziałam tylko powoli:

– Jackson kupił budynek, w którym miałeś otworzyć restaurację, a potem unieważnił twoją dzierżawę?

Śmiech Trace'a był ostry i trochę przerażający.

– Jesteś gównianą aktorką, pszczółko – powiedział gorzko. – Nie myśl sobie, że nie wiem, kto go o to poprosił.

Przez chwilę miałam kompletną pustkę w głowie. Mój umysł był biały jak tyłek niedźwiedzia polarnego.

A potem z mojej piersi wydobył się histeryczny śmiech.

Jackson kupił budynek, w którym Trace miał otworzyć restaurację i unieważnił jego dzierżawę! Przepełniona radością znowu zarechotałam jak szalona, tupiąc stopą o podłogę.

Eeny przyszła z salonu i spojrzała na mnie, jakby się zastanawiała, czy potrzebowałam długich wakacji w miejscu z okratowanymi oknami i wyścielanymi ścianami.

Nie tylko ją poruszyło moje zachowanie. Trace wpadł w szał. Ryknął:

– Jesteś kurewsko głupia!

Pozytywnie lekkomyślna, zaszydziłam:

– A ty jesteś na to dowodem!

Aż się dławił z wściekłości.

– Potrzebujesz mnie! Powiedziałaś, że zawsze będziesz mnie kochać! „Zawsze będę cię kochać"! To twoje cholerne słowa!

Wtedy poczułam, jak coś we mnie stwierdza, że ma go serdecznie dość, zamierzałam odwrócić się i nigdy więcej na niego nie obejrzeć.

Powiedziałam spokojnie:

– Nie jestem Whitney Houston[7], ty głupi ciulu. Potrzebuję cię tak samo, jak słowo nóż potrzebuje litery h. Jedyne, co kiedykolwiek mi dałeś, to twój kutas i ból głowy.

Rozłączyłam się.

Spojrzałyśmy na siebie z Eeny.

– Kto to był, na Boga? – zapytała z szeroko otwartymi oczami.

– Sprzedawca wężowego tłuszczu. Powiedziałam mu, żeby znalazł sobie najbliższy wysoki budynek i stanął na gzymsie.

Zmrużyła oczy i pochyliła się, żeby przyjrzeć mi się z bliska.

– Wszystko w porządku, dziecinko?

Wpatrywałam się w nią i nagle kilka rzeczy stało się dla mnie jasnych, jakby w mojej głowie ktoś nacisnął pstryczek i tysiąc żarówek zalśniło białym światłem, rozjaśniając to, co było tam cały czas, ukryte w ciemności, i czekało, aż otworzą mi się oczy.

Byłam cholerną idiotką. Upartą, ślepą, beznadziejną idiotką.

A najgorsze było to, że oszukiwałam samą siebie.

Ze zdumieniem w głosie powiedziałam:

– Eeny. Jackson Boudreaux poprosił moją mamę o pozwolenie na ślub ze mną, mimo że nie musiał. Dał mi pierścionek z siedmiokaratowym diamentem od Tiffany'ego, chociaż powiedziałam, że chcę zwykłą, złotą obrączkę. Dał mi milion dolarów w gotówce za nic. I kupił cały budynek, żeby mężczyzna, który kiedyś mnie skrzywdził, nie mógł zrobić tego ponownie. Zdradził mi także swoje najgłębsze, najmroczniejsze sekrety, rzeczy, których nie powiedział wcześniej nikomu innemu.

Eeny zamrugała niewzruszona.

– Do czego zmierzasz?

Wzięłam powolny wdech. Nerwy zacisnęły się w supeł niemal boleśnie, jakby były zamrożone przez lata i nagle ożyły.

Szepnęłam:

– Myślę, że Jackson Boudreaux jest we mnie zakochany.

Eeny zrobiła minę, jakbym była największą kretynką na świecie.

– Oczywiście, że jest w tobie zakochany, głuptasie. Ślepy by to zauważył! Na niebiosa, nie mów mi, że nie wiedziałaś?

Kiedy wpatrywałam się w nią w milczeniu, wyrzuciła ręce w powietrze.

– Co ja mam zrobić z taką ignorancją! Na wszystkie świętości, Bianco, czasami potrafisz być okropnie tępa!

Z gardłem ściśniętym z emocji, powiedziałam:

– Myślałam, że miłość to miękkie kolana, motylki w brzuchu i straszna tęsknota, która nigdy nie może zostać zaspokojona.

Eeny potrząsnęła głową, zaśmiała się, podeszła i mnie przytuliła.

– Nie, dziecko – odparła łagodnie, klepiąc mnie po plecach. – To jest romans. Romans jest zbudowany na wątpliwościach. Miłość jest solidna. Stała. Jeśli nie jesteś ostrożna, możesz ją pomylić z nudą, bo jest tak niezawodna. Miłość jest ciepła, głęboka i wygodna, po prostu właściwa, więc dryfujesz w niej spokojnie, nigdy się nie poparzysz ani nie zmarzniesz, jak w idealnej, relaksującej kąpieli z bąbelkami. Ale jest też gwałtowna i silna, wymaga od ciebie wszystkiego, co najlepsze, hojności, szczerości i prawdy. Miłość sprawia, że stajesz się lepszą osobą. Wiesz, że to miłość, kiedy czujesz się dobrze taka, jaka jesteś, kiedy czujesz się dostrzegana i zrozumiana, kiedy wiesz, że możesz wyznać najmroczniejsze sekrety i zostaną one zaakceptowane bez oceniania.

Eeny odsunęła się i delikatnie wygładziła moje włosy.

– Miłość to nie motylki, dziecinko. To nie miękkie kolana. To lwia duma. To wataha wilków. To „Stanę za tobą, nawet jeśli moje życie będzie od tego zależało”, bo w odróżnieniu od romansu, który gaśnie wraz z pierwszą oznaką kłopotów, miłość będzie walczyć aż do końca. Kiedy to miłość, pójdziesz na wojnę, by pomścić nawet najmniejszą zniewagę. I to jest uzasadnione. Ponieważ ze wszystkich niesamowitych i okropnych rzeczy, jakich można doświadczyć w życiu, miłość jest jedyną, która może trwać i wznieść się ponad inne.

Samochód z zepsutym tłumikiem zaryczał na zewnątrz. Usłyszałam odległy pomruk samolotu, przelatującego gdzieś wysoko nad nami. A głęboko, bardzo głęboko w mojej duszy spokojny głos powiedział *tak*.

– O Boże – palnęłam bez zastanowienia, z szeroko otwartymi oczami. – Kocham go, Eeny! Kocham Jacksona Boudreaux!

Eeny westchnęła głęboko, odrzuciła głowę do tyłu i skierowała wzrok w sufit.

– Naprawdę, Jezu, jak możesz mnie obarczać taką głupotą?

– Muszę do niego zadzwonić, muszę zadzwonić w tej chwili, o Panie, co się ze mną dzieje, jestem skończoną idiotką – wymamrotałam, szarpiąc zawzięcie za telefon na ścianie, jakby mógł zaraz wystrzelić w przestrzeń kosmiczną, żeby uniknąć moich oszalałych ruchów.

Gorączkowo wystukałam numer. Czekałam bez tchu na połączenie, ale na komórce od razu włączyła się poczta głosowa. Spanikowana, zadzwoniłam do domu.

Rayford odebrał z gładkim:

– Dzień dobry, rezydencja Boudreaux.

Zaczęłam krzyczeć bezładnie:

– Rayfordzie, tu Bianca, muszę porozmawiać z Jacksonem, proszę, daj go do telefonu!

Rayford zamilkł na chwilę, zanim odpowiedział.

– Pan Boudreaux jest… zajęty w tej chwili – powiedział dziwnym, złowrogim tonem. – Mam przekazać wiadomość?

Serce waliło mi tak mocno, że straciłam oddech.

– Zajęty? Nie, Rayfordzie, nie rozumiesz, to bardzo ważne i muszę z nim porozmawiać…

– Przykro mi, ale to niemożliwe – odparł energicznie. – Mogę pani w czymś pomóc?

Rayford nigdy nie był wobec mnie tak zdystansowany. Jakbyśmy się wcześniej nie spotkali. Coś tu śmierdziało, i to bardzo.

Coś było poważnie nie w porządku.

– Rayfordzie – powiedziałam, kontrolując histerię w głosie tak bardzo, jak to było możliwe – co się dzieje?

Znowu cisza, jakby zastanawiał się, czy odpowiedzieć, a potem zakaszlał z zażenowaniem.

– Pan Boudreaux ma gościa. Jednak z radością przekażę, że pani dzwoniła. Życzę miłego wieczora.

Telefon zamilkł w mojej dłoni. Wpatrywałam się w niego z zaskoczeniem. I wtedy uderzyło to we mnie, jakbym wetknęła palec do gniazdka.

– No i? – zapytała Eeny.

Zmrożona przerażeniem, zapytałam:

– Jaki dziś dzień, Eeny?

Zmarszczyła brwi.

– Wtorek.

– Nie, data! – krzyknęłam, wymachując rękami. – Jaka jest data?

– Szesnasty. A co?

Szesnasty. Dobry Boże. Dzisiaj są urodziny Jacksona.

Musiał wziąć ślub do urodzin – albo straci majątek. Nie mógł podejść do telefonu, ponieważ miał *gościa*.

Rzuciłam telefon, który zawisł na kablu i popędziłam korytarzem do sypialni, by wziąć buty, krzycząc do Eeny przez ramię, żeby wezwała mi taksówkę i to najszybciej, jak się da.

Musiałam powstrzymać ślub.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

JACKSON

Rayford cicho odłożył słuchawkę telefonu w bibliotece. Nie oderwałem wzroku od papierów, które przeglądałem, kiedy zapytałem:

– Kto to był?

– Telemarketer – odpowiedział. – Doroczna zbiórka funduszy na lokalną policję.

Teraz jednak podniosłem wzrok z zaskoczeniem.

– Ciekawe, czemu komendant nie zadzwonił do mnie bezpośrednio? Wie, że nie lubię rozmawiać z telemarketerami. – Zastanowiłem się przez chwilę. – Czy czasem nie zbierali pieniędzy kilka miesięcy temu?

Twarz Rayforda pozostała bez wyrazu.

– Wypisuje pan tyle czeków na różne zbiórki, sir. Nigdy nie pamiętam, która jest która. – Podniósł kryształową karafkę z rogu biurka, zbliżył do mojej pustej szklanki i się uśmiechnął. – Dolać?

Westchnąłem ciężko. Wiedziałem, że ostatnio za dużo piłem, ale tylko dzięki temu byłem w stanie jakoś przetrwać noce.

– Tak. Dziękuję.

Nalał mi hojnie, po czym zwrócił się do młodej kobiety w niebieskim kostiumie i eleganckich butach, która siedziała po drugiej stronie biurka.

– Panno Taylor, ma pani ochotę?

Zwęziła usta, a to już było osiągnięcie, bo jej wargi były tak wąskie, że wyglądały jak mały, pomarszczony odbyt.

To że wybrała brązową szminkę, było wyjątkowo niefortunne i tylko potęgowało ten efekt. Za każdym razem, kiedy na nią

patrzyłem, musiałem przygryzać wnętrze policzka, żeby się nie zaśmiać.

– Nie – odpowiedziała, jakby uraziło ją samo pytanie. – Ja nie piję.

Rayford i ja wymieniliśmy się spojrzeniami. Znowu rozbrzmiało moje ciężkie westchnienie.

– Proszę mnie wezwać, jeśli będzie pan potrzebował czegoś jeszcze, sir – powiedział Rayford. Skinął głową Taylor, przeprosił i zostawił za sobą otwarte drzwi biblioteki.

Panna Taylor nie zmarnowała ani chwili, od razu wróciła do tematu.

– Sekcja cztery D może być problematyczna. Myślę, że jest zbyt mało precyzyjna.

Głowa mi opadła. Wałkowaliśmy te papiery od prawie dwóch godzin i za każdym razem, kiedy myślałem, że jesteśmy już blisko końca, znajdowała coś jeszcze, co uznawała za problematyczne.

Trzeszczenie w moim karku było problematyczne. Skurcz w krzyżu był problematyczny. Tępy ból w klatce piersiowej, w miejscu, gdzie powinno bić serce, także był problematyczny, ale nie myślałem o tym.

Nie ma sensu zajmować się rzeczami, nad którymi nie ma się kontroli.

Zamiast tego wziąłem kolejny, duży łyk burbona.

– Cztery D – powtórzyłem, przerzucając kartki. – Tak. – Wpatrywałem się w stronę. Terminy prawne przelatywały mi przed oczami. Wlałem sobie do gardła jeszcze więcej alkoholu.

Jak ona się miewa? Co teraz robi? Czy o mnie myśli?

Kurwa. Kogo ja oszukiwałem? Żadna ilość whiskey, ani zaprzeczanie, nie powstrzyma mnie od myślenia o Biance. Wiedziałem, że będę myślał o niej przez resztę życia, co było jednym z powodów mojego przygnębienia.

– Słucham?

Podniosłem głowę. Taylor wpatrywała się we mnie, jakbym puścił bąka w kościele.

– Co? – zapytałem zaniepokojony.

– Wydał pan z siebie dziwny dźwięk. Jakby próbował pan coś powiedzieć.

O nie, Taylor. To tylko odgłos szalejącej desperacji. Proszę, nie zwracaj na mnie uwagi, ja tu tylko umieram.

– Głośno myślałem – powiedziałem z poważną miną. – Przepraszam.

Wyglądała, jakby swędziało ją w intymnym miejscu i bardzo potrzebowała się podrapać. Złożyła dłonie na umowie, którą trzymała na kolanach, i obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem.

– Panie Boudreaux – zaczęła, jej ściśnięte usta ledwo się poruszały. – Chciałby pan zrobić chwilę przerwy?

Prawie jęknąłem z ulgi.

– Tak. Muszę rozprostować nogi. Wracam za dziesięć minut. – Już byłem na nogach i zmierzałem w stronę drzwi.

– Nigdzie się stąd nie ruszę – odparła, dodatkowo mnie dobijając.

Musiałem wydostać się z domu, zanim zacznę rzucać przedmiotami.

Ignorując zaniepokojone spojrzenie Rayforda, które rzucił mi, kiedy przechodziłem przez kuchnię, wypadłem przez francuskie drzwi wprost na chłodne, wieczorne powietrze. Stanąłem na trawniku za domem, oparłem ręce na kolanach i łapczywie nabierałem powietrza, zastanawiając się, ile potrwa, zanim smak skóry Bianki rozmyje się w mojej pamięci.

Od pogrzebu minęło sześć dni, a ja stopniowo umierałem bez niej.

Jednak najgorsze były noce. Te sny, dobry Boże. Tortura. Każdy, najmniejszy moment spędzony z nią przedostawał się jakoś do mojej podświadomości, więc kiedy spałem, dostawałem powtórkę w technikolorze wszystkiego, co kiedykolwiek do mnie powiedziała, każdego spojrzenia, uśmiechu, dotyku. Były swego rodzaju koszmarami. Zwłaszcza sny o naszych chwilach spędzonych na Ranczo Moonstar.

Czułem jej smak nawet we śnie.

– Ja pierdolę – mruknąłem. Wyprostowałem się i przesunąłem dłonią po twarzy. Broda, która rosła jak chwast, była już prawie tak gęsta jak w noc, kiedy ją poznałem. Była drapiącym chaosem, zupełnie jak mój umysł.

Spędziłem kilka minut po prostu oddychając, pozwalając, by świeże powietrze oczyściło moje myśli. Potem poszedłem na niższy

trawnik, gdzie stał namiot rozstawiony na przyjęcie dla WWP, oparłem się o chropowatą korę prastarej wierzby i zapatrzyłem na jezioro. Lśniło jak tysiące gwiazd opromienionych wschodzącym księżycem.

Bianca zmieniła mnie na sposoby, na które nie wiedziałem, że mogę się zmienić. Mówią, że lepiej kochać kogoś i go stracić, niż nigdy nie kochać, ale to wielka, parująca kupa gówna. Teraz czułem się nieporównywalnie gorzej. Myślałem, że kochałem Cricket, ale to było nic w porównaniu z ogniem, który Bianca roznieciła w moim sercu.

Kochałem ją tak bardzo, że aż parzyło. Skwierczało i mieniło się zbielałe od gorąca we wszystkich ciemnych miejscach wewnątrz mnie, jakbym połknął słońce.

Ale teraz to była rzeczywistość. Samotność, pragnienie i ramiona, które potrzebowały przytulić kogoś, kogo już nie było. Kogo już nigdy nie będzie.

Kto nigdy mnie nie pokocha.

Oczy mnie zapiekły. Kiedy przesunąłem palcami po policzkach, zdałem sobie sprawę, że były mokre. Zaśmiałem się – chropowaty, okropny dźwięk – i odwróciłem się od jeziora. Nagle nie mogłem znieść jego widoku. Mdliło mnie od niego. Blask księżyca odbijający się w tafli był zbyt romantyczny, a ja nie miałem nastroju na romanse.

Miejmy to już za sobą. Spojrzałem na dom, poświęciłem chwilę na zebranie się w sobie, a potem poczłapałem do środka, wcale nie gotowy, by zakończyć to, co zacząłem z Taylor, ale wiedziałem, że muszę.

Rayforda nie było w kuchni. Na końcu długiego korytarza usłyszałem podniesione głosy.

Ktoś krzyczał w bibliotece.

Kobieta.

Wiedziałem, że to moje chore z miłości serce sprawia, że ten głos brzmiał jak Bianki, ale i tak puściłem się biegiem. Moje kroki jak wystrzały z broni odbijały się echem od marmuru.

Kiedy dotarłem do otwartych drzwi biblioteki, stanąłem jak wryty i zamrugałem ze zdumienia.

Rayford rozsiadł się na kanapie, rozbawiony uśmieszek rozświetlał jego twarz. Po dwóch przeciwnych stronach stolika do kawy stały Taylor i Bianca, wpatrując się w siebie jak rewolwerowcy, którzy zaraz mieli sięgnąć po broń. Bianca miała na sobie pomiętą, różową piżamę w małe, niebieskie króliczki, beżowy płaszcz i te ohydne buty, które zakładała do pracy. Włosy sterczały jej w dzikich strąkach wokół całej głowy.

Wyglądała, jakby uciekła ze szpitala psychiatrycznego – i była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

– I jeszcze jedno! – wrzasnęła na Taylor. – Naprawdę nie powinnaś używać brązowej szminki!

– Ależ witam, sir – powiedział Rayford spokojnie. – Jak pan widzi, panna Bianca i panna Taylor właśnie się zapoznały. – Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. – Próbowałem wytłumaczyć pannie Biance, że jest pan zajęty, ale prawie wyważyła drzwi, więc oto jesteśmy.

– Bianco – powiedziałem ochrypłym głosem. – Co ty tutaj robisz?

Odwróciła się do mnie, oczy jej płonęły, pierś falowała, a na policzki wystąpił rumieniec. Krzyknęła:

– Jestem tutaj, żeby powstrzymać mężczyznę, którego kocham, przed poślubieniem niewłaściwej kobiety!

Taylor opadła szczęka.

Rayford się zaśmiał.

A moje serce zamarło w piersi.

– Kochasz? – wydyszałem, ale przerwała mi.

– Tak, zgadza się. Kocham cię, Jacksonie Boudreaux.

Brzmiało to jak oskarżenie albo wyznanie czegoś śmiertelnego, jak kiedy mówią: *Guz jest nieoperacyjny i mam tylko tydzień życia*.

Ale ona mówiła dalej, a moje serce podjęło rytm, odradzając się jak feniks z popiołów.

– Przepraszam, że nie zdałam sobie sprawy wcześniej, ale myślę, że jestem tak samo uparta jak ty. Jesteś najlepszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam i niech mnie piekło pochłonie, jeśli pozwolę ci podczepić się do jakiejś materialistycznej, dupoustej zołzy tylko po to, żebyś ocalił swój majątek!

Wskazała na Taylor, która wykrzyknęła pełne oburzenia:

– Och!

Wypuściłem powietrze i poczułem, jakbym stanął w płomieniach.

Bianca zbliżyła się do mnie. Wyprostowała ramiona i spojrzała mi prosto w twarz.

Powiedziała:

– Przez całe życie czekałam na kogoś takiego jak ty. Nie wiedziałam tylko, że ten ktoś pojawi się z brodą jaskiniowca, upodobaniem do rządzenia się i miną, która sprawia, że farba odpada od ścian. A potem przyszedłeś do mnie z tymi niedorzecznymi oświadczynami i mama umarła, a ja postradałam rozum, więc chwilę mi zajęło, żeby do tego dojść.

Przełknęła. Kiedy przemówiła ponownie, jej głos był cichszy.

– Ale kocham cię, Jacksonie. I mam nadzieję, że wiesz, że nie obchodzą mnie twoje pieniądze, bo tak jest. W zasadzie myślę, że zrobiłoby ci dobrze, gdybyś spuścił ten majątek w sedesie i zaczął żyć jak normalny człowiek. – Dodała oschle: – Zresztą, niedawno zostałam poinformowana przez mojego prawnika, że jestem milionerką, więc spłukani nie będziemy.

Taylor sapnęła.

– Panie Boudreaux, czy mógłby pan powiedzieć tej kobiecie…

– Zamknij się, Taylor – powiedziałem.

Wyrzuciła ręce w powietrze i wywróciła oczami.

Bianca zrobiła kolejny krok w moją stronę, a potem jeszcze jeden, aż podeszła na tyle blisko, że mogłem zobaczyć złote plamki w jej pięknych oczach. Oparła dłonie na mojej piersi.

Myślałem, że serce mi eksploduje, bo tak szybko łomotało.

Bianca powiedziała łagodnie:

– Podeszliśmy do tego wszystkiego od zadniej strony. Oświadczyny powinny następować po zakochaniu, a nie przed, ale mam przeczucie, że nic, co kiedykolwiek zrobimy, nie będzie we właściwej kolejności. Więc teraz proponuję, żebyś powiedział tej chudej, małej lafiryndzie z brązowymi ustami, żeby poszła się bujać, a potem ty i ja weźmiemy ślub. – Jej usta wygięły się w nieśmiałym uśmiechu. – Bo chciałabym z tobą chodzić.

Ująłem w dłonie jej słodką twarz. Oplotła mnie w pasie ramionami i przytuliła, a ja zacząłem się zastanawiać, czy można umrzeć ze szczęścia. Czułem się, jakbym mógł unieść się nad ziemię.

Wyszeptałem:

– Ta chuda, mała lafirynda jest moją prawniczką, skarbie.

Bianca zamrugała. Jej brwi złączyły się uroczo.

– Co?

Gromki śmiech wydobył się z mojego wnętrza, sprawiając, że całe ciało zadrżało, i uwalniając mnie od dekady trosk i bólu.

– Taylor jest moją prawniczką. Już od lat. Nie pobieramy się. Pracujemy nad umową otwarcia nowego oddziału Burbon Boudreaux w Nowym Orleanie. Tego, który poprowadzę.

Oczy Bianki zrobiły się wielkie jak spodki. Zaskrzeczała:

– Umowa? Oddział?

Przytaknąłem.

– Mój ojciec i ja odbyliśmy długą rozmowę po tym, jak opuściliśmy Kentucky. Zgodziliśmy się, że otwarcie nowej destylarni w Luizjanie będzie korzystne dla interesów. Nie będzie tu żadnego ślubu.

Spojrzenie Bianki skierowało się na papiery na moim biurku, a następnie na Taylor. Zbladła. A potem wyszeptała:

– O cholera.

Z kanapy dobiegł nas rechot Rayforda i klaskanie w ręce.

Bianca odwróciła się i spiorunowała go spojrzeniem.

– Rayfordzie! Zrobiłeś to celowo!

Wzruszył ramionami.

– Czasami do ślepca trzeba wyciągnąć pomocną dłoń.

Bianca zwróciła się do Taylor. Położyła dłoń na piersi i powiedziała:

– Naprawdę bardzo, bardzo przepraszam. O mój Boże. Odwołuję wszystko, co powiedziałam. Nie jesteś lafiryndą. Jestem pewna, że jesteś wspaniałą kobietą. Wyglądasz bardzo… elegancko. I nie jesteś chuda, to tylko ja jestem zazdrosna. Masz śliczną figurę.

Taylor skrzyżowała ramiona na piersi.

– A brązowa szminka?

Bianca się skrzywiła.

– Cóż…

– No, dość już przeprosin. Chodź tutaj.

Złapałem Biancę za ramię i pocałowałem. Chwyciła w garść moją koszulę i oddała pocałunek, jakby była na głodzie.

W którymś momencie Rayford i Taylor musieli opuścić pomieszczenie, ale nie słyszałem ich wyjścia. Byłem zbyt zajęty zatracaniem się w Biance.

– A co z twoim majątkiem? – zapytała bez tchu, odsuwając się ode mnie.

– Wziąć ślub albo pracować dla firmy, pamiętasz? Nie żeby nadal obchodziły mnie pieniądze. Po prostu nadszedł czas, żeby odpuścić przeszłość i dorosnąć. – Pogłaskałem jej jedwabisty policzek. – Jesteś za to odpowiedzialna, wiesz? Nigdy nie pogodziłbym się z rodzicami, gdyby nie ty.

Bianca oparła czoło na mojej piersi.

– Czyli w zasadzie nie musisz się żenić.

Przeszedł ją lekki dreszcz. To wywołało mój uśmiech.

– Teoretycznie nie – wyszeptałem. – Ale chcę.

Uniosła głowę i spojrzała na mnie. Jej oczy zalśniły wilgocią.

– I zauważyłem, że nadal nosisz swój pierścionek zaręczynowy, więc sądzę, że ty też chcesz.

Łza spłynęła z jej oka i potoczyła się po policzku. Łamiącym się głosem Bianca powiedziała:

– Chcę tylko ciebie. Bogatego, biednego, uśmiechniętego, warczącego, brodatego czy ogolonego, chcę tylko ciebie, Jax. Niczego na świecie nie pragnę bardziej niż ciebie.

Radosne westchnienie popłynęło z moich ust, ledwo słyszalne.

– Uważaj, czego sobie życzysz, skarbie – mruknąłem, a moje serce śpiewało. – Jeśli sądzisz, że ja jestem bestią, nie widziałaś jeszcze tej brody w akcji.

Wzrok Bianki stał się rozmarzony. Wspięła się na palce, owinęła ramiona ciasno wokół mojej szyi i szepnęła mi do ucha:

– Już nie mogę się doczekać.

KOKTAJL CHLAP, CHLAP, CMOK

Na 2 porcje

- 30 ml koniaku
- 90 ml wódki

- 60 ml absyntu
- 45 ml dżinu
- 30 ml likieru jeżynowego

Przygotowanie

- Wszystkie składniki wlej do shakera z lodem.
- Wstrząśnij energicznie.
- Rozlej do dwóch, schłodzonych szklanek koktajlowych.
- Wypij do dna, pocałuj ukochaną osobę i ciesz się bardzo owocnym, szczęśliwym zakończeniem.

PODZIĘKOWANIA

To czternasta powieść wydana przeze mnie w ciągu pięciu lat. Dla niektórych pisarzy ta liczba nie jest niczym niezwykłym, ale dla mnie jest wręcz porażająca, bo nigdy nie utrzymałam tak długiego zainteresowania niczym poza czytaniem, spaniem i kąpielą przed snem.

Wiele osób pomogło tej leniwej pisarce stworzyć czternaście powieści w pięć lat i zasługują na więcej niż kilka kwiecistych słów na tylnych kartach, ale tylko tyle dostaniecie, ludzie. Może kiedy dobrnę do dwudziestu, wyślę wam plakietki czy coś. A może nie. (Zawsze możecie oprawić w ramkę tę stronę i powiesić na ścianie…?)

Bez żadnego konkretnego porządku, oto ludzie, którzy pomogli mi stworzyć czternaście powieści i którym chciałabym powiedzieć DZIĘKUJĘ:

Jeff Bezos

Amazon Publishing/Montlake Romance

Maria Gomez, moja obecna redaktor w Montlake

Kelli Martin, moja redaktor między redaktorami w Montlake

Eleni Caminis, moja pierwsza redaktor w Montlake

Melody Guy, moja redaktor rozwoju, bez której dosłownie bym zginęła, i która umieściła słowo *dosłownie* na swojej przepustce redaktorskiej, za co kocham ją jeszcze bardziej

Jessica Poore, mój kontakt z redakcją Montlake

Tara Gonzales, guru PR

InkSlinger PR

Najla Qamber, znakomita twórczyni okładek

Marie Force, autorka bestsellerów NYT

Teri Clark Linden, narratorka audiobooka

Sebastian York, narrator audiobooka

Melissa Moran, narratorka audiobooka

Geissinger’s Gang, grupa moich czytelników na Facebooku

Moi czytelnicy na całym świecie
Jay, mój mąż i moje serce, bez którego nic nie jest możliwe
Chciałabym również podziękować Wounded Warrior Project za ich niesamowite oddanie i służbę rannym mężczyznom i kobietom z sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Żeby dowiedzieć się więcej o ich misji, odwiedźcie stronę: www.woundedwarriorproject.org.

O AUTORCE

J.T. Geissinger jest autorką ponad tuzina powieści: współczesnych romansów, romansów paranormalnych i kryminałów romantycznych. Otrzymała Prism Award for Best First Book oraz Golden Quill Award for Best Paranormal/Urban Fantasy. Jest dwukrotną finalistką RITA Award w kategorii Najlepszy Autor Romansów w Ameryce, a jej prace trafiły do finału plebiscytów Bestsellers' Best, National Readers' Choice oraz Daphne du Maurier Award.

Zajrzyj na stronę autorki www.jtgeissinger.com albo obserwuj ją na Instagramie @JTGeissingerauthor i na Twitterze @JTGeissinger.

[1] Burbon – amerykańska whiskey (przyp. red.).
[2] New Orleans Saints – nowoorleański zawodowy zespół futbolu amerykańskiego (przyp. red.).
[3] Wounded Warrior Project – organizacja charytatywna pomagająca weteranom (przyp. red.).
[4] Grigri – amulet voodoo (przyp. tłum.).
[5] *Couillon* – (z fr.) głupek (przyp. red.).
[6] Peace Officers' Association – ogólna nazwa ugrupowań wspierających i reprezentujących policjantów i innych stróżów prawa (przyp. red.).
[7] Odniesienie do piosenki Whitney Houston *I Will Always Love You* (przyp. tłum.).